

Johannes Sachtlehner



KAT

z Listy Schindlera

Zbrodnie Amona Leopolda Götha

znak

Johannes Sachslehner

KAT

z Listy Schindlera

Zbrodnie Amona Leopolda Götha

TLUMACZENIE
Dariusz Salamon

Wydawnictwo Znak
Kraków 2010



Pamięć
– nadzieja przyszłości

„Okrucieństwo ma ludzkie serce”.

William Blake

A Dmne Image

„Nie sposób zrekonstruować prawdziwych wydarzeń. Niezmordowane poszukiwanie prawdy trwa nadal i warto poświęcić mu jeszcze więcej trudu, by nie wszystko zostało zapomniane i stracone”.

Raul Hilberg *Die Quellen des Holocaust* „Amon Göth należał do ludzi, których nigdy się nie zapomina, nawet jeśli widziało się ich tylko raz w życiu”.

Roman Frister

Die Mutze oder Der Preis des Lebens

Tuż ponad sześćdziesiąt lat dzieli nas od przerażających zbrodni popełnionych przez nazistowskich morderców. Tymczasem twarze ofiar tracą coraz bardziej na wyrazistości, a nazwiska tysięcy zbrodniarzy toną w otchłani anonimowości. Wiele czynów pochodzących z tamtego okresu terroru i grozy popadło w zapomnienie. W rezultacie nie sposób ich już dzisiaj zrekonstruować, czasem nawet wydaje się, jakby nigdy nie miały miejsca.

Autor niniejszej książki, udając się na poszukiwanie śladów, które pozostawili po sobie austriacki kat i jego ofiary, pragnie sprawić, byśmy stali się bardziej wrażliwi na nazistowskie zbrodnie. Nie zamierza wszakże ograniczać się przy tym do bezmyślnego stwierdzania faktów czy jałowego przywoływania odpowiednich statystyk. Podszyte obojętnością milczące przyzwolenie, z jakim miliony przyglądały się eksterminacji Żydów, Sinti i Romów, homoseksualistów oraz osób upośledzonych, nie może i nie powinno stać się naszym udziałem. Sama jednak znajomość faktu wymordowania sześciu milionów europejskich Żydów nie wystarczy. Ważne, by ta wiedza wyryła się głęboko w naszych sercach. Pamięć o zbrodniach hitlerowskich powinna stać się stałym elementem naszej zbiorowej pamięci. Niech będzie bolesnym cierniem, mobilizującym nas do nieustającej walki z odradzającymi się raz po raz ideologiami faszystowskimi i rasistowskimi, a także z wszelkimi przejawami agresji. Każdy, kto pragnąc zapewnić sobie święty spokój, wzbrania się przed konfrontacją z prawdą o nazizmie, nie powinien czuć się zaskoczony, jeśli wahadło historii po raz kolejny niebezpiecznie zbliży się w stronę faszystowskich metod sprawowania władzy.

Pokój i demokrację, wyznaczające ramy naszego obecnego dobrobytu, można utrzymać tylko pod warunkiem gotowości do ich obrony, a siłę do walki czerpać będziemy z żywego wspomnienia okropności Holokaustu. Pamięć, jak to wyraził socjolog Wolfgang Sofsky, „nie wynagradza niczego”, nie pomoże już pomordowanym ofiarom. We wspomnieniach osób, które przeżyły Zagładę, ciągle przewija się wątek niedowierzania, iż takie wydarzenia mogły mieć miejsce w nowoczesnych społeczeństwach. Stojąc na krawędzi jednego z masowych grobów, często chcemy wierzyć, iż te niewyobrażalne zbrodnie to raczej fikcja niż rzeczywistość. W nazistowskich obozach zagłady, tych fabrykach śmierci, objawiła się pewna prawda o naturze ludzkiej. Nawet cywilizowany człowiek, miłośnik kultury, rozczytujący się w dziełach Goethego, pasjami słuchający oper Richarda Wagnera, zachwycający się filozofią Kanta czy Schopenhauera, nie jest automatycznie kastrowany z naturalnej żądzy krwi czy wrodzonego instynktu zabijania. *Shoah* sprowadziła koncepcje Niemców mieniących się *Kulturnation* czy Austriaków uchodzących za *Kulturvolk* do absurdu. Nie można już usłyszeć krzyku katowanych ofiar ani poczuć ich bezradności, osamotnienia, rozpacz i strachu przed śmiercią. Nie możemy udzielić im pomocy. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko prosić ofiary naszych dziadków i rodziców o przebaczenie. Możemy uważnie wsłuchiwać się w relacje tych, którzy przeżyli piekło Holokaustu, oraz w nasze własne sumienie, by następnie wyciągnąć odpowiednie wnioski. Pamięć o zbrodniach nazistowskich niesie ze sobą jeszcze jedno ważne rozpoznanie. Oto wyłania się przed nami nowy, powszechnie przez nas nieakceptowany wymiar człowieczeństwa, którego nie sposób już jednak zanegować. „Wolę niewiedzy”, o której pisał Sofsky, musi zastąpić wola wiedzy, pojmowana nie jako uciążliwy obowiązek i pozbawiony wszelkiego sensu rytuał narzucany nam zewsząd przez dyktaturę politycznej poprawności, lecz jako pewna forma samoobrony czy samopomocy. Jeśli chcemy przeżyć, nie możemy pozostać bierni - musimy działać!

Pochodzący z Wiednia esesman-morderca Amon Leopold Göth, „bohater” niniejszej książki nie wykonywał li tylko rozkazów, nie był „mimowolnym sprawcą”. Wręcz przeciwnie - Göth był panem samego siebie i nie troszczył się zbyt o zdanie przełożonych. Szczerze nienawidził biurokratów przykutych do swoich stołków i papierkowej roboty. Zabijanie było jego zachcianką i wynikało nie tyle z administracyjnego przymusu, ile z chęci zaspokajania

własnych, wyraźnie spaczonych instynktów. Nie potrzebował żadnego odgórnego rozkazu. Po prostu umiejętnie korzystał ze swobody, jaką ofiarował mu świat obozów koncentracyjnych. Płaszowski kat z namaszczeniem wręcz celebrował swoją niczym nieograniczoną władzę nad wyjętymi spod prawa więźniami, posuwając się niejednokrotnie do aktów bestialstwa. W barbarzyńskim świecie, gdzie godność jednostki ludzkiej nie stanowiła najmniejszej wartości, Göth rozkoszował się możliwością przekraczania granic podyktowanych przez ideę człowieczeństwa. Chodziło przede wszystkim o kuszący urok możliwości bezkarnego zabijania, któremu Göth nie potrafił i nie chciał się oprzeć, o potężną dawkę adrenaliny, jaką otrzymywał, ostatni raz patrząc w oczy ludziom przeznaczonym na śmierć. Trzeba przyznać, że inscenizując mordowanie „w wielkim stylu”, wykazywał się niespotykanym wręcz wyrafinowaniem i niezwykle kreatywnością. Można pokusić się o stwierdzenie, iż w pewnym sensie był genialnym reżyserem śmierci. Obóz, którego był komendantem, pełnił rolę sceny, na której dzień po dniu wystawiano w coraz to wymyślniejszej aranżacji tę samą sztukę - masowy mord Żydów. Amon Göth w umiejętny sposób dawał odpowiednie sygnały swoim „partnerom w grze”. Noszenie odpowiedniej czapki lub białych rękawiczek, wygrywanie szlagierów, walców czy melodii z wielkich oper -to wszystko stanowiło oprawę artystyczną wielkiego „wydarzenia”, jakim było zabijanie. I rzeczywiście takie widowiska nie były pozbawione wartości rozrywkowej - zarówno Göthowi, jak i jego podkomendnym esesmanom sprawiały nie lada przyjemność. Była to pewna forma „sportu”, przeznaczona tylko dla „twardych” mężczyzn. Więźniowie bardzo szybko poznali napawające przerażeniem reguły gry. Sam Göth zadbał nawet o stworzenie kodu obozowego, określającego bieżącą liczbę ofiar. Lakoniczny napis „4:0” umieszczony na bramie obozu, który więźniowie mogli przeczytać, wracając do baraków z pracy, oznaczał: cztery ofiary śmiertelne. „Bilans dnia” komendanta.

Jednocześnie syn wydawcy z Wiednia nigdy nie tracił z oczu finansowego aspektu systematycznej eksterminacji Żydów. Chodziło przede wszystkim o niezwykle atrakcyjne perspektywy szybkiego zysku, pozwalające mu już w czasie wojny na snucie marzeń o świetlanej przyszłości żyjącego w luksusie właściciela banku, drukarni i rozległych posiadłości ziemskich. Göth dostrzegł w pełnieniu funkcji komendanta obozu niepowtarzalną szansę na ugruntowanie swojej pozycji jako przedsiębiorcy z prawdziwego zdarzenia w okresie powojennym, po mającym rychło nastąpić ostatecznym zwycięstwie Niemiec. Należało tylko dołożyć wszelkich starań, by nie zmarnować tej szansy, nie zniszczyć pieczołowicie stawianych fundamentów przyszłej kariery. Jednakże nadzieje te ostatecznie okazały się płonne. W decydującym momencie kompani opuścili Götha w potrzebie.

Historia życia Amona Götha może być postrzegana jako wzorcowa biografia młodego Austriaka urodzonego na początku XX wieku, który z idealistycznie nastawionego brunatnego „rewolucjonisty” staje się z czasem bezlitosnym wykonawcą planowego wyniszczenia Żydów. Opowieść ta w dobitny sposób ukazuje nam, do jakiego bestialstwa i pogardy w stosunku do bliźnich może posunąć się człowiek, jeśli tylko zapewni mu się sprzyjające warunki. Z tego też powodu jest to historia, która dotyczy nas wszystkich.

Johannes Sachslehner
marzec 2008

Spis treści

- [I. Mony](#)
- [II. Przeciwno diabelskiemu żydostwu](#)
- [III. Interesy prowadzone z ojcem](#)
- [IV. W Kręgu morderców](#)
- [V. Krakau "światna robota"](#)
 - [Krakowskie getto](#)
 - [Deportacje](#)
 - [Ucieczka z pociągu śmierci](#)
 - [Żywe trupy](#)
- [VI. "Jestem waszym bogiem!"](#)
 - [Mord na Dianie Reiter](#)
- [VII. Królestwo Mony'ego](#)
 - [Pomocnicy, kompani, zabójcy](#)
 - [Odemani i kapo](#)
 - [Maniak samochodowy](#)
- [VIII. Mamser](#)
 - [Żądza bogacenia się - rewizja](#)
 - [Los komanda Straucha](#)
 - [„Oni jadą do Ameryki”](#)
 - [„Daj psu jeść!”](#)
 - [Historię można opowiadać na różne sposoby](#)
- [IX. "Kto najpierw strzela ten ma więcej życia"](#)
 - [Wycieczki do Szebni i do szkoły zabijania](#)
 - [Pierwsza defraudacja celna uchodzi płazem](#)
- [X. Cóż za mężczyzna!](#)
 - [Göth jest bogiem](#)
 - [Gracz, który nie potrafi przegrywać](#)
- [XI. Seks i miłość](#)
 - [Historia Gizy](#)
- [XII. Oskar, Amon i "Emalia"](#)
- [XIII. Zamach](#)
 - [Plany oswobodzenia towarzyszy broni](#)
- [XIV. Obóz dla Polaków](#)
 - [Inspekcja w Julagu III](#)
 - [Stracenie Haubenstocka i Krautwirtha](#)
 - [Mord na blokowym](#)
- [XV. Mycie rąk po "robocie"](#)
- [XVI. Krwawa jesień](#)
 - [„Sprzątać!”](#)
 - [Gena usiłuje uratować swoją matkę](#)
 - [Sądny Dzień](#)
- [XVII. Wspaniały wyczyn Pempera](#)
- [XVIII. "Godzina miłości"](#)
 - [Ostatni pocałunek](#)
- [XIX. "Odkrycie kart" w Julagu I](#)
- [XX. Urodziny i dni świąteczne](#)
 - [Wizyta Jointu](#)
 - [Ludzkie i nieludzkie](#)
- [XXI. KL Płaszów](#)
 - [Podziemie się zbroi](#)
 - [Ostatnia Żydówka](#)
 - [Nienawiść do Wehrmachtu](#)
 - [Wielki Piątek](#)
- [XXII. "Odpowiednia praca dla każdego"](#)
- [XXIII. "Wszyscy naziści mogą mnie pocałować!"](#)
 - [Torturowanie zupą](#)
 - [Kto chce zachować życie, ten je traci](#)
 - [„Czarnorynkowiec” Wictor](#)

[Sześć bochenków chleba za ćwierć miliona dolarów...](#)

[XXIV. Śmiertelna pułapka na Wilka Chilowicza](#)

[XXV. Walka o "listę Schindlera"](#)

[Zamknięcie „Emalii”](#)

[XXVI. Aresztowanie i sąd SS](#)

[XXVII. W obliczu śmierci](#)

[Upadek wydawnictwa Göthów](#)

[Maska opada](#)

[„A mówiono nam, że nikt z nich nie przeżyje!”](#)

I. Momy

11 grudnia 1908 roku. Pośród wielu ludzi urodzonych w ten ponury J. J. zimowy dzień w Wiedniu są tacy, którym pisany był nadzwyczajny los, na przykład żydowska dziewczynka Ruth Weiss. W 1933 roku Ruth wyemigrowała do Szanghaju. Przyszła nauczycielka i wolna dziennikarka była naocznym świadkiem rewolucji w Chinach, a następnie budowy komunizmu w tym kraju. Weiss zmarła w 2006 roku w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Wśród urodzonych w tym dniu był także chłopiec Amon Leopold Göth, który zawisł na szubienicy w 1946 roku. Jego zwłoki zostały spalone, a prochy rozsypane. Pamięć o jego okrutnych czynach pozostanie jednak wiecznie żywa.

Göth przyszedł na świat przy Morizgasse 5 na przedmieściach Wiednia, w dzielnicy Gumpendorf. To właśnie pod tym adresem we wspomnianym dniu, 11 grudnia 1908 roku, leżała w połogu trzydziestej edno-letnia Bertha Göth. U jej boku stała, ciesząca się zaufaniem położnicy, akuszerka Maria Altmann, która została wezwana do porodu z pobliskiej Stumpergasse. Gdy wyczekiwany syn ujrział wreszcie światło dzienne, rodzice nie posiadali się ze szczęścia.

Tydzień później, 18 grudnia 1908 roku, Amon Franz i Bertha Göthowie zanieśli swojego syna do kościoła parafialnego w Gumpendorfie, aby go ochrzcić. Ojcem chrzestnym był wuj Amon Göth, zamieszkały przy Obere Augartenstrasse 50. W kancelarii parafialnej zadeklarował, że z zawodu jest „dyrektorem przedsiębiorstwa”.

Rodzice byli zgodni co do tego, iż ich syn będzie nosił niezwykle imię, które stało się już ważnym elementem tradycji rodzinnej - Amon. Amon albo Amun to w mitologii egipskiej imię baranogłowego „poruszyciela wszystkiego”, boga płodności, który miał dać życie gwiazdom, ludziom oraz zwierzętom i który, jako Amun-Re, stał się głównym bóstwem czczonym w starożytności nad Nilem. Aby odróżnić nowo narodzonego syna od ojca, ojca chrzestnego i dziadka, którzy także nazywali się Amon Göth, rodzice zdecydowali się nadać niemowlęciu drugie imię - Leopold. Sakramentu udzielił wikariusz kooperator parafii pod wezwaniem Świętego Idziego ojciec Gallus Urwalek. Głęboko związana z tradycją katolicką rodzina nabożnie uczestniczyła w tym święcie. Amon

Franz i Bertha Göth, z domu Schwendt, wzięli ślub 2 lutego 1908 roku w kościele parafialnym Mariahilf w Grazu, oboje jednak pochodzili ze stołecznego miasta Wiednia. Wychowali się w biedzie. Ojciec urodził się 4 maja 1880 roku w Hernals jako syn kelnera Amona Götha i Marii Göth, z domu Rokos. Matka Bertha przyszła na świat 21 lipca 1877 roku jako córka Leopolda Schwendta, mistrza ciesielskiego z Gumpendorfu, i Anny Schwendt, z domu Fröhsl. Amon Franz Göth był z zawodu, jak to zwykł tajemniczo określać, „wędrawcem”. Dorastał w wielodzietnej rodzinie, miał ośmioro rodzeństwa. Ciotka Kathe, jedna z sióstr ojca, sama bezdzietna, z poświęceniem opiekowała się małym Amonem Leopoldem, którego pieczołowicie nazywała Monym. Ba, ubóstwiała chłopca, któremu nigdy niczego nie brakowało. Mimo że rodzice nie mieli dla syna zbyt dużo czasu, chłopiec, tak przynajmniej wynika z rodzinnych opowieści, nawiązał z nimi silne więzi emocjonalne.

Osobą posiadającą żyłkę do interesów była matka Mony’ego Bertha, która z powodzeniem prowadziła założoną w 1916 roku małą rodzinną firmę pod szyldem Buch- und Kunsthandel, sprzedając książki i dzieła sztuki. Ojciec Franz Amon miał dyplom rzemieślniczy wystawiony w marcu 1916 roku. Już wiosną 1914 roku dostał koncesję na handel obwoźny książkami. Od tego czasu pracował jako komiwojażer dla firmy, którą obowiązywał zakaz handlu stałego. On i kilku innych pracowników przedsiębiorstwa zajmowali się sprzedażą wszystkiego, na co istniało zapotrzebowanie w mieszczańskich gospodarstwach domowych w czasie wojny. Sprzedawali głównie książki o tematyce religijnej i patriotycznej, obrazy świętych, widokówki oraz różnego rodzaju artykuły papiernicze. W październiku 1916 roku Amon Franz Göth uzyskał dodatkowo koncesję na prowadzenie wielobranżowego składu towarowego, który od tej pory miał siedzibę przy Mariahilferstrasse 105. Tymczasem rodzina przeprowadziła się z

Morizgasse 5 na Mittelgasse 37.

Filarem przedsiębiorstwa była prowadząca od samego początku rodzinny interes Bertha Göth. Jej mąż wydawał zarobione przez nią pieniądze, podróżując do Stanów Zjednoczonych po całej Europie. Amon Franz Göth był dżentelmenem i człowiekiem światowym. Mówi perfekcyjnie po angielsku, a także robił wrażenie nienagannymi manierami.

To wyraziste poczucie stylu oraz ogładę przekazał w spadku swojemu synowi. „Najpierw sprawdzał zachowanie przy stole. I jeśli nie było żadnych uchybień, dana osoba była mile widziana w towarzystwie” - tak o swoim ojcu Amonie Leopoldzie opowiada dziś córka Monika.

Rodzina Göthów żyła w dobrych mieszczańskich warunkach. Miała służącą, a na początku lat dwudziestych mogła sobie nawet pozwolić na elegancki automobil. Dla dorastającego Mony'ego pierwsza wycieczka tym chromowanym błyszczącym pojazdem była fascynującym doświadczeniem. Gdy na jesieni 1915 roku Mony zaczął chodzić do szkoły, od ponad roku w Europie szalała wojna. Już dawno ulotnił się wojenny entuzjazm sierpniowych dni 1914 roku. Jednakże po krwawych klęskach z jesieni 1914 ponownie pojawił się płomyk nadziei na zwycięstwo. W Galicji wojska cesarsko-królewskie znów znajdowały się w ofensywie, a w Dolomitach i w dolinie rzeki Isonzo z sukcesem odpierały ataki Włochów. Chyba jeszcze nikt nie sądził wówczas, że tocząca się właśnie wojna będzie ostatnią, w której wzięła udział okryta sławą armia cesarza. Amonowi Franzowi Göthowi doświadczenia żołnierzy walczących w czasie wielkiej wojny na froncie pozostały na zawsze obce. Jakimś sposobem udało mu się uniknąć powołania do armii.

Mony uczęszczał do prywatnej katolickiej szkoły podstawowej. Jego rodzice chcieli mu wpoić wartości, które urosły do rangi zasady ich egzystencji. Rodzinny etos określały takie cechy i postawy, jak na przykład: pokładanie ufności w Bogu, sumiennosc, przyzwoitosc, przestrzeganie prawa. Ich syn miał kiedyś pójsć w ich ślady i przejąc firmę rodzinną, którą zbudowali tak wielkim wysiłkiem. Począwszy od lat spędzonych w szkole podstawowej, Mony nie mógł się wyzbyć tego właśnie uciążliwego poczucia obowiązku względem rodziców.

Okropności wojny nie uszły bynajmniej uwadze całkiem bystrego ucznia. Od lutego 1917 roku rodzina Göthów mieszkała w nowo wybudowanym domu przy Mollardgasse 34. W pobliżu znajdowała się, założona w 1873 roku jako Cesarsko-Królewska Szkoła Haftu Artystycznego Cesarsko-Królewska Główna Szkoła Rzemiosła Artystycznego dla Kobiet służąca od wybuchu wojny za lazaret. Prawie codziennie przybywały tu z położonego w odległości zaledwie jednego kilometra dworca towarowego Kolei Południowej karetki sanitarne z rannymi z nad Isonzo-widok okaleczonych, na wpół żywych żołnierzy, mężczyzn bez rąk lub nóg, w zakrwawionych bandażach stał się kluczowym doświadczeniem wyniesionym przez dorastającego Amona z czasów wojny. Nie było już miejsca na wielkie iluzje o heroicznej walce o zwycięstwo, pozostało za to bolesne poczucie klęski i upadku, którym nasiąkł także mieszczański świat Göthów. Mony miał dziesięć lat, gdy monarchia ostatecznie się załamała i proklamowano Republikę Niemieckiej Austrii. Wkrótce po tych wydarzeniach Amon doszedł do wniosku, że nie chce mieć nic wspólnego z walczącą o przeżycie Republiką. Był przepełniony tęsknotą za większą ojczyzną, którą mogły być tylko Niemcy.

Jednakże na tym etapie swego życia Amon Leopold wciąż był podporządkowany swojej katolickiej rodzinie, która snuła plany co do jego przyszłości i kariery zawodowej. 29 maja 1919 roku, w święto Wniebowstąpienia Pańskiego, Mony przyjął w katedrze Świętego Szczepana w Wiedniu sakrament bierzmowania. W tym samym czasie w St. Germain-en-Laye austriacka delegacja daremnie oczekiwała na zapowiedziane wręczenie traktatu pokojowego. Było to kolejne upokorzenie doznane od zwycięskich państw ententy, o którym Göth nigdy już nie zapomniął.

II. Przeciwno diabelskiemu żydostwu

Jak wyznał później jego ojciec, Mony nigdy nie był wzorowym uczniem. Za tym eufemistycznym stwierdzeniem krył się zawołany gniew ojca. Najwidoczniej szkolne osiągnięcia syna pozostawiały wiele do życzenia. Nie ulega jednak wszelkiej wątpliwości, iż młody Göth był inteligentnym i wszechstronnie uzdolnionym chłopcem, brakowało mu jednakże właściwego stosunku do nauki. Chłopiec nie marzył o niczym innym, jak tylko o ucieczce z dusznej atmosfery rodzinnego domu. Horyzonty myślowe domowników były bowiem poważnie ograniczone przez katolickie wychowanie i drobnomieszczańską mentalność. Rodzice, postawieni przed wyzwaniem najwyraźniej przekraczającym ich możliwości, postanowili znaleźć radykalne rozwiązanie, bardzo zresztą wówczas popularne wśród wiedeńskich rodzin - posłali niesforne go syna, który właśnie ukończył piąty rok nauki w szkole podstawowej, na prowincję. Ich wybór padł na konwikt położony w Waidhofen nad Dyją. To właśnie tutaj, z dala od pokus „Wielkiego Babilonu” - Wiednia, chłopiec miał uczyć się do szkoły średniej i zdawać maturę, położyć kamień węgielny pod swoją przyszłą karierę zawodową. Szkoła z internatem w Waidhofen znana była wówczas jako swoiste *refugium peccatorum*, schronienie grzeszników. Surowi pedagodzy nie byli jednak w stanie złamać wichrzyckiego ducha swojego krnąbrnego wychowanka. Wręcz przeciwnie - charakter chłopca uległ jeszcze większemu wypaczeniu. Wydaje się, że znamiona dla płażowskiego kata skłonność do sadystycznych żartów była zakorzeniona w doświadczeniach pochodzących z tego właśnie wczesnego okresu jego życia. Nadzieje rodziców związane z przyszłością Mony'ego okazały się płonne. Ponieważ żadne prośby i groźby nie przyniosły spodziewanego rezultatu, przekorny wychowanek opuścił w szóstym roku nauki mury szkoły w Waidhofen. Dla chłopca oznaczało to kres „katuszy”, dla rodziców matura syna pozostała na zawsze niespełnionym marzeniem. Bertha i Amon Franz Göthowie podjęli wówczas niezbyt może spektakularną, jakkolwiek rozsądną decyzję. Postanowili ściągnąć syna do firmy i przyuczyć go do zawodu księgowego w wydawnictwie, tak aby przynajmniej przygotować Mony'ego do prowadzenia rodzinnych interesów. Wspomniana decyzja została podjęta w bardzo korzystnym czasie, i lipca 1925 roku koncesja Amona Franza Gotha na handel książkami, dziełami sztuki i muzykami została rozszerzona o wydawanie i dystrybucję z wykluczeniem stałego handlu.

Zanim jeszcze Mony wrócił do Wiednia, jeden z przyjaciół zabrał go ze sobą na spotkanie młodych nazistów, od niedawna grasujących w okolicznym Waldviertel. Przed Amonem otworzył się wówczas nowy świat, rzeczywistość naznaczona piętnem płomiennej nienawiści i brutalnej agresji, w której wróg został jednoznacznie określony, a była nim „żydowska zaraza”. W 1925 roku siedemnastoletni Göth wstąpił do lokalnej komórki organizacji Vereinigung der nationalsozialistischen deutschen Arbeiterjugend Deutsch-Österreichs, zrzeszenia skupiającego robotniczą młodzież austriacką o przekonaniach narodowosocjalistycznych, z siedzibą w Waidhofen nad Dyją. Szaleńcze, nieustannie skandowane hasła tych młodych rozfanatyzowanych antysemitów już niebawem stały się osobistymi hasłami młodego Götha. Towarzysze cenili tężyznę fizyczną i uzdolnienia sportowe Amona, potrzebowali takich drabów jak on. Z kolei młody Göth niczego tak nie pragnął, jak walczyć ramię w ramię ze swoimi kompanami z „wielką żydowską zarazą”, wziąć aktywny udział w oczyszczaniu Niemiec z niepożądanego elementu. Podobnie jak inni naziści czuł się osobiście powołany do tego, aby „wyprowadzić nasz niemiecki naród i lud pracujący z niewoli ku wolności”. Wstępując do narodowosocjalistycznej organizacji, Mony wyznaczył tory swojego przyszłego życia. Przekonał się, kim może być i na co go stać. A stał się wojownikiem i żołnierzem walczącym ze „światem zdominowanym przez diabelskie żydostwo”. Wyznawał także wszystkie zasady przyjęte przez nowych towarzyszy, sprowadzające się do dewizy: „Niemiec aż do szpiku kości, socjalista aż do żarliwej namiętności i wróg Żydów ku wybawieniu swojego narodu. Tych zasad powinieneś się trzymać przez całe życie”. Jest to motto, któremu Mony

pozostał wierny aż do końca swoich dni.

Po przedterminowym uwolnieniu przebywającego w areszcie Hitlera z twierdzy w Landsbergu 20 grudnia 1924 roku również austriaccy sympatycy przyszłego *Führera* przeżywali gorączkowe ożywienie. Rozpierająca „wola czynu i walki” przywódcy ruchu, a także jego „niespożyta energia” i „płomienna miłość do ojczyzny” udzielały się szeregowym działaczom nazistowskim, gotowym do wzmożonej pracy na rzecz osiągnięcia celu, którym miało być ostateczne „zwycięstwo nad żydostwem i marksizmem”. Stopniowo krystalizował się też światopogląd Momy, na którym wspomniana „wola czynu” wywarła ogromne wrażenie. Göth zaakceptował teorie rasowe propagowane przez narodowych socjalistów jako wytyczną swojego postępowania. Zgodził się także z ich diagnozą dotyczącą aktualnej sytuacji politycznej w Niemczech, którą można by streścić słowami Adolfa Bauera, pisującego artykuły do nazistowskiego pisma dla młodzieży „Der jugendliche Natio-nalsozialist” (Młody Narodowy Socjalista), które było przez jakiś czas drukowane nakładem Augusta Buscheka w Waidhofen nad Dyją. Bauer pisał między innymi: „[Jesteśmy] zniewoleni gospodarczo, nasza krew zbrukana, wszystko, co niemieckie, splugawione żydowskim jadem, społeczeństwo podzielone klasowo, młodzież, zgodnie z żydowskim zamysłem, sprowadzona na manowce, i tak nasz naród nieuchronnie pędzi w stronę przepaści”.

Mimo to w 1927 roku dziewiętnastoletni Göth opuścił szeregi nazistowskiej młodzieżówki i wstąpił do 5. kompanii styryjskiego Heimatschutz Verband Wien. Najprawdopodobniej wierzył, iż w realizacji swoich zamierzeń znajdzie tam lepsze wsparcie niż u sekciarskich zwolenników Hitlera, którzy nie stanowili wówczas żadnej liczącej się siły politycznej. W wyborach do austriackiej Rady Narodowej na początku 1927 roku ci ostatni uzyskali jedynie trzydzieści tysięcy głosów. Tymczasem faszyci z Heimwehry, których znakiem rozpoznawczym był koguci ogon, mieli do zaoferowania o wiele więcej. Heimwehra wywodziła się ze styryjskich organizacji paramilitarnych - Wehrverbände, utworzonych po wojnie w celu odparcia ewentualnego ataku militarnego ze strony Jugosławii. Organizacja dysponowała bronią pochodzącą z arsenałów armii cesarsko-królewskiej, a jej styryjski dowódca Anton Rintelen skutecznie dbał o stałe zaopatrzenie swoich podwładnych. Były to najlepiej uzbrojone oddziały paramilitarne w Austrii, które co niedziela demonstrowały w austriackich miastach swoją siłę, niejednokrotnie posuwając się do prowokacji. To właśnie w tych szeregach Momy poznał czar munduru i broni; całkowicie uległ fascynacji zmilitaryzowaną męskością, która nigdy już go nie opuściła.

Poza przygodami przeżywanymi wśród maszerujących towarzyszy na uwagę zasługuje także fakt, iż w omawianym okresie młody Göth prawdopodobnie szukał jakiejś alternatywy dla narzucanej mu przez rodzinę kariery w wydawnictwie. I tak krążyły pogłoski, iż Amon studiował przez dwa semestry w wiedeńskiej akademii rolniczej. Jest to jednak informacja, która nie znalazła żadnego wiarygodnego potwierdzenia. Niewykluczone jednak, iż Momy uczęszczał na oferowane przez tę uczelnię wykłady jako wolny słuchacz. W każdym razie w swoim sporządzonym w 1941 roku na potrzeby Głównego Urzędu Personalnego SS życiorysie Göth nic nie wspomina na ten temat. Jest to cenna wskazówka, iż ewentualne badania biografii płaszowskiego kata idące w tym kierunku są skazane na niepowodzenie.

Tymczasem księgarnia wydawnicza Franza Amona Götha rozwinęła swoją działalność także jako wydawnictwo. Pierwszy większy sukces przyniosło wydanie książki pod redakcją Viktora Kowalewskiego zatytułowanej *Vergewaltigte Menschen. B und der Kriegsgefangenschaft* (Maltretowani ludzie. Zapiski z pola walki i z niewoli) w 1926 roku. Próby wybielania najnowszej historii i heroizacji pełnych bezsensownych ofiar i wyrzeczeń lat wielkiej wojny cieszyły się teraz dużą popularnością i stanowiły jeden z głównych tematów małego planu.

U ludzi z Heimwehry Göthowi brakowało jednak radykalnego antysemityzmu, do jakiego nawykł, przebywając wśród młodych nazistów. Poza tym zrażała go nieustająca rywalizacja

między skłóconymi ze sobą przywódcami tej organizacji. W zestawieniu z takimi ludźmi jak Walter Pfrimer czy Ernst Riidiger Starhemberg Adolf Hitler rzeczywiście mógł się jawić młodemu Göthowi jako świetlista postać. Mony z sentymentem wspominał czas spędzony ze starymi przyjaciółmi spod znaku swastyki, stopniowo powracając na zajmowane niegdyś radykalniejsze pozycje. Już w 1929 roku można go było znowu znaleźć w szeroko pojmowanym kręgu ludzi związanych z ideologią nazistowską, początkowo jako zwykłego sympatyka ruchu. Możliwe, że jego pobyt w przygranicznym miasteczku St. Andra-Wördern w kwietniu i maju 1930 roku był ściśle związany z dokonującą się właśnie jego reorientacją polityczną. Do księgi meldunkowej małej miejscowości położonej nad Dunajem dwudziestoletni Amon, zameldowany do tej pory w domu ojca przy Mollardgasse, wpisał się jako „urzędnik prywatny”, jako jego miejsce zamieszkania widnieje Sackgasse 5. Wydaje się zatem uzasadnionym przypuszczenie, iż Göth użył kamuflażu, by móc w spokoju nawiązywać i podtrzymywać kontakty z innymi ludźmi wywodzącymi się ze środowiska narodowych socjalistów. Za kolejną wskazówkę potwierdzającą słuszność tych przypuszczeń może posłużyć fakt, iż Göth także w późniejszym okresie wielokrotnie, na przykład w 1935 roku, zatrzymywał się w St. Andra-Wördern.

Problem związany ze styryjskim Heimatschutzem rozwiązał się sam. Latem 1930 roku kryzys w łonie kadry przywódczej Heimwehry osiągnął punkt kulminacyjny. 2 września 1930 roku, na zjeździe wszystkich krajowych dowódców Heimwehry w Schladmingu, Starhemberg został wybrany na „dowódcę federalnego”. W tym czasie, po wyborach do Reichstagu z 14 września 1930 roku, NSDAP stanowiło drugą siłę w parlamencie. Dla wielu członków Heimatschutzu by to jednoznaczny sygnał, iż należy niezwłocznie zmienić obóz polityczny, to jest przejść na stronę nazistów. Bojówkarze Heimwehry stracili zaufanie do Starhemberga, który w ich odczuciu dopuścił się zdrady - nie doprowadził ani do przyłączenia Austrii do Niemiec, ani do obalenia rządu republikańskiego w Wiedniu. Także dla Mony'ego przepełniła się czara goryczy. 13 maja 1931 roku wstąpił do lokalnej komórki NSDAP, Gminy NSDAP Margareten otrzymując numer legitymacji partyjnej 510 764. Ponieważ był zameldowany na stałe w Dzielnicy VI, hiperpo-prawni partyjni towarzysze przenieśli go wkrótce z Margareten do Ortsgruppe Mariahilf (Gminy NSDAP Mariahilf), w której jako „kierownik polityczny i członek SA” mógł pełnić najważniejsze funkcje w kręgu brunatnych nacjonalistów. Mony miał wtedy poczucie, że jest rzeczywiście potrzebny. Przejście Götha z oddziałów SA do szeregów SS wydawało się już tylko kwestią czasu. W trakcie jednego z zebrań dziarskie wystąpienie pewnego esesmana zrobiło na Monym tak ogromne wrażenie, iż bez zbędnego namysłu postanowił się ubiegać o przyjęcie do SS-Totenkopf-Verbande Himmlera. Na jego legitymacji SS widniał numer 43 673. Swoją „służbę” pełnił w oddziale „Deimel”, formacji wchodzącej w skład SS-Sturm „Libardi”, zresztą najwidoczniej ku zadowoleniu przełożonych, bo w styczniu 1933 roku został przeniesiony do sztabu 52. SS-Standarte. Poruczono mu funkcję adiutanta dowódcy sztabu, ponadto pełnił obowiązki *Motorstajfelführera*. Jako posiadacz prawa jazdy kategorii I, II, III i IV oraz zapalony automobilista Göth był idealnym kandydatem na to stanowisko.

W raporcie sporządzonym przez SS w 1941 roku zaświadczone, iż Göth jest „wzorowym funkcjonariuszem SS”. Zapewne nie bez powodu znalazła się tam także wzmianka o jego „wielkich zasługach na rzecz partii”.

„Krwawe ofiary”, kryminalny epizod i pierwsze małżeństwo

Przejęcie władzy w Niemczech przez Hitlera 30 stycznia 1933 roku wywołało wśród jego austriackich zwolenników falę euforii. Poczuwający się do wspólnoty narodowej z Niemcami Austriacy ze zniecierpliwieniem nalegali na *Anschluss*, wyczekiwany z utęsknieniem „powrót Austrii na łono Rzeszy”. Jednocześnie wzmożła się aktywność miejscowych nazistów. Dwudziestoczteroletni Göth całym sercem popierał inicjatywę wcielenia Austrii do Rzeszy. W

maju 1933 roku awansował do stopnia *SS-Scharführera*. W późniejszym „życiorysie” w niejasny sposób ustosunkował się do swej ówczesnej działalności: „Po delegalizacji partii otrzymałem od ówczesnego dowódcy 52. SS-Stand. polecenie, by podjąć w ramach 52. SS-Stand niezbędne działania. Wykonując powierzone mi zadanie, byłem zmuszony do ucieczki z Austrii w lipcu 1933 roku. Austriackie władze republikańskie ściagały mnie listem gończym, zarzucając mi dopuszczenie się przestępstwa terroryzmu z użyciem materiałów wybuchowych”.

W trakcie jednej z „podróży służbowych” z n. SS-Standarte Göth odniósł ciężkie obrażenia ulegając wypadkowi pod Drosendorfem w rejonie Waldviertel. W kwestionariuszu osobowym z 19 lutego 1939 roku, wypełnionym w związku z „dochodzeniem w celu wstępnego zbadania warunków niezbędnych do uzyskania prawa do ubiegania się o przyznanie Orderu Krwi”, Göth podał szczegóły wspomnianego wydarzenia: „Katastrofa drogowa. Dwie ofiary śmiertelne i dwudziestu ośmiu rannych zostało przygniecionych przez samochód. W trakcie akcji ratowniczej, już i tak ciężko ranny, upadam jeszcze raz, nabawiając się kolejnych ciężkich obrażeń”. Mimo że odniesione obrażenia nie stanowiły wystarczającej podstawy do odznaczenia Orderem Krwi, Göthowi przyznano prawo do złożenia odpowiedniego wniosku. I tak została wszczęta pełna przeszkód biurokratyczna procedura ciągnąca się przez różne instancje partii, która nie przyniosła jednak oczekiwanego rezultatu.

Latem 1933 roku, najprawdopodobniej pod koniec lipca bądź na początku sierpnia, po atakach terrorystycznych z użyciem materiałów wybuchowych, jakich dopuścili się naziści w Krems, i po delegalizacji NSDAP oraz związanych z nią organizacji Göth uciekł do Monachium. Austriackie urzędy wszczęły poszukiwania zbiegłego przestępcy. W wydaniu „Zentralpolizeiblatt” (policyjnego biuletynu wydarzeń) z 19 lipca 1933 roku charakterystyka „urzędnika prywatnego” zawiera wzmiankę na temat znaków szczególnych poszukiwanego. Są to: „małe wąsy angielskie” i szrama na twarzy, prawdopodobnie pamiątka po obrażeniach odniesionych w wypadku samochodowym, a także „niedbały chód”. Göth był poszukiwany, gdyż przypuszczalnie to on stał za zamachami terrorystycznymi przeprowadzonymi wczesną wiosną 1933 roku. Doskonale zdawano sobie sprawę, iż jest dowódcą *der SS Niederdsterreich* i że jest zameldowany przy Mollardgasse 34.

W Monachium Göth znalazł schronienie u niejakiego Josefa Steh-bergera zamieszkałego w Neubirbergu, przy Wotanstrafie 7. Stehberger był hodowcą dogów. Szybko zaprzyjaźnił się z młodym rozgarniętym nazistą. W stolicy Bawarii Amon otrzymał nowe zlecenie. Miał teraz szmuglować „nadajniki” do Austrii, później pełnił funkcję kuriera.

Jednakże już wkrótce, w październiku 1933 roku, został schwytany przez austriacką policję i osadzony w areszcie. Z powodu braku dowodów winy wypuszczono go na wolność w święta Bożego Narodzenia tego samego roku.

Tymczasem niebezpieczne poczynania syna napawały rodziców coraz większym niepokojem. Aby sprowadzić jego myśli na inne tory, wpadli na cokolwiek niekonwencjonalny już w tamtych czasach pomysł. Przedstawili Amonowi młodą kobietę skłoną go poślubić. Ową kandydatką na żonę Götha była Olga Janaushek, pracująca zawodowo jako urzędniczka banku. Janaushek urodziła się 17 stycznia 1905 roku w Wiedniu, była zatem prawie cztery lata starsza od przyszłego męża. Mony z zaskakującym wręcz spokojem przyjął tę propozycję do wiadomości, przystając na zaplanowany przez rodziców ożenek. W grudniu 1933 roku, po powrocie młodego Götha do Wiednia, rozpoczęto przygotowania do ślubu. Rodzice zadbali o to, aby zaślubiny odbyły się z wielką pompą. 7 stycznia 1934 roku w kościele Świętego Karola Boromeusza odbył się ślub Mony’ego z Olgą Leopoldyną Janaushek. Świadkami na ślubie był ojciec pana młodego Amon Franz Göth oraz ojciec panny młodej, urodzony w 1878 roku w Grazu „furman najemny” i przedsiębiorca autobusowy Rudolf Janaushek z Waidhofen na Dyją.

Göth podporządkował się swoim rodzicom. Wkrótce okazało się jednak, że nie potrafi znaleźć z żoną wspólnego języka. Poza tym znowu ciągnęło go do kompanów z SS. W wypadku małżeństwa młodego Götha nie można więc było mówić o harmonijnym związku czy partnerskich relacjach między obojgiem nowożeńców. Pierwszy poważny kryzys nadszedł wiosną 1936 roku. Drażliwą sytuację pogorszyła dodatkowo śmierć matki Berthy Göth, która zmarła na raka 5 marca 1936 roku. Dla ojca i syna odejście tej rezolutnej kobiety było ciężkim ciosem. Przed obydwoma stały teraz dwa wyzwania. Po pierwsze, czekał ich trudny proces przetrwania osobistej straty. Po drugie, trzeba było zadbać o los nienagannie dotychczas prosperującej księgarni. W tym czasie Mony wykazywał ogromną determinację, by pokazać ojcu, jak należy prowadzić rodzinny interes. Z nowo wydanymi książkami pod pachą zachodził do kawiarni i barów, gdzie sprzedawał towar obecnym w lokalach klientom. Córka Amona Leopolda Monika opowiedziała następującą anegdotę: „Göth znów siedział w jednej z wiedeńskich kawiarni, licząc, że uda mu się sprzedać książki. Nawiązał rozmowę z atrakcyjną rudowłosą damą. Oboje zdawali się czerpać ogromną przyjemność z kontaktu, aż do momentu gdy jeden z przyjaciół poklepał go po ramieniu, szepcząc mu do ucha, że kobieta jest Żydówką. Göth natychmiast odwrócił się bez słowa i po prostu więcej nie zwracał na kobietę uwagi - z Żydami się nie dyskutuje”.

6 lipca 1936 roku w Sądzie Grodzkim w Margareten miała miejsce „próba pojednania” skłóconych małżonków, która zakończyła się fiaskiem. Obie strony przystały na wyznaczony na 15 lipca termin rozprawy rozwodowej w Sądzie Okręgowym w Margareten, mającej położyć kres nieudanemu małżeństwu. Wśród obecnych na sali rozpraw był Arthur Seyfi-Inquart, wtedy jeszcze stosunkowo mało znany prawnik, reprezentujący interesy Olgi Göth. Ciekawa wydać się może adnotacja do protokołu ze wspomnianej powyżej próby pojednania. W rubryce „zawód” przy nazwisku Götha zanotowano „handlarz samochodami”, w rubryce „wyznanie” wpisano „rk.”. Jako adres w adnotacji figuruje Schelleingasse 12 w Dzielnicy IV, tymczasem Göth nie był wtedy oficjalnie zameldowany pod tym adresem. Jako miejsce zamieszkania Amona miejski rejestr meldunkowy w Wiedniu określa dla okresu od 25 stycznia aż do 3 października 1936 roku Kettenbruckengasse 18.

15 lipca 1936 roku orzeczono rozwód Götha z Olgą Janaushek, która później ponownie wstąpiła w związek małżeński z niejakim Antonem Wreißnigiem, a w 1943 roku przeniosiła się do Leoben w Styrii. Postanowienie sądu grodzkiego nabrało mocy prawnej dopiero 17 września 1938 roku, a więc po przyłączeniu Austrii do Trzeciej Rzeszy. Prawdopodobnie pod wpływem usilnych nalegań rodziców Göth złożył wniosek o uznanie nieważności także kościelnego małżeństwa. Przypuszczalnie udało mu się przekonać sąd kościelny, iż biorąc ślub z Olgą, nie był w wystarczającym stopniu przekonany co do słuszności decyzji o zawarciu tego małżeństwa. Na mocy wyroku Sądu Arcybiskupiego z 12 grudnia 1940 roku, orzeczenie numer 2886/54, stwierdzono, iż małżeństwo w sensie artykułu 1086, paragraf 2 kodeksu prawa kanonicznego *defectus consensus* jest nieważne. 12 września 1941 roku Sąd Metropolitalny z siedzibą w Salzburgu potwierdził to orzeczenie, uzasadniając, iż „artykuł 1087 znajduje zastosowanie”.

Sprzedaż książek nie dostarczała Amonowi odpowiedniej dozy wrażeń, dlatego też już wkrótce udał się na zachód, do Rzeszy. 3 października 1936 roku wymeldował się z Kettenbruckengasse 18, podając jako nowe miejsce stałego pobytu Vorarlberg, jednakże nie wiadomo, gdzie wtedy rzeczywiście przebywał. Latem 1937 roku pojawił się w monachijskim mieszkaniu starego kompana Stehbergera. Karta meldunkowa pochodząca z Archiwum Miejskiego w Monachium, opatrzona datą 16 lipca 1937 roku, podaje „cele zarobkowe” jako uzasadnienie pobytu Götha w tym mieście. Wydaje się, iż w rzeczywistości Amon znów stał się czynnym funkcjonariuszem SS, bo skądinąd wiadomo, że w tym czasie po raz pierwszy popadł w konflikt z jednym z przełożonych - *Oberfuhrerem* Alfredem Biglerem, szefem VIII Nadokręgu

SS Linz, który zwolnił go ze służby, powołując się przy tym na „poważne różnice zdań”, o czym zresztą wspomina sam Göth w swoim „życiorysie”. Pod koniec października 1936 roku dziesięć lat starszy od Götha Bigler na własny wniosek opuścił szeregi SS. Skargi składane przez Amona, w których ten domagał się zwolnienia swego adwersarza, stały się tym samym bezprzedmiotowe.

III. Interesy prowadzone z ojcem

Anschluss, który nastąpił w marcu 1938 roku, przyniósł wreszcie z dawna wyczekiwany przełom. Göth powrócił do Wiednia. 15 czerwca 1938 roku wypełnił „kwestionariusz osobowy do wniosku o wystawienie tymczasowej legitymacji członkowskiej i o stwierdzenie członkostwa w kraju Austria”. W formularzu Göth podaje, iż swoją książeczkę partyjną przekazał lokalnej komórce NSDAP, Gminie NSDAP Thalkirchen-Miinchen. Nadmienia także, iż regularnie uiszczał opłaty członkowskie na rzecz zarówno Gminy Thalkirchen, jak i Gminy Mariahilf. Niezależnie od tego zwraca uwagę na fakt, że z powodu „nielegalnej działalności narodowosocjalistycznej” odbywał karę najpierw „w areszcie śledczym, a po przeprowadzeniu, bezowocnego zresztą, dochodzenia w tej sprawie areszt uległ wydłużeniu (Policja Państwowa i Biuro Bezpieczeństwa)”.

13 października 1938 roku, korzystając z przywilejów wynikających z obowiązującego wtedy nowego niemieckiego prawa małżeńskiego, Göth postanowił raz jeszcze spróbować szczęścia. W starostwie wiedeńskiej dzielnicy Mariahilf zawarł związek małżeński z Anną (Anny) Geiger. Urodzona 19 września 1913 roku w Innsbrucku Anny była Tyrolką, kobietą, która idealnie utrafiła w gusta Götha. Nie była nudną domatorką, wręcz przeciwnie - była fanatyczką sportu. Równie dobrze czuła się na siodle motoru, jak za kierownicą bmw. Mony poznał ją na jednym z rajdów motorowych. Jeśli wierzyć informacjom zamieszczonym przez Götha w kwestionariuszu osobowym SS, do zaręczyn doszło 7 marca 1936 roku, a więc jeszcze zanim Amon uzyskał rozwód z Olgą Janaushek i zaledwie dwa dni po śmierci jego matki. Bez wątpienia Anny spełniała wszystkie restrykcyjne kryteria, jakie SS wyznaczało kandydatkom na żony dla swoich rygorystycznie wyselekcjonowanych członków. Göth i Geiger stanowili idealną parę rodem z nadciągających „nowych czasów”.

Czyniąc zadość oczekiwaniom formułowanym pod adresem ludzi SS, na jesieni 1939 roku Göth wystąpił z Kościoła rzymskokatolickiego i od tej pory określał się, zgodnie z rozpowszechnionym w kręgu jego towarzyszy cynicznym obyczajem, jako „wierzący”.

Po weselu rodzina poczyniła starania, aby zapewnić młodej parze materialne podstawy egzystencji. 2 lipca 1937 roku Amon Franz Göth wpisał swoje przedsiębiorstwo do rejestru handlowego. Doszło wówczas do przekształcenia wydawnictwa w jawną spółkę handlową, do której Mony przystąpił i stycznia 1939 roku jako współnik. Przedmiotem jej działalności był w dalszym ciągu handel książkami i dziełami sztuki sprowadzający się do sprzedaży wysyłkowej „książek o treściach religijnych, a także poruszających tematy patriotyczne, ponadto obrazów świętych [...], jak również obrazów patriotycznych - z wyłączeniem prawa do handlu stałego”.

Wydarzenia roku 1939, przede wszystkim wybuch wojny, doprowadziły do raptownej zmiany priorytetów firmy. W czasie trwania blitzkriegu religia przestała pełnić swoją dotychczasową funkcję stabilizatora sytuacji politycznej, natomiast pojawiło się wówczas zapotrzebowanie na książki ukazujące wojenny entuzjazm i wiarę w chwalebne zwycięstwa Wehrmachtu. Ojciec z synem zdecydowali się na zarzucenie handlu produktami religijnymi i skoncentrowali się znowu na działalności wydawniczej oraz na sprzedaży militariów. Postawili przy tym na sprawdzoną strategię dystrybucji - sprzedaż bezpośrednią w systemie ratalnym, wykorzystując przedstawicieli handlowych. Jesienią 1941 roku firma zatrudniała już ponad stu agentów handlowych: dwudziestu pięciu w „Marchii Wschodniej”, dwudziestu trzech w Kraju Sudetów i pięćdziesięciu pięciu w „Starej Rzeszy”, przy czym ci ostatni podlegali bezpośrednio osiadłemu w Berlinie-Charlottenburgu „głównemu przedstawicielowi handlowemu” Paulowi Gerhardowi Engelbertowi.

Zgodnie z umową spółki, Mony nie mógł wprawdzie partycypować w aktywach firmy, miał za to prawo do pięćdziesięcioprocentowego udziału w zyskach i stratach firmy. Göth senior zrezygnował ze starej koncesji i nabył nową, obejmującą zezwolenie na prowadzenie działalności wydawniczej i dystrybucji książek bez prawa do prowadzenia handlu stałego. Przedsiębiorstwo funkcjonowało od tej pory jako Verlag für Militar- und Fachliteratur A. Franz

Göth & Sohn (Wydawnictwo Literatury Militarnej i Fachowej A. Franz Göth & Syn). Będą współnikiem w firmie ojca, Mony mógł odtąd zgodnie z prawdą określać się mianem „wydawcy”. Wydrukowany w pośpiechu jeszcze w święta Bożego Narodzenia roku 1939 tom *Dergroije deutsche Polen. Eine*

Chronik des Krieges in Wort und Bild (Wielka kampania przeciwko Polsce. Kronika wojny w słowie i obrazie), książka wydana „w porozumieniu” z Heinrichem Hoffmannem, R (nadwornym fotografem Hitlera), i zawierająca przedmowę autorstwa samego generała von Reichenau, stała się od razu bestsellerem. W 1940 roku ukazało się jej drugie wydanie. Kolejnym sukcesem okazała się książka Konrada Leppy *Die Sudetendeutschen im 1914-1918* (Niemcy sudeccy w czasie wielkiej wojny 1914-1918), która wyszła w 1940 roku i również doczekała się drugiego wydania.

Zmiana profilu wydawnictwa okazała się zatem opłacalna. Göthom powodziło się bardzo dobrze. Przeciętny roczny obrót handlowy sięgał pokaźnej sumy półtora miliona marek i poziom ten udało się utrzymać aż do roku 1944. Już w 1941 roku pojawiła się kwestia optymalnego ulokowania zysków przynoszonych przez wydawnictwo. Wtedy też Amon Franz Göth, prawdopodobnie pod presją syna, wpadł na pomysł, aby wykupić udziały jednej z drukarni. W ten sposób można było sobie zapewnić realny wpływ na regulację kosztów wydawanych książek. Jednocześnie drukarnia czerpałaby korzyści płynące ze zleceń wystawianych przez wydawnictwo.

Amon Franz Göth zdecydował się ostatecznie na częściowe przejęcie Hermes Druck- und Verlagsanstalt AG. Przedsiębiorstwo to powstało w 1921 roku jako Druck- und Verlagsanstalt Melantrich AG z siedzibą w Dzielnicy IX, przy Pramergasse 6. Członkiem zarządu był niejaki Franz Opatril. Ojciec z synem szybko uzgodnili wspólną strategię inwestycyjną. Nie tylko przejęli pokaźny pakiet akcji, lecz także nabyli maszyny drukarskie, materiał zecerski i zapasy znajdujących się w składzie towarów, należące do Hermes AG. Tym samym oficer SS Amon Göth awansował do rangi właściciela drukarni.

Praktyka handlowa agentów zatrudnionych w przedsiębiorstwie Göthów, polegająca na wmuszaniu klientom książek, wywołała wkrótce falę krytyki i protestów. Sprawa odbiła się szerokim echem w branży. Zasięgnięto opinii specjalistów, a pomieszczenia firmy przy Mariahilfer-straße poddano gruntownej inspekcji. W piśmie wystosowanym przez Reichsschrifttumskammer (Izbę Literatury Rzeszy) do kierownictwa wiedeńskiego oddziału tej organizacji była nawet mowa o „raku, który musi zostać całkowicie wycięty, bez względu na firmę i nazwiska uwikłanych w aferę osób”. Hugo Heineke, kierownik zespołu nadzorującego w Reichsschrifttumskammer obwoźny i wysyłkowy handel książkami, wezwał nawet Götha seniora 26 października 1942 roku do swego biura w Monachium. W trakcie wielogodzinnej rozmowy z Heinekem Göth ojciec musiał przyznać, iż „sprawy go przerosły”, przy czym niepoślednią rolę w utracie kontroli nad sytuacją miał odegrać jego syn. Mony, jak podkreślał w czasie spotkania ojciec, miał wywierać na niego „presję”, usilnie nalegając, by „rozszerzyć działalność firmy we wszystkich możliwych kierunkach”. Amon Franz Göth obiecał poprawę, przede wszystkim zaś zobowiązał się do starannego kontrolowania swoich przedstawicieli handlowych. Sposób działania agentów firmy Göthów został doskonale zilustrowany w artykule zamieszczonym na łamach organu SS „Das Schwarze Korps” (Czarny Korpus). Tytuł artykułu -*Gangstermethoden* (Gangsterskie metody) - odnosi się do sposobu sprzedaży książki *Feldzug gegen Polen*, kosztującej bądź co bądź dwadzieścia cztery marki. „A więc kolumna agentów wpada na osiedle Wienerfeld, nawiedzając znajdujące się tam domostwa. Jeśli w mieszkaniu obecny jest pan domu, banda wycofuje się, poprzestając na kilku zdawkowych słowach, pozbawionych większego znaczenia. Jeśli jednak gospodarz jest żołnierzem walczącym na froncie, a jest to zazwyczaj reguła, to wówczas osamotniona żona zostaje poddana gruntownemu praniu mózgu. Panowie przybierają postawę wojskową i z

oficjalną miną wspominają coś o »przełożonym«, by następnie przystąpić do dzieła.

Książkę trzeba kupić - wyjaśnia akwizytor Karl Kaiser. - W końcu chodzi o »początkującą książkę o tematyce militarnej«. Żona reaguje nieco bojaźliwie, nie może wydać dwudziestu czterech marek, żyje bowiem z zasiłku rodzinnego. Kaiser staje się uszczypliwy: Jak to, chyba nie insynuuje pani, że zasiłek jest za niski?! udziela pani wystarczającego wsparcia, by mogła sobie pani pozwolić na zakup tej książki! Kobieta zawiera w końcu umowę, w której zobowiązuje się do spłacania książki w ratach, bo przecież jeśli *Fuhrer* oferuje jej pomoc socjalną, aby mogła nabyć początkujące książki na temat wojny, to nie pozostaje jej nic innego, jak tylko poddać się tej oczywistej konieczności. Po jakimś czasie mąż dowiaduje się o wszystkim z listu przesłanego na front pocztą polewą i snuje rozważania na temat »ojczyzny«, która to, co jedną ręką daje, drugą odbiera”.

Göth senior, który musiał świecić oczami z powodu gangsterskich praktyk syna, wyciągnął odpowiednią naukę. Wycofał złożony właśnie w Reichsschrifttumskammer wniosek o zezwolenie na zwiększenie liczby przedstawicieli handlowych do trzystu i od tej pory dbał o rygorystyczną kontrolę swoich agentów. Mimo to firma nigdy już nie odzyskała pierwotnej renomy.

IV. W Kręgu morderców

Gdy w lipcu 1939 roku małżeństwu Göthów urodził się syn Peter, radość obojga młodych rodziców nie miała granic. A jednak już wkrótce, wieczorem 9 lutego 1940 roku, doszło do tragedii. W tym nieszczęsnym dniu Anny i Mony byli przez kilka godzin poza domem. Gdy wrócili, syn już nie żył. Udusił się w wyniku powikłań po przebytej infekcji wywołanej wirusem błonicy.

Niespełna miesiąc po tragicznej śmierci syna, 5 marca 1940 roku, Göth, należący od 1938 roku do stacjonującego w Wiedniu II. SS-Standardarte „Planetta”, zgłosił swoją kandydaturę w wiedeńskim dziale rekrutacyjnym Waffen-SS. Po upływie zaledwie kilku dni, 9 marca 1940 roku, Göth opuścił swoją rodzinę, by udać się na Górny Śląsk, wcielony po podbiciu Polski przez nazistów bezpośrednio do Rzeszy. Amon wstąpił do Sonderkommanda *Reichsführera* pełniąc funkcję szefa administracji w Katowicach i nadzorując operację Einsatzführung Ost Oberschlesien. Göth wynajmował wówczas pokój przy Friedrichstraße 20. Jego pierwszym miejscem służby był Cieszyn, miasto położone na dawnej granicy polsko-czeskiej, w którym jeszcze dwadzieścia dwa lata po upadku monarchii habsburskiej wyczuwalny był duch epoki dwugłowego orła. Przełożonym Götha w Cieszynie był *trier* Franz Weilguny. Zadania powierzane początkowo Amonowi nie należały do spektakularnych. W swoich zeznaniach złożonych przed krakowskim sędzią śledczym Göth, wymieniając pełnione przez siebie w tym okresie funkcje, stwierdza, iż zajmował się „rejestracją” koni i innych zwierząt.

Wstąpiwszy do Waffen-SS, Amon Leopold Göth poczuł się wybranym losu. Jako jeden z popleczników mistyka rasy, Heinricha Himmlera mógł teraz paradować w czarnym mundurze i czapce z trupa czaszką. Służąc *Reichsführerowi SS*, miał także wziąć czynny udział w dziele budowy „nowego porządku” w Europie. *Volkstumarbeit* (praca dla narodu) to określenie funkcjonujące wśród nazistów, które oznaczało szaleńcze plany przesiedlania ludzi w całej Europie. Pierwszym obszarem działalności Götha było przesiedlanie *volksdeutsche*, jego pierwszym miejscem pracy - biuro *Volksdeutsche Mittelstelle* (Centrali Przesiedleń

Niemców) w Katowicach. Ten utworzony w 1935 roku urząd partyjny był nieustannie infiltrowany przez Heinricha Himmlera. *Reichsführer SS* chciał mieć wpływ na decyzje związane z przyszłym losem *volksdeutsche*. Wspomniana instytucja, nazywana w skrócie VoMi, była od 1937 roku kierowana przez syna pomorskiego *junkra Führera* Wenera Lorenza, który dopilnował, aby do Sonderkommanda byli przyjmowani także austriaccy członkowie SS.

Mony zdawał się predestynowany do błyskawicznej kariery w SS. Ucieleśniał typ młodego inteligentnego, wysportowanego aktywisty, był skrajnie ambitny, agresywny i bezwzględny w swym dążeniu do osiągnięcia wyznaczonego celu. Wykazywał także ponadprzeciętny talent organizacyjny i był gotów zniszczyć stary świat, by na jego gruzach stworzyć nowy nazistowski porządek. Sam postrzegał siebie jako „rewolucjonistę”, wybranca losu, któremu jest dane wnieść swój wkład w dzieło budowy nowego świata. Dla osiągnięcia tego celu był też skłonny odrzucić precz wpojone mu w dzieciństwie katolickie wartości. Nie był bynajmniej powodowany dogłębną nienawiścią do Polaków, Żydów czy „Cyganów”. Po prostu nagminnie praktykowane w świecie nazistowskich elit mordowanie ludzi stało się dla niego nową wartością. Poza tym, kto nie był wystarczająco „twardy”, by zabijać, nie mógł pełnić w elitarnych kręgach SS żadnych przywódczych funkcji. Mony chciał za wszelką cenę udowodnić wszystkim, że nawet wiedeński *dintelmen* jest zdolny do okrucieństwa, ba, może pod tym względem przebić wszystkich innych.

10 września 1940 roku Göth przybył na kilka dni z Cieszyna do Wiednia. Co ciekawe, *SS-Scharführer* zamieszkał w Hotelu Pałace, położonym nieopodal rodzinnego wydawnictwa, przy *Mariahilferstraße* 99, nie zaś wspólnie z rodziną. Już 15 września Amon opuścił Hotel Pałace, by powrócić do Cieszyna. Niebawem na dobre porzucił to przygraniczne miasto, by udać się do Katowic, gdzie pracował w centrali VoMi. Główny Urząd Personalny SS docenił jego zasługi i w styczniu 1941 roku awansował Götha do rangi *SS-Oberscharführera*.

Już w trakcie swojego pobytu w Wiedniu we wrześniu Amon musiał zdawać sobie sprawę z faktu, iż jego żona po raz kolejny spodziewa się dziecka. 30 marca 1941 roku na świat przyszła ich córka Ingeborg. Gdy

Anny zatelegrafowała do męża, by powiadomić go o jej narodzinach, owładnięty żądzą posiadania męskiego potomka Göth odpisał żonie: „Proszę, napisz, że to syn”. Anny odpowiedziała: „Nie, naprawdę urodziła się dziewczynka”. Gdy po pewnym czasie Göth przybył z kolejną wizytą do Wiednia i przy tej okazji po raz pierwszy ujrzał Ingeborg, zapalał do niej wielką miłością, a nawet wziął ze sobą do Płaszowa jej wielki portret.

Pracując w Umsiedlungskommandzie, specjalnym sztabie powołanym przy Volksdeutsche Mittelstelle w celu przygotowania wielkich akcji osiedleńczo-przesiedleńczych, Göth zarządzał finansami. Do jego zadań należało przede wszystkim nadzorowanie integracji przesiedlanych tu rosyjskich Niemców. Pewnego razu Amon spotkał starego znajomego z czasów kryminalnych wybryków, byłego boksera Franza Grima, już wkrótce było mu dane przekonać się na własnej skórze o sportowych umiejętnościach kompana. Gdy kiedyś podłożył dla żartu nogę przechodzącemu korytarzem barczystemu atlecie, ten zrewanżował mu się, powalając go gwałtownie na ziemię. Göth, rozwścieczony porażką, poprzysiągł bokserowi zemstę. Wtedy jeszcze nie przypuszczał, iż już wkrótce nadarzy się ku temu odpowiednia sposobność.

W tym miejscu warto by się bliżej przyjrzeć znamiennej karierze nazistowskiej Franza Grima. Grim przyszedł na świat 5 października 1902 roku w Wiedniu jako syn metalurga, w domu przy Gumpendorfer-Stralße 104. Do 1933 roku pracował jako pomocnik piekarza, a następnie, aż do 1937 roku, pozostawał bezrobotny. W 1929/1930 roku stał się członkiem styryjskiego Heimatschutz Verband Wien, a 24 marca 1931 roku wstąpił do Grupy Gmin NSDAP Wien-Mariahilf (numer legitymacji partyjnej 442 388). W sierpniu 1931 roku został wcielony do SS-Sturm 2/II/11. Otrzymał wówczas legitymację SS z numerem 14 863. Aż do czasu delegalizacji NSDAP zajmował się, jak sam twierdzi, „legalną działalnością propagandową”, następnie „w ramach SS - rekrutowaniem nowych członków partii zgodnie z jej wytycznymi”. Szczytowy punkt jego bokserskiej kariery przypadł na okres współpracy Grima z klubem dla atletów Herkules w Pirmasens, miejscowości położonej w Palatynie. Pracował tu w lokalnej piekarni i to właśnie w tym mieście poznał swoją przyszłą żonę Annę Marię Selbig, którą poślubił w 1932 roku.

Dla małżeństwa Grimów i ich syna Franza, wiodących życie na granicy ubóstwa, naziści stanowili jedyną nadzieję na lepszą przyszłość. Ponieważ spółdzielnia mieszkaniowa za każdym razem odrzucała kolejne nadsyłane przez nich wnioski o przyznanie lokalu, mieszkali w Wiedniu u rodziców Franza. Nie mieli żadnych widoków na zdobycie pracy zarobkowej. Niebawem polityczne zapatrywania Franza stały się przedmiotem żywego zainteresowania policji, która raz po raz przeprowadzała rewizje w mieszkaniu zajmowanym przez rodzinę boksera. Bez wiedzy męża zrozpaczona Anna Maria zwróciła się z odpowiednią petycją bezpośrednio do Hitlera, prosząc o udzielenie zgody na przeniesienie się rodziny do Pirmasens. Jak się wkrótce okazało, urzędnicy Kancelarii Rzeszy nie zawiedli jej oczekiwań. W lutym 1937 roku Grimom przyznano prawo do osiedlenia się w Pirmasens. NSDAP-Fliichtlings-hilfswerk (partyjna centrala pomocy uchodźcom z Austrii wspaniałomyślnie roztoczyła opiekę nad rodziną Franza, początkowo umieszczając ją w obozie dla uchodźców w Kreuz-Pullenbach. Przygarniętej rodzinie przyznano nawet zasiłek mieszkaniowy w wysokości sześciuset marek, a z okazji przyjścia na świat córki Anny Beatrix umorzono Grimowi resztę długów. Sam Franz został przydzielony do obozu SS w Ranis. Tam też została sporządzona pierwsza, obowiązkowa w SS, „opinia” na temat Grima, której autorem był kierownik obozu. Dostrzeżono wówczas „pewną ociężałość i dość mierne możliwości intelektualne” Grima. Niemniej jednak uwagi oceniającego nie uszły i takie korzystne cechy, jak spolegliwość i zapał Franza. Zachowanie i prowadzenie się ocenianego określone zostały

jako „bez zarzutu”.

Gdy Austrię przyłączano do Rzeszy, Franz Grim nie zamierzał pozostawać bierny. Nadarzyła się bowiem idealna okazja, by „stary wojownik” mógł wziąć odwet za lata wyrzeczeń i upokorzeń, których doświadczył w czasie panowania „systemu” republikańskiego. W lipcu Grimowie przenieśli się do Wiednia, zamieszkali pod adresem Gumpendorfer--StraRe 87 Fliichtlingshilfswerk jeszcze raz okazało swoją wspaniałomyślność, pokrywając koszty przeprowadzki. Życie Franza Grima zdawało się wreszcie nabierać sensu i celu, a sam zainteresowany postanowił nie zmarnować tej niepowtarzalnej szansy. W przeprowadzonym

26 stycznia 1939 roku przez wiedeńskie kierownictwo partii kwestionariuszu personalnym, który dotyczył politycznej oceny byłego boksera, w rubryce „zawód” widnieje „SS-Wache” (strażnik SS). Jak się okazało, funkcja ta diametralnie odmieniła całe dotychczasowe życie Grima.

Człowiek pokroju *SS-Scharfuhrer* Franza Grima, przypominający uczesaniem i wąsem swoje bożyszcze - Adolfa Hitlera, mógł się okazać sprawnym narzędziem w rękach nazistowskich decydentów. Już wkrótce Göth przypomniał sobie o bokserze, który upokorzył go w tak dotkliwy sposób.

Tymczasem 14 lipca 1941 roku *SS-Sturmbannführer* Otto Winter, dowódca 11. *SS-Standarte*, wystawił Gdthowi nowe „świadcstwo przydatności”. Opinia nie pozostawia nic do życzenia: „Wyżej wymieniony jest w pełni ukształtowany charakterologicznie i ideologicznie, nie jest powiązany z żadnym wyznaniem. W czasie obowiązywania zakazu działalności partii Göth udzielał się jako adiutant 52. *SS-Standarte*, zdobywając ogromne uznanie. Jest wzorowym członkiem SS. Z ruchem pozostaje w łączności już od 1925 roku. W latach 1925-1926 był członkiem Hitlerjugend, a od 1929 do 1930 roku zasilał szeregi SA. Od roku 1930 służy w SS”. W raporcie z 10 października 1941 roku, podpisanym przez ówczesnego zwierzchnika *SS-Oberabschnitt Donau* (Nadokręgu SS „Dunaj”) Ernsta Kaltenbrunna, ten sam Otto Winter zaświadczył, iż Göth jest „esesmanem szczerze oddanym sprawie narodowego socjalizmu, skłonny do ponoszenia największych poświęceń i gotowym do działania”. Miał się także nadawać do pełnienia funkcji kierowniczych. Göth stanowił zatem uosobienie wszelkich cnót, jakimi powinien się odznaczać wzorowy esesman. Także jego profil rasowy, skojarzony z „odważną i zdeterminowaną postawą” oraz „rozległą wiedzą”, zdawał się dodatkowo utwierdzać Wintera w jego pozytywnej ocenie przyszłego kata z obozu w Płaszowie. Raport nie wspomina o żadnych mankamentach czy słabościach funkcjonariusza. Droga do kolejnego awansu stała zatem otworem. 9 listopada 1941 roku Göth uzyskał nominację na stanowisko *SS-Untersturmführera* w 11. *SS-Standarte*.

Akta osobowe Götha pochodzące z okresu pierwszych dwóch lat jego służby w SS ukazują obraz ambitnego i lojalnego człowieka. Niemniej jednak dotychczasowe sukcesy Amona stanowiły zaledwie preludium do jego zawrotnej kariery w szeregach SS. Przełom, który nastąpił potem, jest okryty mrokiem tajemnicy. Ostatecznie nie wiadomo, kto utorował Göthowi drogę na wschód Generalnego Gubernatorstwa, kto zażyczył go sobie jako swojego współpracownika. Czy decydujące znaczenie w jego karierze miały kontakty z ludźmi ze sztabu Odila Globocnika, czy też jego osobista reputacja nadzwyczaj sprawnego „organizatora”?

Niezależnie od tych narzucających się siłą rzeczy pytań przypuszcza się, iż już wiosną 1942 roku Göth przybył do Lublina, „tego wysuniętego daleko na wschód przyczółka europejskiej cywilizacji”, mimo iż oficjalnie został tam zawezwany dopiero 11 sierpnia tego roku. W Lublinie Göth mieszkał i pracował w koszarach Juliusa Schrecka, dawnym Kolegium Stefana Batorego przy ulicy Pieradzkiego 17. Tutaj też mieściła się siedziba architektów „Akcji Reinhardt”. Amon był teraz członkiem sztabu *SS-Brigadeführera* Globocnika, nazywanego przez towarzyszy Globusem. To właśnie w tym gronie oficerów SS szczegółowo zaplanowano masowy mord na

Żydach pochodzących z ziem Generalnego Gubernatorstwa, który został następnie przeprowadzony z bezlitosną bezwzględnością.

Pierwszym zadaniem Götha była rozbudowa założonego w 1940 roku obozu pracy w Budzynie, miejscowości położonej około czterdziestu kilometrów na południowy zachód od Lublina, pod Kraśnikiem. Należało postawić baraki dla dwóch tysięcy robotników. Tuż obok trwała budowa fabryki samolotów firmy Ernst Heinkel Flugzeug-werke AG. W październiku 1942 roku rozpoczęły się transporty Żydów wysiedlanych z getta w Końskowoli. Mimo iż nie udało się jeszcze wybudować fabryki, żydowscy więźniowie byli zmuszani do naprawiania powierzchni nośnych samolotów lub ich wytwarzania od podstaw.

Pionier awiacji Ernst Heinkel, w okresie powojennym sławiony jako genialny wynalazca i konstruktor lotniczy, skwapliwie korzystał z możliwości, jakie oferował mu system obozów pracy przymusowej. Pod tym względem przewyższył wszystkich innych niemieckich przedsiębiorców czerpiących korzyści z prowadzonej wojny. I tak w liście z lipca 1942 roku do *Generalluftzeugmdstra* (szefa uzbrojenia Luftwaffe) feldmarszałka lotnictwa Erharda Milcha Heinkel podkreślał korzyści płynące z możliwości wykorzystywania żydowskich robotników przymusowych, pisząc między innymi, co następuje: „W Generalnym Gubernatorstwie łatwiej o nową siłę roboczą niż gdziekolwiek indziej na terenach Starej Rzeszy. Poza Polakami można pozyskać do pracy także licznie tu zamieszkujących Żydów”.

Heinkel nie troszczył się wcale o to, w jaki sposób przebiegała rekrutacja „łatwych do pozyskania” robotników żydowskich. W getcie w Końskowoli, miejscowości położonej nieopodal Puław, mimo szalejącej tu epidemii czerwonki trwała przeprowadzana w bezwzględny sposób „selekcja”. Wszystkich, którzy byli chorzy lub zbyt słabi, by móc się stawić na lokalnym rynku w celu poddania się selekcji, rozstrzeliwano na miejscu. Następnie wśród osób spędzonych na rynek wyszukiwano najsilniejszych mężczyzn, przede wszystkim tych posiadających kwalifikacje zawodowe. Kobiety i dzieci, a także starsi mężczyźni - w sumie od ośmiuset do tysiąca osób - zostali zaprowadzeni przez członków 101. batalionu policyjnego do pobliskiego lasu i tam zamordowani. Także wśród mężczyzn „wyselekcjonowanych” do robót przymusowych wielu było skrajnie osłabionych przez tyfus. Łącznie około stu więźniów nie wytrzymało pięciokilometrowej drogi do pobliskiej stacji kolejowej. Tych także zastrzelono. Do nowego obozu w Budzynie dotarło zaledwie od ośmiuset do dziewięciuset Żydów z getta w Końskowoli. W dystrykcie lubelskim już w nocy z 16 na 17 marca 1942 roku ludzie Globocnika wszczęli akcję „likwidacji” gett. Odbywały się wówczas krwawe polowania na ludzi, które przebiegały według ściśle określonego schematu. Getto obstawiały kordon SS i Policji Bezpieczeństwa oraz jednostki pomocnicze policji utworzone z litewskich, ukraińskich i łotewskich ochotników. Następnie niewielkie oddziały przeczesywały domy i spędzały ich mieszkańców na jeden plac. Chorzy i starzy ludzie, a także małe dzieci byli rozstrzeliwani na miejscu. Następowala selekcja. Każdy, kto mógł okazać ważną, ostemplowaną kartę pracy, był puszczany wolno. Pozostałych ładowano do wagonów towarowych i wywożono do obozów zagłady. W „akcji” uczestniczył także Göth, któremu wkrótce została powierzona funkcja kierownicza. Amon organizował „selekcje” w getcie w Bełżycach, położonych na południowy zachód od Lublina. Żydzi mieszkali tu już od XVI wieku. W okresie od 1795 do 1809 roku Bełżyce wchodziły w skład monarchii habsburskiej. Ironia losu sprawiła, że teraz Austriak miał przypieczętować los Żydów z miasteczka. Blisko siedmiuset Żydów miało zostać deportowanych do Majdanka. Około pięciuset osób przekupiło Götha i zamiast pójść na natychmiastową śmierć, uzyskało jej tymczasowe odroczenie w postaci skierowania do obozu pracy w Budzynie. Jak zeznał przed sędzią śledczym Mietek Pem-per w 1946 roku, „łup”, który wpadł w ręce SS, był pokaźny. Kozuchy, wygarbowane futra, biżuteria i inne wartościowe przedmioty stanowiły cenę, za którą Göth był skłonny odstąpić od przewidywanego „transportu” do obozu w Majdanku. Coś jednak poszło nie tak, machinacje Götha wyszły bowiem na światło dzienne. Jeszcze w 1943 roku Amon musiał się tłumaczyć z tych zarzutów. „Akcja” w Bełżycach ugruntowała w każdym razie złą sławę Mony’ego jako skorumpowanego oficera SS. Najpóźniej w tym okresie Göth musiał się zorientować, jakie korzyści finansowe mogą się wiązać z mordem na Żydach.

To właśnie w tamtych dniach Göth nawiązał znajomość z *SS-Ober-scharfuhrerem* Reinholdem

Feixem, jednym z najokrutniejszych zbrodniarzy SS, którzy działali w tak zwanym Gangster-Gau (okręgu gangsterów). W 1942 roku Feix, sudecki Niemiec z Neudorfu (Nowej Wsi) miejscowości położonej w pobliżu Gablonz (Jabłonec nad Nysą), z zawodu fryzjer, przebywał służbowo w Bełżcu. Od grudnia 1942 do sierpnia 1943 roku Feix był komendantem obozu pracy przymusowej w Budzyniu. Jak zeznał później Mietek Pemper, jeszcze w Płaszowie Göth utrzymywał intensywną korespondencję z Feixem. Wiele wskazuje też na to, iż to właśnie u boku sudeckiego Niemca Amon „uczył się” zabijania. Götha i Feixa łączyło zatem wspólne doświadczenie mordowania Żydów.

Niewątpliwie szef Götha Odilo Globocnik musiał dosyć szybko dostrzec „organizatorski talent podwładnego. Według Pempera, wczesnym latem 1942 roku Globocnik udzielił Amonowi, oficerowi zatrudnionemu w swoim referacie, pełnomocnictwa do zakupu materiałów budowlanych w Ostrawie i innych morawskich miastach. Przyczyny przekazania pełnomocnictwa Göthowi nie są do końca jasne. Najprawdopodobniej chodziło o „tajne plany budowlane Rzeszy”. Sara Pemper wyraził przypuszczenie, że „materiały” miały być przeznaczone na budowę krematoriów w obozach zagłady rozmieszczonych na terenie okupowanej Polski. Tę wersję potwierdzałyby wspomniany również przez Pempera list Globocnika z czerwca względnie lipca 1942 roku skierowany do komendantów obozów w Bełżcu, Sobiborze i Treblince. W liście tym Globocnik zapewnił Göthowi swobodny wstęp na teren tych obozów. Mietek Pemper przypuszcza także, iż wydanie takiego zezwolenia mogło być podyktowane również tym, że Göth najprawdopodobniej miał sprawować kontrolę nad wartościowymi przedmiotami zrabowanymi pomordowanym Żydom. W takim razie Globocnik powierzył z przekonaniem ważną misję zgoła nieodpowiedniej osobie. Z drugiej strony taka interpretacja wydarzeń mogłaby z powodzeniem wyjaśnić eskalujący na jesieni 1942 roku konflikt między Göthem a szefem sztabu Globocnika *SS-Sturmbannführerem* Hermannem Hófle. Hófle był Austriakiem. Urodził się w Salzburgu w 1911 roku, z zawodu był mechanikiem samochodowym. Od 1933 roku należał do NSDAP i SS, a w październiku 1941 roku został z rekomendacji Adolfa Eichmanna także „referentem do spraw żydowskich” w sztabie Globocnika. Hófle koordynował deportacje z Lublina, Mielca, Rzeszowa, Białegostoku i Warszawy do obozów zagłady. Także ten podopieczny Eichmanna zawdzięczał przełom w swojej nazistowskiej karierze aktywnemu udziałowi w realizacji „Akcji Reinhardt”. Niewykluczone, iż obu Austriaków poróżniła kwestia „sposobu postępowania” z mieniem zrabowanym Żydom. Od lata 1942 roku Hófle nadzorował magazyn z ruchomym mieniem Żydów stworzony przy ulicy Chopina 27 w Lublinie, gdzie mieściło się pierwotnie stare lotnisko miejskie. W głównej kartotece Hófle rejestrował między innymi odzież i obuwie, natomiast za opiekę nad zrabowanymi Żydomi kamieniami szlachetnymi i dewizami był odpowiedzialny *SS-Sturmbannführer* Georg Wipern. Obaj funkcjonariusze SS - Hófle i Wipern - wiedzieli o przekupności Götha i czynili wszelkie starania, by się go pozbyć.

V. Krakau "światna robota"

W Krakowie niemieccy okupanci czuli się nadzwyczaj dobrze. Było to miasto w ich guście „Na każdym kroku napotykały tu kamiennych świadków żelaznej, niezłomnej woli, nieznużonej gotowości do działania i nieprzebranej energii twórczej. Z tych cech zrodziło się niemieckie miasto o czystym i szlachetnym charakterze, otoczone zewsząd obcym elementem narodowym” - tak o Krakowie pisał w powstałym na zlecenie Wydziału Nauki i Oświaty przy rządzie Hansa Franka przewodnik krajoznawczym po Generalnym Gubernatorstwie jego autor Theodor Muller. Muller był jednym z wielu „ekspertów” w dziedzinie kultury przebywających w owym czasie w mieście. Wszyscy oni, jeśli wierzyć nazistowskiej propagandzie, podążyli za wzniosłym wołaniem Wschodu: „Ruf des Ostens”, aby stworzyć tutaj „nową niemiecką przestrzeń życiową”. I rzeczywiście urok nowych przygód przyciągał wielu, przede wszystkim zaś wabiła ich do Krakowa wcale nie taka utopijna wizja szybkiego wzbogacenia się w państwie rządzonym przez Hansa Franka. To tutaj znajdowały się firmy i majątki polskich Żydów, które można było sobie przywłaszczyć zupełnie bezkarnie. Zrabowane Żydom dzieła sztuki, meble, dywany, porcelana, diamenty i gotówka czekały na nowych właścicieli. Tutaj też mieszkało około dwóch i pół miliona polskich Żydów, do których wymordowania należało przystąpić bez ociągania się.

Między Himmlerem a Frankiem rozgorzała wkrótce zacięta walka o zakres kompetencji. Zwycięzcą w tym boju okazał się ostatecznie w listopadzie 1941 roku *SS-Reichsführer*. W kwestii przyszłego losu polskich Żydów decydujący głos należał odtąd do Himmlera i jego zbrodniczych popleczników. Decyzje dotyczące życia i śmierci Żydów zapadały teraz w urzędach SS. Na samym szczycie drabiny SS w Krakowie stał, przynajmniej formalnie, pełniący funkcję wyższego dowódcy SS i policji „Wschód” generał Friedrich Wilhelm Kruger, ambitny, odznaczony Żelaznym Krzyżem czterdziestoosmioletni weteran pierwszej wojny światowej ze Strasburga. U boku generała stał jego osobisty adiutant, trzydziestosześcioletni *SS-Hauptsturmführer* Emmanuel Graf von Korff. Kruger, podobnie zresztą jak jego cichy wróg Hans Frank, rezydował na wzgórzu wawelskim, przemianowanym na Krakauer Burg, i to właśnie jemu podlegały wszystkie urzędy SS i policji w całym Generalnym Gubernatorstwie komendanci Policji Bezpieczeństwa (SiPo) i Urzędu Bezpieczeństwa (SD) na równi z szefami Policji Kryminalnej (KriPo) i Policji Porządkowej. Formalnie to Kruger ponosił ostateczną odpowiedzialność za wszystkie „akcje” skierowane przeciwko Żydom. W rzeczywistości ludzie pokroju Karyntyjczyka *SS-Brigadeführera* Globocnika, inicjatora „Akcji Reinhardt”, niewiele troszczyli się o zdanie Krugera. Woleli zwracać się bezpośrednio do Heinricha Himmlera. Także w samym Krakowie często miały miejsce rzeczy, które niekoniecznie były wcześniej uzgadniane z Krugerem. Jeśli chodzi o politykę względem ludności żydowskiej, to inicjatywa w tych kwestiach leżała raczej w gestii dowódcy SS i policji na dystrykt krakowski *SS-Oberführer* Juliana Schernera, który miał swą siedzibę przy ulicy Oleandry. Funkcję szefa sztabu w urzędzie Schernera pełnił *SS-Sturmbannführer* Willi Haase.

Na pierwsze akty terroru niemieckich okupantów nie trzeba było długo czekać. W okresie od 10 maja do 12 lipca 1940 roku generalny gubernator Hans Frank zarządził „nadzwyczajną akcję odwetową”. Policja Bezpieczeństwa aresztowała wówczas trzy i pół tysiąca członków polskiego ruchu oporu, a dalsze trzy tysiące osób, zakwalifikowanych jako „zawodowi przestępcy”, zamordowano w więzieniach. Uzasadniając przedsięwzięte środki, Frank powoływał się na słowa Hitlera, który miał mu powiedzieć, że „warstwa kierownicza” narodu polskiego musi zostać zniszczona i że nie można dopuścić do jej odrodzenia. Frank rozwodził się także na temat idei przyświecających własnym działaniom, twierdząc między innymi, co następuje: „Wcale nie musimy przesiedlać niepożądanego elementu do obozów koncentracyjnych na terenie Rzeszy. Ściągnęlibyśmy wówczas na siebie same problemy i zupełnie niepotrzebną korespondencję listowną z członkami rodzin. Sami uporamy się z tymi rzeczami tu, na miejscu. I uczynimy to w sposób, który wyda nam się najprostszym”.

Hans Frank uważał się za niemieckiego *Kulturmenscha*, za uosobienie cywilizowanego człowieka. Ten mający różnorodne zainteresowania i całkiem odczytany „pan na Wawelu” podejmował na swoim krakowskim dworze między innymi fizyka Wernera Heisenberga, Paula Horbigera, Lila Dagovera, Maxa Halbego, Elly Ney, Veita Harlana, Heinricha Georgego Clemensa Kraussa, różnych solistów z mediolańskiej La Scali, wiedeński chór chłopięcy Wiener Sangerknaben, a także swojego przyjaciela, kompozytora Hansa Pfitznera. Jednak te znamienite kontakty nie miały wpływu na niego samego, na jego kulturę osobistą - jego wystąpienia publiczne były zawsze wielkimi bufonadami.

W swoim przemówieniu wygłoszonym podczas uroczystości Bożego Narodzenia zorganizowanej 19 grudnia 1940 roku przez 1. batalion wartowniczy w Krakowie Frank pokusił się o podsumowanie swojej rocznej działalności: „Oczywiście w ciągu jednego roku nie byłem w stanie usunąć ani wszystkich wszy, ani wszystkich Żydów. Ale da się to osiągnąć z biegiem czasu, a przede wszystkim wtedy, kiedy wy mi pomożecie”.

Krakowskie getto

Pierwszym krokiem w stronę realizacji planu „pozbycia się” Żydów było utworzenie getta na prawym brzegu Wisły, w dzielnicy Podgórze. Na położonym wokół placu Zgody [obecnie plac Bohaterów Getta -D.S.] terenie o powierzchni około dwudziestu hektarów, obejmującym piętnaście ulic między Wisłą, Rynkiem Podgórskim i linią kolejową Kra-ków-Płaszów, znajdowało się trzysta dwadzieścia budynków, mieszczących trzy tysiące sto sześćdziesiąt siedem pokoi. To właśnie tutaj do 20 marca 1941 roku szesnaście tysięcy krakowskich Żydów miało znaleźć swój nowy dom. Przyjęta nieludzka norma mieszkaniowa oznaczała konkretnie dwa metry kwadratowe pokoju przypadające na jedną osobę, jedno okno przewidziano dla trzech osób. W dwu- lub trzypokojowym mieszkaniu musiało się pomieścić kilka rodzin. Sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej, gdy zmuszono także Żydów z okolicznych miejscowości, około czterech tysięcy osób, do przesiedlania się do getta. Łącznie blisko dwadzieścia tysięcy ludzi żyło stłoczonych na niewielkiej przestrzeni.

Stopniowo nazistowscy biurokraci coraz bardziej zaciskali morderczą pętlę na szyi swych ofiar. Od 15 października 1941 roku za opuszczenie getta bez odpowiedniej przepustki groziła kara śmierci. Od 1 grudnia 1941 roku obowiązywało racjonowanie żywności - dzienna porcja chleba wynosiła sto gramów, miesięcznie jednej osobie przysługiwało dwieście gramów tłuszczu i cukru. W reakcji na wspomniane obostrzenia w getcie rozwinął się przemyt. Do zamkniętej dzielnicy żydowskiej szmuglowano koszerne mięso i inne artykuły spożywcze. Kto miał wystarczającą ilość pieniędzy, wciąż jeszcze mógł sobie pozwolić na wszystko. Dla wielu jednak rozpoczął się okres głodu.

11 grudnia 1941 roku SS i Policja Bezpieczeństwa urządziły pierwsze polowanie z nagonką na ludzi nieposiadających ważnego zezwolenia na pobyt w getcie. Wszyscy wówczas pojmani zostali rozstrzelani w lasach pod Kielcami.

27 grudnia 1941 roku wydano rozkaz zdania, pod groźbą kary śmierci, wszystkich futer, nart i butów narciarskich do przygotowanych uprzednio magazynów. Zebrano wówczas około ośmiu tysięcy futer. W trakcie akcji przeszukiwania mieszkań policja i SS zabiły wielu mieszkańców getta.

Stratedzy masowego mordu na Żydach snuli tymczasem plany na coraz bardziej niewyobrażalną skalę. 13 października 1941 roku doszło do spotkania Globocnika z Heinrichem Himmlerem, na którym Himmler udzielił swemu podwładnemu zgody na budowę obozu zagłady w Bełżcu. Na 17 października 1941 roku wyznaczono termin ważnej narady w lubelskim

domu dowódcy SS i policji Odilo Globocnika. Na spotkanie przybyli z Krakowa generalny gubernator Hans Frank, określany szyderczo w slangu esesmanów mianem Króla Hansa bądź Stanisława Spóźnionego, a także zastępca sekretarza stanu doktor Ernst Boepple. Wśród zaproszonych byli także obecni gubernator dystryktu lubelskiego Ernst Zórner i szef jego urzędu Wilhelm Engler. Jeden z punktów poruszanych w trakcie narady dotyczył „kwestii żydowskiej”. Po ożywionej dyskusji zebrani funkcjonariusze uzgodnili następującą strategię działania: „Wszyscy Żydzi, z wyjątkiem niezbędnych rzemieślników i innych przydatnych osób, powinni zostać ewakuowani z Lublina. Najpierw tysiąc Żydów zostanie przetransportowanych na drugą stronę Bugu. Wykonanie zadania zostaje powierzone dowódcy SS i policji. Wybór Żydów przeznaczonych do ewakuacji pozostaje w gestii *Stadthauptmanna* (starosty miasta)”.

Tym samym ustawiono zwrotnicę w kierunku systematycznej eksterminacji Żydów. Frank i Globocnik, którzy nie mogli się doczekać, by zaprezentować swojemu *führerowi* Generalne Gubernatorstwo „oczyszczone z żydostwa”, postawili ostatecznie na swoim. Sformułowanie „ewakuacja Żydów za Bug” stanowiło przykrywkę dla rozpoczynającej się masakry. Jednocześnie wyraźnie rozgraniczono obszary kompetencji. Za „ewakuację” nie odpowiadała już administracja cywilna, lecz zadanie to powierzono szefowi SS i policji Odilowi Globocnikowi. Była to oczywista wskazówka, iż istniało w owym czasie zapotrzebowanie na bezwzględność i brutalność funkcjonariuszy aparatu SS. Globocnik wiedział już zresztą o zgodzie Himmlera na budowę komór gazowych w Bełżcu, mógł więc teraz dać upust swojej żądzy czynu. W przemówieniu na otwarcie pierwszego posiedzenia Hans Frank dał do zrozumienia, iż wspomniana strategia działania wobec Żydów została wytyczona przez samego „W najbliższym czasie, wywiązując się z zadania powierzonego mi przez *führera*, będę miał tu dużo roboty. Z tego też powodu będę miał szczęście przyjeżdżać częściej do Lublina”. Frank, który już snuł plany kolonizacji terytorium Generalnego Gubernatorstwa przez niemieckich osadników, miał ogromne trudności z poskromieniem swojego gorączkowego zniecierpliwienia w sprawie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Dwa miesiące później, 16 grudnia 1941 roku, zakończył posiedzenie rządu Generalnego Gubernatorstwa następującymi słowami: „Chcę panom zupełnie otwarcie powiedzieć, że z Żydami tak czy owak musi się skończyć. Litość miejmy jedynie dla narodu niemieckiego, poza tym dla nikogo więcej na świecie. Ostatecznie inni też nie mieli litości dla nas.

Jako stary narodowy socjalista muszę też powiedzieć: jeżeli plemię żydowskie przeżyłoby w Europie wojnę, a my poświęcilibyśmy najlepszą naszą krew dla ocalenia Europy, to wojna ta byłaby tylko częściowym sukcesem. W stosunku do Żydów oczekuję zasadniczo tylko jednego: że zupełnie znikną. Muszą pójść precz.

Moi panowie, proszę uzbroić się przeciw wszelkim odruchom współczucia. Musimy Żydów zniszczyć, gdziekolwiek ich spotkamy i gdzie tylko to jest możliwe, aby utrzymać tu ogólną strukturę Rzeszy.

Żydzi są dla nas nadzwyczaj szkodliwymi darmozjadami. Nie możemy wystrzelać ani wytru trzech i pół miliona Żydów, ale mimo to potrafimy poczynić kroki, które w jakiś sposób doprowadzą do ich zagłady. Nastąpi to w związku z gigantyczną akcją, która zostanie ustalona w porozumieniu z Rzeszą. Generalne Gubernatorstwo musi zostać uwolnione od Żydów w takim stopniu, w jakim Rzesza już obecnie jest od nich wolna”.

Plany związane z wymordowaniem Żydów nabrały rozmachu. Już na miesiąc przed konferencją w Wannsee Hans Frank przygotowywał swoich podwładnych do krwawej rozprawy z Żydami - w świadomości wielu pojawiła się gotowość do przeprowadzenia „gigantycznej akcji”. Władze Generalnego Gubernatorstwa chciały się pokazać z najlepszej strony, udowodnić, iż są wzorowym uczniem, który przystępuje do działania, zanim jeszcze dane zadanie zostanie oficjalnie zatwierdzone. Ramy dla „ostatecznego rozwiązania kwestii

żydowskiej w Europie” wyznaczyła osławiona konferencja w Wannsee z 20 stycznia 1942 roku. Tym samym plan eksterminacji europejskich Żydów został ostatecznie zatwierdzony.

Deportacje

28 maja 1942 roku jednostki SS, Waffen-SS i Policji Bezpieczeństwa obstawiły kordonem krakowskie getto. Zbrodniczy architekci *Endlösung* przystąpili do swoich morderczych „selekcji”. Do 8 lipca „obsłużono” trzy „pociągi śmierci”, które przetransportowały siedem tysięcy Żydów. Celem „transportów” był obóz zagłady w Bełżcu w dystrykcie lubelskim.

Cała „akcja” została poprzedzona kolejnymi szykanami ze strony nazistowskiej biurokracji. Wprowadzono *blaue Judenausweise*, tak zwane „niebieskie karteczki”. Kenkarta nie stanowiła już dla mieszkańców getta wystarczającej ochrony przed deportacją, nawet jeśli została opatrzona urzędowym stemplem oznaczającym oficjalne pozwolenie na pracę. Przyznawany na drodze biurokratycznej jedynie pracującym Żydom *blauschein* stanowił pewną formę wstępnej selekcji mieszkańców getta. Podzielono ich na zdolnych do pracy, którzy mogli tymczasowo zachować życie, oraz na tych, którzy już w tamtych dniach skazywani byli od razu na śmierć. Tę ostatnią kategorię mieszkańców getta przeznaczono do „wysiedlenia” z zamkniętej dzielnicy, co oznaczało ich deportację do jednej z położonych na wschodzie „fabryk śmierci”.

Wielu Żydów SS rozstrzelało jeszcze na terenie getta. Trwające wówczas zaledwie kilka dni polowanie na ludzi pochłonęło blisko sześćset ofiar. Punkt kulminacyjny masakry przypadł na 4 czerwca 1942 roku, na tak zwany krwawy czwartek. Wśród zamordowanych wówczas mieszkańców getta byli między innymi poeta Mordechaj Gebirtig, malarz Abraham Neumann i przewodniczący Judenratu Arthur Rosenzweig. W żydowskiej dzielnicy zamkniętej pozostało jeszcze około dwunastu tysięcy ludzi. Ich los miał się rozstrzygnąć na początku czerwca 1942 roku, kiedy to Hans Frank ostatecznie poniósł klęskę w prowadzonej z Himmlerem walce o kompetencje w kwestiach kolonizacji i polityki względem ludności żydowskiej. Za „sprawy żydowskie” odpowiadał od tej pory jedynie wyższy dowódca SS i policji „Wschód” Friedrich Wilhelm Kruger. Zżerany przez ambicję Kruger nie pozostawiał cienia wątpliwości co do własnego stanowiska w kwestii „ostatecznego rozwiązania” - był zagorzałym zwolennikiem eksterminacji Żydów. Już w połowie czerwca szef SS i policji pertraktował z wysoko postawionymi urzędnikami administracji cywilnej poszczególnych dystryktów na temat możliwości rozszerzenia akcji masowego mordu na Żydach na obszar całego Generalnego Gubernatorstwa. Organy administracji cywilnej przychylnie ustosunkowały się do tego pomysłu. Wyraziły gotowość do stawienia czoła „wyzwaniu”, widząc w przeprowadzanej na wielką skalę rzezi „okrutną konieczność”, którą rzekomo trzeba było zaakceptować, jeśli miało się na względzie sprawę „ostatecznego zwycięstwa” Niemiec. Mieszkańcy żydowskiej dzielnicy zamkniętej w dalszym ciągu byli poddawani szykanom. 20 czerwca 1942 roku teren krakowskiego getta pomniejszono o pas między ulicą Tarnowską (dziś ulica Limanowskiego) i Krzemionkami. Wkrótce, 1 listopada 1942 roku, po raz kolejny doszło do pomniejszenia obszaru dzielnicy żydowskiej przez odłączenie tak zwanej Ukrainy, obejmującej teren wyznaczony przez ulice Janowa Wola, Dąbrówki i lewą stronę Lwowskiej.

Po krótkiej przerwie, począwszy od połowy lipca 1942 roku, wznowiono transporty ludności żydowskiej z dystryktu krakowskiego do obozu zagłady w Bełżcu. W tym czasie na linii Kraków - Bełżec kursowały dwa pociągi deportacyjne tygodniowo. „Akcja Reinhardt” nieuchronnie zmierzała do swojego punktu kulminacyjnego. 18 i 19 lipca 1942 roku z wizytą w Lublinie przebywał nie kto inny, jak sam Heinrich Himmler. Poza obozem w Bełżcu na przyjęcie

„transportów” były już wówczas przygotowane następne obozy zagłady - w Sobiborze i Treblince. „Redukcja nadliczbowych Żydów” nabrała gorączkowego tempa. Wkrótce masowe mordowanie przybrało niewyobrażalne wręcz rozmiary. Od 22 lipca 1942 roku przez okres prawie dziesięciu tygodni w obozach zagłady umierało każdego dnia do dwudziestu pięciu tysięcy polskich Żydów. Pod koniec 1942 roku z dwóch milionów Żydów mieszkających niegdyś na ziemiach Generalnego Gubernatorstwa przy życiu pozostało już tylko trzysta tysięcy.

Przemawiając 1 sierpnia na wielkim wiecu zorganizowanym we Lwowie, wschodniogalicyskiej metropolii, szef „okręgu gangsterów” Hans Frank był w wyśmienitym humorze, i miał ku temu powody. Nie mógł się nawet powstrzymać, by się nie pochwalić, choćby w zawołany sposób, postępami bieżących akcji eksterminacyjnych: „Jeszcze uda nam się uporać z tymi Żydami. [...] Podobno kiedyś mieszkało w tym mieście wiele tysięcy, ba, dziesiątków tysięcy tych Indian z platform - dziś nie ma po nich śladu. Czy nie postąpiłibyście z nimi w ten sam sposób? (W protokole odnotowano powszechne rozbawienie obecnych).

[...] Mamy wielkie szczęście, że możemy tutaj postępować z Żydami tak, jak oni postępowali niegdyś z narodem niemieckim. [...] Żydzi nie stanowią już w tym kraju żadnego kłopotu, w najlepszym wypadku mogą nas interesować ze względów rasowych”.

Po pierwszych tygodniach planowej eksterminacji ludności żydowskiej także *Reichsführer SS* przeprowadził wstępny bilans, który okazał się satysfakcjonujący. W liście do Odila Globocnika z 13 sierpnia 1943 roku Himmler pisze: „Proszę nadal pracować z takim energicznym zapałem, a jestem pewien, że znajdzie Pan satysfakcję w tej pięknej pracy”. W czasie gdy Göth zbierał w trakcie „Akcji Reinhardt” doświadczenia w mordowaniu Żydów, Główny Urząd Personalny SS nadrabiał formalne zaległości, starając się nadażyć za dynamicznie rozwijającym się rzeczywistym biegiem wydarzeń. 13 sierpnia 1942 roku Göth został na czas realizacji operacji mianowany *Fachführerem der* przy wyższym dowódcy SS i policji „Wschód”. Pozostawał wówczas w stopniu *SS-Untersturmführera*.

Jesienią 1942 roku Göth przybył - prawdopodobnie na rozkaz szefa sztabu Globocnika Ernsta Lercha, syna właściciela kawiarni w Klagenfurcie - na miejsce kolejnej akcji, do Poniatowej, położonej na południowy zachód od Lublina. We wrześniu 1941 roku powstał tutaj obóz dla sowieckich jeńców wojennych, stalag (*Stammlager*, obóz macierzysty) 359, strzeżony przez *Landeschützenbataillon 709* (709. batalion strzelców krajowych). Do września 1941 roku trafiło tutaj dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy Armii Czerwonej, z czego dwadzieścia dwa tysiące jeńców wojennych zmarło do wiosny 1942 roku wskutek straszliwych warunków sanitarnych panujących w obozie. Brakowało przede wszystkim wody do mycia, więźniowie nie mieli możliwości zmiany odzieży, w stalagu panował głód i szalała epidemia tyfusu. Na początku 1942 roku umierało tu dziennie (*sic!*) blisko tysiąc osób. Zwłoki zmarłych pogrzebano w trzydziestu dwóch masowych grobach znajdujących się poza terenem obozu. Pięciuset pojmanych żołnierzy sowieckich, głównie *volksdeutsche*, zwerbowano jako strażników obozowych i przewieziono na „szkolenie” do osławionego „obozu treningowego” SS w Trawnikach.

Także w Poniatowej Göthowi powierzono misję budowy obozu dla żydowskich robotników przymusowych i *Amon* po raz kolejny okazał się sprawnym zarządcą. Już w październiku 1942 roku do Poniatowej przybył pierwszy transport Żydów „wysiedlonych” z getta „tranzytowego” w Opolu Lubelskim. W styczniu 1943 roku w obozie przebywało już tysiąc pięciuset robotników przymusowych; wśród nich byli także Żydzi deportowani z Wiednia i ze Słowacji. Plany Götha przewidywały możliwość osadzenia w obozie łącznej liczby dziesięciu tysięcy żydowskich robotników. Latem 1943 roku było ich już jednak znacznie więcej, około dziesięciu tysięcy. Pracowali w zakładach tekstylnych Waltera Toebbensa, w których produkowano przede wszystkim mundury na potrzeby Wehrmachtu. W styczniu 1943 roku zakłady Toebbensa zostały przeniesione na teren znajdującego się pod kontrolą SS kompleksu przemysłowego

Ostindustrie GmbH. W sierpniu 1943 roku Globocnik, „szef koncernu”, przeprowadził w obozie inspekcję, w czasie której mógł ocenić wydajność swoich niewolników. Likwidacja obozu miała nastąpić 4 listopada 1943 roku w ramach przeprowadzonej w tym dniu *Aktion Erntefest* („Akcji Dożynki”). Już na kilka dni przed krwawą masakrą więźniów zmuszono do wykopania swych przyszłych grobów. Kilka masowych grobów przygotowano na terenie obozu, pozostałe znajdowały się poza jego obrębem. Więźniów utrzymywano w przekonaniu, że przygotowują okopy przeciwlotnicze. 4 listopada o godzinie piątej nad ranem osadzeni w obozie musieli się stawić na apel odliczeniowy. Zebrani na apelu Żydzi zostali wtłoczeni do dużego pomieszczenia gospodarczego. Następnie załoga SS wywlekała na zewnątrz pięćdziesięciosobowe grupy więźniów, nakazując im, by zdjęli obuwie oraz pozostawili na dworze wszelkie ewentualnie posiadane jeszcze wartościowe przedmioty. Bosych i ograbionych do cna Żydów prowadzono potem do jednego z pobliskich baraków, gdzie kazano im się rozebrać do naga. Stamtąd esesmani pędzili nagich więźniów do masowych grobów. Żydom kazano wejść do rowów i położyć się na brzuchu, z twarzą zwróconą ku ziemi. Wtedy strzelano do nich. W trakcie wykonywania tych masowych egzekucji z głośników umocowanych do samochodów esesmańskiej załogi obozu grzmiała muzyka, która miała tłumić odgłosy padających strzałów oraz krzyk mordowanych ofiar.

W jednym z baraków, w którym zgromadzono członków konspiracyjnych organizacji żydowskiego podziemia, doszło do akcji zbrojnego oporu. Z przetrzymywanej w ukryciu broni więźniowie otwarli ogień do esesmanów. Tym udało się jednak podpalić barak i żydowscy bojownicy spłonęli żywcem. W tym krwawym dniu, 4 listopada, zastrzelono blisko czternaście tysięcy osób. Przy życiu pozostawiono od stu pięćdziesięciu do dwustu Żydów, którym polecono sortowanie odzieży i palenie zwłok zamordowanych ofiar. Gdy ocalali więźniowie odmówili wykonania polecenia, także zostali rozstrzelani. Ich „robotę” przekazano Sonderkommandu z obozu w Majdanku i tym żydowskim więźniom, którzy w trakcie realizacji „Akcji Dożynki” przeszli w Majdanku selekcję. Jeszcze całymi tygodniami płonęły stosy zwłok.

Masakrę przeżyły, ochronione przed zagładą ciałami pomordowanych, dwie kobiety: Estera Rubinsztajn i Ludwika Fiszer. Przeleżawszy wiele godzin w masowym grobie, tuż obok zwłok swej córki, Ludwika Fiszer uciekła z miejsca kaźni pod osłoną nocy.

Ucieczka z pociągu śmierci

Tymczasem mieszkańcy krakowskiego getta bynajmniej nie tracili nadziei na rychłe nastanie kresu swych cierpień. Mimo iż dręczyciele skazali ich na pewną śmierć, Żydzi kurczowo trzymali się wiary w nadprzyrodzoną interwencję Boga. Zgodnie z prorocत्वami przebywających w obozie żydowskich mędrców, którzy podobno potrafili przeniknąć tajemnice spisane w świętych księgach Tory, a także czytać w gwiazdach, jeszcze w tym roku miał się wydarzyć wielki cud i nastąpić koniec wojny. Po obozie rozeszły się pogłoski, iż wśród mieszkańców getta przebywa pewien cadyk, święty mąż, który całymi dniami i nocami obserwuje przez lunetę gwiazdy, czekając na jakiś znak z nieba, aby w odpowiednim momencie zadać w szofar, rytualny barani róg, i zwiastować w ten sposób nadejście Mesjasza. Według innej plotki, Żydzi zatrudnieni w fabryce metalu mieli przypadkowo odlać kran w kształcie gwiazdy Syjonu, co interpretowano jako oczywisty znak zapowiadający pojawienie się Zbawiciela, który w okamgnieniu zburzy mury getta i każdemu głodującemu da wielki bochenek chleba, każdemu głodnemu spośród tych, którzy modlili się teraz o kawałek starego chleba. W getcie opowiadano sobie także najnowsze wieści ze świata, zasłyszane w potajemnie słuchanej stacji radiowej Głos Ameryki. Z informacji tych wynikało, iż alianci zamierzają

wkrótce utworzyć drugi front, by ostatecznie zniszczyć nazistów i państwa z nimi sprzymierzone. Co noc w napięciu oczekiwano na dźwięk szofaru, na znak zbawienia i wieść o tym, iż Bóg nie porzucił swego narodu wybranego w godzinie ciężkiej próby.

28 października 1942 roku miała miejsce druga wielka akcja deportacji z getta. SS wezwało wszystkich mieszkańców dzielnicy zamkniętej, aby stawili się na placu Zgody z najcenniejszymi rzeczami ze swojego dobytku. Zapowiedziano „likwidację” getta i „wysiedlenie” jego mieszkańców do obozów pracy. Na twarzach napływających na plac ludzi, objuczonych walizkami i tobołkami, malowało się przerażenie. Instynktownie przeczuwali, że za trzeźwymi, rzeczowymi instrukcjami nazistów kryje się coś strasznego. Około czterech i pół tysiąca osób zostało wówczas upchniętych do bydłych wagonów. W trakcie rewizji przeprowadzanych w żydowskich mieszkaniach esesmani znowu zabijali starców i dzieci. W szpitalu zamordowano pacjentów wraz z opiekującymi się nimi lekarzami.

Tą tragedią dotknięta była także rodzina Sternlichtów, którą w marcu 1941 roku zmuszono do przeprowadzenia się do getta. Ojciec rodziny Szymon Sternlicht, były żołnierz, służący niegdyś w armii cesarsko-królewskiej, i właściciel krakowskiego przedsiębiorstwa zajmującego się obróbką metalu, posiadał wprawdzie legitymację Gestapo i mówił płynnie po niemiecku, jednakże te, wydawałoby się, chroniące przed zagładą atuty nie zdały się na nic. Także Sternlicht musiał wsiąść do pociągu deportacyjnego przewożącego Żydów z getta do obozu zagłady w Bełżcu. Na miejscu pozostały jego żona Lola, która znalazła schronienie u pewnej chrześcijanki i dzięki temu uszła z życiem, oraz trzy córki: Bronia, Helen i Sydonia. Los „wysiedlanych” osób przestał być tajemnicą. Od polskich kolejarzy docierały wiadomości, iż ludzie przewożeni pociągami „znikają” bez śladu w miejscu przeznaczenia, a pociągi zawsze wracają puste. Kolejarze ci donosili także o krzykach, które dochodziły do ich uszu. Również wieści o komorach gazowych krążyły już w tamtym czasie. Na informacje o masowym mordzie na Żydach przeprowadzanym w „fabrykach śmierci” reagowano jeszcze niedowierzaniem. Ludzie w getcie zadawali sobie częstokroć pytanie: Czy to, czego nie sposób sobie nawet wyobrazić, rzeczywiście stało się faktem? „Wiedzieliśmy o wszystkim. Nie chcieliśmy jednak w to wierzyć” - tak o panujących wówczas w getcie nastrojach opowiada Helen Sternlicht.

Wśród ludzi stłoczonych w jednym z bydłych wagonów pociągu jadącego do Bełżca była również rodzina Lezerkiewiczów: Abraham i Berta oraz ich troje dzieci: Leon, Wiktor i Greta. Podobnie jak inni „pasażerowie” cierpieli oni z powodu braku wody i ledwie wystarczającej do oddychania ilości powietrza. Dwoje pozostałych dzieci uniknęło „wysiedlenia”. Syn Jakub ukrywał się u pewnej polskiej rodziny poza terenem zamkniętej dzielnicy żydowskiej, a córka Lola już w 1932 roku wyemigrowała do Palestyny. Ojciec Abraham prowadził swego czasu sklep z tekstyliami przy ulicy Targowej 1 na Kazimierzu. Do getta przybył wiosną 1942 roku z Niepołomic, małej miejscowości położonej nieopodal Krakowa. Nikomu z rodziny nie udało się zdobyć blauscheinu, nawet dwóm dorosłym już synom, chociaż byli oni mechanikami samochodowymi i posiadali ważne jeszcze zaświadczenie o zdolności do pracy. Jak się okazało, nawet wykonywanie tego praktycznego zawodu nie chroniło automatycznie przed deportacją. Dwudziestoczteroletni Wiktor, pracujący w podobozie sanitarnym dla Waffen-SS, okazał nawet zaświadczenie o przydatności do pracy, lecz przeprowadzający „selekcję” oficer SS *Hauptsturmführer* Martin Fellenz wyrwał mu je z ręki i podarł na strzępy, nie przeczytawszy. Jego lapidarny komentarz nie pozostawiał złudzeń co do tego, że chodziło o wyrok śmierci. Powiedział po prostu: „Odprowadzić!”.

Wiktor i jego brat Leon, zwany Leszkiem, już przed zajęciem Polski przez hitlerowskich okupantów, pod wpływem antysemickiej nagonki w Niemczech, stali się członkami syjonistycznej młodzieżówki. Nie zamierzali się poddawać bez walki. Planowali ucieczkę. Wiktor zawsze nosił ze sobą, ukryty w jednym z kozaków, brzeszczot od piły ramowej i teraz nadeszła chwila, by z niego zrobić odpowiedni użytek. Za pomocą tego narzędzia próbował

przepiłować przypory okratowania jednego z okien w wagonie. Było to przedsięwzięcie wiążące się z ogromnym stresem. Inni „pasażerowie” zaklinali go, by zaprzestał piłowania, w przeciwnym razie wszyscy zostaną rozstrzelani, jeśli podczas apelu przeprowadzonego na miejscu przeznaczenia transportu strażnicy SS zorientują się, że kogoś brakuje. Jednocześnie Wiktor musiał uważać, by nie zwrócić na siebie uwagi siedzących na dachu wagonu esesmanów. Dzielny syjonista nie dał się jednak odwieść od swoich planów. Do protestujących współwięźniów wykrzyczał retoryczne pytanie: „Jak państwo myślą, wiozą nas do pracy czy na pewną śmierć?!”. Po czym sam sobie udzielił odpowiedzi, stwierdzając: „Jestem święcie przekonany o tym, że wszyscy pójdziemy do gazu!”. Nawet śmierć w trakcie skoku z jadącego pociągu była mu milsza niż wizja umierania w komorze gazowej.

Gdy się już ściemniło, Wiktorowi udało się przepiłować kraty. Teraz musiał poczekać na odpowiedni moment. Ani dwa lata od niego starsza Greta, ani rodzice nie czuli się na siłach, by towarzyszyć młodemu mężczyźnie w ucieczce. Na pożegnanie ojciec podarował Wiktorowi pieniądze i złoty zegarek z dewizką z Szafuzy. Jego brat Leszek otrzymał od matki i siostry biżuterię, którą mógłby upłynnić, gdyby udało mu się wydostać na wolność. Ojciec pobłogosławił jeszcze i uściskał po raz ostatni obydwóch synów. Wszyscy mieli łzy w oczach. Tymczasem bracia obserwowali już teren, przez który przetaczał się pociąg. Gdy w pobliżu trasy kolejowej ujrzeni Puszcę Niepołomicką, wyskoczyli z pociągu -najpierw Wiktor, później Leszek. Wiktor uderzył głową o szyny bocznego toru i stracił przytomność.

Gdy doszedł do siebie, na dworze wciąż jeszcze było ciemno. Po Leszku nie było ani śladu. Mimo bolesnych potłuczeń i krwotoków Wiktor postanowił pójść z powrotem wzdłuż toru w kierunku Krakowa, mając nadzieję, że uda mu się odnaleźć brata. Na dworcu w Kłaju wsiadł do pociągu jadącego do Bochni, łudząc się, iż brat mógł poszukać schronienia u rodziny mieszkającej w tamtejszym getcie. Kiedy jego przypuszczenia okazały się mylne, Wiktor opuścił zamkniętą dzielnicę żydowską w Bochni i udał się w kierunku dworca. Po drodze napotkał specjalne oddziały SS, które szły z naprzeciwka w jego kierunku. Na szczęście nie miał przy sobie swojej opaski z gwiazdą Dawida, więc esesmani zostawili go w spokoju. Żydzi przyłapani bez opaski byli rozstrzeliwani na miejscu. Podobna kara groziła Żydom, którzy wazyli się jeździć koleją. Dopiero później Wiktor dowiedział się, po co esesmani szli w kierunku Bochni. W tym dniu „likwidowano” także getto w Bochni, skąd również wysłano transport z więźniami do obozu zagłady w Bełżcu. Wśród ofiar deportacji znajdowali się też jego krewni, po których słuch definitywnie zaginął. Ponieważ Wiktor nie miał żadnych powiązań z partyzantami i łudził się, że w zamkniętej dzielnicy żydowskiej w Krakowie jego szanse na przeżycie będą większe niż w innym miejscu, postanowił wrócić do rodzinnego miasta. Po przybyciu na miejsce stwierdził ku własnej radości, iż bratu udało się przedostać do getta wcześniej. Z tysięcy ludzi przetransportowanych pociągiem śmierci do Bełżca nie przeżył nikt. Ich kat Martin Fellenz zrobił po wojnie karierę polityczną - udało mu się nawet zostać radnym miejskim z ramienia FDP (Freie Demokratische Partei, Wolna Partia Demokratyczna w Szlezwiku. W 1965 roku został jednak postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem wymordowania trzydziestu dziewięciu tysięcy Żydów. Wydano wówczas wyrok pozbawienia wolności na okres siedmiu lat.

W getcie odnalazł się także Jakub, zwany Kubą, najmłodszy z braci Lezerkiewiczów. Nie wytrzymałszy z tęsknoty za najbliższymi, opuścił ukrywających go Polaków, by udać się następnie do zamkniętej dzielnicy żydowskiej na ponowne spotkanie z rodziną. Zważywszy na okoliczności, było już jednak za późno. Wiktorowi udało się przekupić Żyda odpowiadającego za rejestrowanie zdolnych do pracy mieszkańców getta i już wkrótce Kuba pracował w fabryce kabli. Było to atrakcyjne dla Żydów miejsce pracy. Kierujący fabryką Niemiec Böhme słynął z ludzkiego traktowania swoich żydowskich pracowników.

Wiktor, który nie miał już kenkarty i z tego też powodu był w nieustannym

niebezpieczeństwie, znalazł schronienie w dużych zakładach krawieckich, po czym został przywrócony do służby w podobozie sanitarnym SS. Gdy się dowiedział, że naziści potrzebują ludzi do budowy nowego obozu pracy przymusowej w Płaszowie i że chętni robotnicy nie muszą okazywać kenkarty, zgłosił się do pracy przy budowie baraków. Szybko też został zatrudniony przy stawianiu pierwszych budynków wznoszonych przy drodze na Wieliczkę. Początkowo zarówno on, jak i jego koledzy, grupa pięćdziesięciu mężczyzn, musieli co wieczór wracać po pracy do getta. Droga wiodąca do pracy była długa, około sześciu kilometrów dzieliło plac budowy w Płaszowie od żydowskiej dzielnicy zamkniętej. Gdy zakończono budowę pierwszych trzech baraków, grupa robotników została zakwaterowana w jednym z nich. Nie było im już dane ujrzeć getta. Wiktor bardzo tęsknił za swoją przyjaciółką Reginą Steiner, przebywającą w tym czasie wraz z ojcem w żydowskiej dzielnicy zamkniętej, oraz za swoim bratem Leonem. Poza tym warunki panujące w Płaszowie były tragiczne. Dzienna racja żywnościowa przypadająca na jednego więźnia obejmowała: kromkę chleba i kubek czarnej kawy o poranku, miskę zupy w południe i kolejną porcję zupy wieczorem. Dla niektórych mężczyzn było to zdecydowanie za mało, wielu cierpiało głód, a gdy wygłodzeni tracili siły i nie byli już w stanie efektywnie pracować przy budowie, rozstrzeliwano ich. Kogo esesmani przyłapali na niezbyt energicznym wykonywaniu robót, ten otrzymywał karę w postaci dwudziestu pięciu razy wymierzanych skórzanym pejczem w gołe pośladki.

Wkrótce w tej ponurej scenerii zdominowanej przez baraki pojawi się człowiek, którego nikt już nie zapomni - Amon Leopold Göth.

Żywe trupy

Decyzja zapadła. Nowy obóz pracy przymusowej przeznaczony dla pozostających jeszcze przy życiu Żydów z podgórskiego getta miał powstać w Płaszowie. Gdy z Berlina nadszedł rozkaz budowy obozu, *SS-Obersturmbannführer* Haase i jego doradcy rozważali różne możliwe lokalizacje lagru. W grę wchodziły wieś Bronowice, położona w zachodniej części Krakowa, oraz Krzemionki, wzgórze, na którym armia cesarsko-królewska pozostawiła po sobie fortyfikacje. Ostatecznie z planów wykluczono Bronowice, niewystarczająco wówczas połączone z miejskim systemem wodociągów i kanalizacji. Także Krzemionki nie zadowalały w pełni architektów nowego obozu. Obawiano się, iż teren ten jest zbyt mały, by można było na nim wznieść wielki obóz. Ostatecznie wybór padł na Płaszów. 10 października 1942 roku ruszyła akcja przymusowego wysiedlania polskiej ludności z domów przy ulicy Jerozolimskiej. Przeniesiono rury wodociągowe i kanalizacyjne, wybudowano nowe ulice, a pobliskie cmentarze żydowskie zrównano z ziemią. W pobliżu drogi prowadzącej do Wieliczki ustawiono pale, na których rozciągnięto drut kolczasty oraz wywieszono tablice ostrzegawcze w języku polskim i niemieckim, wzbraniające niepowołanym osobom wstępu na teren powstającego obozu. Już wkrótce nad terenem przyszłego obozu wznosiła się pierwsza wieża wartownicza.

Niemcom bardzo się spieszyło. Już w listopadzie na terenie obejmującym oba cmentarze żydowskie w Woli Duchackiej rozpoczęto prace budowlane. Na zrównanych z ziemią, zniszczonych grobowcach, pomiędzy blade połyskującymi w słońcu kośćmi wykopanymi z grobów powstawało drewniane miasteczko dla „żywych trupów”, jak Niemcy cynicznie określali swoich żydowskich robotników. Stopniowo do Płaszowa napływały kolejne grupy robotników przymusowych z getta. Ogólnie strona niemiecka nie była zadowolona z postępów budowlanych, z tempa, w jakim wznoszono „obóz pracy przymusowej dla Żydów”.

Pierwszym komendantem na terenie budowy był *SS-Unterscharführer* Horst Pilarzik,

człowiek, którego Mietek Pemper określił później jako „dość prymitywnego osobnika”, cierpiącego na chroniczne dolegliwości ze strony układu pokarmowego, alkoholika, który w stanie upojenia stawał się nieobliczalny. 28 października, a więc w dniu ostatniej „akcji wysiedleńczej” w krakowskim getcie, komendant miał rozstrzelać wszystkich swoich „pierwszych” Żydów.

Tymczasem trwała systematyczna „likwidacja” żydowskiej dzielnicy zamkniętej. 14 grudnia Julian Scherner wystosował pismo do

Rlistungsinspektion (Inspekcji Uzbrojenia) oraz do wszystkich urzędów administracji wojskowej i prywatnych firm wykonujących zlecenia istotne z punktu widzenia gospodarki wojennej Rzeszy z żądaniem, aby instytucje te zatrudniały żydowskich robotników. Scherner zapowiedział wówczas bez ogródek, iż w przyszłości żydowscy pracownicy zostaną przeniesieni do „zamkniętego obozu pracy dla Żydów” w Płaszowie. Do czasu ukończenia budowy obozu Żydzi mieli pozostać w specjalnie ogrodzonej i chronionej części getta. Pracodawcy mieli odbierać stąd przydzielonych im robotników, towarzyszyć im w drodze do pracy, a następnie w drodze powrotnej z pracy. Zatrudniający Żydów mieli także otrzymać od komendanta Policji Bezpieczeństwa dla swoich pracowników specjalne *blaue Judenausweise*, niebieskie żydowskie dowody tożsamości, które mieli uzupełnić danymi osobowymi oraz informacjami dotyczącymi ich zatrudnienia. Wpisane do nich litery rozpoznawcze i liczby porządkowe musiały być zgodne z oznaczeniami, jakie od tej pory żydowscy robotnicy przymusowi nosili wyszyte na swoich ubraniach roboczych, po lewej stronie klatki piersiowej.

Podział getta krakowskiego na Getto A (*Arbeitsghetto*), przeznaczone dla około czterech tysięcy osób zdolnych do pracy, oraz Getto B, w którym zamknięto trzy tysiące ludzi niezdolnych do pracy, a więc dzieci, chorych i starców, został przeprowadzony 6 grudnia 1942 roku. Granicę między obiema częściami zamkniętej dzielnicy żydowskiej wyznaczono wzdłuż linii ciągnącej się od placu Zgody przez ulicę Targową aż po ulicę Józefińską. Także w tym wypadku nie sposób było nie dostrzec cynicznych kalkulacji nazistów. Niezdolni do pracy Żydzi musieli się pomieścić na obszarze 2,6 hektara, podczas gdy dopuszczeni do pracy mieszkańcy getta dysponowali terenem o powierzchni 7,1 hektara.

W grudniu 1942 roku *SS-Unterscharführer* Pilarzik został pozbawiony stanowiska przez Schernera. Organizację i nadzór nad budową obozu krakowski *SS-Polizdführer* powierzył teraz *SS-Hauptscharführerowi* Franzowi Josephowi Mullerowi, który od czerwca 1942 roku prowadził istniejące już mniejsze obozy pracy dla Żydów, tak zwane Julagi, w Płaszowie, Prokocimiu i Bieżanowie. Urodzony w 1910 roku w Mosbach w Badenii--Wirtembergii Muller był z zawodu introligatorem i ramiarzem, „człowiekiem o zaledwie przeciętnej inteligencji”. W sztabie Schernera pracował od grudnia. Wziął też udział w akcjach „wysiedleńczych” w roku 1942. Do kolejnego powierzono mu wielkiego zadania Muller przystąpił z wielkim zapałem. W swoim spisany po wojnie w areszcie „sprawozdaniu opartym na faktach” pod tytułem *Brücke zur Freiheit* (Most do wolności) Franz Joseph opisał poruczoną mu misję następująco: „Od Schernera otrzymałem zlecenie na budowę obozu barakowego przewidzianego jako zastępcze getto, który miał się wznosić na wzgórzu za cmentarzem żydowskim. Otworłem zatem biuro budowlane, zatrudniłem żydowskiego architekta i stworzyłem projekt, w którym wszystko rozplanowałem. Baraki z łaźniami dla rodzin, szkołę i przedszkole (*sic!*) i tak dalej. Mój architekt wykończył plan budowy i przedłożył go następnie dowódcy SS i policji. Ten krzyczał jak opętany, wymyślając mi od najgorszych: »Co też panu przychodzi do głowy?! Przedszkole, szkoła, łaźnie dla rodzin?! Może się panu jeszcze wydaje, że naszym zamiarem jest wychowanie tych Żydów?!«. I tak dalej. Podarł mój plan na strzępy i powiedział: »Należy stworzyć obóz barakowy tylko dla tych Żydów, których jeszcze potrzebujemy, wszyscy inni zostaną zgładzeni! Nosi pan mundur SS i jeszcze ma pan współczucie dla tej chmary pasożytów?!«”.

Mullerowi wyznaczono ostateczny termin - otrzymał sześć tygodni na ukończenie budowy nowego obozu, tak aby umożliwić likwidację getta. Scherner, który przez swoje pismo wystosowane do Riistungsinspek-tion sam postawił się pod presją czasu, wkrótce robił Mullerowi nowe wyrzuty - prace budowlane miały postępować nazbyt wolno, co wynikało rzekomo z niewystarczającej liczby robotników zatrudnionych przy budowie. Należało natychmiast zwiększyć tę liczbę do tysiąca Żydów. Muller wezwał więc do siebie dwóch funkcjonariuszy Ordnungsdienstu (OD, Żydowskiej Służby Porządkowej): Poldka Goldberga i Tomka Katza, i zarządził, żeby zatrudniali od tego momentu tysiąc robotników żydowskich. Po przeprowadzeniu przez Schernera spodziewanej kontroli odemani mogliby znów zwolnić nieco tempo budowy. Tymczasem jednak musieli się mieć na baczności.

Nazajutrz o godzinie ósmej trzydzieści zarządzono apel odliczeniowy. Szef sztabu w urzędzie Schernera Haase przybył na plac budowy, by osobiście przeprowadzić inspekcję. Muller opisuje to wydarzenie w *Brucke zur Freiheit* w następujący sposób: „Melduję mu tysiąc Żydów przy pracy. Odemani już mi o tym meldowali, ale nie wierzę w ani jedno ich słowo. Proszę zwołać wszystkich na apel! Gdy już wszyscy Żydzi stawili się na placu apelowym okazało się, że jest ich znacznie mniej. Wtedy Haase zaczął na mnie krzyczeć. »Co? To ma być tysiąc osób?! Odwaliło panu?! Proszę natychmiast zastrzelić tych dwóch oszustów«. Musiałem zabić obu. Razem było tylko dwustu dziewięćdziesięciu robotników, w tym wiele kobiet i dzieci. Byłem wściekły. Ja wypruwam sobie flaki, żeby wszystko szło jak należy, a oni nie są nawet w stanie zadbać o to, by zorganizować ten tysiąc ludzi na dzień albo dwa, tak żeby panowie inspektorzy byli zadowoleni”.

Kilka dni po zastrzeleniu Goldberga i Katza na plac budowy przyjechał na inspekcję sam Scherner. Swojemu kierownikowi obozu dał kilka sugestii - przede wszystkim należało poprowadzić między barakami zasieki z drutu kolczastego. Ponadto trzeba było przeprowadzić rygorystyczną segregację płciową więźniów, umieszczając mężczyzn i kobiety w dwóch odrębnych częściach obozu. Wreszcie Scherner zlecił jako priorytetowe zadanie skonfiskowanie położonych na obrzeżach obozu domów zamieszkiwanych przez Polaków. Mieszkańców należało po prostu wyrzucić z zajmowanych przez nich dotąd domostw.

„*Oherfuhrer*, nie mogę tego zrobić” - tak do planu Schernera ustosunkował się Muller.

Scherner wpadł w szal: „Co, pan nie może?! A mimo to jest pan esesmanem?! Przyślę panu przełożonego z Budziszyna! A teraz niech pan znika mi z oczu i każe się powiesić z pańskimi Żydami!”.

W swoim zadziwiającym „sprawozdaniu opartym na faktach” Muller zanotował później: „Gdy byłem już w swoim pokoju, nie mogłem się powstrzymać od płaczu. Pierwszy raz w życiu, ja, żołnierz, szlochałem jak małe dziecko”.

VI. "Jestem waszym bogiem!"

Słowa Juliana Schernera wypowiedziane w czasie inspekcji w Płaszowie o „człowieku z Budziszyna” nie okazały się bynajmniej czczymi pogroźkami. Pewnego dnia, dokładnie u lutego 1943 roku, zapowiedziany przez Schernera nowy przełożony Mullera przybył na miejsce. A był nim nie kto inny, tylko Amon Leopold Göth. Skąd jednak nowy komendant obozu w Płaszowie przybył wówczas w rzeczywistości? Na pewno nie z położonego nad Szprewą Budziszyna, lecz z obozu pracy przymusowej w Budzynie nieopodal Lublina. Muller musiał się przestyszczyć.

W każdym razie Göth przybył na Dworzec Główny w Krakowie i niezwłocznie udał się do biura swojego starego kumpla i przyjaciela Schernera, które mieściło się przy ulicy Oleandry 4. Obaj panowie znali się jeszcze z czasów monachijskich. Scherner, „cieszący się popularnością zarówno jako przywódca, jak i kolega”, dowodził od lutego 1933 roku w „mekce nazizmu” 1. SS-Standarte, a następnie awansował na dowódcę XIV Okręgu SS. Urodził się w 1895 roku w tanzańskim Bagamoyo, stolicy Niemieckiej Afryki Wschodniej. Był synem kapitana cesarskiego wojska kolonialnego, żołnierzem doświadczonym w prowadzeniu walki na linii frontu, odznaczonym Orderem Żelaznego Krzyża oraz Orderem Krwi. Jako członek freikorpsu Oberland, popierający nazizm już od czasu monachijskiego puczu Hitlera z 1923 roku, był panem życia i śmierci Żydów zamieszkujących dystrykt krakowski. Od sierpnia 1941 roku piastował funkcję szefa SS i policji w Krakowie, i to właśnie on ponosi odpowiedzialność za wszystkie deportacje ludności żydowskiej z krakowskiego getta do obozu zagłady w Bełżcu. Scherner dobrze się przygotował na przyjęcie Götha, uczynił wszystko, aby uatrakcyjnić mu czekające na niego nowe wielkie zadanie, jakim była dalsza rozbudowa obozu pracy w Płaszowie. Göth nie zastanawiał się zbyt długo, przystał na propozycję objęcia nowej funkcji w Płaszowie, bo zależało mu na tym, by być panem samego siebie. Przyjmując wyzwanie, widział w powierzonych sobie misji unikatową możliwość stworzenia swojego prywatnego królestwa. Nie bez znaczenia była także perspektywa korzyści materialnych wiążących się z nowym zadaniem, jaka zarysowała się w trakcie przyjacielskich konsultacji z Schernerem. Bez większych starań ze swej strony Göth mógł w obozie zrobić majątek.

Przejmując „władzę” w Płaszowie, nowy komendant obozu nie pozostawił nawet cienia wątpliwości co do swoich zamiarów. „Jestem waszym bogiem!” - oznajmił bez ogródek zgromadzonym na placu apelowym więźniom. Juliusz Spokojny, dwudziestoletni Żyd z Miechowa, przetrzymywany od stycznia w obozie przy ulicy Jerozolimskiej, jeszcze po latach wspominał zdanie wypowiedziane następnie przez Götha: „W dystrykcie lubelskim wykończyłem sześćdziesiąt tysięcy Żydów, teraz przysłała kolej na was!”.

Wkrótce osadzeni w obozie przekonali się, że ten człowiek jest jeszcze gorszy niż wszystko, co przeżyli do tej pory. Na wstępie „w brutalny i bezwzględny sposób” wyrzucono resztkę polskich rodzin z ich domostw przylegających do obozu. Z kolei robotnikom żydowskim wyznaczono nierealistyczne ostateczne terminy ukończenia prac budowlanych przy wznoszeniu „miasta z baraków”. I tak na przykład Göth zażądał wybudowania chłodni, dając więźniom dwa tygodnie na wykonanie odpowiednich prac. Groził, iż w razie niedotrzymania tego terminu zastrzeli wszystkich zaangażowanych w budowę więźniów.

Kilka dni po przybyciu Götha do Płaszowa na prośbę wspólnoty żydowskiej wizytę nowemu komendantowi złożył pięćdziesięcioletni lekarz Aleksander Bieberstein. Żydowskiemu medykowi towarzyszył kilka lat starszy doktor Schwarz. Celem spotkania tych dwóch lekarzy z Göthem miało być omówienie planów budowy szpitala oraz urządzeń sanitarnych na terenie powstającego obozu. Gdy dwuosobowa delegacja przybyła na miejsce, komendanta nie było w jego biurze, pojawił się dopiero po chwili. W rozmowie ze swoimi żydowskimi gośćmi sprawiał wrażenie człowieka niezmiernie uprzejmego i uprzedzająco grzecznego. Obu lekarzom zaoferował papierosy, poprosił, aby usiedli, a następnie zapytał ich o powód wizyty. Bieberstein i Schwarz próbowali przedłożyć Göthowi swoją prośbę, jednak ten prawie nie

dopuszczył ich do słowa. Zakomunikował, iż musi się teraz troszczyć o budowę dwóch obozów - w Płaszowie i Szebniach - i że w chwili obecnej ma dużo roboty. Stwierdził, iż jego aktualnym priorytetem jest budowa wielkich warsztatów w Płaszowie, dokąd w przyszłości miały zostać przeniesione firmy Zentrale für Handwerkslieferungen i Optima oraz przedsiębiorstwo Juliusa Madritscha. Göth zapewniał, iż jego zamiarem jest zagwarantowanie wszystkim Żydom, którzy mieli być w najbliższej przyszłości przesiedleni do obozu, godziwych warunków życia, odpowiedniej ilości pożywienia i możliwie najlepszej opieki medycznej. Jak wyznał później Bieberstein, w trakcie tej pamiętnej rozmowy Göth ani razu nie użył określeń typu „Żyd” czy „więzień”. Wręcz przeciwnie - przybrał pozę łaskawego organizatora, a nawet wystąpił w roli pacjenta. Pokazał obu gościom wrzody na swojej łydce i zapytał lekarzy o specjalizację. Doktor Bieberstein oznajmił, że jest internistą. Doktor Schwarz przedstawił się jako lekarz praktykujący, zwracając uwagę na fakt, że zajmuje się leczniczym zastosowaniem promieniowania rentgenowskiego i że jest rentgenologiem w szpitalu w getcie. Göth zapytał, czy aparat rentgenowski wykorzystywany przez Schwarza mógłby wyleczyć jego nogę z wrzodów. Gdy ten udzielił odpowiedzi przeczącej, komendant stwierdził, iż należy poczynić odpowiednie starania, aby pozyskać dla getta lepszy aparat. Göth poprosił jeszcze obu lekarzy, żeby zaszczepili go szczepionką Weigla przeciwko tyfusowi płamistemu; Niemcy mieli wykazywać słabszą odporność na tyfus, a wraz z rozbudową obozu przewidywano wzrost niebezpieczeństwa zarażenia się tą chorobą. Tym samym rozmowa dobiegła kresu. Schwarz i Bieberstein wrócili do getta, gdzie na specjalnie zorganizowanej konferencji zdali relację z przebiegu spotkania z komendantem obozu. Kilku kolegów z gremium wyraziło zadowolenie z wyniku rozmowy. Doktor Bieberstein nie podzielał ich entuzjazmu. Zinterpretował wystąpienie Götha jako cyniczny pokaz sztuki przebiegłości i perfidii.

Po upływie dwóch - trzech dni Bieberstein i jego koledzy otrzymali od inżynierów zatrudnionych przy budowie obozu kopię projektu planowanego szpitala. I rzeczywiście okazało się, że władze obozu przewidywały budowę szpitala, który miał obejmować trzy do czterech baraków połączonych korytarzami. Na planie wszędzie roiło się od pięknych okien i małych pokoi dla pacjentów. Wyglądało na to, iż pomyślano nawet o mieszkaniach dla szpitalnych lekarzy. Bieberstein pozostawał jednak sceptyczny; nie wierzył, że przedłożony projekt zostanie rzeczywiście zrealizowany. Wkrótce nabrał jeszcze większych podejrzeń co do uczciwości komendanta. Gdy przyszedł się do niego zaszczepić jeden z podoficerów odpowiedzialnych za aprowizację obozu, Bieberstein otrzymał od niego przez przypadek listę z informacjami dotyczącymi przewidywanych dziennych racji żywnościowych. Według niej, na osobę miało przypadać 2220-2500 kalorii dziennie. Nawet w wypadku najbardziej optymistycznej interpretacji tych danych było to i tak o wiele za mało dla ciężko pracujących ludzi.

W jeden z pierwszych marcowych dni z getta do Płaszowa udała się kolejna delegacja lekarzy - tym razem w jej skład wchodziło pięć albo sześć osób. Jednak z Göthem rozmawiali osobiście znów tylko doktor Bieberstein i doktor Schwarz. Różnica między pierwszą a drugą rozmową była ogromna. Göth przyjął gości już nie w swoim biurze, lecz przy stole kreślarskim, gdzie pokazał im baraki, w których miał się mieścić szpital. Gdy Bieberstein poczynił uwagę, iż baraki z drewna nie nadają się na budynki szpitalne, Göth odpowiedział zdawkowo, że w obozie mają żyć pracujący, a nie ciężko chorzy ludzie i że wszelkie niedogodności zostaną z czasem zniwelowane. Rozmowa trwała raptem dwie minuty. Po życzliwości komendanta charakteryzującej pierwsze spotkanie nie było już ani śladu.

Był piątek 5 marca 1943 roku. O poranku Göth kazał więźniom stawić się na placu apelowym. W owym dniu siedemnastoletni Moniek Pun-tirer, przebywający od września 1942 roku w Płaszowie syn kazimierskiego mleczarza, był świadkiem przerażającej sceny. Z powodu nieobecności dwóch dziewczynek, które uciekły do getta, Göth zastrzelił dwóch żydowskich kapo. Mężczyźni musieli uklęknąć, po czym zostali zabici przez komendanta strzałami oddanymi z niewielkiej odległości. Następnie Göth zdjął kapelusz, napełnił go krwią zamordowanych właśnie kapo i włożył na głowę jednego ze współwięźniów Puntirera. „Teraz to ty przejmujesz tu dowodzenie!” - powiedział do kompletnie zaskoczonego mężczyzny. Była to scena, która wciąż przyprawia Puntirera o „śmiertelny strach” i której ów świadek nigdy nie zapomni. Göth wydał mu się wtedy „drapieżnikiem w trakcie łowów”. Puntirer i inni więźniowie szybko się zorientowali, jak szczególną rolę dla Götha odgrywa nakrycie głowy.

Gdy komendant wkładał furazerkę, nie należało się go obawiać. Gdy natomiast wkładał czapkę oficerską lub, co gorsza, kapelusz tyrolski, Moniek Puntirer biegł w stronę latryny, do której Göth nigdy nie wchodził. Göth wkraczał wówczas do baraków i opuszczał je dopiero, gdy zastrzelił kilka osób.

Wieczorem tego pamiętnego dnia, 5 marca 1943 roku, Göth zaszokował obóz pierwszą egzekucją. Obie zaginione dziewczynki - Rega Teich-mann-Salz i Erica Weitz - zostały odnalezione. Wprawdzie miały zezwolenie na opuszczenie obozu, jednak nie wróciły na noc. Göth zarządził poszukiwanie zaginionych na terenie getta, gdzie zostały wreszcie złapane. Wróciły do obozu w Płaszowie pod eskortą dwudziestu strażników. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, jaka kara czeka uciekinierki. Więźniowie spekulowali, że pewnie skończy się na chłóście. Jednak dla Götha „brak dyscypliny” stanowił wystarczający powód i dogodną okazję, by przeprowadzić pokazową egzekucję. Rega i Erica, mimo że były prawie dziećmi, miały zostać publicznie powieszane o siódmej wieczorem, i to w obecności całej załogi obozu. Zanim jednak do tego doszło, wymierzono im jeszcze karę chłosty, a powstałe rany posypywano jodem. Dziewczęta do samego końca były trzymane w niepewności - nie poinformowano ich o tym, co je miało spotkać w najbliższym czasie.

„Przedstawienie” rozpoczęło się na placu apelowym po tym, jak więźniowie wrócili z pracy do obozu. Na kata został wyznaczony pochodzący ze znamienitej żydowskiej rodziny kapo Itche Saltz, okularnik. Ponieważ nie posiadał nawet porządnego stryczka, użył paska. Podczas egzekucji jednej z dziewczyn zerwał się skórzany rzemień, na co Göth zareagował jeszcze większym okrucieństwem. Kazał raz jeszcze powiesić nieszczęśnicę, a następnie oddał kilka strzałów do dyndającego ciała. Jej bolesnej śmierci towarzyszył szlagier wygrywany przez niemiecki zespół obozowy, piosenka, którą Göth osobiście wybrał specjalnie na tę okazję, pod tytułem *Komm zuruck!* Rudiego Schuricke.

Świadcami tej okropnej sceny byli między innymi zatrudniona w fabryce kabli siedemnastoletnia Felicja Friedmann z Krakowa oraz pracujący dla niemieckiej firmy *Zentrale für Handwerkslieferungen*, mieszczącej się przy ulicy Limanowskiego 4, dziewiętnastoletni Juliusz Feldman. W przedsiębiorstwie tym składowano meble zrabowane Żydom, które reperowano i dostarczano różnym nazistowskim bonzom. Możliwe, że również Göth zaopatrywał się w *Zentrale*, urządzając swoją willę.

Mord na Dianie Reiter

Prace budowlane na terenie obozu szły pełną parą. Nadzór nad nimi Göth powierzył pochodzącemu z Krakowa czterdziestosiedmioletniemu żydowskiemu inżynierowi Zygmuntowi Grünbergowi, który miał być protegowanym Schernera. Grünberg był zdolnym architektem, który nawet w atmosferze strachu i niepewności towarzyszącej budowie barakowego świata sprostał zadaniu. „Gdy wszyscy już się dawno poddali, Grünberg zawsze znalazł jakieś rozwiązanie” - tak o żydowskim architekcie napisał później Mietek Pemper.

Także Göth szybko przekonał się o wielkich umiejętnościach swojego podwładnego. Między komendantem i żydowskim inżynierem nawiązała się dziwna relacja. Początkowo Göth obiecywał Grünbergowi przyznanie lepszego statusu w obozie. „Będziesz tu żył jak król, jeśli tylko spełnisz wszystkie moje życzenia” - jak donosi Jakub Stendig w swojej książce o Płaszowie, takimi słowy miał się zwrócić Göth do architekta z okazji „przekazania urzędu”. Jednocześnie komendant obarczał Grünberga odpowiedzialnością za wszelkie problemy związane z budową obozu. Dawał przy tym upust swoim sadystycznym skłonnościom, bezlitośnie bijąc i dręcząc przy każdej nadarzającej się okazji żydowskiego inżyniera. Według

więźniów, Grünberg był tym nieszczęśnikiem, na którym, jak w soczewce, ogniskowały się niezmiernie często napady wściekłości komendanta. Ponieważ jednak obozowy architekt był lubiany przez Schernera, Göth nie mógł sobie pozwolić na zabicie go, mimo że niejednokrotnie omal do tego nie doszło. Gdy pewnego dnia znajdujący się u kresu wytrzymałości, zrozpaczony Grünberg błagał, by jego dręczyciel zastrzelił go na miejscu, ten odpowiedział, iż nie przyszła jeszcze na to pora, jako że w dalszym ciągu potrzebował swojego zdolnego architekta.

Według Mietka Pempera, nienawiść, jaką Göth żywił względem Grünberga, wynikała w znacznej mierze z faktu, iż komendant, niczym jego wzór - Adolf Hitler - miał szczególne zamiłowanie do architektury, a nawet prawdopodobnie nosił się z zamiarem studiowania tego kierunku po zakończeniu wojny.

W Płaszowie budowano nie tylko drewniane baraki dla więźniów, lecz także solidne domy z cegły dla oficerów SS i załogi obozu. Funkcję nadzorca żydowskiej ekipy budowlanej pełnił wówczas pełen zaangażowania *SS-Oberscharführer* Albert Hujar. Pewnego dnia na placu budowy pojawił się problem. W mierzącym około ośmiu metrów długości i dwóch metrów wysokości murze koszarów straży obozowej pojawiły się pęknięcia. Odpowiedzialna za wykonanie muru architektka, młoda Żydówka Diana Reiter, wyjaśniła, iż przyczyną defektu były najwidoczniej wilgotne cegły użyte do wznoszenia muru, które później zamarzły na mrozie.

Hujar zgłosił problem Göthowi, który wezwał do siebie Reiter. Komendant przez kilka minut wsłuchiwał się w opinię Żydówki, stopniowo popadając w furję z powodu całej tej żydowskiej „paplaniny”. „Sprzątnij ją, tę przekłętą inżynierkę!” - wykrzyczał Amon, a Albert Hujar uczynił to, co mu nakazano. Odciągnął kobietę na bok, rzucił ją na ziemię, wyciągnął pistolet i strzelił jej w potylicę. Bezpośrednio po dokonanej mordzie Jakub Stendig i inni stojący w pobliżu robotnicy z przerażeniem obserwowali sprawiającego wrażenie wyraźnie odprężonego i wesołego Götha. Po raz pierwszy byli świadkami swoistego „zadowolenia” wynikającego z morderczej agresji. Schedę po zamordowanej Żydówce przejął inżynier Jakub Stendig, który kierował w getcie wydziałem budowlanym.

Z listów otrzymanych od Götha w niedługim czasie wszyscy znajomi i krewni komendanta, przede wszystkim zaś jego przyjaciele esesmani z Lublina, a także mieszkający w Wiedniu ojciec, dowiedzieli się, iż Amon wreszcie stał się panem samego siebie.

W sobotę 13 marca 1943 roku przystąpiono do „likwidacji” krakowskiego getta. W tym dniu kanclerz Rzeszy Adolf Hitler odwiedził Grupę Armii „Środek” i po raz kolejny nie powiódł się zamach na jego życie. Adwokat i porucznik doktor Fabian von Schlabrendorff, w tym czasie pełniący funkcję adiutanta Henninga von Tresckowa, szefa sztabu 2. Armii, przemycił do samolotu *führera* bomby ukryte w butelkach z koniakami. W decydującym momencie zawiódł jednak zapalnik ładunku wybuchowego - w ładowni samolotu było za zimno.

Tymczasem były „szef” Götha Odilo Globocnik poszerzył w tym dniu zakres swoich „przedsiębiorczych” poczynań. Stał się kierownikiem spółki Ostindustrie GmbH, której lukratywne interesy były związane z „aryzacjami”, transferami majątkowymi i organizacją pracy przymusowej. Bankiem obsługującym przedsiębiorstwo był Dresdner Bank, którego dyrektorem profesor doktor Emil Heinrich Meyer, służący w SS w stopniu *Standartenführera*, był niezmiernie szczęśliwy z powodu prawa do prowadzenia kont „Osti”.

„Wysiedlenie” zostało dobrze przygotowane organizacyjnie. Już na kilka tygodni przed rozpoczęciem akcji - o czym już była mowa powyżej - getto podzielono na Część A i Część B, a między obydwojma podget-tami poprowadzono drut kolczasty. Migracja między obiema częściami zamkniętej dzielnicy żydowskiej była surowo zabroniona. Getto A zamieszkiwali ludzie zdolni do pracy, Getto B zostało przeznaczone dla niepracujących, czyli starców, chorych i dzieci. Wielu pracujących mieszkańców getta nie zamierzało jednak opuścić swoich krewnych w potrzebie i nielegalnie przedostawało się do Getta B. Była to decyzja, którą przypłacili życiem.

O godzinie jedenastej przed południem szef odemianów Dawid Gutter obwieścił odpowiedni rozkaz Schernera. Wszyscy mieszkańcy Getta A mieli w ciągu czterech godzin przygotować się do „przesiedlenia” na teren nowego obozu w Płaszowie. Tadeusz Pankiewicz, właściciel apteki w getcie, był następnie świadkiem, jak Göth i jego ludzie rzucili się na zgromadzonych na placu Zgody Żydów. W swoich wspomnieniach aptekarz opisuje wygląd i zachowanie Götha w tym dniu w następujący sposób: „Göth jest roslym, przystojnym mężczyzną o atletycznym ciele osadzonym na cienkich nogach, proporcjonalnie zbudowanej głowie i niebieskich oczach. Ma na sobie czarny skórzany płaszcz. W dłoni trzyma szpicrutę, u jego boku znajdują się jego oba psy”.

Göth i jego siepacze zachowywali się tak, jakby byli upojeni krwią. Nadarzyła się wreszcie okazja, aby pokazać mięczakom z Krakowa, czego nauczyli się na Wschodzie, biorąc udział w „Akcji Reinhardt”. Naocznym świadkiem tego krwawego szaleństwa była pracująca w zakładach Mar-ditscha trzydziestosześcioletnia Żydówka z Sosnowca Estera Schwimmer. Stojąc w jednym z pięcioosobowych rzędów osób gotowych do wymarszu z getta do obozu w Płaszowie, trzymała za rękę dwuipółletnie dziecko swojej siostry, która została zamordowana jeszcze w 1942 roku. Nagle na placu pojawił się Göth, który wyrwał jej dziecko z ręki i cisnął nim o ziemię. Estera wybuchła płaczem. Chciała podnieść brutalnie potraktowane przez komendanta dziecko, jednak Göth jednym kopnięciem przywrócił ją do szeregu, który miał niebawem wyruszyć do Płaszowa.

Na krążącego w amoku wokół kolumny więźniów Götha natknął się także Samuel Stóger wraz ze swoją rodziną, którzy ustawili się przy ulicy Węgierskiej. Komendant raz po raz wyrwał matkom z rąk ich dzieci, bił je szpicrutą po twarzach. Gdy Göth chciał odebrać dziecko żonie Samuela Stógera, a matka wzbraniała się przed wydaniem go na pastwę oprawcy, została zmuszona do wystąpienia z szeregu wraz z dzieckiem. Göth brutalnie pobił niesubordynowaną więźniarkę. Tymczasem kolumna osób, w której żona Stógera stała jeszcze przed chwilą, maszerowała dalej. Samuel Stóger nie ujrzał już więcej ani żony, ani dziecka. Przez cały następny dzień, a była to niedziela, stał u bramy obozu w Płaszowie, daremnie. Zamiast przybywających do obozu żywych widział jedynie wywożone sterty nagich zwłok. Stóger usiłował rozpoznać wśród nich kogoś ze swoich bliskich, jednakże nie mógł na dłuższą metę znieść przerażającego widoku zmasakrowanych. Gdy kilka tygodni później do obozu zostały dostarczone ubrania pomordowanych, Stóger rozpoznał płaszcz żony i ubranko swojego dziecka.

W jednym z pięcioosobowych szeregów stał w tym pamiętnym dniu 13 marca 1943 roku także Leon Bittersfeld, obchodzący właśnie swoje piętnaste urodziny. Jubilat był smukłym, osieroconym przez oboje rodziców chłopcem. Jego parający się handlem tekstyliami ojciec Izaak był krakowskim Żydem. W momencie wybuchu wojny załatwiał interesy w Berlinie. Naziści aresztowali go i osadzili w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie został zamordowany. Matka Leona Róża zmarła na nieuleczalną chorobę, a jego brat Julek dostał się jako żołnierz polskiej armii do sowieckiej niewoli. Aby sprawić wrażenie starszego i większego, niż był w rzeczywistości, Leon, który mimo swego młodego wieku poczynił już ogromne postępy, jeśli chodzi o sztukę przetrwania, uciekł się do fortelu. Stał na drewnianym klocku, skrętnie maskowanym noszonym przez chłopca długim płaszczem. Mimo to postać rosnącego mężczyzny o mlecznej twarzy zbudziła czujność Götha, który podszedł do chłopca i zapytał go o wiek. Nie zastanawiając się ani chwili, Leon odrzekł: „Osiemnaście!”, przy czym starał się nadać swojemu głosowi niskie, świadczące o dojrzałości, męskie brzmienie. „Twój zawód?” - zapytał Göth. „Blacharz!” - padła odpowiedź, która zadowoliła komendanta. Takich fachowców jak ten młody mężczyzna potrzebował w Płaszowie. Leon nie do końca kłamał. W getcie nie tylko szmugłował żywność, lecz także pracował już jako blacharz w zakładzie żydowskiego przedsiębiorcy Westreicha. I już wtedy przekonał się na własne oczy, do czego są zdolni naziści. Jego szef Westreich został zamordowany przez hitlerowców, a Leon był świadkiem tej „egzekucji”, po której zaniósł zwłoki swojego pracodawcy na cmentarz.

Żydzi wysiedlani z getta mogli wziąć ze sobą do Płaszowa jedynie trzydzieści kilogramów bagażu. Surowo zabroniono im zabierania jakichkolwiek przyborów do pisania, papieru i

książek. Każdy, kto śmiał wziąć ze sobą odbiornik radiowy, ryzykował życiem. Wszystkie dokumenty osobiste, takie jak paszporty czy metryki urodzenia, nadające się do ustalenia względnie potwierdzenia tożsamości danej osoby, zostały przyszłym więźniom obozu odebrane. Żydzi z getta, uformowani w pięcioosobowe szeregi, wyruszyli w drogę do Płaszowa. Do pokonania mieli trasę o długości około trzech kilometrów.

Przybywających do obozu Żydów obserwował od strony wejścia do Julagu I Franz Joseph Müller: „Kolumna maszerujących wydawała się nie mieć końca. Matki płakały, po raz ostatni tuląc swoje dzieci do piersi. Niektóre z kobiet były na wpół nagie, inne miały na sobie szlafroki. Na koniec ujrzałem scenę, której nigdy nie zapomnę (*sic!*). Najpierw moim oczom ukazały się dwie zaprzężone w konie furmanki, duże bryczki z gumowymi kołami, wypełnione zwłokami. Za nimi jechało jeszcze kilka mniejszych wozów, również wyładowanych zwłokami. Z wozów ciekła krew, a jej ślady (*sic!*) znajdujące się na trasie wędrówki przesiedlanych Żydów znaczyły jeszcze przez wiele dni drogę z getta do obozu koncentracyjnego. Pochód maszerujących Żydów zamykał obozowy tyran jadący w swoim samochodzie: Amon Göth”.

W szeregu osób przeznaczonych do deportacji do Bełżca stała także Helen Sternlicht. Przyglądała się, jak przyjaciółka jej siostry Broni próbowała przekupić esesmana. Ten przyjął wprawdzie ze stoickim spokojem oferowaną mu łapówkę, jednakże nie przeszkodziło mu to w zmuszeniu Żydówki, której pogroził lufą swojej broni, do powrotu do szeregu skazanych na pewną śmierć. Helen zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę. Zauważyła mężczyznę ładującego na wóz zaprzężony w konia bańki z mlekiem, które miały zostać zawieszone do obozu. Gdy mężczyzna odwrócił się znowu w stronę baniek z mlekiem, opanowana Helen wskoczyła na wóz, ukryła się pod lnianą płachtą, którą zostały przykryte bańki. W ten oto sposób udało jej się dotrzeć do Płaszowa.

Jej siostra Bronia ukrywała się w tym czasie w piwnicy domu, w którym niegdyś mieszkała ich rodzina. Wolała umrzeć, niż podążać z innymi w marszu śmierci do Bełżca. Gdy próbowała później znaleźć nową kryjówkę w domu obok, została dostrzeżona przez kilku esesmanów, którzy jednak pozwolili jej zbiec. „Pozwól jej żyć. Jest jeszcze młoda!” - miał wówczas powiedzieć do swego kolegi jeden z nich. W sąsiednim domu sytuacja wcale nie wyglądała lepiej. Znalazło tu już schronienie dwadzieścia osób. Ale Bronia miała szczęście. Po zakończeniu „akcji” jeden z odemanów wydobyl ją z kryjówki i zaprowadził do Płaszowa.

W niedzielę 14 marca na celowniku Götha i jego ludzi znalazło się Getto B. Także mieszkańcy tej części krakowskiego getta otrzymali od Schenera rozkaz, by się przygotować do „wysiedlenia”. Na placu Zgody „selekcję” przeprowadzał wówczas sam Göth. Spośród starszych mieszkańców getta komendant obozu w Płaszowie wybrał sto pięćdziesiąt osób, które uznał za zdolne do pracy. Jednak *Obersturmbannführer* Haase nie zgodził się na tak wielką ich liczbę i zlecił rozstrzelanie połowy z nich na miejscu. Ci, którym udało się uniknąć natychmiastowej egzekucji, czyli pozostałych siedemdziesięciu pięciu Żydów, musieli później rozebrać zwłoki pomordowanych z ubrań i załadować je na wóz przewożący różne towary do obozu w Płaszowie.

Jednym z ważniejszych celów „akcji” przeprowadzonej 14 marca był szpital żydowski przy ulicy Józefińskiej, w którym wielu pacjentów zostało zabitych we własnych łózkach. Operacją dowodził *SS-Oberscharführer* Albert Hujar. Ludzi wyrzucano przez okna z trzeciego piętra, co oznaczało pewną śmierć, kilku lekarzy zastrzelono wraz z pacjentami. Przeczesano także domy w okolicy i każdy, kto został wówczas wytropiony, albo ginął na miejscu z rąk hitlerowskich oprawców, albo był pędzony na plac Zgody, gdzie i tak ponosił śmierć od kuli.

Bilans ofiar „likwidacji” getta wyglądał następująco: około tysiąca osób zostało zamordowanych tylko w ciągu tych dwóch dni, cztery tysiące ludzi deportowano, z czego połowa została przetransportowana do obozu zagłady Auschwitz.

W poniedziałek 15 marca czterdziestu pracowników żydowskiej opieki zdrowotnej otrzymało

rozkaz przeniesienia całego wyposażenia medycznego głównego szpitala w getcie do Płaszowa. Göth nie zezwolił na przetransportowanie do obozu aparatu rentgenowskiego, po którym spodziewał się jeszcze nie tak dawno temu wyleczenia wrzodów na swojej nodze. Urządzenie zostało zarekwirowane, rozebrane, a części posłane do Rzeszy. Transport urządzeń medycznych do szpitalnych baraków w obozie trwał cały tydzień i odbywał się pod ścisłą kontrolą esesmanów. W szpitalu postawiono czterdzieści pięć łóżek.

Kierownikiem strefy dla chorych został doktor Leon Gross, młody żydowski lekarz, który uczęszczał swego czasu do szkół niemieckich na Śląsku, a następnie ukończył studia medyczne we Włoszech. Gross przybył do Płaszowa wraz z dwoma innymi lekarzami już w grudniu 1942 roku i mimo że surowo zabraniano powierzania leczenia „aryjskich” pacjentów żydowskiemu lekarzom, Göth nabrał do Grossa takiego zaufania, iż zlecił mu opiekę medyczną nad niemieckimi i ukraińskimi esesmanami ze straży obozowej. Zresztą sam komendant pozwalał się dotykać i badać Grossowi, nie uważając tego wykroczenia przeciwko obowiązującym przepisom za nic niestosownego. Najwidoczniej w wypadku gdy chodziło o własne cenne zdrowie, szaleństwo rasowe nie odgrywało większej roli. I tak Göth pozwolił się zaszczepić żydowskiemu lekarzowi, a później także przeszedł u niego terapię przeciwko cukrzycy. W zamian za świadczone usługi Gross cieszył się licznymi przywilejami. Uzyskał prawo do noszenia munduru Ordnungsdienstu, mógł się też swobodnie poruszać po terenie obozu. Jeśli wierzyć takim świadkom jak Jehuda L. Stein, który przybył do Płaszowa 25 maja 1943 roku z małego obozu w Czarnym Dunajcu, to Gross okazał się wkrótce kolaborantem najgorszego gatunku. Żydowski lekarz miał szykanować swoich kolegów po fachu, wzbogacać się kosztem pacjentów z „obozowej elity” i wykazywać nadgorliwość w wykonywaniu rozkazów Götha. Swoją postawę miał po wojnie przypłacić życiem. Latem 1945 roku doktor Leon Gross został aresztowany przez polskich policjantów. Następnie skazano go na śmierć i stracono.

„Była to wzorcowa akcja przesiedleńcza” - tak o przeprowadzonej operacji likwidacji getta w Krakowie wyraził się później w swojej książce o „ostatecznym rozwiązaniu” Gerald Reitlinger.

VII. Królestwo Mony'ego

Płaszów dziś: na ulicy Wielickiej, trójpasmowce wyjazdowej prowadzącej na wschód w kierunku Tarnowa, Rzeszowa, Przemyśla, ruch uliczny nie ustaje ani na chwilę. Tuż obok leżą stłoczone tory tramwajowe oraz kolejowe. „Dworcowa” - taką nazwę nosi przystanek, na którym trzeba wysiąść, jeśli jest się turystą zwiedzającym były obóz. Członkowie Wehrmachtu różnego szczebla, z wartownikami włącznie, płacili niegdyś za przejazd tramwajem linii 6, jadącym z centrum do Płaszowa, dziesięć groszy. Tymczasem „zwykli” pasażerowie musieli nabywać bilety za dwadzieścia pięć groszy. Alternatywą była przejażdżka wygodną dorożką. Jeśli chciało się przejechać fiakrem z placu Dworcowego w Krakowie do Płaszowa, trzeba się było liczyć z wydatkiem rzędu około trzech złotych. Tyle wynosiła opłata za przejazd w bardziej luksusowych warunkach.

Droga do obozu wiedzie przez skrzyżowanie, na którym ruch uliczny jest regulowany za pomocą sygnalizacji świetlnej. Ludzie załatwiają tu swoje codzienne sprawy. Na lewo od ulicy Wielickiej znajduje się niewielkie centrum handlowe, po prawej stronie - McDonald's i charakterystyczne wieżowce z wielkiej płyty wznoszą się ku niebu. „Apartamenty na przyszłość” - taki napis widnieje na jednym z wielkich szyldów. Na skraju byłego „barakowego miasteczka” buduje się nowe osiedle mieszkaniowe z widokiem na teren niegdyśszego obozu. Kawałek dalej stoi na wielkiej pustej przestrzeni mroczny monolit, którego nie sposób nie dostrzec. To tak zwany Szary Dom, w którego piwnicach esesmani przetrzymywali i torturowali więźniów. Budynek jest obecnie zamieszkiwany przez nowych lokatorów. Słychać dochodzące ze środka odgłosy telewizora. Ciekawe, co też obecni mieszkańcy tego domu wiedzą na temat przeszłości tego budynku.

Na horyzoncie pojawia się tablica informacyjna oznajmiająca, iż w tym miejscu zaczyna się teren byłego obozu koncentracyjnego w Płaszowie, zwiedzających uprasza się o stosowne zachowanie. To właśnie tutaj musiało się niegdyś znajdować wejście dla więźniów. Po lewej stronie biegnie w górę ulica Heltmana, nazywana niegdyś po prostu SS-Strafie. Nowoczesne mieszkania, zadbane ogródki, kawałek dalej budynek numer 22, tak samo widoczny jak przed chwilą Szary Dom.

Jest to była willa Götha. Budynek sprawia upiorne wrażenie, budzi grozę, zardzewiałe ogrodzenie uniemożliwia wejście do środka. Farba, która zdobiła niegdyś wieńczącą budynek kopułę w kształcie cebuli, odpada. Dziś trudno już ją dojrzeć. Nie ma też śladu po marmurze, którym było niegdyś wyłożone wejście do willi. Ten szlachetny kamień więźniowie przynieśli tu z pobliskiego cmentarza żydowskiego, który poddano rozbiórce. Nie ma żadnych tablic z informacjami na temat przeszłości budynku. Obecnie w magistracie toczą się rozmowy na temat przekształcenia budynku w muzeum miejskie.

Droga od niegdyśszej bramy głównej wiedzie w stronę nierównego terenu. Po lewej stronie w skale wydrążono jamy, które miały służyć jako schrony przeciwlotnicze. Gdy podchodzę bliżej, słyszę dziarskie polskie powitanie „Dzień dobry!”. Mój bezdomny rozmówca znalazł tu, pośród odpadów oraz licznych plastikowych toreb, swój nowy dom. Nie wdając się w zbędną dyskusję z nieznanym, kontynuuję swoją wędrówkę na tak zwaną Hujową (albo Chujową) Górkę. Miejsce to nazywano także Wzgórzem Śmierci - każdego dnia więźniowie skazani na śmierć przez rozstrzelanie przemierzali tę drogę. Po obu stronach znajdują się rowy, ogromne zwaly betonu i wciąż jeszcze wiele nagrobków żydowskich, których nazistom nie udało się całkowicie zetrzeć z powierzchni ziemi. Dotarwszy na samą górę, zobaczyłem kamienny pomnik wzniesiony ku pamięci pomordowanych ofiar. Ze wzgórza roztaczał się dobry widok na teren całego obozu; mimowolnie zadałem sobie pytanie, jak w tej księżycowej scenerii w ogóle mogli mieszkać ludzie. Jak to możliwe, że niektórym z nich udało się tu przeżyć? Sama myśl o utworzeniu w tym miejscu obozu pracy przymusowej mogła się zrodzić tylko z cynicznego wyrachowania nazistowskich architektów tego planu.

Zaraz po przyjeździe do Płaszowa nowy komendant wprowadził się do domu nieopodal

kuchni obozowej, którą zaadaptowano później na piekarnię. Wkrótce jednak Göth przeprowadził się do tak zwanego *Untersturmführerhaus*, położonego niedaleko głównego wejścia do byłego obozu przy ulicy Jerozolimskiej. Siedziba komendanta przeszła do historii płaszowskiego obozu jako Czerwony Dom. Nazwa tego budynku wzięła się stąd, iż miał on surowe nieotynkowane ściany z cegły. W pobliżu mieszkali także inni prominentni członkowie ekipy Götha. Byli to Leonhard John, Albert Hujar, Edmund Zdrojewski oraz Franz Grim. Od samego początku nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że przyszła „siedziba urzędu” Götha musi zostać urządzona zgodnie z oczekiwaniami komendanta. A zatem musiała to być willa - takie było życzenie nazistowskiego mordercy i członka cyganerii z Wien-Mariahilf.

Göth sukcesywnie kompletował swoją „drużynę”. Przede wszystkim potrzebował sprawnego pisarza do prowadzenia dokumentacji w komendanturze. Od samego początku było dla niego jasne, że nakład pracy administracyjnej, jakiego wymagała od niego biurokracja SS, będzie ogromny. Na próbne dyktando zaproszono dwóch poleconych mu więźniów: niejakiego Heinza Dresslera, który miał ukończyć liceum ekonomiczne i słynąć z wzorcowego prowadzenia stenogramu, oraz dwudziestotrzyletniego studenta Mietka Pempera. Pemper był synem krakowskiego kupca. Sam nauczył się niemieckiej stenografii, a jego podstawową zaletą było to, iż dorastał w dwujęzycznej rodzinie - tak więc Göth, nie zastanawiając się długo, zdecydował się właśnie na niego. Ostatecznie potrzebował także dobrego tłumacza ustnego. I trzeba przyznać, że komendant nie pożałował dokonanego wówczas wyboru. W osobie Mietka Pempera pozyskał do pracy w biurze bystrego pracownika, który do czasu zamknięcia krakowskich uczelni studiował w dwóch szkołach wyższych: prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz rachunkowość i zarządzanie na Akademii Handlowej w Krakowie. Przebywający w obozie wraz z rodzicami i młodszym bratem Stefanem Mietek pracował wcześniej w żydowskiej dzielnicy zamkniętej dla Judenratu, gdzie był prawą ręką zarządzającego Radą Żydowską Dawida Guttera. Już wkrótce udało mu się odnaleźć w nowo powierzonej mu funkcji, choć zawodził, gdy wymagano od niego tłumaczenia zeznań torturowanych więźniów: „Moje przerażenie i osłupienie wyprowadzało mnie z równowagi do tego stopnia, iż zamiast tłumaczyć, byłem w stanie jedynie powtarzać w oryginalnym brzmieniu strzępki słów wydobywające się z piersi katowanych ofiar”.

Göth był jednak skłonny wybaczyć Pemperowi tę jego „słabość” -do tłumaczenia zeznań torturowanych więźniów angażował innych.

Ponieważ biurokratyczna robota działała komendantowi na nerwy, szybko potrafił docenić znaczenie swojego zdolnego pracownika. Z chęcią pozwalał się „odciążać” Mietkowi, któremu powierzył wkrótce prowadzenie całej swojej korespondencji. Dzięki temu żydowski pisarz otrzymał wgląd w sprawy, o których zwykli więźniowie obozu nie mieli zielonego pojęcia. Będąc do dyspozycji komendanta o każdej porze dnia i nocy, a także ofiarując swojemu przełożonemu dowolną ilość czasu, niezwykle uzdolniony stenograf potrafił umocnić swoją pozycję, a nawet zapewnić bezpieczeństwo swojemu ojcu, który miał protezę nogi, a mimo to znalazł względnie bezpieczne zatrudnienie w brygadzie roboczej piekarzy. Dopiero po jakimś czasie potwierdziły się podejrzenia Pempera: początkowa nieufność komendanta w stosunku do swego pracownika spowodowała, iż zlecił on jego szpiegowanie. Chciał się dowiedzieć, czy żydowski stenograf rozpowiada wszem i wobec szczegóły związane z pełnioną przez siebie funkcją. Pemper był jednak wystarczająco sprytny, by uniknąć wszystkich zastawionych na niego pułapek. Nawet własnym rodzicom nie zdradził się ani słowem na temat wykonywanej pracy. Ostatecznie Göth nabrał zaufania do swojego pracownika, z czasem między obydwoma nawiązała się jedyna w swoim rodzaju relacja. Göth potrzebował młodego mężczyzny do pomocy w pracy administracyjnej, Pemper bał się dość częstych wybuchów agresji komendanta, których był świadkiem. Mietek doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, iż Göth zabija, kiedy tylko przyjdzie mu na to chęć, nawet w trakcie dyktowania w komendanturze:

„Gdy dyktuje, patrzy w zamontowane za oknem zewnętrzne lustro, dzięki któremu może obserwować podwórko przed swoim barakiem. Nagle zrywa się, chwyta za jedną ze strzelb wiszących na ścianie i szybko otwiera okno. Słyszę kilka strzałów, po chwili już tylko krzyki. Trudno się oprzeć wrażeniu, jak gdyby to telefon przerwał komendantowi dyktowanie. Göth wraca do biurka i pyta: »Na czym to stanąłem?«”.

Jednak czasami Göth potrafił pokazać bardziej ludzkie oblicze. Gdy kiedyś zastał Pempera po północy przy pracy w baraku komendantury, spontanicznie napisał notatkę do odpowiedzialnego za aprowizację obozu Heinza Kiihlera, prosząc o wydanie mu dodatkowej porcji artykułów spożywczych: dwudziestu pięciu gramów cukru, od dziesięciu do dwudziestu gramów tłuszczu oraz trzydziestu kawałków marmolady. Propozycję zwiększenia racji chleba Pemper jednak odrzucił, uzasadniając swoją decyzję faktem, iż jego pracujący w piekarni ojciec już i tak otrzymuje dodatkową porcję pieczywa. Reakcji Götha na odmowę Pempera nigdy nie zapomni: „Göth patrzy na mnie ze zdziwioną miną, odchylając się do tyłu na krześle. Z niedowierzaniem kręci głową i mówi: »Pemper, pan nie może być Żydem. Każdy Żyd przyjąłby wszystko, by następnie wymienić prezent na inne rzeczy«”.

Pemper pisał także prywatne listy Götha, adresowane do przyjaciół z lubelskiego SS i do rodziny komendanta w Wiedniu. Z późniejszych relacji Mietka Pempera wynika, iż Göth w swoich listach skierowanych do ojca wykazywał żywe zainteresowanie losami wydawnictwa miał nawet proponować ojcu różne intratne projekty, jak na przykład wydanie serii pocztówek przedstawiających alpejskie krajobrazy. Z troską o stan zdrowia ojca Amon, który wypytywał w listach o katar sienny Götha seniora, nie wspominał ani słowem o swojej morderczej codzienności. Wrażenie „normalnego” człowieka sprawiał też, pisząc listy do żony Anny, którą zresztą notorycznie zdradzał. Udawał wiernego męża. Rozpierała go duma z syna Wenera. Gdy żona poskarżyła się w jednym z listów, że Werner ciągle bije Ingeborg, Göth podyktował Pemperowi następujące zdanie: „Ciągoty do bicia ma chyba po mnie”.

Mimo tej zażyłości i „sympatii” żywionej przez komendanta do żydowskiego pracownika Pemper nie miał złudzeń - był przekonany, że jest z góry przeznaczony na śmierć. Jedyne, co mógł uczynić w swojej sytuacji, to postarać się o możliwie najdłuższe odroczenie wykonania wyroku. Młody Żyd wiedział aż za dobrze, iż Göth zabije nie tylko jego, ale także całą jego rodzinę.

Rytm dnia był wyznaczany przez dźwięki rogu Wilhelma (Wilusia) Rosnera, najmłodszego z braci Rosnerów. Każdego ranka dokładnie o siódmej rozbrzmiewała pobudka, melodia, którą skomponował sam Wilhelm. O dwunastej róg sygnalizował, że nadeszła pora obiadowa, by pół godziny później znowu wzywać więźniów do pracy. Wiluś Rosner był jedynym więźniem w obozie, któremu pozwolono nosić zegarek. Zezwolenie to było podyktowane chęcią zapewnienia punktualności. Pod tym względem Wilhelm Rosner nie zawiódł komendanta ani razu. Nigdy nie zapominał o swoim obowiązku, nawet w mroźne dni zimowe, kiedy jego usta przymarzały do ustnika rogu. Melodia wygrywana przez Rosnera na rogu zapowiadała także szczególne wydarzenia, na przykład egzekucje przeprowadzane na placu apelowym.

Szanse na ucieczkę z obozu były nikłe. Na jego terenie wznosiły się liczne wieże wartownicze, ponadto „barakowe miasteczko” ogrodzono dwoma rzędami drutu kolczastego będącego pod wysokim napięciem. Wszystko działało jak należy. Transformatorów dostarczała firma Siemens & Halske. Nocą światło reflektorów oświetlało teren obozu. Poza tym oddziały esesmanów nieustannie kontrolowały ogrodzenie z drutu kolczastego, tak iż tylko nielicznym więźniom udało się wydostać na wolność tą drogą. Jednakże konsekwencje ucieczki jednego z więźniów były straszliwe dla jego pozostałych w obozie towarzyszy. Po tym jak stwierdzono nieobecność któregoś z osadzonych w lagrze robotników, Göth nakazywał stawić się pozostałym na apel odliczeniowy. Strzelano do co dziesiątego z komanda, do którego był przydzielony uciekinier.

Göth wierzył, iż własne wyobrażenia na temat porządku i dyscypliny będzie w stanie wpoić mieszkańcom obozu jedynie przez ich demonstrowanie na odpowiednich „przykładach”. I tak pewnego dnia komendant nakazał wykopanie na środku placu apelowego dołu, głębokiego na dwa metry, wielkością przypominającego pokój. Potem wezwał wszystkich blokowych, w sumie dwunastu mężczyzn - wśród nich był Poldek Pfefferberg, jak również dwanaście kobiet - w tej grupie była Mancie Rosner, żona Hermana Rosnera i blokowa numer 10. Wezwani więźniowie mieli później zdać swoim towarzyszom niedoli relację z przeprowadzonej „lekcji”.

Wtedy na plac zajechał samochód dostawczy i zatrzymał się po drugiej stronie dołu. Z paki wywleczono pojmanyh mężczyzn i kobiety, ludzi przychodzących spoza obozu, którzy zostali przyłapani na ucieczce zupełnie przypadkowo lub wskutek donosu. Zmuszono ich, aby się rozebrali do naga, następnie kazano im uklęknąć na krawędzi dołu. Esesmani ustawili się za swoimi ofiarami, wyciągnęli pistolety i zabili klęczących, oddając do nich strzał w potylicę. Potem jednym kopnięciem zepchnęli zabitych do rowu. Blokowi musieli później za pomocą łopat przysypać ofiary ziemią. Małe „przedstawienie” zostało zwieńczone krótką przemową Götha: „Chciałem, żebyście to zobaczyli na własne oczy. Opowiedzcie ludziom w waszych blokach, co czeka każdego, kto zdobędzie się na jakikolwiek akt sabotażu”.

Mancie, właściwie Mariannę Rosner, urodziła się w 1910 roku. Została blokową, ponieważ jako wiedenka była niezwykle postacią wśród polskich Żydówek osadzonych w obozie. Najmłodsza córka Ernestine i Maxa Robitschków, bogatych właścicieli kawiarni Cafe Central, swego przyszłego męża Hermana Rosnera poznała w wieku szesnastu lat, gdy orkiestra Rosnerów, Rosner's Players, dawała gościnny występ w Wiedniu. Dla matki Ernestine związek córki z bezczelnym polskim „Cyganem” był klasycznym przykładem mezaliansu. Mimo to młodzi pobrali się w 1930 roku w Wiedniu. W 1935 roku, kiedy rodzina mieszkała w Warszawie, a Herman dobrze zarabiał na swojej muzyce, urodził się syn Aleksander (Olek). Kilka lat później znaleźli się pod niemiecką okupacją. W 1940 roku uciekli przed nazistami z Warszawy, znajdując schronienie w Tyńcu, niewielkiej miejscowości położonej na południe od Krakowa. Jednak niedługo było im dane prowadzić spokojne życie na wsi. W marcu 1941 roku zostali przesiedleni do krakowskiego getta, gdzie byli zmuszeni dzielić sześciopokojowe mieszkanie z rodziną Horowitzów i ośmioma innymi rodzinami. O przeżycie rodziny troszczył się Herman, występując wraz ze swoim bratem Poldkiem w Cafe Polonia w Rynku Podgórskim 15. Właścicielem tej kawiarni był niejaki Alexan-der Forster, niemiecki Żyd. Przebywając w Krakowie od sierpnia 1939 roku, Forster szpiegował dla Gestapo. Mimo licznych przywilejów - nie musiał na przykład nosić opaski z gwiazdą Dawida - także on oraz jego rodzina zostali zastrzeleni w trakcie „likwidacji” krakowskiego getta. Jeszcze zanim do tego doszło, na początku 1943 roku, Mancie Rosner poddała się w żydowskim szpitalu w getcie zabiegowi przerwania ciąży. Mancie i Herman poświęcili całą swoją energię, aby zapewnić przeżycie synowi Alexowi. Przy pomocy przyjaciół i znajomych robili wszystko, by uchronić syna przed nazistami, także w Płaszowie.

Szczególność popularność, jaką cieszyli się bracia Rosnerowie, zawdzięczali pewnej krążącej po obozie legendzie na temat ich występów w Willi komendanta. Göth rozesłał zaproszenia na suto zakrapianą imprezę. Pojawiało się na niej wielu oficerów SS, alkohol zdobyty jak zawsze na czarnym rynku płynął strumieniami, a Herman i Poldek dawali z siebie wszystko, grając na swoich instrumentach. Był już późny wieczór, gdy obaj bracia zaintonowali jedną z melancholijnych węgierskich melodii. Szlagier nosił tytuł *Diisterer Sonntag*, rosnącej dynamice utworu trudno się było oprzeć, a pieśń traktowała o młodym mężczyźnie, który postanowił się zabić z powodu niespełnionej miłości. Po tym jak Rosnerowie zagrali piosenkę kilka razy, Herman zauważył, że jeden z zaproszonych na imprezę oficerów Waffen-SS popada w coraz większą rozpacz. Ponieważ jednak Göth nie dał odpowiedniego znaku, by zmienić melodię, Herman grał szlagier ciągle od nowa, czerpiąc satysfakcję ze stopniowego pogarszania się

stanu esesmana. Po dziesiątym powtórzeniu oficer SS wstał, chwiejnym krokiem wytoczył się na balkon, a następnie strzelił sobie w głowę. „Byłem niezmiernie szczęśliwy, że udało mi się trafić jednego z Niemców” - takim komentarzem skwitował całe zajście Herman Rosner w swoich wspomnieniach.

Pomocnicy, kompani, zabójcy

Dopiero po jakimś czasie Göth przypomniał sobie o nieco zidiociałym atlecie Franzu Grimie, który powalił go niegdyś w Katowicach na ziemię w tak brutalny sposób. Należało wszakże stworzyć drużynę niezawodnych, pozbawionych wszelkich skrupułów mężczyzn, którzy bez sprzeciwu wykonywaliby wszystkie zarządzenia komendanta, nie cofając się przed niczym. Göth upomniał się o Grima w Berlinie, uzyskując jego przeniesienie do Płaszowa. I trzeba przyznać, iż były bokser nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Franz z Wiednia szybko zyskał sławę jako „osobistość”. „Był typem człowieka, w wypadku którego instynktownie wyczuwało się, że nie zna litości” - tak zeznała przed wiedeńskimi przysięgłymi Bluma Ben Jakob, córka zamordowanej w bezlitosny sposób przez Grima Żydówki Rachel Altscher. Wierny sługa swego pana mógł z powodzeniem konkurować z komendantem w strzelaniu do ludzi jak do kaczek, gdy tylko wpadał w furję. Zawsze uzbrojony Grin siał postrach wśród więźniów osadzonych w obozie. Z upodobaniem nosił furazerkę, a jego ręce dyndały opuszczone z przodu ciała, dzięki czemu esesman zyskał sobie w obozie przydomek Małpa. Urodzony w 1921 roku w Krakowie, pełniący w obozie funkcję stajennego i woźnicy Szlomo Ziegler przywołał w swoich wspomnieniach inne przezwisko nadane Grunowi przez więźniów. Pomocnik Götha miał w zwyczaju kopać więźniów płci męskiej w genitalia, czym zasłużył sobie na miano Abele Szuwestera. Wreszcie, podobnie jak jego szef i mistrz, Grin wykazywał się skłonnością do cokolwiek dziwnych żartów. Na przykład pewnego dnia zjawił się w obozie i kazał jednemu z więźniów - Grossowi - tańczyć kazaczoka. Gdy ten spełnił jego zachciankę, Grin po prostu go zastrzelił.

Mimo że Franz nie potrafił jeździć konno, musiał towarzyszyć komendantowi w czasie kontrolnych przejazdów po obozie. Między obydwojma nawiązała się zażyłość, wzmocniona dodatkowo przez lekcje boks, których udzielał Göthowi jego atletyczny współpracownik. Göth miał także powierzać Grimowi wiele cennych informacji, które ten przekazywał z kolei rodzinie komendanta mieszkającej w Wiedniu.

Niezawodnym pomocnikiem komendanta okazał się także inny weteran z VoMi, łysawy SS-*Untersturmführer* Leonhard John, który urodził się w 1900 roku w Miihlhausen. Johna trudno było nie dostrzec w tłumie. Przede wszystkim odznaczał się wysokim, kobiecym wręcz tembrem głosu. Ponadto rzucał się w oczy z powodu nieproporcjonalnej sylwetki. Był delikatnej budowy, miał cienkie nogi, nad którymi zwiślał ogromny brzuch. Nic dziwnego, że więźniowie ochrzcili go Alibabą. Swoją karierę Alibaba rozpoczął w Fuhrerschuttkommando, następnie przybył do Katowic, gdzie został przydzielony do Volksdeutsche Mittelstelle. Wreszcie zgłosił się do „pracy na Wschodzie”, której zawdzięczał swoją późniejszą sławę okrutnego mordercy. Przed wojną prowadził na przedmieściach Katowic, w Brynowie, restaurację z ogródkiem, która stała się popularnym wówczas miejscem wycieczek katowiczanków. Celem Johna było dorobienie się majątku, pod tym względem w niczym nie ustępował swojemu płaszowskiemu szefowi. Według relacji Jakuba Stendiga, Leonhard John miał być jednym z najbardziej zapalonych „kolekcjonerów” zrabowanych Żydom mebli, dywanów i wartościowych przedmiotów. Słynął z tego, iż miał w zwyczaju włóczyć się nocą po obozie, szpiegując żydowskie kobiety, które nie załatwiały swoich potrzeb fizjologicznych w latrynie i

które przyłapano przez Johna na gorącym uczynku, były przez niego następnie surowo karane. Urodzony w 1917 roku we Wrocławiu Natan Bernard, który przybył do Płaszowa 15 maja 1942 roku wraz z grupą stu dwunastu Żydów z małego obozu pracy w Kłaju, i którego Alibaba znalazł ze swojej restauracji w Brynowie, był świadkiem następującej sceny. Sześciu Żydów ukryło się przed deszczem i śniegiem w jednym z garaży, przy którym trwały jeszcze prace budowlane. Gdy Alibaba zorientował się, że na placu budowy brakuje sześciu robotników, zarządził poszukiwanie zbiegów. Znalazłszy ich, wypędził na dwór i zastrzelił przy znajdującym się w pobliżu stosie drewna.

Kolejny pomocnik Götha - *SS-Standartenführer* Edmund Zdrojewski - pochodził z Torunia. Według Jakuba Stendiga, ten urodzony w 1915 roku młody mężczyzna miał się panicznie bać komendanta, ale mimo to lojalnie wykonywał wszystkie rozkazy swojego przełożonego i, co ważne, miał jedną cechę wysoko cenioną przez Götha - był mianowicie wolny od wszelkich zahamowań, jeśli chodzi o zabijanie. Był więc Edmund Zdrojewski, zabijający na zawołanie bezlitosny morderca, jednym z głównych filarów zarządzanego przez Götha aparatu terroru. Na rozkaz komendanta osobiście zabił swoją żydowską kochankę, niezwykle urodziwą dziewczynę o nazwisku Wolf.

Bezwzględnością i zamiłowaniem do strzelania do ludzi odznaczał się także *SS-Oberscharführer* Albert Hujar, sudecki Niemiec z okolic Komotau (czeski Chomutov). Jak później stwierdzili więźniowie, jego pasją była fotografia. Jako osobisty adiutant komendanta zawsze towarzyszył Göthowi w trakcie jego oficjalnych wystąpień. Aktywnie uczestniczył w akcji „likwidacji” getta, osobiście zabijając nie tylko leżących w łóżkach pacjentów żydowskiego szpitala, lecz także zatrudnioną tam żydowską lekarzkę doktor Blau. Hujar często zabijał na własną rękę. Pochodzący z Turka żydowski więzień Aba Szajniak widział pewnego dnia z okna swego baraku Hujara w akcji nieopodal łaźni. Hujar popchnął przed siebie ubraną jedynie w bieliznę kobietę, następnie rzucił nieszczęśnicę na ziemię. Zrozpaczona kobieta, czołgając się przed Albertem na czworakach, błagała swego kata o darowanie życia - po polsku i swoją łamaną niemiecką: „Jezu, przecież ja nie jestem Żydówką! Pomocy!”. Hujar, niewzruszony błaganiami i zawrotem kobiety, zachowując zimną krew, pochylił się nieco do przodu, przyłożył pistolet do głowy swej ofiary i oddał śmiertelny strzał w jej potylicę.

Szczególny rozgłos jako brutalny morderca zyskał *SS-Hauptscharführer* Willi Eckert. Jakub Stendig i Tadeusz Śliwiński opisują go w swych wspomnieniach jako sadystę. W więźniach strach budził także esesman Willi Staubl.

Z kolei pochodzący z Wiednia esesman Alois Zugsberger zawdzięczał swoją złą sławę działalności w ramach Balb-Kommando, zewnętrznej placówki podległej obozowi. Miał tylko jedną, lewą rękę, za pomocą której nieustannie wymachiwał szpicrutą. Gumowej protezy prawej ręki używał do bicia więźniów. U jego boku stał brutalny psychopata w osobie Karla Heinza Ritscheka, który za cel upatrzył sobie pieniądze i biżuterię swych ofiar. Ritschek lubował się także w szlagierach Mariki Rókk: „Nie potrzebuję milionów, nie brak mi ani grosza do szczęścia, potrzebuję tylko miłości i muzyki, muzyki, muzyki!”. Słowa tej piosenki nieustannie nucił pod nosem, przeszukując więźniów i - w zależności od nastroju - okładając ich ręką po twarzy. Szoferem Götha był mniej więcej trzydziestoletni Ukraińiec, niskiego wzrostu i o plebejskim wyglądzie, Iwan, który zawsze nosił czarny mundur i oczywiście także broń. Obowiązki Iwana nie ograniczały się tylko do wożenia Götha samochodem. Nie wahał się zabijać na rozkaz komendanta. Często w towarzystwie Götha pojawiał się esesman łotewskiego pochodzenia Arvid Janetz, szczupły, rosły blondyn „o sympatycznym wyrazie twarzy” - tak przynajmniej wspomina go Lena - Helena Horowitz. Także Janetz często uczestniczył w „akcjach” inicjowanych przez „szefa”. Mający do końca 1943 roku dostęp do akt osobowych esesmanów Mietek Pemper na podstawie dużego zużycia amunicji przez Janetza sklasyfikował go jako szczególnie „skorego do zabijania”, wynaturzonego człowieka.

Do personelu obozowego aresztu należeli inni „zasłużeni” pomocnicy Götha, tacy jak Karl Heinz Bigell, kierownik obozowego „punktu kupna-sprzedazy”, który został określony przez Mietka Pempera jako „bezduszny i głupi morderca”. Bigell, ubrany zawsze po cywilnemu, był w zasadzie referentem w rządzie generalnego gubernatora, pracującym dla generała Hannsa Oberlindobera, *NS-Reichskriegsopferführera* (przywódcy Związku Ofiar Wojny Rzeszy). Praca w Płaszowie była jego dodatkowym zajęciem. Pemper dowiedział się od esesmanów, że Bigell poddał się swoiście pojmowanej „próbie odwagi” tylko po to, by zaimponować Göthowi, udowadniając, że „sprzątnięcie” Żyda nie stanowi dla niego najmniejszego problemu. Pewnej nocy Bigell wezwał do siebie rodzinę Dawida Guttera, a następnie zastrzelił jej członków na głównej ulicy obozu. Wśród ofiar było także dwoje dzieci Guttera.

Göth dawał upust swoim zmiennym nastrojom, nie oszczędzając nawet esesmanów. Podczas musztry brutalnie dyscyplinował obozowych strażników. Za najmniejsze przewinienia i potknięcia stosował wobec nich drakońskie kary. Z tego też powodu Göth nie był przez nich szczególnie lubiany, niektórzy oficerowie SS zaczęli nawet wkrótce nienawidzić tego parweniusza z Wiednia. Tymczasem Göth podtrzymywał pewną tendencję, która w jego wypadku miała się okazać zgubna. Wyodrębniły się mianowicie dwa obozy: klika morderczych pomagie-rów Götha, skupionych wokół Hujara, Grima, Johna, Zdrojewskiego i Scheidta, z jednej strony; załoga SS, a także kilku *SS-Führerów* z drugiej. Tym ostatnim udało się zjednać sobie sojuszników spoza obozu. Göth nie doceniał zagrożenia z ich strony, co okazało się jego wielkim błędem.

Odemani i kapo

Na czele działającej na terenie obozu Żydowskiej Służby Porządkowej stała otoczona ponurą legendą para małżonków: Wilek i Maria Chilowiczowie. Ludzie ci całkowicie zaprzędali się nazistom. Wilek stanowił w pewnym sensie karykaturę Götha. Był tyleż próżnym, co chytrym Żydem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wdaje się w wielce ryzykowną grę. Wierzył jednak, że znajdzie się po stronie zwycięzców. Skwapliwie wykonywał wszystkie rozkazy komendanta, jakkolwiek znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że często udzielał pomocy więźniom, gdy Götha nie było w pobliżu. Miał też po prostu ignorować niektóre jego polecenia.

Żona Wilka Maria była nazywana w obozowym żargonie - ze względu na swój specyficzny chód - Kaczką. Rzuciła się w oczy także z powodu swojego niskiego wzrostu, który to mankament starała się tuszować nie tylko przez noszenie butów na wysokim obcasie i krzykliwy makijaż, ale także poprzez swoją prostacką, wulgarną wesołkowatość. Często zwracała się do osadzonych w obozie więźniarek per „wy, płaszowskie kurwy”. Zimra Harsanyi, urodzona w 1929 roku Żydówka z położonej w Siedmiogrodzie miejscowości Dej która przebywała w obozie w Płaszowie jako dziewczynka i opublikowała później swoje wspomnienia pod pseudonimem Ana Novac, w taki oto sugestywny sposób opisuje Marię „Należy wyobrazić sobie kure, która z bliżej nieokreślonych powodów nie została do końca oskubana, a resztki swojego upierzenia zafarbowała na platynowy blond. Gdy w ten sposób ustrojona głowa odwracała się, można było z przerażeniem stwierdzić, iż owa »kura« ma twarz małpy. Była to twarz smutnej, starej i grubo umalowanej małpy, która często chrapliwie się śmiała, jakby chciała w ten sposób sama się rozweselić”. Maria Chilowiczowa pozostawała w jak najlepszych stosunkach z kilkoma oficerami SS. W licznych krążących po obozie pogłoskach na jej temat pojawiały się spekulacje, iż wspomniane kontakty nie miały wyłącznie służbowego charakteru. Zgubne skłonności Marii tłumaczono faktem, że jest jedynie pół- lub ćwierć-Żydówką.

Jak przystało na króla, Mony zgromadził wokół siebie, skrojony na własną miarę, dwór. Byli to wyjęci spod prawa żydowscy niewolnicy, których życie cały czas wisiało na włosku.

Był to trzeci dzień pobytu Helen Sternlicht w obozie. Wraz z innymi mieszkankami baraku była właśnie zajęta sprzątaniami, gdy do pomieszczenia wkroczył Göth. Komendant zmierzył wzrokiem każdą z dziewczyn po kolei, w końcu zatrzymał go na Helen i powiedział do blokowej: „Jeśli ta żydowska dziewczyna jest wystarczająco sprytna, by wyczyścić okno przy tak ostrym słońcu, to może mi się taka przydać”. W tym momencie rozstrzygnął się los Helen. Już następnego dnia została zaprowadzona do domu komendanta, gdzie natychmiast powierzono jej wykonywanie prac domowych. Jednym z pierwszych zadań było prasowanie rozlicznych koszul Götha. Gdy tylko Helen zaczęła prasować, używając zupełnie nieznanego jej do tej pory żelazka, pojawił się Amon. Niepewne zachowanie dziewczyny wywołało u niego niechęć i oburzenie. Podszedł do Helen od tyłu, pociągnął ją za warkocze, spoliczkował dwukrotnie, rzucił na ziemię i jął na nią krzyczeć: „W Wiedniu każda dziewczyna w twoim wieku potrafi porządnie wyprasować koszulę, gotować i wykonywać inne prace domowe. Ale najwidoczniej ty jesteś na to za głupia, ty Żydówko!”. Gdy Helen zaczęła płakać, Göth znów ją uderzył. „W moim domu nie chcę widzieć żadnych smutnych twarzy” - powiedział. W tym momencie dziewczyna zrozumiała, że jeśli chce przeżyć, to musi się nauczyć kontrolować swoje emocje.

Göth nazywał ją Susanna, dla odróżnienia od Heleny Hirsch, która była dla niego Leną. Na każdym kroku Göth miał na podorędziu dla swojej pomocy domowej same wulgarne wyzwiska typu: „dziwka”, „kurwa”, „plugawa Żydówka”. Jeśli tylko coś mu nie odpowiadało, natychmiast ją bił. Czasem także robił to zupełnie bez powodu. Okładał ją nie tylko po twarzy, ale także po całym ciele. Z tego powodu Helen nieustannie cierpiała na szумы uszne, miała również wiecznie opuchnięte policzki. Uwagi dziewczyny nie uchodził „bardzo zadowolony” wyraz twarzy Götha, gdy ten znęcał się nad nią bez litości. Mina ta miała być dla niej zadośćuczynieniem za otrzymywane razy. Helen nigdy nie usłyszała pochwały za swoją pracę. Takiego zachowania nie można się było wszakże spodziewać po Amonie, który nienawidził Żydów niejako z poczucia obowiązku. Gdy w późniejszym okresie Helen została pochwalona przez kochankę Götha Ruth Kalder, ten skwitował to następującym komentarzem: „No i co z tego, nawet jeśli czasem uda jej się zrobić coś we właściwy sposób, co więcej - nawet jeśli jest całkiem miła - to przecież wciąż jest tylko Żydówką i moim obowiązkiem jest nią gardzić!”. Göth stanowczo zabraniał swoim służącym odwiedzania baraków, w których mieszkali więźniowie. Obawiał się, że pracujące dla niego kobiety mogłyby przywlec stamtąd „bakterie i wszy”. Helen Sternlicht nie stosowała się jednak ściśle do tego zakazu. W obozie mieszkały w końcu jej matka Lola oraz siostry Bronia i Sydonia, nazywana Sydel. Matce, o którą martwiła się szczególnie, przynosiła zawsze coś do jedzenia z kuchni. Susanna mieszkała wraz z Heleną Hirsch w Czerwonym Domu, w pokoju przylegającym do kuchni. Wyposażenie pokoju składało się z dwóch łóżek i „czegoś w rodzaju komody albo szafy”. Obie dziewczyny musiały nosić czarne sukienki i białe fartuchy. Susanna odpowiadała za opiekę nad dwoma dogami Götha Ralfem i Rolfem, które Göth tresował do szczucia nimi Żydów.

W kuchni pracowała też Regina Tempelhof, trzydziestoosmioletnia krawcowa. Dla niej dzień roboczy trwał od szóstej rano do pierwszej w nocy. Przez kilka tygodni mogła jeszcze przebywać ze swoją dziesięcioletnią córką, z którą musiała się rozstać 14 maja. Dziewczynka, wraz z wieloma innymi dziećmi i młodzieżą z Płaszowa, została później zamordowana w Auschwitz. Poza córką Regina Tempelhof straciła jeszcze dwóch braci i jednego bratanka.

Życie codzienne Reginy Tempelhof przepętlone było strachem. Najdrobniejsze niedopatrzenie w pracy w kuchni wiązało się z surową karą chłosty: dwadzieścia pięć albo nawet pięćdziesiąt uderzeń pejcem w nagie pośladki, gdy zupa była zbyt lub za mało słona. Za cięższe przewinienia groziła jej kara śmierci. Regina Tempelhof widziała także, jak Göth

zastrzelił jej koleżankę - osiemnastoletnią Gemeiner, niewinną dziewczynę, która poniosła karę za to, że ktoś z pracujących w kuchni był na tyle nieostrożny, iż wyjrzał przez okno. Fakt ten został dostrzeżony i zgłoszony Göthowi. Gdy ten przyszedł do kuchni i zapytał, kto odważył się wyjrzeć przez okno, nikt z obecnych nie przyznał się do winy. Kara śmierci spotkała przypadkowo wybraną dziewczynę.

Dla Götha pracowała ponadto, jako pokojówka, osiemnastoletnia Ala Gut (Guth), „piękna blondynka o jasnych i kręconych włosach, rosła i szczupła”. Ala swoim wdziękiem czarowała wszystkich, jej urokowi nie mógł się oprzeć także starszy obozu Wilek Chilowicz, który uczynił ją swoją kochanką. Inną nadzwyczaj urodziwą dziewczyną na służbie u Götha była dziewiętnastoletnia brunetka Niusia Reich, zatrudniona jako sprzątaczką. Po tym jak jej rodziców zastrzelono w getcie, Niusia musiała się zaopiekować swym młodszym bratem Dołkiem, który także mieszkał w obozie. Z kolei Samek Kempler, były ułan, pracował jako koniuszy i osobisty nauczyciel jazdy konnej Götha. Mimo pobieranych u Kemplera lekcji komendant nie sprawiał dobrego wrażenia w siodle. Dosiadając swego siwka, „huśtał się tam i z powrotem, jakby jechał na krowie”. Stajennym i parobkiem do koni był korpulentny Izaak Grunwald, który najwidoczniej nieźle sobie radził w kontaktach z Göthem. Komendant godzinami przebywał z Izaakiem w stajni, przysłuchując się jego opowieściom na temat koni. Göth miał też raz po raz częstować parobka papierosami. Według krążącej po obozie legendy, Grunwald miał nawet raz poklepać „szefa” po ramieniu i uniknąć oczywistej kary.

„Dziewką od wszystkiego” był pochodzący ze Starego Sącza osiemnastoletni Naftali Derschowitz, którego los rzucił w styczniu 1943 roku do Płaszowa. Chłopak przeszedł wcześniej przez obóz pracy przymusowej w Rabce i krakowskie getto. Göth wyciągnął chłopaka z komanda budowlanego i zatrudnił w swojej willi. Już wcześniej obserwował Derscho-witza, jak ten przynosił Lenie węgiel do kuchni. Odtąd chłopiec musiał wyręczać służące w wykonywaniu ciężkich prac. Po jakimś czasie do jego obowiązków włączono także czyszczenie butów „Jego Ekscelencji” i innych oficerów SS, jak również przynoszenie prania. Gdy pewnego razu Naftali był bez reszty pochłonięty usługiwaniem innym esesmanom, Göth dał jednoznacznie do zrozumienia, że chłopiec jest wyłącznie jego pucybutem.

„Piękny zielonooki” Adaś Sztab zajmował się psami Götha, podczas gdy silny Fredek Umholz masował komendanta. Ten ostatni często zwierzał się swoim współwięźniom, iż bycie policzkowanym to jego chleb powszedni. Raz masował za lekko, innym razem znowu za mocno. „Czasem wcale mu się nie podoba, gdy wałkuję ten jego tłusty tyłek. Odwraca się wtedy, pytając, czy rzeczywiście jestem masażystą. Wtedy opowiadam mu, gdzie, w jakich krajach i jakie osobistości masowałem. Oczywiście znam te kraje jedynie z mapy. Żeby się to źle dla mnie nie skończyło!”

Fredek Umholz z powodu bliskich relacji łączących go z Göthem cieszył się w obozie licznymi przywilejami. Był dobrym znajomym nie tylko adiutantów komendanta, lecz także kilku innych oficerów SS. Szesnastoletniej Soni Schreiber i jej o osiem lat starszej siostrze Blance, które były córkami handlarza skórą z Krakowa, pozycja zajmowana przez Fredka w obozie uratowała życie. Obie znajdowały się już w jednym z bydłowych wagonów przygotowanych do odtransportowania do obozu zagłady, gdy nagle na horyzoncie pojawił się Fredek, który wśród „wyselekcjonowanych” rozpoznał swoje znajome. Natychmiast postanowił działać. Pilnującemu wagonu esesmanowi opowiedział, że obie siostry Schreiber są niezbędne do dalszego funkcjonowania łaźni obozowej, nad którą on, osobisty masażysta komendanta, miał także sprawować pieczę. Esesman nie zastanawiał się długo i wskazując na Sonię i Blanę, krzyknął w ich stronę: „Wyłazić!”. Dla obu sióstr wydostanie się z wagonu oznaczało powrót do życia. W środku pozostała jednak ich ciotka Syda, siostra ojca. Sonia spojrzała jeszcze raz w stronę drzwi do wagonu - widoku stłoczonych wewnątrz ludzi przeznaczonych na zagładę nigdy już nie zapomniała. Zamiast sióstr Schreiber do pociągu śmierci musiały wsiąść dwie inne kobiety. Stało się tak, aby uczynić zadość zasadzie przyjętej przez nazistów, iż liczba

zawsze musi się zgadzać.

Cieszący się sympatią młodych kobiet w obozie Adaś Sztab zaprzyjaźnił się wkrótce z siedemnastoletnią Helen Sternlicht. Nikt jednak nie wiedział, iż chłopiec ukrywa pewną tajemnicę - należał do kierownictwa podziemnego ruchu oporu, którego członkowie znajdowali się w stałym kontakcie z żydowskimi partyzantami w Krakowie. Adaś starał się nakłonić Helen do pracy w podziemiu, jak się okazało - daremnie. Mimo wielomiesięcznych usiłowań Sztaba, by pozyskać przyjaciółkę dla ruchu oporu, Helen

Sternlicht kategorycznie odmówiła nawiązania współpracy z konspiratorami. Obawiała się o swą matkę i siostry - gdyby komendant nakrył ją na gorącym uczynku, śmierć poniosłaby, zgodnie z jego bezlitosną logiką zabijania, nie tylko ona sama, lecz także cała jej rodzina. Obowiązywała bowiem tak zwana „odpowiedzialność plemienna”. Raz po raz między obojgiem przyjaciół dochodziło do burzliwych dyskusji na ten temat.

Ostatecznie Helen zdecydowała się przysłużyć sprawie. Gdy Adaś poprosił ją o dyskretne wyniesienie z gabinetu w willi Götha planu podziemnego systemu rur w Płaszowie, kobieta poddała się wreszcie presji i „załatwiła” wspomniany plan. Poza tym udało jej się jeszcze wykraść kilka przepustek, na podstawie których działacze ruchu oporu mogli sporządzić fałszywe dokumenty. Jak przypominała sobie później Helen, na planie był naniesiony tunel prowadzący z obozu do miasta. Sternlicht wiedziała również, że grupa skupiona wokół Adasia zaopatrzyła się w broń, nie znała jednak bliższych szczegółów na temat miejsca jej składowania. Mężczyźni z ruchu oporu byli zdeterminowani, by nie pozwolić się zabić bez walki.

Maniak samochodowy

W obozowym garażu stały trzy samochody, pozostające zawsze do dyspozycji maniaka samochodowego Amona Götha. Były to: sportowy kabriolet BMW, ośmiocylindrowy ford oraz sześciocylindrowa limuzyna BMW. Te trzy automobile znajdowały się pod opieką pracowników garażu. Zawsze musiały być utrzymane w doskonałym stanie, a najmniejsze zaniedbanie związane z pielęgnacją i stanem technicznym pojazdów było surowo karane. Czterdziestoczteroletni Jan Podgórski, który na podstawie poświadczonych umiejętności mechanika samochodowego został przeniesiony z obozu w Auschwitz do Płaszowa, gdzie zatrudniono go w obozowym garażu, wspomina pewne wydarzenie w następujący sposób: Pewnego razu Göth zlecił esesmanom splątanie jakiegoś „figla” robotnikom pracującym w garażu. Mechanicy zostali zmuszeni do przebiegnięcia pewnego odcinka, a następnie musieli zawrócić i jeszcze raz pobiec w przeciwnym kierunku. Tempo narzucał jeden z esesmanów, pomagając sobie pejcem, którym raz po raz chłostał biegnących robotników. Tymczasem Göth przyglądał się temu „treningowi” ze swojej willi przez lornetkę połową.

W połyskującym czystością garażu komendanta pracował także trzydziestopięcioletni lakiernik Adolf Berliński. W obozie przebywał od 23 stycznia 1943 roku jako robotnik należący do grupy II czerwca 1943 roku przeniesiono go do pracy w garażu. Berliński, którego żona również była więziona w obozie, stracił w getcie czteroletnią córkę. Dziewczynka została przemycona do getta przez znajomego w koszyku schowanym pod płaszczem. Gdy córka zachorowała, rodzice zanieśli ją do szpitala przy placu Zgody. Od tej pory słuch o niej zaginął.

Adolf Berliński był świadkiem mordu dokonanego na pani Wassermann, szwagierce kapo Warenhaupta. Pewnego dnia, gdy Göth zatrzymał się swoim samochodem przed garażem i zawołał kapo, jej szwagra, pani Wassermann podbiegła do samochodu ze ścierką i zaczęła nią czyścić przednią szybę samochodu komendanta. Göthowi nie spodobało się jej zachowanie i powiedział do swojego szofera: „Czegóż ta kurwa chce od mojego samochodu? Iwan, sprzątnij ją!”. Szofer chwycił kobietę za rękę i pozbawił życia jednym strzałem w skroń. (Nieco inną wersję tych wydarzeń podaje Samuel Stóger - zob. niżej).

Siostra Berlińskiego pracowała w komendanturze z niejakim doktorem Streimerem, który także był więźniem. Gdy Göth pewnego dnia znalazł u doktora Streimera białe pieczywo, kiełbasę i kostkę masła, wydał *Zugwachtmeistrowi* Glaserowi, jednemu z najbardziej fanatycznych narodowych socjalistów wśród jego podwładnych, rozkaz zastrzelenia pięciu osób: siostry Berlińskiego, doktora Streimera, niejakiego Bach-nera, pani Balsam oraz pewnego chłopca. Ponieważ Göth, jak zawsze w takich wypadkach, nie dopuszczał, by krewni ofiary pozostali przy życiu, do celi śmierci zaprowadzono także Berlińskiego - pod pretekstem, jakoby musiał odebrać kilka rzeczy swojej siostry. W celi znajdowali się już: żona doktora Streimera, ojciec pani Balsam i kuzynka chłopca. Berliński miał szczęście. Następnego dnia o poranku do celi przyszedł

Leo John, by zapytać, dlaczego Berliński siedzi w więzieniu, skoro jego auto musi zostać polakierowane. Gdy ten opowiedział Johnowi o aferze związanej z nielegalną porcją chleba i o mających nastąpić wskutek niej egzekucjach, esesman obiecał mu, że pójdzie do Götha, aby uzyskać dla niego ułaskawienie. John, który bardzo się troszczył o swój samochód, dotrzymał danego słowa. W rezultacie w czwartym dniu pobytu w celi śmierci, o godzinie drugiej po południu, Berliński wyszedł na wolność. Tymczasem jego towarzysze z celi zostali rozstrzelani o szesnastej. Wśród nich był także niejaki doktor Stenzel, którego skazano za próbę przeszmuglowania listu poza teren obozu.

Göth utrzymywał później, zeznając przed sądem, że u straconych wtedy osób znaleziono broń palną, czego jednak nie potwierdził Mietek Pem-per. Stenograf komendanta oświadczył, że udało mu się wtedy - dzięki własnej interwencji - uchronić pewną kobietę przed niechybną śmiercią.

Gdy Göth przejeżdżał swoją limuzyną przez obóz, nierzadko pędził jak szalony. Więźniowie obozu zdawali sobie wtedy sprawę, co się święci - wiedzieli, że czeka ich coś strasznego. Kto tylko mógł, szukał bezpiecznej kryjówki. Pewnego dnia świadkiem takiej sytuacji był Samuel Sto-ger. Ukrył się naprzeciwko garażu. Przed garażem stała jeszcze pani Wassermann, zaprzątnięta myciem jednego z parkujących samochodów. Kobieta ta była szwagierką Warenhaupta, kierownika garażu. Właśnie zrobiła sobie przerwę na odpoczynek i nawet nie zauważyła Götha zbliżającego się w swojej limuzynie. Samochód zatrzymał się tuż obok niej. Göth wydał swojemu szoferowi Iwanowi rozkaz: „Sprzątnąć!” - a ten, nie ociągając się, zastrzelił kobietę.

Składając później zeznania przed sądem, Göth próbował się usprawiedliwić, twierdząc, że w samochodzie, który myła wtedy pani Wassermann, po jednej z przejazdów poza teren obozu znaleziono cztery pistolety maszynowe i dwa granaty ręczne. Kierowca miał jakoby otrzymać polecenie, żeby wyjąć z samochodu broń, a następnie ją zdać. Tymczasem zapomniał rzekomo o dwóch granatach ręcznych, które następnie nagle zniknęły. W trakcie rewizji wszystkich podejrzanych Chilowicz miał znaleźć jeden granat w łóżku pani Wassermann. Göth, jeszcze zanim udał się do garażu, już postanowił zlecić zastrzelenie pani Wassermann.

VIII. Mamser

Już w pierwszych dniach pobytu w płaszowskim obozie wszystkie nadzieje przywiezionych tu z getta ludzi legły w gruzach. Ludzie ci stwierdzili z przerażeniem, iż ten rosty, sprawiający wrażenie człowieka wykształconego wiedeńczyk, odznaczający się nienagannymi manierami dżentelmena, noszący mundur skrojony na miarę i wypolerowane na błysk buty, okazał się zwykłym mamserem, „skurwysynem” i „bękartem”, dla którego odebranie życia Żydowi nie było większym problemem niż zabicie muchy. Już wkrótce nowo przybyli więźniowie poznali jego „rytuały” zabijania. I tak na przykład gdy Göth zakładał biały szal, czapkę z daszkiem i trzymał pistolet w dłoniach, wszyscy zgromadzeni na placu apelowym wiedzieli, że zanoszą się na kolejną „akcję”. Zabijanie stało się codziennością, a Göth narzucił temu procederowi szaleńcze tempo. Jego także ogarnęła charakterystyczna dla „menedżerów” „Akcji Rein-hardt” gorączkowość. Po „zlikwidowaniu” Getta B już następnego dnia, 15 marca 1943 roku, miała miejsce masowa egzekucja. Trzystu Żydów zapędzono do kamieniołomu, gdzie rozstrzelali ich Göth i jego esesmani, a także Ukraińcy w brązowych i czarnych mundurach. Aaron Schwarz jeden z ocalałych świadków tego wydarzenia, wspomina tę masakrę w następujący sposób: „Już następnego dnia po naszym przyjeździe do Płaszowa zmuszono nas do wykopania dużego grobu zbiorowego. Ofiary, wśród których były dzieci w różnym wieku, od maluchów poczynając, a na dwunastolatkach skończywszy, przywieziono ciężarówką. Wszyscy zostali zabici bezpośrednio w grobie. Mała dziewczynka, śliczna mała dziewczynka siedziała w dole. Miała na sobie biały kożuch przypominający ubrania Eskimosów, który wszędzie obryzgany był krwią pomordowanych. Prosiła o trochę wody. Ponieważ dostała kulę w kark, dławiała się własną krwią. Nagle zaczęła strasznie wymiotować. Po chwili położyła się na ziemi i zawołała: »Mamusi, obróć mnie i poklep po plecach, obróć mnie!«. Mała nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje. Na wpół martwa siedziała w zbiorowej mogile pośród wszystkich tych martwych ciał i prosiła o wodę. Na miejscu nie było żadnej matki, tylko dzieci przywiezione tu z krakowskiego getta. I tak to biedne dziecko leżało tam, w grobie, prosząc raz po raz, żeby ktoś je obrócił.

Co się stało z tą dziewczynką? Prawdopodobnie posypano ją wapnem chlorowanym i została pogrzebana żywcem. W każdym razie mordercy nie oddali już żadnego strzału do dziewczynki, tego jestem pewien”.

Masakrę obserwowali z dachu jednego z baraków, a więc ze swojego miejsca pracy, więźniowie Joseph Tenenbaum, Szaja Międzygórski i Heshek Markin-Bleicher. Na widok masakry zamarli. Krzyki wydobywające się z ust umierających bezbronnych ofiar były nie do zniesienia. Musieli się przyglądać, jak kilku morderców rzucało się na martwe ciała kobiet, by je następnie zgwałcić. Trzech przyjaciół znajdujących się na dachu poprzysięgło sobie wówczas, iż zrobią wszystko, by zachować życie. Postanowili przeżyć, by w ten sposób zemścić się na nazistowskich oprawcach.

Przed budynek Żydowskiej Służby Porządkowej, znajdujący się na terenie getta, zajęły ciężarówki. „Akcją” dowodził sam Göth. Odemani i ich rodziny zostali załadowani na ciężarówki, przewiezieni do Płaszowa i natychmiast rozstrzelani.

Mimo że getto zostało już „oczyszczone”, poszukiwania ukrywających się tu wciąż Żydów ciągnęły się jeszcze całymi dniami, jeśli nie tygodniami. SS przy użyciu swoich psów tropiących przeczesywało budynek za budynkiem. Poza tym wśród samych Żydów byli też zdrajcy, którzy wydawali swoich pobratymców na rzeź. Kto tylko został wytropiony lub zadenuncjowany, trafiał na początku do więzienia w siedzibie Żydowskiej Służby Porządkowej, następnie niewielkie grupy nieszczęśników przewożono do Płaszowa, gdzie mordowano ich niezwłocznie na Hujo-wej Górcie. Pochodzący z Działoszyca szesnastoletni Chaim Szlamowitsch, którego ojciec handlował mięsem i skórą, a także miał sklep spożywczy, był świadkiem straszliwych aktów okrucieństwa. Pewnego dnia esesmani przywieźli z getta grupę młodych dziewczyn, które zaprowadzili najpierw do osobnego baraku, po to by gwałcić je

brutalnie przez całą noc. O poranku zmusili swoje ofiary do wyjścia na dwór zupełnie nago. Było lodowato, obóz tonął w świeżym śniegu. Następnie gwałciciele rozstrzelali dziewczęta. Chaim Szlamowitsch i jego koledzy musieli później wygrzebywać zwłoki ze śniegu, żeby je następnie pogrzebać.

Wśród znalezionych w kryjówkach Żydów był producent lemoniady i piwa Isaak Hirsz Lezer, właściciel znanej firmy Krakowianka, o przekonaniach syjonistycznych. Jak wielu innych żydowskich przedsiębiorców, także Lezer musiał po wkroczeniu wojsk niemieckich do Polski przekazać swoją firmę niemieckim powiernikom. W zamian za to mógł wraz z całą rodziną pracować za darmo, produkując wodę sodową dla żołnierzy Wehrmachtu. Ponieważ Lezerowi nie udało się zdobyć dla siebie kenkarty, musiał przez cały czas ukrywać się w getcie, by nie paść ofiarą jednej z „akcji”, to jest nie zostać wysłanym na śmierć do obozu zagłady w Bełżcu. W żydowskiej dzielnicy zamkniętej pozostało troje jego dzieci, dwóch synów i jedna córka, wszyscy mieli odpowiednie papiery i pracę. Podający się za mechanika syn Szalom od samego początku pracował wraz z bratem przy budowie baraków w Płaszowie. Dzięki temu udało im się uniknąć morderczej operacji „likwidacji” getta. Ich siostra Lola była zatrudniona w Fabryce Wyrobów Emaliowanych Oskara Schindlera.

Isaak Hirsz Lezer ukrywał się wraz z jednym z synów, który powrócił ze Lwowa do Krakowa i również nie posiadał kenkarty, a także ze swoją siostrą, szwagrem i siostrzeńcem za przepierzeniem na poddaszu jednej z kamienic nieopodal placu Zgody. Przez pewien czas wszystko szło pomyślnie, jednak niebawem na ślad ukrywającego się Lezera i jego krewnych natrafiło SS i cała grupa została przewieziona do więzienia Żydowskiej Służby Porządkowej. Po upływie kilku zaledwie dni Isaak Hirsz Lezer oraz jego rodzina musieli wsiąść do ciężarówki, która zawiozła ich do Płaszowa. Gdy już przygotowano ich do egzekucji na Hujowej Górze nagle na miejscu kaźni pojawił się Göth, dosiadający swego siwka. „Wstrzymajcie się! Potrzebuję ludzi!” - zawołał komendant w stronę esesmanów i jął wypytywać Lezerów o ich profesje. Isaak, zachowując przytomność umysłu, odpowiedział: „mechanik precyzyjny”, jego syn podał się za elektryka - obaj przeszli na prawą stronę, na stronę życia. Siostra Isaaka, jako kobieta, nie miała najmniejszych szans, jej mąż Lolek wydał się Göthowi za stary - oboje musieli przejść na lewą stronę, na stronę śmierci. Wtedy komendant wybadał jeszcze ich syna. Młody mężczyzna był z zawodu lekarzem, studiował medycynę we Włoszech. Gdy spędzał w Polsce wakacje w 1939 roku, wybuchła wojna, która spowodowała, że wyjazd poza granice Polski stał się niemożliwy. Götha nie usatysfakcjonowała jego szczerą odpowiedź, ostatecznie w obozie nie brakowało rzekomo lekarzy. Kilka minut później siostrzeniec Lezera został rozstrzelany wraz ze swoimi rodzicami, ich zwłoki zostały następnie przysypane ziemią przy użyciu koparki.

Isaak Hirsz Lezer otrzymał zatrudnienie jako mechanik precyzyjny w zakładach krawieckich znajdujących się na terenie obozu. Naprawiał od tej pory zepsute maszyny do szycia. Z kolei jego syn sprawdził się jako elektryk. Będący z natury optymistą Isaak wierzył, iż zdoła jeszcze przeżyć nazistów. Zmarł jednak w obozie oświęcimskim.

Urodzony w 1910 roku w Oświęcimiu Mordechaj Wulkan był z zawodu złotnikiem. Ze swojego baraku mógł obserwować teren obozu, gdzie odbywały się egzekucje przeprowadzane na Żydach przyłapanych na ukrywaniu się w getcie. Pewnego wieczoru Mordechaj zauważył że ziemia przykrywająca świeżo zasypany masowy grób, w którym spoczęły śmiertelne szczątki ofiar mijającego dnia, około tuzina osób, unosi się na wysokość około pół metra, by za chwilę znów opaść. Dokładnie tego samego wieczoru, około godziny jedenastej, zdarzył się prawdziwy cud. W drzwiach baraku pojawił się nagle dziesięcioletni, całkowicie nagi, zabrudzony krwią i ziemią chłopiec. Ku wielkiemu zdziwieniu zgromadzonych w środku mężczyzn tajemniczy przybysz opowiadał, jak to przebywał w masowej mogile wraz ze wszystkimi innymi, których tego dnia rozstrzelano. Sam chłopiec nie został trafiony kulą. Z

możem udało mu się wydostać z grobu, po czym przyszedł prosto do baraku.

Okazało się, iż ocalałym chłopcem był bratanek niejakiego Nussbauma, właściciela sklepu z tapicerskimi materiałami obciovymi przy ulicy Senackiej w Krakowie. Chłopcu udało się przeżyć pogrzebanie żywcem w masowym grobie, a także całą wojnę.

Mordechaj Wulkan nie bez powodu przejął się losem chłopca z masowego grobu w szczególny sposób. On i jego żona Chaja mieli dwoje dzieci: urodzoną w 1938 roku córkę Franię-Ciporę oraz młodszego od niej o rok syna. Małżeństwu udało się wprawdzie przemycić dzieci z getta do Pła-szowa, jednakże wkrótce zrozumieli, że przeżycie ich pociech jest możliwe jedynie poza terenem obozu. W trosce o ich bezpieczeństwo postanowili po raz kolejny przesznułować je, tym razem poza obóz. Opiekę nad dziećmi powierzyli dobremu znajomemu Mordechaja z czasów szkolnych, polskiemu jubilerowi Julianowi Koskowi, który miał sklep w Rynku Głównym w Krakowie. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Chaja która pracowała w zakładach Juliusa Madritscha, znajdujących się w pierwszych miesiącach istnienia obozu w Płaszowie jeszcze w Rynku Podgórskim, pewnego ranka uspiła swoją córkę luminalem, a następnie ukryła ją w plecaku, który przekazała swojemu koledze z pracy, młodemu i silnemu mężczyźnie. W drodze do zakładów Madritscha mała Frania przebudziła się i zaczęła płakać. Chaja i pomagający jej kolega mieli jednak szczęście. Nikt, nawet strażnicy ukraińscy, nie zareagował na płacz dziecka. Zgodnie z planem, w pobliżu zakładów Madritscha w Rynku Podgórskim czekała już żona Juliana Koska. Dziecko zostało dyskretnie przekazane tej kobiecie. Dzięki temu Fra-nia-Cipora przeżyła Holokaust pod opieką rodziny Kosków.

Zachęteni powodzeniem akcji Wulkanowie próbowali także uratować przed zagładą swojego syna. Ponieważ chłopiec był obrzezany, przekazanie go pod opiekę Juliana Koska wiązałoby się z ogromnym ryzykiem dla rodziny krakowskiego jubilera. Dlatego też Chaja znalazła inny sposób na zapewnienie bezpieczeństwa synowi. U Madritscha pracował niejaki Lejzer Landau który za odpowiednią opłatą pomagał ludziom w ucieczce na Węgry. Uciekinierzy ukrywali się najpierw w piwnicy fabryki, skąd Landau pomagał im przedostać się na „stronę aryjską”. Po uzgodnieniu ceny za uratowanie syna Chaja podała chłopcu luminal, a następnie przyniosła w plecaku otumanionego środkami uspokajającymi chłopca na miejsce spotkania w fabryce Madritscha. Jednakże Landau rozmyślił się i nie chciał już wziąć dziecka ze sobą - ryzyko było zbyt wysokie. Chai nie pozostało nic innego, jak tylko odnieść ukrytego w plecaku syna do obozu. Chłopiec został zamordowany w 1944 roku w Auschwitz.

Żądza bogacenia się - rewizja

Istniała jedna rzecz, o której Mony nigdy nie zapominał - nie przepuszczał żadnej okazji, by wzbogacić się cudzym kosztem. I tak zarządził na 28 marca 1943 roku wielką rewizję w obozowych barakach. Przeszukiwanie bloków trwało dwadzieścia cztery godziny. W tym czasie nikt nie mógł opuścić swego baraku, nawet jeśli chciał załatwić potrzeby fizjologiczne. U drzwi poszczególnych bloków postawiono ukraińskich strażników. Więźniowie nie mogli ani się rozebrać, ani położyć spać. Esesmani przeszukiwali wszystkie zakamarki bardzo dokładnie, znali też wiele możliwych schowków, ale jak się okazało, jednak nie wszystkie - więźniom czasem udawało się skutecznie ukryć resztki swojego dobytku. Na przykład matka Romana Ferbera kazała sobie oprawić w zębach dwa diamenty, połknęła jeden kolczyk i jakimś sposobem udało jej się także prze-sznułować przez wszystkie kontrole banknot o nominale stu dolarów. Inni więźniowie umieszczali swoje klejnoty w kondomach, które następnie połykali lub wprowadzali sobie do odbytnicy. Mimo to nierzadko zdarzało się, że nawet w tak wymyślnych skrytkach znajdowano ich precjoza.

O czwartej nad ranem przyszła kolej na przeszukiwanie baraku Samuela Stogera. Göth wszedł do baraku w towarzystwie Leonharda Johna i innych esesmanów, kilku Ukraińców oraz Chilowicza, pełniącego wówczas funkcję starszego obozu, któremu Göth powierzył zadanie tłumaczenia rozmów na jidysz i polski. Więźniowie zeskoczyli ze swoich pryczy i ustawili się na baczność w szeregu. Rozkaz komendanta brzmiał następująco: W ciągu dwóch minut mieszkańcy baraku mają oddać wszystkie swoje wartościowe przedmioty, takie jak waluty obce, aparaty fotograficzne, luksusowe przybory piśmiennicze i inne rzeczy o większej wartości. Kto nie podporządkuje się temu-rozkazowi, zostanie rozstrzelany. Göth trzymał w ręce gotowy do strzału pistolet. Więźniowie w pośpiechu wyciągali wszystko, co jeszcze posiadali - po pięciu minutach dwie przygotowane wcześniej duże walizki stały pełne. Z baraku wyniósł je Chilowicz. W sąsiednim bloku John i jego ludzie odkryli schowane w piecu pieniądze. Blokowy został rozstrzelany na miejscu - Göth poprowadził go do drzwi i tam go zabił. Zwłoki leżały u wejścia do baraku przez cały czas trwania rewizji.

Także piętnastoletni syn bogatego żydowskiego adwokata z Bielska Roman Frister miał po raz pierwszy do czynienia z Göthem w trakcie rewizji. Dla rozrywki komendant wymyślił następującą „zabawę”: na znajdującym się w baraku stoliku położył swoją czapkę, którą kazał wypełnić złotem i pieniędzmi. „Nie będę sprawdzał, kto co do niej wkłada, ale jeśli się okaże, że ktoś coś ukrył, winowajca niechybnie umrze” - wyjaśnił Göth i odwrócił się plecami do więźniów. Podczas gdy ci w pośpiechu wrzucali wartościowe przedmioty do czapki, Amon powoli liczył do dwudziestu pięciu. Gdy się ponownie odwrócił, czapka była wypełniona po brzegi złotymi monetami, banknotami i diamentami. Jednakże Göth nie miał jeszcze dość. Nakazał Chilowiczowi przeszukać jednego z więźniów, pewnego starszego mężczyznę. W jednej ze skarpetek rewidowanego więźnia Chilowicz znalazł banknot dwudzie-stodolarowy. Göth nie zastanawiał się ani przez sekundę, oddał strzał, trafiając mężczyznę w tętnicę szyjną. Roman Frister i inni mieszkańcy baraku musieli się bezradnie przyglądać, jak ich współwięzień wykrwawia się, rżąc. Widok umierającego jeszcze bardziej podniecił Götha. Komendant zastrzelił jeszcze jednego więźnia, następnie wziął czapkę ze wszystkimi kosztownościami i wraz z Chilowiczem opuścił barak.

Roman Frister przebywał w płażowskim obozie wraz ze swoim ojcem, jego matka już nie żyła. Została zabita w trakcie przesłuchania przeprowadzanego przez *SS-Hauptsturmführera* Wilhelma Kundego w więzieniu Gestapo, które po „likwidacji” getta zostało przeniesione do byłej siedziby Żydowskiej Służby Porządkowej. Rodzina Fristerów usiłowała przeżyć posługując się sfałszowanymi „aryjskimi” dokumentami, została jednak zadenuncjowana. Także próba wykupienia się z niewoli przez przekazanie Kundemu części majątku nie powiodła się. Roman, który musiał się przyglądać, jak mordowali jego matkę, pracował wówczas w znajdującym się na terenie obozu warsztacie ślusarskim, a jego ojciec był tapicerem. Zostali zakwaterowani w różnych barakach, dlatego też Roman odwiedzał czasem po zakończeniu pracy swego ojca, który z wielkim trudem odnajdywał się w okrutnej rzeczywistości obozu.

Obaj zostali jeszcze na jesieni 1943 roku deportowani do obozu pracy w Starachowicach pod Kielcami. To właśnie tutaj ojciec Romana zmarł na tyfus, on sam zaś ledwie przeżył drogę przez różne obozy koncentracyjne, aż pod koniec wojny trafił do Mauthausen.

Także pojedynczy więźniowie niejednokrotnie padali ofiarą chciwości Götha. Pewnego dnia esesmani ze straży ochrony kolei donieśli, że więzień o nazwisku Lewi miał przy sobie pieniądze. Göth wezwał go do siebie i zaczął go okładać szpicrutą. Rycząc na Lewiego, zadawał mu pytanie, skąd ma pieniądze. Następnie jął go młócić w tak brutalny sposób, że torturowany więzień stracił kontrolę nad swoją fizjologią - oddał stolec na podłogę. Göth zrobił przerwę w biciu, nakazując Lewiemu, by wyczyścił podłogę ze swoich ekskrementów, po czym wydał jednemu z żydowskich policjantów rozkaz, by ten go powiesił. Jak zwykle straceniemu musiał się przyglądać cały obóz. W trakcie egzekucji miało miejsce pewne zajście. Stryczek, na którym

miął zawisnąć Lewi, zerwał się. Skazaniec poprosił Götha o łaskę - daremnie. Komendant zwrócił się, rozwścieczony, do żydowskiego policjanta następującymi słowami: „Ty idioto! Jeśli sytuacja się powtórzy, zastrzelę cię!”.

Teoretycznie wszystkie zebrane w czasie rewidowania żydowskich więźniów wartościowe przedmioty miały zostać przekazane krakowskiej Erfassungsstelle für das jüdische Vermögen (urzędowi odpowiedzialnemu za rejestrowanie i zarządzanie zarekwirowanym mieniem żydowskim), która była kierowana przez *SS-Obersturmführera* Belka. Jak Mietek Pempe dowiedział się później od Chilowicza, Göth oczywiście nie zamierzał oddać zrabowanych skarbów. Wręcz przeciwnie -żydowski majątek został przeniesiony w walizkach do domu komendanta, gdzie był przetrzymywany w wielkiej szafie pancерnej stojącej w przedpokoju Willi. Klucz do szafy miał tylko Göth. Dotyczyło to tylko takich przedmiotów jak pieniądze i diamenty, nie było bowiem łatwo przewieźć takie „nieporęczne” przedmioty, jak meble, obrazy czy dywany. W tym celu zaangażowano szefa odemantów Chilowicza. To właśnie on upłynniał dla Götha zrabowane rzeczy na krakowskim czarnym rynku, w umiejętny sposób zatrzymując dla siebie zawsze pewną część zysku, tak zwaną „prowizję”. Prawdopodobnie także Chilowicz utrzymywał kontakt z niejakim Krzyszkowskim, członkiem krakowskiego półświatka. Krzyszkowski i jego ludzie mieli przewieźć dla Götha zrabowane we Lwowie dzieła sztuki do Krakowa i tu korzystnie je spieniężyć.

Nawet jeśli Göth był systematycznie okradany przez Chilowicza i jego kompanów, obóz stał się dla niego prawdziwą kopalnią złota. W wypowiedzi z 23 lipca 1946 roku Mietek Pempe oszacował wartość wywiezionego przez Götha do Wiednia majątku na kilka milionów złotych. Była to ogromna suma, jeśli się uwzględni fakt, iż sto złotych emitowanych wówczas w Generalnym Gubernatorstwie można było wymienić -według oficjalnego kursu reichsmarki - na pięćdziesiąt marek!

Los komanda Straucha

Był 14 maja 1943 roku. Pochodzący z Działoszyc dwudziestoletni Monek Huppert pracował wówczas wraz z czterdziestoma dziewięcioma innymi więźniami w drugiej brygadzie, zatrudnionej w firmie Richarda Straucha przy układaniu nowych podkładów kolejowych dla Dworca Wschodniego. Nikt z nadzorujących pracę kapo nie zauważył nagłego zniknięcia jednego z robotników - Jury Lokaja. Jego ucieczka została dostrzeżona dopiero w chwili, gdy pracownicy wracali do obozu. Wtedy Göth kazał się stawić na apel całej załogi, liczącej razem około dwunastu tysięcy ludzi. Na początku wygłosił krótką mowę, w której lżył więźniów i groził, że wszystkich zabije. Następnie zaczął besztać drugą brygadę z komanda Straucha - na więźniów posypały się złowieszcze pytania: „Gdzie są ci, którzy pracowali dzisiaj ze zbiegłym więźniem? Dlaczego go lepiej nie pilnowaliście?”. Ośmiu mężczyzn pracujących z Lokajem przy Kolei Wschodniej wystąpiło w końcu przed szereg, poświęcając się dla innych. Wśród nich byli więźniowie: Czosnek, Metzendorf, Brenner i pochodzący z Działoszyc, zaledwie szesnastoletni Shalom Weinstock, którego starszy brat Esriel także stał wówczas na placu apelowym i wbrew swej woli obserwował tę scenę. Göth zerwał im numery z ubrań i rozkazał ukraińskiemu strażnikowi wziąć ich pod koparkę stojącą na placu za łaźnią. Po chwili kazał wystąpić z szeregu brygadystom wszystkich grup robotników, którzy wraz z tymi ośmioma zostali zaprowadzeni do wielkiego grobu znajdującego się za łaźnią. Ośmiu mężczyzn musiało jeden po drugim zająć pozycję z twarzą zwróconą ku mogile. W odległości około trzech metrów za nimi ustawili się brygadziści. Do strzelania wyznaczono Franza Grima, który trzymając w ręce szmajser, przystąpił do zabijania więźniów przez strzał w potylicę,

poczynając od prawej strony. Gdy zastrzelił trzeciego z kolei więźnia, ten, upadając, pociągnął za sobą do grobu czwartego. Grim stracił panowanie nad sobą, krzyczał na więźnia, który został żywcem wciągnięty do grobu, żeby natychmiast wyszedł i ustawił się jeszcze raz na krawędzi mogiły. Mężczyzna bez sprzeciwu wykonał rozkaz, wspiął się z powrotem na brzeg dołu, posłusznie ustawiając się nad nim. Wtedy został zabity przez Grima. Po tym jak został zastrzelony także ósmy więzień, brygadziści mogli odejść. Zwłoki pomordowanych zostały przysypane ziemią za pomocą koparki.

Prawdopodobnie by narzucić więźniom jeszcze większą dyscyplinę, następnego dnia już o świcie Göth znów nakazał ustawić się na placu apelowym grupom robotników. Rozkaz obejmował także stu pięćdziesięcioosobową kolumnę oczyszczającą, której zadaniem było „oczyszczenie” zdewastowanego getta. Göth przechadzał się wzdłuż szeregów, pytając poszczególnych kapo o statystykę ich grup, a niektórych więźniów o zawód. Wszystko pozornie przebiegało bez zakłóceń, lecz gdy komendant zapytał kapo kolumny oczyszczającej, dlaczego zaplanowana akcja „oczyszczania” getta nie została jeszcze ukończona, nie czuł się usatysfakcjonowany udzieloną mu odpowiedzią. Wtedy zaczął bić kapo trzonkiem pejsza. Następnie bacznie się przyglądał całej grupie i rozkazał jednemu z więźniów o nazwisku Hermann Sonnenschein wystąpić przed szereg. „Dlaczego patrzysz na mnie wilkiem?” - warknął na mężczyznę. Bił go, aż ten stracił przytomność, po czym wyjął pistolet i zastrzelił go na miejscu. Ze stoickim spokojem wymalowanym na twarzy podszedł później do następnego szeregu, w którym stali Chaim Spielman, Żyd pochodzący ze Skawiny, małej miejscowości położonej nieopodal Krakowa, oraz jego trzech bracia, a w szeregu przed nimi stały także dwie szwagierki Chaima. I właśnie przed Salomonem Spielmanem, bratem Chaima, zatrzymał się Göth: „Ty żydowska Świnio, dlaczego patrzysz na mnie z wyrzutem? Tobie też się tu nie podoba?” - tak brzmiało pytanie, na które nie było odpowiedzi i na które Göth tak naprawdę żadnej odpowiedzi nie oczekiwał. Wielokrotnie uderzał brata Chaima ręką pistoletu w głowę, po czym zastrzelił go. Przerażeni bracia zamordowanego nie ośmielili się wydać żadnego dźwięku. Milcząc, odmaszerowali do pracy, pozostawiając martwego brata leżącego w kałuży krwi. Dopiero gdy przybyli do getta, mogli zrelacjonować żonie Salomona morderstwo popełnione na jej mężu. Nikt ze stojących na placu apelowym nie odważył się odwrócić głowy w stronę, z której padł huk wystrzału.

„Oni jadą do Ameryki”

W lipcu 1943 roku w getcie w Bochni, miasteczku położonym w odległości czterdziestu pięciu kilometrów na wschód od Krakowa, pojawiła się pogłoska, że wszyscy Żydzi, którzy mogą okazać amerykańskie obywatelstwo, uzyskają możliwość wyemigrowania do Stanów Zjednoczonych. I rzeczywiście informacja ta zdawała się potwierdzać. Pewien Żyd z Bochni o nazwisku Weininger sprawiał wrażenie dobrze poinformowanego, a nawet znał szczegóły, którymi chętnie dzielił się z innymi mieszkańcami getta. Podobno naziści stawiali skłonnyemu do emigracji Żydom tylko jeden warunek. Aby uzyskać zezwolenie na wyjazd, należało uiścić pokaźną opłatę w głównej kwaterze Gestapo w Krakowie. Sam Weininger zdawał się święcie przekonany co do wiarygodności tej zaskakującej informacji, a nawet zarezerwował na statku płynącym do Ameryki miejsce własnemu bratu. Zainteresowanie wśród społeczności żydowskiej było duże. Niektórzy, aby uratować się przed zagładą, w wielkim pośpiechu załatwiali sobie fałszywe papiery. Szef lokalnego Gestapo Schomburg przychylnie ustosunkował się do nagminnego procederu fałszowania dokumentów, a nawet sam zajął się produkcją niektórych z nich.

W wyznaczonym dniu „wyjazdu” przed bocheńską siedzibą Policji Bezpieczeństwa zgromadziło się około stu osób rzekomo posiadających amerykańskie obywatelstwo, wśród których byli mężczyźni, kobiety i dzieci. Kilka samochodów ciężarowych stało już w gotowości, by przewieźć zebranych ludzi. Na miejsce przybył nawet kierownik krakowskiego Gestapo Hermann Heinrich. Na krótko przed ustalonym czasem wyjazdu pojawił się także Weininger, który przybył, by odebrać swojego brata. Najwidoczniej rozmyślił się. I nagle spokój panujący do tej pory wśród oczekujących na transport został brutalnie przerwany przez uzbrojonych w broń maszynową oficerów Gestapo, którzy zaczęli siłą wpychać ludzi do ciężarówek. Część osób, które przybyły tam, by pożegnać się ze swoimi krewnymi, została „załadowana” do podstawionych samochodów. Oczywiście nie zapomniano bynajmniej i o licznych bagażach „Amerykanów”. Następnie załadowane samochody ruszyły w stronę Krakowa. Celem nie był jednak dworzec kolejowy, lecz osławione więzienie przy ulicy Montelupich. Tym samym wymyślna pułapka zatrzasnęła się.

Po dwudniowym pobycie w więzieniu autobusami zawieziono nieszczęśników, spośród których część została poddana uprzednio przesłuchaniom, do Płaszowa. I znowu transport obejmował nie tylko więźniów, lecz także ich bagaże, liczne torby i walizki. Najwidoczniej dobrze poinformowany o całej akcji przez Gestapo Göth jeszcze przed przybyciem nowych więźniów zlecił kilku silnym młodym mężczyznom - w tej grupie był także pochodzący z Działoszyc Monek Huppert - by wykopali masowy grób przy Hujowej Górcie. Następnie wszystko potoczyło się bardzo szybko. Po przybyciu do Płaszowa więźniowie musieli ustawić się w jednym szeregu i rozebrać do naga. Zanim wskoczyli do zbiorowej mogiły, Göth kazał im jeszcze przebiec jedno okrażenie wokół ich przyszłego grobu, po czym wydał SS-*Oberscharführerowi* Edmundowi Zdrojewskiemu rozkaz, by ten rozstrzelał „Amerykanów”. Gdy wszyscy leżeli już martwi w wykopanym dole, młodzi grabarze przysypali ich zwłoki ziemią za pomocą łopat. Komendant pouczył ich, że aby odpowiednio utwardzić świeżo nasypaną ziemię, mają po niej skakać. Potem wsiadł do swojego samochodu i odjechał.

Zaledwie szesnastoletni Moric Zelmanowitsch, który także pochodził z Działoszyc, pracując z kilkoma innymi więźniami w pobliżu, stał się mimowolnym świadkiem tej akcji. Według jego relacji, także Göth miał osobiście strzelać do ludzi stojących w dole. Uwadze Morica nie uszła jeszcze jedna rzecz. Gdy przyszli grabarze i chcieli zasypać ziemią zwłoki zamordowanych, kilka ciał leżących w masowym grobie zaczęło się ruszać, ich głowy unosiły się, a usta układały do mówienia. Przy życiu pozostawały jeszcze trzy kobiety posiadające obywatelstwo amerykańskie, które przywieziono do Płaszowa z jednego z obozów dla internowanych. Te trzy Amerykanki zażądały męskiej odzieży, co miało im umożliwić ucieczkę. Jednakże zostały zauważone przez Łotysza Janetza, stojącego na posterunku po drugiej stronie zbiorowej mogiły, który następnie podzielił się swoim spostrzeżeniem z Göthem. Ten rozkazał Zdrojewskiemu, by wszedł do dołu i zastrzelił je.

Pochodzący z Działoszyc siedemnastoletni Natek Szlamowitsch, także pracujący tamtego dnia w pobliżu, w trakcie składania zeznań przed oficerem śledczym podał do protokołu dodatkowy szczegół, że rozmawiał z jedną z kobiet, która miała przy sobie dziecko. Kobieta ta twierdziła, że jest Amerykanką i że obiecano jej możliwość wyemigrowania do ojczyzny. Gdy wreszcie zrozumiała, jaki los został jej przeznaczony, zrozpaczona, błagała Götha, by pozostawił przy życiu przynajmniej jej dziecko. Reakcja komendanta była natychmiastowa - dobył swój pistolet i zastrzelił dziecko. Później zadał kobiecie pytanie: „No, i po co ci było to dziecko?” i ją też zabił.

Dopiero wtedy wszyscy ludzie zapędzeni do dołu rzeczywiście byli martwi. Podobno jedna z ofiar, mężczyzna o nazwisku Heller, planujący emigrację do swego syna do Anglii, zdążył jeszcze powiedzieć przed śmiercią: „Człowiek, który przeżyje tę wojnę, powinien zabić Weininger!”.

Tylko dwóm osobom z „amerykańskiego transportu” miała się powieść ucieczka. Byli to chłopiec o nazwisku Neuhoof i obywatel amerykański o nazwisku Ast. Na temat okoliczności ich ucieczki nic jednak nie wiadomo. Kwestia, kto krył się za całym tym planem i kto ostatecznie przywłaszczył sobie majątek pomordowanych, wciąż pozostaje otwarta.

Najprawdopodobniej w sprawie tej maczał palce komendant Göth. Pozostaje tajemnicą, czy w ogóle, a jeśli tak, to w jaki sposób podzielił się z Gestapo łupem zagarniętym podczas tego „przedsięwzięcia”.

Wielkie i brutalnie rozwiane marzenie pomordowanych z Bochni - wyjazd do Ameryki - było następnie często przywoływane w szeregach morderców w formie szyderczego powiedzonka: „Oni jadą do Ameryki”. Użyli go na przykład esesmani, gdy grabarz Herman Ladner po raz kolejny układał w stosy nagie zwłoki ofiar, które następnie polał benzyną i podpalił. Göth, który zazwyczaj przyglądał się egzekucjom wykonywanym na Hujowej Górze i nigdy nie zapominał przywieźć wódki dla strzelających morderców, stał wówczas z boku i uśmiechał się. Gdy jego ludzie widzieli palące się zwłoki Żydów, byli w swoim żywiole.

„Daj psu jeść!”

„Daj psu jeść!” - taki rozkaz wydał Göth swojej służącej, gdy jego szewc Zygmunt Norenberg pochodzący z Nowego Brzeska trzydziestosiemioletni Żyd, wpadł na chwilę do Czerwonego Domu, by przynieść gotową parę butów dla komendanta. Jako wiedeńczyk i człowiek światowy, Göth zwracał baczną uwagę na jakość obuwia i nie szczędził też krytyki, kiedy tylko uważał ją za stosowną: „Dla mnie dobre to za mało, ty głupcze!”. Tymi słowami komendant uraczył Norenberga, oglądając przyniesione przez niego buty. Ponadto wielokrotnie spoliczkował żydowskiego szewca, a nawet uderzył go kilka razy pięścią w twarz.

A mimo to pan komendant miał być wspaniałym klientem. Tygodniowo zamawiał co najmniej sześć nowych par butów, które były mu dostarczane, rzecz jasna, jako prezent. Zamówienia obejmowały obuwie najróżniejszego rodzaju: od gumowych kaloszy po półbuty w różnych kolorach. Göth chciał przecież mieć do każdego stroju inną parę butów. Do tego dochodziły jeszcze wszelkiego rodzaju zachcianki: buty przeznaczone na paradę, buty spacerowe, buty z podszewką i ze szlachetnej angielskiej skóry nieprzepuszczającej wilgoci. Komendanta nie obchodziło, że więźniowie musieli przedzierać się przez podmokłą ziemię obuci w niekształtne drewniaki. Oczywiście Göth zamawiał u Zygmunta Norenberga także buty dla swojej rodziny w Wiedniu, a szczególnie łubianym gościom chętnie pozwalał korzystać z usług swojego szewca. I tak Zygmunt Norenberg miał „pozwolenie” na wykonywanie obuwia nawet dla wyższego dowódcy SS i policji „Wschód” Friedricha Wilhelma Krugera, a gdy ten także przekonał się o wysokiej jakości jego wyrobów, Norenberg otrzymał kolejne zlecenia od generała SS: wykonanie butów dla jego żony i synów.

Aby dotrzymać terminów realizacji zamówień, Norenberg i jego ludzie pracowali po piętnaście-szesnaście godzin dziennie. W wypadku zamówień składanych przez samego Götha czasem trzeba było pracować całą noc. W razie niedotrzymania terminu dostawy pracownikom zakładu szewskiego groziła śmierć przez rozstrzelanie. Taką samą karę Göth wyznaczył także w razie znalezienia w warsztacie butów, które zostałyby wyprodukowane bez jego pozwolenia.

Historię można opowiadać na różne sposoby

Gdy 19 lipca 1943 roku pochodzący z Działoszyc szesnastoletni dekarz Joseph Tenenbaum

pracował przy bramie obozowej, z robót na dworcu towarowym w Płaszowie wracała właśnie grupa więźniów złożona z około trzydziestu mężczyzn komanda rozładowującego transporty. Wśród nich był także rówieśnik i przyjaciel Josepha Norman Kamelgard, również pochodzący z Działoszyc. Robotnicy mieli tego dnia zapakowane do swoich plecaków także artykuły spożywcze, które udało im się przypadkowo zdobyć - za duże pieniądze - dla krewnych osadzonych w obozie. Powracający z pracy do domu więźniowie mieli jednak pecha, co Tenenbaum dostrzegł ku swemu wielkiemu przerażeniu. U bramy obozu czekał na nich *Zugwachtmeister* Glaser wraz z grupą około trzydziestu ukraińskich strażników. Glaser miał nosa, jeśli chodziło o pełne plecaki. Intuicja nie zawiodła go i tym razem.

Podjeżdżając od razu, co się święci, dał sygnał gwizdkiem, a potem zaryczał: „Nasi niemieccy żołnierze głodują na froncie, a wy, żydowskie świny, żrecie chleb?! Skąd mieliście na to pieniądze?!”. Więźniowie milczeli. Glaser zarządził rewizję, sam zaś udał się spieszenie do komendantury, by sprowadzić na miejsce Götha. Każdy z więźniów musiał tymczasem opróżnić swój plecak i torby, rozkładając całą zawartość na ziemi, u stóp Ukraińców. Niektórzy usiłowali jeszcze w ostatniej chwili zakopać w ziemi obciążający ich materiał dowodowy. Jak się okazało - na próżno. Trzęsący się ze strachu mężczyźni aż za dobrze zdawali sobie sprawę, że ich życie wisi na włosku. Po kilku minutach na miejsce przybył z powrotem Glaser w towarzystwie Götha i kilku ludzi z SS. Jeden z esesmanów niósł ze sobą karabin maszynowy. W obliczu porażających dowodów złożonych przez więźniów na ziemi Göth, nie trwoniąc czasu na mówienie, wyrwał esesmanowi z ręki karabin i zaczął strzelać do więźniów. Kule omal nie trafiły Normana Kamelgarda. Przelatując tuż obok niego, ugodziły dwóch jego towarzyszy: Romana Nachhau-sera, handlarza skórą z Krakowa, oraz żonatego mężczyznę o nazwisku Diestler. Ogluszony strzałami Norman potrzebował kilku sekund, by się zorientować, że jeszcze żyje i jest tylko ranny - odłamek kości ze zmasakrowanej czaszki jednej z ofiar trafił go w oko. Zanim jeszcze zdołał przyjść do siebie, w stronę więźniów ruszyli esesmani uzbrojeni w pejczy. Rzemyki pejczy były zakończone kawałkami metalu, które natychmiast rozrywały skórę. Norman starał się osłonić twarz, jak tylko potrafił, a następnie osunął się na ziemię. Göth krzychał, że wszystkich zabije, jeśli nie uzyska informacji na temat kryjówek i schowków, w których rodziny więźniów przechowują wartościowe przedmioty.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Wreszcie przemówił szesnastoletni Norman. Powiedział, że jego ojciec Joseph przechowuje kilka sztuk biżuterii w piwnicy w Działoszycach. Wreszcie także stojący obok mężczyzna „wyznał”, że jego ojciec ukrywa złoto. Göth skwapliwie zanotował wszystkie informacje na kartce papieru. Najwidoczniej żądza zysku okazała się silniejsza od wściekłości komendanta. Cynicznie stwierdził nawet, że byłoby hańbą, gdyby został zmuszony zmarnować kilka następnych kul na Żydów, i że bardziej praktycznym rozwiązaniem będzie wykorzystanie ich jako siły roboczej. Göth rozkazał zatem zaprowadzić całą grupę za baraki i tam wychłostać. Zarządzona przez komendanta kara chłosty oznaczała sto razy wymierzonych pejczem w nagie pośladki dla każdego więźnia.

Pierwszy zgłosił się na ochotnika do przyjęcia tej bolesnej kary Norman Kamelgard. Już po otrzymaniu pierwszego uderzenia zaczął krzyżeć. Jeden z esesmanów pociągnął go wtedy do góry za włosy, popatrzył mu prosto w oczy i zagroził rozstrzelaniem, jeśli chłopiec nie przestanie wrzeszczeć. Norman musiał liczyć głośno i wyraźnie wymierzone razy wraz z esesmanem. Na ten wysiłek zdobył się resztką sił.

Czekało go jeszcze jedno upokorzenie. Po otrzymaniu stu uderzeń pejczem musiał jeszcze, zalewając się krwią broczącą ze świeżych ran, stawić się przed Göthem i zameldować wykonanie kary: „Otrzymałem zasłużoną karę”. Gdy jeden z towarzyszy niedoli Normana, pewien pochodzący z Krakowa żonaty Żyd o nazwisku Miteles, znajdując się w szoku, nie był w stanie zdać meldunku, Göth kazał go ponownie wychłostać. Siepacze z SS wylali na niego kubek zimnej wody, żeby go nieco otrzeźwić. Następnie ów nieszczęśnik znów musiał położyć

się na stole. Miteles był jeszcze w stanie jedynie niewyraźnie mamrotać liczby spadających na niego razów. Wreszcie jeden z esesmanów stracił cierpliwość, wziął do ręki pustak i jął go nim okładać w głowę. Miteles podniósł się ze stołu, zataczając się. Sprawiał wrażenie, jakby nie do końca był świadom tego, co się dzieje dookoła. Wypowiedzenie żądanej przez Götha formułki znów przekroczyło jego możliwości. Rozjuszony tak wielkim „oporem” więźnia esesman dobył swego pistoletu i zastrzelił Mitelesa.

Tortur nie przeżyło także kilku innych mężczyzn z brygady roboczej. Wszyscy, którym udało się ująć z życiem, doznali bolesnych obrażeń ciała. Komendant straży SS wezwał lekarza, który przynajmniej powierzchownie opatrzył rany. Dla skatowanych nie było jedzenia. Opatrzeni, zostali niezwłocznie skierowani do ciężkich robót, gdzie ich pracę nadzorowali strażnicy ukraińscy. Wszyscy bali się, że Göth może pojawić się po raz wtóry, żeby ich osobiście skontrolować. Na szczęście jego zainteresowanie więźniami dawno już się ulotniło. Niebawem jednak mordercza orgia esesmanów pochłonęła jeszcze jedną ofiarę. Jeden z ludzi przydzielonych do grupy Normana Kamelgarda - niejaki Schwartz - był tak ciężko ranny, że raz po raz tracił przytomność. Po jakimś czasie ukraińscy strażnicy zezwolili dwóm towarzyszom omdlałego na zaprowadzenie go do obozowego szpitala. Gdy obaj robotnicy wrócili do pracy, ich ponure miny nie wróżyły niczego dobrego. Okazało się, że Schwartz nie żyje. W drodze do szpitala zostali zatrzymani przez kilku esesmanów, którzy chcieli się dowiedzieć, dlaczego więźniowie opuścili miejsce pracy. Ci wyjaśnili, że Schwartz zranił się w trakcie wykonywania pracy i dlatego chcą go zanieść do szpitala. Wtedy esesmani stwierdzili, że nie należy marnować chleba dla kogoś, kto nie jest zdolny do pracy. Jeden z nich wyciągnął następnie swój pistolet i zastrzelił Schwartza na miejscu. „Proszę, teraz nie musi już iść do szpitala” - powiedział morderca, uśmiechając się.

Joseph E. Tenenbaum, przyjaciel Kamelgarda, inaczej zrelacjonował kluczową scenę tej opowieści, czyniąc z Normana bohatera i wybawcę, który miał, zachowując trzeźwość umysłu, przechytrzyć Götha. Oto ta heroiczna wersja:

To nie *Zugwachtmeister* Glaser, lecz *SS-Standartenführer* Edmund Zdrojewski, zastępca komendanta, miał zatrzymać *Arbeitskommando*, ponieważ chciał się rzekomo wykazać swoim zaangażowaniem. Gdy pobladli więźniowie opróżnili swoje plecaki i torby, nagle okazało się, że przed zgają esesmanów leży w kurzu martwa kura. Göth miał wyrwać jednemu ze swych towarzyszy broń i zastrzelić któregoś więźnia, a po chwili następnego. „Do kogo należy ta kura? Jeśli właściciel nie zgłosi się natychmiast, rozstrzelam was wszystkich!” - zapowiedział stojącej przed nim gromadce trzęsących się ze strachu więźniów.

Wtedy przed szereg wystąpił Kamelgard. Wskazując na jednego z zabitych więźniów, powiedział: „Panie komendancie, ten tam kupił kurę, mimo że mu zdecydowanie odradzałem”. „Otrzymał już należną karę” - odrzekł na to Göth, który rozkazał wychłostać wszystkich pozostałych członków grupy. Mieli otrzymać po pięćdziesiąt razów. Cięta odpowiedź Kamelgarda uratowała im życie, przynajmniej do czasu.

Stosunki między Göthem i jego poprzednikiem, byłym komendantem obozu w Płaszowie *SS-Oberscharführerem* Franzem Josephem Mullerem pozostawały napięte. Solą w oku był Göthowi fakt, iż Muller, w stosunku do którego czuł przewagę, w dalszym ciągu kierował trzema obozami: Julagami I-III. Nic więc dziwnego, że nowy komendant nie przepuścił żadnej okazji by zastraszyć byłego introligatora i ramiarza, który wraz ze swoją rodziną mieszkał na terenie Julagu I. Ponieważ jednak Göth nie był jego przełożonym, nie mógł mu wydawać rozkazów. Musiał zatem posuwać się do knucia intryg i angażowania denuncjatorów przeciwko zniechęconemu Mullerowi. Pewnego razu, gdy Göth, wracając z obozu samochodem, odbijał w ulicę Wielicką, zauważył, iż jeden z żydowskich lekarzy z płaszowskiego obozu wszedł do baraku Mullera. Zatrzymawszy się, wysiadł z samochodu, by móc zajrzeć przez okno baraku, co się dzieje wewnątrz. Nie wiedział, że żona jego rywala Rosa jest nerwowo chora z powodu

syna Jurgena, któremu wspomniany żydowski lekarz w ostatniej chwili uratował życie po ciężkim zatruciu, przetaczając mu krew. Patrząc przez okno baraku, Göth odniósł wrażenie, że lekarz dobiera się do roznegliżowanej żony Mullera. Po tym komendant wrócił do swego samochodu i ruszył w kierunku miasta, o czym poinformował później Mullera strażnik SS stojący na posterunku przy bramie obozu, gdy ten zapytał go po powrocie z obchodu, dokąd udał się Göth po swojej niezapowiedzianej wizycie w Julagu.

Będąc już w mieszkaniu, Muller zaprosił jeszcze żydowskiego lekarza, do którego rodzina miała więcej zaufania niż do lekarza esesmana zatrudnionego w Płaszowie, na kieliszek pernodu. Po chwili, gdy Franz Joseph zamierzał właśnie udać się do Julagu II, zadzwonił telefon. Okazało się, że dzwonił sam *SS-Obcrfuhrer* Scherner, który nakazał Mullerowi niezwłocznie stawić się w swoim biurze przy ulicy Oleandry. Gdy ten przybył na miejsce, ku swojemu zdziwieniu stwierdził, iż w biurze Schenera przebywa także Göth. Komendant kilkakrotnie zmierzył nowo przybyłego wzrokiem od stóp do głów, a następnie, nie szczędząc mocnych słów, zaczął wrzeszczeć na Mullera: „Czy pokochał pan tych swoich Żydów do tego stopnia, że pozwala pan nawet, by Żydzi spełniali pańskie małżeńskie powinności?!”.

Muller nie mógł w pierwszej chwili wydobyć z siebie ani słowa. Dopiero po kilku minutach stało się dla niego jasne, jakiego figla - sam Muller nazwał to w swoich wspomnieniach „świństwem” - spletał mu „tyran” Göth. Obróciwszy się w jego stronę, rzucił do niego tylko dwa słowa: „Ty łajdaku!”, po czym opuścił biuro.

Muller rzekomo dwukrotnie wyzywał Götha na pojedynek. Miejscem pojedynku miał być kamieniołom, Muller zaproponował dystans piętnastu metrów. Każdy z nich mógł oddać trzy strzały, pierwszy miał strzelać Göth. Ten nie zamierzał bynajmniej ryzykować życia, a już na pewno nie z powodu Mullera. Dlatego też wystarał się u Schenera o odpowiednie pismo, w którym można było przeczytać: „Pojedynki zostały zakazane przez *SS-Reichsführera*”.

Tymczasem w odpowiedzi na aferę pojedynekową Göth zlecił jeszcze intensywniejsze niż do tej pory szpiegowanie Mullera. Przede wszystkim Leonhard John pojawiał się odtąd pod byle pretekstem w Julagu I i w mieszkaniu Mullera. Göth gorąco pragnął definitywnie pozbyć się swojego rywala i przejąć kierownictwo nad Julagami I-III.

Jeśli wierzyć wyznaniom Mullera, spisany w jego „sprawozdaniu opartym na faktach”, Göth nie cofnął się nawet przed wszelkiego rodzaju brudnymi zagrywkami, by wyeliminować swego konkurenta. Pewnego sierpniowego dnia w 1943 roku Muller miał otrzymać telefon z siedziby krakowskiego Gestapo. Niejaki *SS-Obersturmführer* Barth poinformował go wówczas o tym, że Hofstetterowie, żydowskie małżeństwo aptekarzy, mieli się znajdować na liście członków ruchu oporu. Aptekarz posiadał rzekomo w swoim baraku nielegalny radiodbiornik i dlatego też na rozkaz *SS-Oberführera* Schenera należało go rozstrzelać. Miał to zrobić właśnie Muller.

Muller od razu się zorientował, że za tym telefonem kryje się jakiś podstęp. Znał głos Bartha, a męczyzna przy aparacie brzmiał zgoła inaczej. Przede wszystkim Gestapo, zgodnie z przyjętym zwyczajem, musiałyby osobiście odebrać żydowskie małżeństwo, by poddać je przesłuchaniu we własnym więzieniu, tak aby wydobyć z podejrzanych za pomocą tortur jak najwięcej szczegółów. Poza tym funkcjonariusze Gestapo wszczęliby poszukiwanie nielegalnego radiodbiornika. Nazajutrz o poranku, gdy Muller pił właśnie kawę, chłopiec od posług domowych doniósł swemu panu, iż Scherner udał się swoim samochodem do willi Götha. Informacja ta naprowadziła Franza Josepha na właściwy trop. Głos w słuchawce telefonicznej, jedynie nieznacznie zmieniony, musiał być głosem samego Götha.

Muller postanowił upewnić się co do słuszności własnych podejrzeń i zadzwonił do biura Schenera. Przekazano mu jednak, że ten jest u Götha. W zaistniałej sytuacji Muller wybrał numer telefonu do willi i kazał się połączyć z komendantem.

Göth podniósł słuchawkę:
„Kto tam?”

„Muller z Julagu I. Czy *Oberfuhrer* jest może u pana? Muszę z nim pilnie pomówić!”

„Czego pan chce?”

„Otrzymałem telefon, z którego wynika, że mam zastrzelić pewne małżeństwo”.

Po krótkiej przerwie w aparacie odezwał się Scherner: „Mogę wiedzieć, dlaczego, do diabła, podnosi pan takie larum z powodu tych żydowskich zasrańców?! Ten wczorajszy rozkaz wydałem osobiście! Raz-dwa, niech pan czyni swój obowiązek!”.

Muller, „wciąż jeszcze niezdecydowany, co począć”, ostatecznie ustąpił, okazując posłuszeństwo swojemu przełożonemu. Poszedł do baraku żydowskiego małżeństwa, by poszukać nielegalnego radioodbiornika -daremnie. Doszło do burzliwej wymiany zdań - Muller spełnił swoją powinność: „Wypędziłem oboje z ich izby i wydałem stojącemu na posterunku esesmanowi rozkaz, by ich zastrzelił. Tego dnia poszedłem do miasta i nie pokazywałem się w obozie aż do wieczora”. Muller nie przypomina sobie wszakże wszystkich szczegółów: naoczni świadkowie zeznali później przed sądem, iż widzieli, jak osobiście wyprowadził małżeństwo Hofstetterów za barak i zastrzelił oboje, używając własnego pistoletu.

IX. "Kto najpierw strzela ten ma więcej życia"

Wiedeńczyk Amon Leopold Göth był człowiekiem z poczuciem humoru, z dumą obnoszącym się ze swymi haniebnymi uczynkami. Od wszystkich innych oczekiwał, iż będą się śmiali, gdy on dawał raz po raz kolejny pokaz swojego wyrafinowanego poczucia humoru. I tak kazał więźniom taszczyć ogromne bloki skalne z kamieniołomu do obozu pod pretekstem konieczności budowy nowych fundamentów pod baraki. Przyglądając się zrozpaczonemu nieszczęśnikowi, którzy ostatkiem sił przenosili wielkie kamienie, miał powiedzieć ze śmiechem do jednego z towarzyszących mu oficerów SS: „To jest moja teoria Einsteina”.

W specjalnie urządzonym w willi „pokoju myśliwskim” Göth wywiesił powiedzenie, które wybrał jako motto swoich rządów w Płaszowie: „Kto najpierw strzela, ten ma więcej z życia”. I rzeczywiście komendant strzelał i zabijał, gdy tylko przychodziła mu na to chęć: dyktując listy swojemu stenografowi Mietkowi Pemperowi, w trakcie obchodów kontrolnych po „barakowym miasteczku”, przy masowych grobach na Hujowej Górcie i w więzieniu obozowym. Miał trzy pistolety: kalibru 9 mm, 7,65 mm i 6,35 mm. Z dwoma z nich nigdy się nie rozstawał.

Göth nie odnajdywał się w zespole. Wszystkie działania podejmował na własną rękę, nie tolerował osób ograniczających w jakimkolwiek stopniu jego samowolę. Zżerała go ambicja, chciał jak najszybciej awansować. Aby dopiąć swego, był skłonny zabijać ludzi. Był święcie przekonany, że pojął „reguły gry” panujące w „okręgu gangsterów”, że nauczył się udzielonej mu wówczas lekcji. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż jego kariera zależy od tempa i rozmiarów mordy dokonywanego na Żydach.

W pewien chłodny, deszczowy poranek w kwietniu 1943 roku miały miejsce przerażające sceny. Siostry Sonia i Blanca Schreiber, w wieku odpowiednio piętnastu i dwudziestu trzech lat, zostały wraz z grupą innych więźniarek zapędzone do miejsca w głównym magazynie obozowym, gdzie wydawano narzędzia. Przed wojną ojciec dziewcząt Janek Schreiber prowadził mały sklep ze skórą w Krakowie, rodzina żyła w małym wprowadzie, ale za to komfortowo urządzonym mieszkaniu na krakowskim Kazimierzu. Blanca była już mężatką. Jej mąż Norbert oraz ojciec Janek także zostali wysiedleni do obozu w Płaszowie. Matka Adel: Finder-Schreiber nie żyła już wtedy - padła ofiarą „akcji” przeprowadzonej w getcie 28 października 1942 roku. Została zamordowana w obozie zagłady w Bełżcu. Jej ostatnie słowa wypowiedziane do Soni w chwili pożegnania brzmiały następująco: „Pamiętaj, żeby o wszystkim opowiedzieć światu!”.

Od personelu głównego magazynu kobiety otrzymały młoty kowalskie, narzędzia wetknięto im do ręki, a następnie pod nadzorem ode-mana Benna pomaszerowały do swojego nowego „miejsca pracy” -a był nim długi, wąski grób, częściowo wypełniony potłuczonymi na duże kawałki płytami nagrobnymi pochodzącymi z obu cmentarzy żydowskich, na których terenie wzniesiono obóz. Zadaniem kobiet było rozbicie tych kamieni nagrobnych na drobne kawałki. Materiałem uzyskanym w ten sposób miała zostać wybrukowana Lagerstralsé. Praca była wprowadzie ciężka, ale Benno był życzliwie nastawiony do swoich podopiecznych. Zapędzał je do pracy tylko wtedy, gdy widział zbliżających się strażników lub esesmanów. Jak wszędzie na terenie obozu złowieszcze hasło ostrzegawcze było zakodowane, tutaj brzmiało: „Sześć!”.

I rzeczywiście nagle Benno krzyknął: „Sześć!” - w ich stronę powoli zbliżała się limuzyna Götha. Po chwili samochód zatrzymał się. Kątem oka pracujące jak w amoku kobiety zauważyły, iż komendant ma na szyi swój biały szal, niezawodny znak, że Göth jest w nastroju do zabijania, co przyprawiło je o drżenie ciała.

Uśmiechając się, pozornie odprężony komendant przyglądał się zrazu kilku kobietom noszącym z wielkim trudem wodę. Ich ciała ugiwały się pod ciężarem dwóch napełnionych po brzegi wiader. Błyskawicznie wypatrzył swoją pierwszą ofiarę. Była nią starsza kobieta, dźwigająca tylko jedno wiadro. Świst pejcza sprawił, że wszyscy zadrżeli - Göth bił kobietę, aż straciła przytomność. Sonia i Blanca Schreiber, pracując ramię w ramię, tłukły kamienie. Obok Blanki siedziały zaprzyjaźniona z nimi Zosia Ormianer oraz jej matka. Nie odwracając wzroku,

kobiety pracowały dalej, mimo iż wiedziały, że Göth zbliża się w ich stronę. Usłyszały tylko, jak odeman Benno wydaje komendę: „Uwaga!”, na którą Göth ostro zareagował, krzyząc do robotnic: „Nie wstawać, pracować dalej!”.

Blanca poinstruowała szeptem swoją młodszą siostrę: „Gdy mnie zastrzeli, zachowaj spokój i pracuj dalej, w przeciwnym razie ciebie też zabije”. Mijały minuty, a Göth wciąż w milczeniu obserwował kobiety przy pracy. Nagle rzucił się na matkę Zosi Ormianer i wyrwawszy jej z ręki narzędzie pracy, zaczął ją bez litości okładać młotkiem. Następnie usiadł, by pokazać Żydówkom, jako przedstawiciel „rasy panów”, jak należy właściwie wykonywać robotę. Wcisnął mały kamień między dwa wielkie bloki skalne i jął uderzać młotkiem z całej siły. Jednak młotek nie wytrzymał, złamał się, co tylko dodatkowo rozwścieczyło komendanta. Rozdrażniony, wychłostał matkę Zosi do nieprzytomności. „Pracuj dalej! - wyszeptała Blanca do swojej siostry. - Ona już na pewno nie żyje. Pod żadnym pozorem nie patrz w tamtą stronę!”. Ale nawet nie podnosząc głowy, Sonia widziała martwą kobietę. Po raz pierwszy w życiu ta piętnastolatka mogła ujrzeć z tak bliska ludzkie zwłoki.

„Uwaga!” - krzyknął Benno, dodając po chwili: „Komendant już poszedł!”. Rozglądając się dookoła, Sonia i Blanca widziały poblądłe, bez-krwiste twarze i oczy, z których można było wyczytać zwierzęcy strach. Ktoś później powiedział, że matka Zosi nie umarła od uderzeń biczem, lecz musiała zostać zastrzelona. Wskazywała na to rana postrzałowa w jej głowie. Najprawdopodobniej Göth użył do dokonania tej zbrodni pistoletu z tłumikiem, zatem tym razem był bardzo dobrze przygotowany do „wycieczki” do świata więźniów.

Pośród ogólnej hysterii Zosia Ormianer wciąż siedziała na swoim miejscu, milcząc. Nawet nie płakała po stracie matki. Ostrożnie wciągnęła zwłoki matki do taczek, które następnie pchała pod górę przez wzgórze.

Tymczasem odeman Benno dał upust swojej rozpacz: „Poszedł sobie. Ten sukinsyn wreszcie sobie poszedł!” - te słowa wydobyły się z jego piersi pośród powszechnego płaczu. Odpowiedziało mu westchnienie ulgi. Jednak ten stan nie trwał zbyt długo. W odległości kilku metrów od kobiet zgromadzonych wokół sióstr Schreiber pewna starsza kobieta pchała wózek załadowany kamieniami przed inną grupą więźniarek.

Prawie w ogóle nie posuwała się do przodu. Przydzielony do nadzoru nad tą grupą odeman dostrzegł skrajne wyczerpanie kobiety, odebrał jej taczkę, pozwalając jej iść obok siebie. Wtedy znów pojawiła się czarna limuzyna komendanta. Było już jednak za późno, by ostrzec odemana. Göth już wcześniej zobaczył, co się przed chwilą stało. Wsiadłszy z samochodu, podszedł do tego mężczyzny, który odważył się potraktować Żydówkę w ludzki sposób, i zaczął go bić bez litości. Następnie kazał żydowskiej kobiecie biec, miała po prostu pobiec przed nim. Zrozpaczona Żydówka, która wiedziała, że rozkaz ten oznacza wyrok śmierci, upadła przed nim na kolana i zaczęła go błagać o darowanie życia. Göth zareagował brutalnym kopnięciem, które było wymierzone w piersi nieszczęśnicy. Potem zaczął strzelać. Kobieta upadła wprawdzie na ziemię, nie została jednak śmiertelnie raniona, ponownie podniosła się, bezgłośnie poruszając ustami, jak gdyby chciała jeszcze raz spróbować wybłagać u komendanta darowanie życia. Ten jednak, pozostając niewzruszonym, oddał do niej kolejny strzał. Leżąc już na ziemi, wyciągając zalane krwią ręce, usiłowała się przyczoić do swego mordercy. Wtedy padł trzeci strzał - tym razem kobieta znieruchomiała.

Także w nocy więźniowie nie czuli się bezpiecznie, obawiając się przybycia Götha. Komendantowi takie nocne eskapady sprawiały wręcz szczególną przyjemność. Zazwyczaj wybierał sobie porę krótko po północy. Wyposażony w małą latarnię, Göth wyruszał wówczas na kontrolę do pracujących na nocną zmianę więźniów. Czasem, niczym zjawa śmierci, wpatrywał się uważnie przez okna baraków i biada temu z więźniów, który nieopatrznie ze zmęczenia zasnął nad swoją pracą. W takich wypadkach Göth nie wahał się ani chwili, strzelał bez ostrzeżenia, nawet jeśli pomiędzy nim a ofiarą była szyba. Jako jedno z największych

zagrożeń więźniowie postrzegali nocną wyprawę do latryny. Nierzadko zdarzało się, że na miejscu czekał już zacząjony na przyszłą ofiarę komendant. O zagrażającym niebezpieczeństwie mógł się przekonać między innymi Roman Frister, chłopiec z Bielska, który swojej lekkomyślności omal nie przypłacił życiem. Gdy pewnego wieczoru chłopiec zapomniał o godzinie policyjnej i usiłował się zakraść do swojego baraku, został zaskoczony przez Götha: „Co tu robisz, ty zawszony Żydzie?!” - w ten oto sposób ryknął komendant na przerażonego chłopca. Za zlekceważenie zakazu wyjścia groziła kara śmierci przez powieszenie, a Roman doskonale wiedział, iż komendant nie zna litości. Te dramatyczne sekundy zostały opisane przez Fristera we wspomnieniach z perspektywy kilkudziesięciu lat w następujący sposób: „Sparaliżowany strachem, patrzyłem na jego prawą dłoń, która powoli osuwała się ku kaburze pistoletu. Dobył wreszcie broni, której lufę skierował w moją stronę. Wtedy zaczął się ze mną bawić w kotka i myszkę. Opóźniał moment oddania strzału, rozkoszował się swoją władzą i moim oczekiwaniem na śmierć, któremu towarzyszyło nie lada napięcie. Wiedział dobrze, że w momencie, w którym naciśnąłby spust, pozbawiłby się miłej mu rozrywki”.

Jak to się zdarzało w tamtym czasie, także Roman Frister miał niewiarygodne wręcz szczęście. Gdy Göth chciał już oddać strzał, okazało się, że broń odmawia mu posłuszeństwa. Klnąc jak szewc, komendant jął majstrować przy swoim pistolecie. Była to chwila, w której Roman przebudził się z osłupienia, by spróbować ucieczki. I rzeczywiście, ignorując wściekłe okrzyki Götha: *Halt!* i wykorzystując ciemność panującą w barakowym labiryncie, chłopiec uciekł z miejsca zdarzenia. Göth zrezygnował w końcu z kontynuowania pościgu.

Poza strzelaniem do ludzi Göth oddawał się jeszcze jednemu hobby -w dalszym ciągu jazda samochodem sprawiała mu ogromną przyjemność i Mony wykorzystywał każdą nadarżającą się sposobność, by się odprężyć za kierownicą jednego ze swoich trzech sportowych samochodów. Dwudziestoczteroletni Żyd z Krakowa Szalom Lezer był świadkiem jednej z takich rekreacyjnych przejażdżek. Lezer zamiatał właśnie schody przed chłodnią, gdy komendant wjeżdżał swoim bmw kabrioletem na podwórze, gospodarskie. Rozpoznawszy natychmiast Götha, przybrał wyprostowaną postawę, by oddać komendantowi honory. Oddalony o dwadzieścia metrów od Lezera inny pracownik, zajęty zamiataniem podwórza, nie zauważył jednak „Jego Ekscelencji”, gdyż stał zwrócony tyłem do jezdni. To mimowolne zlekceważenie przez niego przepisowego złożenia dowodu czci przełożonemu Göth potraktował jako doskonałą okazję do wykazania się swoimi „sportowymi umiejętnościami”. Zmienił bieg na niższy i sięgnął prawą ręką po pistolet. Oddał strzał do mężczyzny, nie zatrzymując samochodu. Ten, raniony, osunął się na ziemię, jednak po chwili podniósł się. Dostrzegłszy to, Göth zatrzymał się z piskiem opon i wysiadł z samochodu. Ponieważ zaś wydawało mu się, że chybił, rozkazał stojącemu w pobliżu ode-manowi Mellerowi, by ten wymierzył ofierze dwadzieścia pięć razy. Nagle zauważył jednak, iż raniony więzień ciężko krwawi. „Obróć się!” -brzmiał rozkaz skierowany do nieszczęśnika, który dostał po chwili kulę w głowę. Nie tracąc nawet słowa na skomentowanie całego „zajścia”, Göth ponownie wsiadł do swojego sportowego samochodu i odjechał z szaloną prędkością.

Za każdym razem gdy w pobliżu pojawiał się komendant, więźniowie nie byli pewni swego życia. Wiedzieli bowiem, że król Płaszowa nie zna litości, że jest zupełnie bezduszny i nic nie jest go w stanie poruszyć. Poza tym zawsze znajdował powód, żeby strzelać do więźniów. Strzelał, kiedy ktoś złożył mu nieprawidłowo raport, gdy więzień nie ustawił się w czasie apelu w odpowiedni sposób w swoim szeregu, strzelał także, gdy uznał, że ktoś jest za młody albo przeciwnie - za stary, gdy wydało mu się, iż dana osoba źle się porusza, chodząc, lub gdy w jego mniemaniu źle wykonywała swoją pracę. O arbitralności powodów, jakie rzekomo skłaniały komendanta do zabijania więźniów, przekonała się między innymi pracująca w fabryce kabli młoda Żydówka Felicja Friedmann. Jej kuzyn Chaskel Anisfeld został zastrzelony przez Götha według relacji innych świadków przez Franza Grima - ponieważ nosił w czasie pracy marynarkę. Miał zatem w ten sposób złamać wydany rzekomo przez *SS-Gruppenführera* Juliana Schernera rozkaz regulujący kwestię troskliwego obchodzenia się z odzieżą. Inny więzień - Stefan Wassermann - musiał natomiast umrzeć, gdyż został przyłapany przez Götha na paleniu papierosa.

Pewnego wieczoru do Willi Götha został zaproszony na kolację Rai-mund Titsch, kierownik

zakładów Juliusa Madritscha. Gdy komendant, próbując łyżką zupę, omal nie poparzył sobie warg, wezwał do siebie kucharza. Ponieważ ten nie pojawił się natychmiast, rozwścieczony

Göth zerwał się ze swojego miejsca, złapał za fraki kucharza, który tymczasem przybiegł z kuchni, i wyciągnął nieszczęśnika na dwór, gdzie go zastrzelił. Do więźniów, którzy służbę w willi Götha przypłacili życiem, należał także młody Żyd Eli Weinberg (Lisiek), pełniący funkcję opiekuna psów komendanta oraz stajennego. Gdy pewnego wieczoru w maju 1943 roku jeden z gości przebywających wówczas w Czerwonym Domu wyraził życzenie, by odwiedziono go do domu, Lisiek pobiegł do stajni, by przyprowadzić powóz. Gdy wracał, na miejscu czekał już na niego Göth, który krzyczał rozwścieczony, domagając się od stajennego wyjaśnień, dlaczego ten uczynił zadość życzeniu gościa bez pozwolenia swojego pana. Nieszczęśny Lisiek nie był w stanie wydobyć z siebie ani jednego dźwięku - tak bardzo był przerażony całą sytuacją. Wtedy Göth wyciągnął pistolet i po prostu zastrzelił go.

Jednym z więźniów przypisanych do tak zwanego baraku malarzy był Viktor Dorthheimer, który w maju 1943 roku był świadkiem następującej sceny: Pewnego dnia w baraku malarzy pojawił się nagle komendant. Zapytał, ilu więźniów jest obecnych. Kapo - niejaki Ferber - odpowiedział, że jest ich pięćdziesięciu bądź pięćdziesięciu jeden, na co Göth zareagował wykrzyczanym pytaniem: „Pięćdziesięciu czy pięćdziesięciu jeden?!”. Ferber usiłował jeszcze wyjaśnić, iż jeden z mężczyzn być może udał się do latryny. Jednakże los kapo był już w tamtym momencie przesądzony. Göth dobył swego pistoletu i zastrzelił Ferbera, stojącego wtedy bezpośrednio przed Dorthheimerem. Kapo był martwy, jeszcze zanim jego głowa uderzyła o podłogę.

Göth bynajmniej nie zabijał tylko z wściekłości czy gniewu. Bardzo cenił sobie element zaskoczenia. Upajał się wręcz raptownym przejściem od normalności do strachu przed śmiercią, które mógł obserwować w oczach i na twarzach swoich ofiar. Chodziło mu przede wszystkim o trwający zaledwie ułamek sekundy stan podszytego niedowierzaniem i rozpaczą zdziwienia. O tym wynaturzeniu komendanta mogła się na własne oczy przekonać dwudziestopięcioletnia Bronia Gross--Giinz, córka Meira Grossa, przed wojną prowadząca delikatesy przy ulicy Krakowskiej 11. Stała ona pewnego dnia na placu apelowym obok swojej osiemnastoletniej przyjaciółki Schandl Muller. Göth, dosiadłszy swojego siwka, przejeżdżał przed szeregami więźniów tam i z powrotem. Schandl, pochodząca z rodziny chasydów nader religijną osobą, coś przyprawiło tego wieczoru o śmiech, i to dokładnie w momencie, gdy Göth zatrzymał się na swoim koniu właśnie przed nią. „Co za głupota! - jeszcze teraz Broni nasuwa się taki komentarz, gdy przypomina sobie tę sytuację. - Żydom nie wolno się przecież śmiać!”. Jednakże dla Schandl było za późno - Göth już wyciągnął swój pistolet z kabury, już rozbrzmiał odgłos oddanego strzału. Gdy Bronia wykonała ruch w stronę swojej umierającej przyjaciółki, chcąc jakoś pomóc nieszczęśnicy, rzuciło się na nią dwóch strażników, którzy jęli ją okładać pejciami. Pod naporem chłostających ją bez litości esesmanów Bronia upadła na ziemię, co z kolei skłoniło jej dręczycieli do kopania swej ofiary nogami. Jak się później okazało, uszkodzono jej wtedy nerkę. Jednakże w obozie nie wolno było chorować, więc następnego dnia mimo silnych bólów Bronia poszła znowu do pracy. Mancji Rosner, „dobrej duszy” z jej baraku, udało się załatwić dla Broni dodatkowy koc. Bronia uchodziła w obozie za wdowę. Jej mąż Roman, który był żołnierzem polskiej armii, miał zostać wywieziony do Auschwitz w maju 1941 roku, to jest zaledwie trzy miesiące po ich ślubie. Dwa tygodnie później Bronia otrzymała od Gestapo list, z którego dowiedziała się, że jej mąż nie żyje i że, jako wdowa, może się zgłosić do odpowiedniego urzędu policji, aby odebrać prochy męża. „Propozycję” tę Bronia odrzuciła, obawiając się, iż zastawiono na nią pułapkę, i jak się później okazało, jej podejrzenia były słuszne. Göth wypożyczył grupę dwudziestu stolarzy pracujących w Płaszowie do Oświęcimia. Gdy robotnicy ci powrócili do obozu w Płaszowie, jeden z nich - o nazwisku Immergluck - przywiózł ze sobą pewną rzecz świadczącą o tym, że mąż Broni żyje. Był to pamiątnik, na którego okładce jej mąż napisał swoje imię i nazwisko i w którym zapewniał żonę, że ją kocha.

Wycieczki do Szebni i do szkoły zabijania

Wraz ze swoim przyjacielem i protektorem Julianem Schernerem Göth udał się w drugiej połowie marca 1943 roku z pierwszą inspekcją do Szebni. W tej miejscowości, położonej na Pogórzu Karpackim, nieopodal Jasła, zamierzano przeprowadzić nowy „eksperyment”. Miał tu mianowicie powstać pierwszy mieszany polsko-żydowski obóz pracy przymusowej. Nadzór nad planowanym obozem Scherner, pomny na swoje pierwsze doświadczenia zebrane w Płaszowie, zamierzał powierzyć Göthowi. Obóz w Szebniach działał od 11 marca 1943 roku. Od października 1941 roku do wiosny roku 1942 znajdował się tu *Frontstalag-Szebnie*, obóz zagłady przeznaczony dla sowieckich jeńców wojennych. W tym czasie władze obozu z zimną krwią przyglądały się, jak siedem tysięcy pojmanych żołnierzy Armii Czerwonej umierało tu z niedożywienia i z powodu epidemii. Scherner miał teraz wielkie plany - chciał utworzyć w Szebniach obóz, w którym osadzano by żydowskich robotników przymusowych z gett w Bochni, Jasle, Rzeszowie, Przemyślu i Tarnowie, a także polskich więźniów.

Miał tu powstać wielki kombinat zakładów rzemieślniczych, którego finansami zarządzałyby monachijski biznesmen Robert Wagner, prowadzący już krakowską Centralę Świadczeń Rzemieślniczych. Wagnerowi udzielono wymaganych zezwoleń, na miejscu w Szebniach znajdowały się już wówczas *Vorauskommando* - 9 marca Göth przesłał do Szebni grupę czterdziestu siedmiu starannie wybranych więźniów z Płaszowa, których odtransportowano samochodem ciężarowym. Mężczyźni ci mieli pomóc przy rozbudowie miejscowego obozu. Kilka dni później przybył tu kolejny transport z pięćdziesięcioma więźniami, w grupie tej dominowali lekarze i elektrycy. Płaszowskich robotników eskortował wówczas do Szebni *SS-Unterscharführer* Lorenz Landstorfer. Pracownicza załoga obozu powiększała się jednak bardzo wolno. Wkrótce stało się jasne, że nie uda się osiągnąć ambitnych celów, których realizację przewidywał plan Schenera. Ostatecznie jego koncepcja zakończyła się fiaskiem. W kwietniu w obozie w Szebniach znajdowało się około dwustu pięćdziesięciu Żydów, w sierpniu 1943 roku - pięciuset siedemdziesięciu, do tej liczby dochodzili jeszcze polscy więźniowie w liczbie czterystu siedemdziesięciu osób, a wśród tych ostatnich byli więźniowie polityczni przywiezieni z więzień Gestapo w Nowym Sączu i Krakowie. Kierownictwo obozu kurczowo trzymało się swoich szaleńczych rasowych uprzedzeń, o czym może świadczyć fakt, iż na miejscu urządzono dwa place apelowe: jeden dla więźniów żydowskich, drugi dla Polaków.

Takie „podróże służbowe” wiązały się w wypadku Götha i Schenera nie tylko z obowiązkami biurokratyczno-organizacyjnymi, lecz także miały swoje przyjemne strony. W znajdującym się poza terenem obozu zamku w Szebniach kierownictwo lagru zwykło podejmować swych dostojnych gości z wielką pompą. O mających miejsce przy takich okazjach libacjach, w których brali udział dowódcy SS, zdał później relację Edward Elsner, czterdziestopięcioletni więzień pełniący funkcję zastępcy starszego obozu. I tak *SS-Standartenführer* Josef Grzimek miał zawsze w czasie pijatyk kazać grać obozowej orkiestrze. Göth i Scherner przyjeżdżali wielokrotnie na takie radosne „święta” rzekomo nieoficjalnie. Tymczasem gospodarze imprez, starając się uatrakcyjnić gościom pobyt w Szebniach, starali się zawsze o uświetnienie programu kilkoma spektakularnymi punktami. *SS-Untersturmführer* Anton Scheidt, który pełnił funkcję pierwszego komendanta obozu i był jednym z pomocników Götha w Płaszowie, rozkazał pewnego wieczoru kilku Żydówkom, aby się rozebrały do naga, a następnie, okładając je pejczem, zmuszał, by biegały dokoła stołów. Także on wpadł innym razem na pomysł, by sprowadzić dla gości najpiękniejsze Żydówki z obozu i zmusić je do spółkowania na oczach wszystkich obecnych. Był to plan, który został jednak udaremniiony przez rywala Scheidta *SS-Oberscharführer* Antona Pospiecha. Nie udało się wszakże zapobiec stopniowemu przeciekaniu pikantnych informacji na temat odbywających się na zamku w Szebniach orgii do Krakowa. Anegdota na ten temat doszły także do uszu wrogów Götha i Schenera. Był to bardzo niebezpieczny materiał, którego ci świadomie użyli później w pełnej intrygę rozgrywce o wpływy i władzę.

Przyjazne stosunki Göth utrzymywał także z Wilhelmem Rosenbaumem, który kierowa

osławionym „centrum treningowym” Policji Bezpieczeństwa w Rabce-Zdroju, położonej w połowie drogi z Krakowa do Zakopanego. Według relacji świadków, Göth miał się tu kilkakrotnie spotkać przy stole z Oskarem Schindlerem „Akademia” Rosenbauma była *de facto* szkołą zabijania, i trudno sobie wyobrazić bardziej przerażającą placówkę. To właśnie tutaj prezentowano techniki mordowania stosowane później we wszystkich obozach i w trakcie przeprowadzania różnych „akcji”. Niewykluczone, że już w roku 1942 Göth zaliczył tu swoją pierwszą „lekcję” zabijania Żydów. Jako „obiekty demonstracyjne” posłużyli wtedy Żydzi sprowadzeni z pobliskich miejscowości, przede wszystkim kobiety i dzieci, a „edukowani” tu esesmani i Ukraińcy już wkrótce mieli się okazać bardzo pojętnymi uczniami. Wzorcowe mordy dokonane na Żydach w Rabce--Zdroju, które w trakcie realizacji programu „kursów” w pobliskich lasach pochłonęły łącznie ponad dwa tysiące istnień ludzkich, można z powodzeniem udokumentować w miejscach kaźni na Wschodzie.

Pierwsza defraudacja celna uchodzi płazem

24 maja 1943 roku Amon Göth mógł odetchnąć z ulgą - jego przyjaciele nie opuścili go w potrzebie. Sąd SS i Policji Kraków VI oczyścił go z zarzutów o zdefraudowanie opłaty celnej. Sprawę przeciwko Göthowi zainicjowało doniesienie o popełnieniu przestępstwa, które wystosował główny urząd celny Wien-Mitte. Zgodnie z przedstawionym zarzutem, miał on wraz z innymi ludźmi przywłaszczyć sobie w 1942 roku „mienie Wehrmachtu” obejmujące sześćset dziewięćdziesiąt sześć butelek zagranicznych napojów alkoholowych, dwanaście kilogramów wyrobów perfumeryjnych, jeden bufet, dwa małe fotele oraz osiemnaście tysięcy papierosów, narażając tym samym Rzeszę na straty w wysokości 11090,55 marek - tyle wynosiła nieuiszczona opłata celna. Niebawem do sprawy wmieszało się Gestapo. Dział personalny okręgowego kierownictwa NSDAP w Wiedniu poinformował o tym doniesieniu w swoim piśmie z 22 marca 1943 roku kierownictwo powiatowe NSDAP Kreisleitung I. 7 maja 1943 roku *Kreisleiter* (kierownik powiatowy NSDAP) Hans Arnhold podjął decyzję o wszczęciu przeciwko Göthowi postępowania dyscyplinarnego przed sądem partyjnym.

Wprawdzie udało się oddalić stawiane mu zarzuty, jednak pogłoski na temat jego działań przemyślniczych nie ucichły. Pewne osoby w Wiedniu w dalszym ciągu były zainteresowane skompromitowaniem Götha. I tak 9 czerwca 1943 roku dział personalny kierownictwa powiatowego NSDAP w Wiedniu zażądał przeprowadzenia „przyspieszonego postępowania” w sprawie politycznej oceny Götha. Wydane 17 czerwca 1943 roku orzeczenie *Ortsgruppenleiters*, który musiał przystać na przeprowadzenie odpowiedniego postępowania przed sądem partyjnym, wypadło, zgodnie zresztą z oczekiwaniami, pozytywnie: „Członkowi partii Leopold Göth-Amon (*sic!*) nie można zarzucić niczego, jeśli chodzi o uformowanie jego charakteru i profil polityczny. Od 9.03.1940 przebywa na Wschodzie. Nie można było uzyskać danych dotyczących jego aktualnego miejsca zamieszkania. Göth-Amon jest kandydatem do Orderu Krwi”. Nawet jeśli pominie się drugorzędną kwestię zniekształcenia nazwiska Götha, to zadziwia fakt, iż informacja dotycząca pełnionej przez niego nowej funkcji w Płaszowie nie dotarła jeszcze do Wiednia. Choć możliwe, że autor orzeczenia, tuszując swoją domniemaną wiedzę na temat Amona, starał się go w ten sposób chronić.

W swym piśmie skierowanym do Kancelarii Rzeszy z 8 maja 1944 roku, w którym autor udzielał odpowiedzi na nadesłane zapytanie z 21 kwietnia 1944 roku, niejaki doktor Kanera ze sztabu kierownictwa okręgowego NSDAP w Wiedniu zdał „raport końcowy w sprawie towarzysza Amona Leopolda Götha”. Oto nieco zadziwiające podsumowanie tego pisma: „Tym samym pogląd *Kreisleiters*, iż politycznej działalności towarzysza Amona Leopolda Götha nie

można niczego zarzucić, a tak zwana defraudacja celna obciąża go jedynie w znikomym stopniu, wydaje się uzasadniony. Gwoli porządku zleciłem jeszcze oficjaliście powiatowemu przy Kreisleitung I, by zbadał, czy toczy się jakieś postępowanie przeciwko wydawnictwu Göthów. Okazało się, że żadnego postępowania nie ma, gdyż wydawnictwo zawiesiło działalność”.

X. Cóż za mężczyzna!

Oskar Schindler przyczynił się do tego, iż wiosną 1943 roku Göth poznał wielką miłość swego życia - Ruth Irene Kalder. Amon zaprosił wtedy dyrektora „Emalii”, a ten przybył do Czerwonego Domu w jej towarzystwie. Urodzona w 1918 roku Ruth Irene Kalder pochodziła z górnośląskich Gliwic. Jej ojciec był członkiem partii i właścicielem szkoły nauki jazdy. Ruth uczęszczała swego czasu do szkoły aktorskiej w Essen, uzyskała także dyplom kosmetyczki. W czasie wojny los rzucił ją do Krakowa, gdzie znalazła zatrudnienie jako sekretarka na usługach Wehrmachtu. Jeszcze przed przybyciem do Krakowa cieszyła się wątpliwą sławą kobiety niezbyt stroniącej od małych przygód z panami w mundurach. Göth, „wysoki, silny, idealny kandydat na kochanka dla każdej sekretarki”, jak dowiadujemy się od jej córki Moniki, z którą matka podzieliła się kiedyś swoimi wrażeniami z pierwszego spotkania z Amonem, od razu zwrócił na siebie uwagę Kalder, ba, Ruth była nim zachwycona i „nie widziała już odtąd świata poza tym mężczyzną”. W wywiadzie, którego udzieliła izraelskiemu historykowi i publicyście Tomowi Segevowi w 1975 roku, Ruth Kalder nieco inaczej przedstawiła początki swojego romansu z Göthem. Miała ponoć w rzeczywistości otrzymać zlecenie, by „zdobyć jego serce, tak aby w dalszym ciągu dostarczał nam siły roboczej, bo od tej pory podlegali mu, jako komendantowi obozu, wszyscy Żydzi”. Używając określenia „nam”, Kalder miała zapewne na myśli Oskara Schindlera, który był żywo zainteresowany podtrzymywaniem dobrych stosunków z komendantem.

Wykonanie tego swoistego zlecenia przyszło Ruth z łatwością. Także Göth był zafascynowany tą dwudziestopięcioletnią ciemnowłosą piękną. Szybko przeszli na „ty”, a gdy się rozstawali, Amon wyraził chęć ponownego spotkania. Dlatego też, żegnając się z gośćmi, powiedział do niej: „Zadzwoń do ciebie”. A mimo to dni mijały, a Göth nie dzwonił - coś takiego nigdy jeszcze nie zdarzyło się tej cieszącej się ogromnym powodzeniem u mężczyzn kobiecie. Jednak Ruth, mając na uwadze także swój osobisty interes, nie zamierzała bynajmniej rezygnować z aroganckiego oficera SS. W końcu sama wykręciła numer do komendanta: „Myślałam, że chcesz do mnie zadzwonić, więc czekam na to jeszcze dzisiaj!”. Göth był zaskoczony i początkowo trochę nieufny. Nie chciał bowiem dopuścić do tego, żeby Oskar Schindler, z którym kobieta była wówczas blisko związana, zaczął go szpiegować w jego własnym domu, wykorzystując swoją kochankę jako informatora. Jednakże Ruth udało się rozwiać jego wątpliwości co do jej zamiarów względem komendanta. Powiedziała mu, że nic jej nie łączy z Schindlerem, że są jedynie przyjaciółmi. Oboje uzgodnili następnie spotkanie w willi Amona - „od tego wszystko się zaczęło”.

Ruth Irene Kalder, która straciła głowę dla Amona, nie mogła jednak od razu wprowadzić się do mieszkania komendanta, któremu zależało na zachowaniu pozorów przyzwoitości. Wszyscy bowiem wiedzieli, że Göth jest żonaty i że w Wiedniu czeka na jego powrót żona i dwoje dzieci. Momy otwarcie wyjaśnił kochance, że przez wzgląd na dzieci jego rozwód w ogóle nie wchodzi w rachubę. Werner i Ingę mieli być dla niego zbyt ważni, zwłaszcza zaś jego ulubienica Ingeborg, której ogromny portret Göth przywiózł ze sobą z Wiednia i który zdobił jedną ze ścian w willi komendanta. Ruth musiała chwilowo pogodzić się z tą silną więzią emocjonalną, która łączyła Amona z jego rodziną w Wiedniu. Mimo to wprowadziła się do domu Götha. Na początku zdawała się w ogóle nie dostrzegać faktu, iż zamieszkała w ten sposób na terenie obozu pracy przymusowej, w którym zabójstwa i tortury były na porządku dziennym. Stopniowo jednak docierała do niej świadomość tego, co się dzieje w obozie i jaką rolę odgrywa w nim jej wymarzony partner. Sama brzydziła się zbrodnią, a nawet miała grozić Amonowi, że nie będzie z nim uprawiała seksu, jeśli ten nie zaprzestanie swoich obrzydliwych praktyk: „Jeśli nie przestaniesz strzelać do Żydów, nie pójdę już z tobą do łóżka!” - miała powiedzieć raz do Götha. I było to ultimatum, któremu Amon nawet na jakiś czas się podporządkował. Przynajmniej w obecności swojej przyjaciółki nie zabijał ludzi. Dzięki temu Ruth, nazywana przez więźniów po prostu Majolą, cieszyła się stosunkowo dobrą opinią wśród mieszkańców obozu.

Na temat ekipy esesmanów podlegającej komendantowi, a składającej się, jak się wkrótce

osobiście przekonała, z seryjnych morderców, Ruth miała bardzo zróżnicowane poglądy. I tak na przykład Alberta Hujara, który działał jej na nerwy, nieustannie „żrać” jabłka, uważała za „niemożliwego”; z innymi zaś, na przykład z dowcipnym Alibabą - Leonhardem Johnem, utrzymywała bardzo dobre relacje.

Mony i Ruth szybko nabrali wspólnych przyzwyczajęń. Po wstaniu z łóżka wyruszali na przejażdżkę konną. Z tej okazji Ruth zawsze starannie się malowała. Zajmowało jej to około godziny, zanim mogła osiągnąć pożądany efekt *picobello*. Po śniadaniu wydawała służącym dyspozycje dotyczące obiadu, a Mony poświęcał się bez reszty swojej „służbie” w obozie.

Potem odbywał się wystawny obiad. Mony był człowiekiem obdarzonym wielkim apetytem i zjadał ogromne ilości mięsa. Jego ulubioną potrawą był befszytk tatarski, który pochłaniał kilogramami. Ponadto jadał też owoce i warzywa. Na podwieczorek było ciasto lub tort, do których wyrobu zatrudniono nawet specjalnie cukiernika. Po wspólnym posiłku, do którego zawsze podawano alkohol, para nierzadko udawała się jeszcze raz na przejażdżkę konną. Czasem Ruth grała w tenisa z żoną jednego z oficerów SS, alternatywę stanowiło wspólne opalanie się. Następnie należało pomyśleć o przyjęciu planowanym na wieczór. Trzeba było przyszykować nową suknię, nabytą w trakcie częstych zakupów na Starym Mieście w Krakowie. Przede wszystkim zaś sporo uwagi Ruth poświęcała swojej urodzie. Pielęgnacja obejmowała codzienny masaż oraz maseczki na twarz z wymieszanych z żółtkiem plasterków ogórka. Ruth była dumna ze swojej delikatnej i jasnej cery. Gdy przesiadywała przed lustrem, słuchała najnowszych płyt nadesłanych ze „Starej Rzeszy”.

W trakcie wieczornych imprez Mony i Ruth preferowali jednak żywą muzykę, przede wszystkim zaś jazz. Był to czas braci Rosnerów. Hermann i Poldek Rosnerowie zamieniali wówczas swoje wytarte więziarskie łachy na eleganckie garnitury, by zabawić grą na harmonii ręcznej i skrzypcach zaproszonych gości komendanta i jego przyjaciółki. Ruth bez reszty wcielała się wówczas w rolę „pani domu”. Wiadomość o tym, że bracia Rosnerowie udają się do mieszkania Götha, sprawiała, że tysiące więźniów mogło odetchnąć z ulgą. Wiedzieli bowiem, że tego wieczoru i w trakcie nadchodzącej nocy nie muszą się obawiać o swoje życie.

Do muzyki wygrywanej przez Rosnerów, którzy nieustannie bali się, że „Jego Ekscelencja” dostanie ataku wściekłości i że to właśnie oni będą musieli wtedy ponieść konsekwencje, alkohol lał się strumieniami - szampan, wino, koniak, wszystko najwyższej jakości. Do tego dochodziło jedzenie, które często przeradzało się w istne orgie obżarstwa. Ruth, która zawsze potrafiła zachować nad sobą kontrolę, nierzadko musiała się przyglądać, jak Mony i zaproszeni przez niego goście tracili wszelkie hamulce.

Ruth Irene Kalder postrzegала później czas spędzony z Göthem w Płaszowie jako punkt kulminacyjny swojego życia. Izraelskiemu dziennikarzowi Tomowi Segevowi wyznała: „Powiedzą panu, że miałam tam konia na własność i że byłam kurwą. I rzeczywiście, obcowałam z wieloma oficerami, ale tylko do czasu gdy poznałam Götha. A on podarował mi konia. Od tej pory bardzo chętnie jeździłam konno. O tak, Göth -cóż to był za mężczyzna! - stwierdziła rozmarzona. - To były piękne czasy. Chętnie przebywaliśmy razem. Mój Göth był królem, a ja byłam królową. Któż mógłby się oprzeć czarowi tamtych dni?!”

Według Helen Sternlicht, która była dobrą obserwatorką, Ruth Kalder zachowywała się, „jak gdyby nie dostrzegała tego wszystkiego, co się wokół niej działo”. Helen miała nawet wrażenie, że przyjaciółka Götha wręcz wysilała się, by nie dopuścić do siebie oczywistej prawdy. Świadczyć o tym mogła choćby głośno puszczana przez Ruth muzyka, jak gdyby Kalder chciała w ten sposób uchronić się przed odgłosami śmiertelnych wystrzałów z broni dochodzących do niej z obozu. Niezależnie od tego Ruth miała zawsze okazywać Helen „minimum człowieczeństwa”. W taki sposób Sternlicht relacjonuje pewną scenę: „Kiedyś przyniosła ze sobą świeże cięte kwiaty. Po tym jak wstawiła je do wazonu, zostawiła kilka małych łodyg. Przyniosłam mały wazon i postawiłam kwiaty na piętrze przy telefonie. Gdy po chwili Göth udał się do telefonu, powiedział do Ruth: »Jak pięknie pachną te kwiaty!«. Wtedy ona,

pokazując na mnie, powiedziała, że to ja postawiłam tam te kwiaty. Göth odwrócił się w moją stronę, zmierzył mnie wzrokiem i odrzekł: »Nawet jeśli uda jej się zrobić coś dobrze, to ja i tak muszę ją nienawidzić. Ona jest Żydówką«.

Pewnego dnia Amon tak się upił, że nie wiedział, co robi. Musiał jednak zachować resztki świadomości, skoro był jeszcze w stanie zadzwonić po Lenę - Helenę Hirsch. Gdy młoda kobieta weszła do pokoju komendanta, przestraszyła się nie na żarty. Göth stał na samym środku pokoju, zupełnie nagi, w ręce trzymał pejc, gwałtownie gestykułował i wydawał rozkazy. Bez zbędnych słów zaczął ją bić, zerwał ubranie z jej ciała i usiłował ją zgwałcić. Zrozpaczona Helena zaczęła wołać o pomoc, a było to zachowanie, które nigdy jej się do tej pory nie zdarzyło. Tymczasem jej dręczyciel sprawiał wrażenie, jakby definitywnie stracił nad sobą kontrolę.

Helena miała szczęście. Majola, usłyszawszy z poddasza wołanie o pomoc, zbiegła po schodach i odepchnęła Amona, który wreszcie dał spokój Helenie, powoli dochodząc do siebie. Helena była przekonana, że Göth niechybnie zabiłby ją, gdyby jego kochanka nie stanęła wtedy między nimi.

Helena знаła Götha lepiej niż wszyscy inni. Z bliska przyglądała się, jak ten wzywał na początku swych rządów w Płaszowie polskie prostytutki do Czerwonego Domu. Komendant miał być obdarzony niezaspokojonym apetytem seksualnym i niewiarygodną wręcz potencją. Kobiety traktował podobno równie brutalnie jak więźniów w swym obozie.

Do pracujących dla niego dziewcząt Göth miał jedyny w swoim rodzaju stosunek. Postrzegał je jako swoją osobistą własność. Zazdrośnie pilnował, by nikt inny nie podchodził do nich za blisko, ostatecznie miały służyć tylko jemu. Gdy jeden z gości poklepał kiedyś piękną „sprzątaczkę” Niusię Reich w obecności komendanta, ten kazał ją wyprowadzić na zewnątrz i natychmiast rozstrzelać. Zrozpaczona dziewiętnastoletnia dziewczyna prosiła o darowanie życia, uzasadniając swoją prośbę tym, że musi się troszczyć o swojego brata Dołka, że nie może zostawić go samego w obozie. Wtedy esesmani zapytali ją, gdzie jest jej brat. Gdy Nusia wymieniła warsztat, w którym pracował Dołek, ci przyprowadzili go na miejsce. Następnie oboje rodzeństwo zostali poprowadzeni na Hujową Górę i rozstrzelani bez litości.

Göth jest bogiem

Władza nad życiem i śmiercią uderzyła Mony'emu do głowy. Jeszcze pewniej niż do tej pory Göth występował w roli wybrańca losu. Myśl o tym, że dzierży w swoich rękach los tysięcy ludzi, w pewnym stopniu oszalała go i uskrzydlała. Miał w sobie coś z pozy orientalnego tyrana, jak wyraził się o nim później Jakub Stendig. Sam komendant spekulował na temat znaczenia swojego imienia i nazwiska, którym przypisywał prorocze właściwości - Amon Göth, czyż to nie jest podwójny wyraz boskości?!

Urodzony w 1926 roku w Działoszycach Natek Szlamowitsch był świadkiem znamiennego zajścia. Pewnego dnia pracował w willi komendanta, podczas gdy inni znajdujący się w pobliżu robotnicy byli zajęci noszeniem cegieł. Nagle wśród nich pojawił się Göth, który poszczuł swym psem jednego z nich. Ten wydany na pastwę atakującej bestii nieszczęśnik został dosłownie rozszarpany na strzępy przez rozjuszone zwierzę. Gdy Göth po upływie kilku minut zawołał psa, pogryziony mężczyzna żył jeszcze, co było komendantowi nawet na rękę. Wydał pozostałym robotnikom rozkaz, aby maszerowali koło umierającego i dobrze zapamiętali sobie widok poszarpanego na kawałki i zakrwawionego ciała. Jednocześnie skomentował sytuację następującymi słowami: „Modlicie się do swojego Boga ;D.S.], ale On nie może wam pomóc Tymczasem ja, Göth, mogę was wszystkich sprzątnąć w jednej chwili!”.

Podobne wydarzenie relacjonuje Kalman Friedman, który urodził się w 1923 roku w Krakowie i był zatrudniony w komandzie budowlanym wznoszącym baraki na terenie obozu. Na październik 1943 roku wyznaczono termin wizyty Juliana Schernera w obozie. Gdy Göth w towarzystwie Schernera i kilku innych oficerów SS zbliżał się do robotników pracujących przy budowie baraków niedaleko koszar straży obozowej, ich kapo uderzył na alarm: „Uwaga, idzie Göth!”. Zgodnie z obowiązującymi przepisami zawołał następnie: „Baczność!”, po czym zdał komendantowi raport. Najwidoczniej Göth znowu chciał zaimponować swojemu kompanowi, gdyż wyciągnął z kabury pistolet i krzyknął do więźniów, zwracając się jednak w kierunku Schernera: „Powystrelam was wszystkich jak kaczki!”. Po czym zastrzelił jednego z robotników stojących obok Kalmana Friedmana.

Gracz, który nie potrafi przegrywać

Jeśli tylko udało mu się wszystko zaaranżować, Göth oddawał się jednej ze swych ulubionych rozrywek - był zapalonym szachistą. Los sprawił, iż w obozie znalazł partnera, który równie namiętnie grywał w szachy. Był to kierownik zakładów krawieckich u Madri-tscha Raimund Titsch. Titsch urodził się w 1897 roku w Wiedniu i do roku 1940 pracował jako technik w wiedeńskiej fabryce wyrobów metalowych. Jako doświadczony inżynier, był prawą ręką Madri-tscha. Będąc świadomym tego, co się dzieje dookoła, Titsch angażował się na rzecz zapewnienia robotnikom żydowskim dobrych warunków bytowych gdziekolwiek tylko się dało, jeśli w ogóle było to możliwe.

Zazwyczaj Göth zapraszał Titscha do swego biura w budynku komendantury, by się odprężyć przy partii szachów, bądź co bądź - królewskiej gry. Pewnego dnia, gdy znowu doszło do spotkania między obydwojma graczami, Göth zaproponował w wyzywający sposób rozgrywkę. Trzeźwo myślący Titsch górował nad komendantem i po krótkiej grze dał Göthowi mata. Amon nie był jednak w stanie pogodzić się z porażką. Zerwał się od stołu, podskakując, przewrócił przy tym stół z szachownicą, a następnie wybiegł na zewnątrz uzbrojony w dwa pistolety. „Był zdecydowany rozstrzelać każdego przypadkowo napotkanego Żyda” -tak na temat stanu emocjonalnego komendanta wypowiedział się Titsch w wywiadzie udzielonym dziennikarzom Martinowi Goschowi i Howardowi Kochowi. Titsch wyciągnął z całego zajścia odpowiednie wnioski. Zmienił strategię gry. Pozwalał odtąd wygrywać przeciwnikowi, tak umiejętnie kierując szachowym pojedynkiem, iż Göth nie podejrzewał rywala o oszustwo, a nawet w końcu z przekonaniem uważał się za lepszego taktyka w walce o króla i hetmana.

Ponieważ czas spędzany przy szachownicy przez obu graczy pozwalał więźniom osadzonym w obozie przynajmniej na chwilę odetchnąć z ulgą, Titsch starał się, z powodzeniem zresztą, maksymalnie przeciągać partię, tak iż niejednokrotnie trwała nawet dwie lub trzy godziny. I usiłował, jeśli tylko nadarzała się ku temu sposobność, naprowadzić Götha na różne pomysły zaszachowania przeciwnika. W swym przewrotnym postępowaniu Titsch upatrywał „swęga rodzaju chrześcijańskiej powinności i osobistego wkładu w szczęście bliźnich”.

Szachowe rozgrywki oznaczały dla Titscha możliwość częstego przebywania w najbliższym otoczeniu Götha i Ruth Kalder. Udało mu się nawet wykorzystać bliskie kontakty łączące go z tą parą, by potajemnie fotografować komendanta. Kilka wykonanych ukradkiem zdjęć ukazuje Amona Götha siedzącego w leżaku z obnażonym torsem lub na balkonie willi z bronią w ręku. Titsch fotografował także Ruth Kalder i zdaje się, że utrzymywał z nią dobre kontakty. Możliwe, iż znaczną część zdjęć Götha wykonała osobiście jego kochanka - na jednej z fotografii można rozpoznać jej wyraźny cień. Przede wszystkim jednak Titsch, zapalony fotograf, dokumentował swoim aparatem życie codzienne w obozie. Wykonane przez niego

zdjęcia, na których uwiecznił przemarsz robotnic--więźniarek zorganizowanych w grupę nazywaną Mannschaftszugiem (więźniarki przeciągały po szynach wagoniki wypełnione kamieniami, których użyto później do budowy drogi na terenie obozu), wydawanie zupy więźniom czy maszerujące brygady robocze dziś pomagają nam wyobrazić sobie obozową codzienność. Niezwykle wydają się losy wspomnianych fotografii. Wypstrykane w obozie trzy filmy fotograficzne Agfa Titsch przechowywał początkowo w stalowej szkatułce, by przewieźć je po zakończeniu wojny do Wiednia i zakopać w jednym z miejscowych parków. Obawiał się o swoje życie - jego nazwisko miało widnieć na liście „zdrajców ojczyzny” sporządzonej przez tajną organizację pomocniczą SS ODESSA. W 1963 roku ciężko już wówczas chorego na serce Titscha odwiedził ocalały z Holokaustu były więzień obozu w Płaszowie Leopold (Poldek) Pfefferberg-Page, który wiedział o istnieniu zdjęć. Poldek odkupił wtedy od Titscha filmy, które nie ucierpiały z powodu wieloletniego przechowywania w podziemnej kryjówce, za sumę pięciuset

dolarów amerykańskich, aby następnie zawieźć je do Yad Vashem, izraelskiego Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu z siedzibą w Jerozolimie. Tam też wywołano sto jeden ostrych zdjęć z królestwa Amona Götha. Później Pfefferberg-Page ofiarował zdjęcia United States Holocaust Memorial Museum, amerykańskiemu Muzeum Holokaustu z siedzibą w Waszyngtonie. Raimund Titsch zmarł w 1964 roku. Został zaliczony w poczet „Sprawiedliwych Austrii”.

XI. Seks i miłość

Będąc na porządku dziennym w Płaszowie głód i strach, a także tortury i morderstwa nie wypełniały bynajmniej bez reszty życia ludzi osadzonych w obozie. W tych skrajnych warunkach więźniowie znajdowali czas także na przyjemne rzeczy, między innymi na seks. W świecie, w którym nikt nie był pewien, jak długo przyjdzie mu jeszcze pożyć, spółkowanie stanowiło jedyną w swoim rodzaju okazję, by -choćby i w tej ostatniej chwili - oddać się przyjemnościom życia. W obliczu daleko posuniętej demoralizacji załogi obozu pragnienie więźniów, by jeszcze raz doświadczyć cielesnych rozkoszy, było postrzegane przez wielu za wręcz usprawiedliwione. Panująca w Płaszowie rozwiązłość seksualna została określona przez Berthę Ferderber-Salz mianem „hańby”. Młode kobiety chętnie kupczyły swoimi wdziękami, otrzymując w zamian kawałek chleba lub dodatkową porcję zupy. „Klientów” nie brakowało. W obozie było wielu jeszcze niepożenionych młodych mężczyzn, a także wielu „wygłodniałych” kapo, takich jak na przykład olbrzym Marcel Goldberg, którzy niczym „dzikie zwierzęta” gonili za pięknymi dziewczętami po całym obozie, a nawet nie cofali się przed gwałtem.

W każdym razie ryzyko wiążące się z zaspokajaniem potrzeb seksualnych i erotycznych było duże. Jeśli zdarzyło się, że esesmani zdybali jakąś parę w ciemnym kącie, choćby i tylko na zupełnie niewinnym trzymaniu się za ręce, to w takim wypadku oboje - zarówno mężczyzna, jak i kobieta - mogli być pewni śmierci.

A mimo to właśnie w świecie, w którym panowały niepodzielnie naga przemoc i cyniczny terror, w którym nie było miejsca na sentymenty, każdy dzień więźniów przepelniała tęsknota za czułością i miłością. Bronia Gross-Gunz, Żydówka, która przeżyła Holokaust, opowiada o tym amerykańskiej dziennikarce Elinor J. Brecher w następujący sposób: „Tęskniłyśmy za towarzystwem, pragnęłyśmy poczuć obok siebie jakiegoś młodego mężczyznę. Potrzebowałyśmy wsparcia i zainteresowania ze strony mężczyzn. Do pracy wychodziłyśmy wczesnym rankiem. Wracałyśmy wieczorem tak zmęczone, że nie byłyśmy już nawet w stanie przełknąć kawałka chleba czy łyżki zupy. Po szóstej zbierałyśmy się w barakach, by porozmawiać o młodych mężczyznach i miłości”.

I nierzadko zdarzało się, iż więźniowie nie poprzestawali tylko na słowach. W mrocznym królestwie Götha rozkwitały uczucia, które niejednokrotnie okazywały się silniejsze niż brutalnie forsowany przez nazistów kult śmierci. Relacje intymne napełniały zaangażowanych w nie więźniów nową nadzieją. Tak też było w wypadku przydzielonego do pracy w biurze architektonicznym Żyda Józefa Baua. Jego ojciec Abraham Bau, który przybył do obozu wraz z synem, już wtedy nie żył -został zastrzelony w maju 1943 roku przez Franza Grima, jednego z siepaczy Götha. Naocznym świadkiem tego morderstwa był urodzony w 1912 roku w Krakowie Dawid ben Dawid, który pracował w łaźni parowej. Małpa przyszedł do łaźni, żeby się wykąpać, jak to zwykł czynić po każdej „akcji”. Następnie Dawid ben Dawid, który jeszcze przed chwilą widział, jak Grim oddał strzał w potylicę Abrahama, musiał wymasować wykąpanego esesmana.

Urodzony w 1920 roku Józef Bau przed nazistowską okupacją studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był uzdolnionym grafikiem. Mieszkając później w getcie, żył z malowania szyldów. Jego przełożonym w biurze architektonicznym był inżynier Zygmunt Grünberg. Pewnego dnia Józef Bau stał przed wejściem do budynku, trzymając rozpięty na dużej ramie światłoczuły papier. Chciał wykonać kilka reliefów do heliograviury. Brakowało mu jednak słońca. I tak czekał zrezygnowany, spoglądając na pochmurne niebo i łudząc się, że mimo wszystko wkrótce ujrzy kilka promieni światła. Gdyby próba stworzenia odbitki nie powiodła się, musiałby się gęsto tłumaczyć przed swoim szefem Grünbergiem.

Nagle znajdujące się na piętrze biuro Itzhaka Sterna opuściła piękna dziewczyna, która zeszła po schodach i wyszła na dwór. Józef Bau mógł teraz stwierdzić, że nawet brzydki pasiasty strój więźniarski nie jest w stanie ukryć przed nim powabu ciała tej dziewczyny. Dziewczyna, stanąwszy przed ramą, zapytała: „Co ty tu robisz? Mogę ci jakoś pomóc?”. Józef

Bau odrzekł: „Nie, ja tylko tu stoję i czekam”. Prawie natychmiast padło pytanie: „A na co czekasz?”. „Czekam, aż uparte słońce wyjdzie wreszcie zza chmury. Może miałybyś ochotę zająć jego miejsce?”. Dziewczyna uśmiechnęła się z zakłopotaniem, by po chwili uciec.

W tym momencie Józef Bau zapalał do nieznanym żarliwym uczuciem, a obraz dziewczyny stał mu odtąd cały czas przed oczami. Następnego dnia o poranku zerwał kilka dziko rosnących kwiatów, ułożył z nich mały bukiet, który następnie przemycił w czapce do biura Itzhaka Sterna. Wymyślił także pretekst dla swojej wizyty na piętrze. Chciał rzekomo jedynie podziękować dziewczynie za pomoc - reliefy jednak się udały. Zanim jednak zdołał otworzyć usta, jakiś mężczyzna wyrwał mu kwiaty z ręki i wrzucił je do kosza na papier, wypychając zadurzonego po uszy Józefa za drzwi: „Znikaj stąd, odbiło ci?! Nie wiesz, że komendant siedzi w pokoju obok?”. Pogróżki bynajmniej nie zniechęciły Józefa Baua. Wkrótce też dowiedział się, że obiekt jego westchnień mieszka w baraku numer 57. Pewnego dnia po apelu mężczyzna wytrwale czekał na dziewczynę przed jej barakiem. W owym czasie nie było jeszcze dwóch odrębnych obozów dla kobiet i mężczyzn, lecz przedstawiciele obu płci mieszkali w wyznaczonych męskich lub żeńskich barakach rozsypanych po całym obozie. Dlatego też między siódmą a dziewiątą wieczorem małżonkowie i zakochani mogli sobie urządzać miłosne schadzki. Józef Bau oraz Rebekka Tennenbaum od razu znaleźli wspólny język. Do pierwszego pocałunku zakochanych doszło przy świetle księżycy za latryną. Od tej pory mężczyzna czekał na swoją ukochaną każdego rana przed jej barakiem, przynosił jej ciepłą wodę z kuchni, a także czyścił jej buty rękawem swojej kurtki, który najpierw zwilżał własną śliną. Od czasu do czasu Józef ważył się nawet wejść do środka baraku, co wiązało się z nie lada ryzykiem, które mężczyzna podejmował jedynie w przebraniu. Ubierał się wtedy w długą sukienkę, coś na kształt koszuli nocnej, buty, a na głowę zakładał sobie białą chustę. W tym przebraniu wślizgiwał się niepostrzeżenie w tłum wracających z pracy kobiet, które szły w kierunku baraku numer 57. Bau spędzał wtedy całą noc u Rebekki. Ponieważ jednak inne kobiety z baraku wiedziały o wszystkim, para nie mogła sobie pozwolić na uprawianie seksu. Nad ranem, jeszcze przed szóstą, mężczyzna opuszczał barak, wciąż jeszcze przebrany za kobietę, by udać się do łaźni i latryny w męskim sektorze. Tutaj na nowo przeistaczał się w mężczyznę, zrzucając z siebie koszulę nocną. Także te działania młodego Baua wiązały się z ogromnym niebezpieczeństwem - gdyby go przyłapano, swoją miłość niechybnie przypłaciłby życiem.

Aby szybko odnaleźć się w tłumie tysięcy więźniów zgromadzonych na placu apelowym, Józef i Rebekka, tak jak zresztą wiele innych par w Płaszowie, używali niezawodnej metody. Dawali sobie sygnał, dwukrotnie gwizdząc. Gdy wieczorem rozpoczynało się poszukiwanie ukochanej osoby, plac apelowy przekształcał się w istny dom wariatów. Nad obozem rozbrzmiewały wówczas setki gwizdnięć, każde w innej tonacji, które - mieszając się ze sobą - często znacznie utrudniały rozpoznanie głosu ukochanej osoby, a tym samym odnalezienie się pary.

Często para zakochanych przypadkowo spotykała się w willi komendanta. Gdy Józef przebywał na piętrze, by dokonać pomiarów niezbędnych do wykonania zleconych mu przez Götha prac budowlanych związanych z rozbudową willi, nagle pojawiał się w jednym z pustych pokoi przed Rebekką, która zajmowała się właśnie praniem. Od swojej dobrej przyjaciółki Leny Hirsch dostała kostkę mydła i ciepłą wodę, za balię służył jej dzbanek, w którym zazwyczaj nosiła swoje jedzenie. Zaskoczenie obojga było ogromne, jednak potrafili w odpowiedni sposób wykorzystać tę niespodziewaną okazję.

Ich związek przetrwał także krytyczne momenty, „akcje” i „selekcje”, w czasie których, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zawsze udawało im się uniknąć definitywnej rozłąki. W końcu oboje zdecydowali się na „ślub”. Józef wymienił jedną z posiadanych srebrnych łyżek na cztery bochenki chleba, drugą przekazał obozowemu zegarmistrzowi, by ten przerobił ją na obrączki. Ustalono także miejsce, gdzie miała się odbyć skromna uroczystość - była to prycza

matki Józefa Cyli Bau. Datę ślubu wyznaczono na 13 lutego 1944 roku. Zaślubiny odbyły się bez udziału rabina, świadków czy gości. Nie było też żadnej muzyki weselnej. Wkładając obrączkę na palec wskazujący prawej dłoni ukochanej, Józef wypowiedział tradycyjną formułkę: *Harei at mekudeschet li kedat Mosche ve Jisrael* (Oto jesteś mi poświęcona tym pierścieniem według Prawa Mojżesza i Izraela). Następnie Cyla udzieliła obojgu swego błogosławieństwa. Potem para udała się w ustronne miejsce, za koc rozwieszony przed jedną z pryczy w najwyższym rzędzie, by odbyć noc poślubną. Tych dwoje chorych z miłości ludzi strzegło ponad dwieście darzących ich sympatią kobiet. Jednak w pewnym momencie, kiedy starsza bloku gasiła światło, jedna z kobiet wyszeptała: „Coś tu nie gra!”. Jeden z esesmanów wszedł do baraku w poszukiwaniu ukrywających się tu mężczyzn. Na ucieczkę było już za późno. W gorączkowym pośpiechu Rebekka i jej obie sąsiadki z pryczy przykryły Józefa wszystkimi dostępnymi szmatami, a następnie położyły się na tym „trzęsącym się ze strachu przed śmiercią” wezglowiu. Gdy esesman przechodził obok ich pryczy, wszystkie trzy udawały, że śpią. Było to niełatwe zadanie, jeśli się uwzględni fakt, że kobiety ogarnęła panika. Józef miał szczęście - nie został dostrzeżony. Wtedy też zaczęto snuć spekulacje, że przeprowadzający kontrolę esesmani tylko sporadycznie wspinają się na najwyższe prycze w poszukiwaniu ukrywających się mężczyzn. Tymczasem z zewnątrz dobiegały krzyki nieszczęśliwych, których znaleziono w żeńskich barakach, a następnie zbito na śmierć.

Jak się okazało, na tym nie skończyła się dla Józefa ta „przygoda”. Gdy mężczyzna zdołał się już uwolnić ze szmat i odetchnąć, rozległ się sygnał wzywający wszystkich mężczyzn na apel. Młody Bau jednym skokiem znalazł się na ziemi i założywszy na głowę białą chustę, wypadł z baraku. Strażnicy przepuścili go, nie sprawdzając nawet jego tożsamości. Jednak po chwili Józef przeżył ciężki szok. Brama pod napięciem prowadząca do obozu mężczyzn była już zamknięta. W obliczu swojego beznadziejnego położenia mężczyzna zaryzykował skok przez będące również pod napięciem ogrodzenie z drutu kolczastego. I tym razem miał szczęście. Jedyne palcami u rąk i stóp musnął kolce drutu, choć jego spodnie, które zahaczyły o ogrodzenie, podarły się. Jakimś sposobem Józefowi udało się pokonać kolejną przeszkodę - spiralnie zwinięty drut kolczasty o wysokości około metra, również pod napięciem. Gdy krwawiącemu Bauowi udało się wreszcie dotrzeć w podartych spodniach na plac apelowy, z głośników dobiegła informacja, że apel jest odwołany.

Historia Gizy

Historia Gizy stała się legendą. Wyryła się w sercach współwięźniów dziewczyny ocalałych z Holocaustu, którzy dopilnowali, by pamięć o niej była wciąż żywa. Gdy w swych rozmowach schodzą na Amona Götha, od razu zaczynają opowiadać o tej siedemnastoletniej radosnej dziewczynie, która przybyła do Płaszowa z Tarnowa. Wielu zna tę historię jedynie ze słyszenia, jednak Sonia Schreiber, piętnastoletnia wówczas córka Janka Schreiber, handlarza skórą z Krakowa, jako osoba zaprzyjaźniona z Gizą, wydaje się wiarygodnym źródłem informacji. Dziewczęta poznały się w 1939 roku w Tarnowie. Starsza o dwa lata Giza starała się nauczyć Sonię tańca. Pokazała też młodszej koleżance, jak należy układać włosy, by wyglądać poważniej. Giza nie straciła radości życia nawet w obozie. Udało jej się też w tym mrocznym świecie zachować urodę.

Na wdzięki młodych, ładnych kobiet byli podatni także esesmani. Nic więc dziwnego, iż Giza wkrótce zaczęła otrzymywać do wykonania nadzwyczajne zadania. Za każdym razem gdy szykowała się jakaś impreza w domu komendanta, dziewczynę ściągano z jej baraku do willi, gdzie musiała pomagać przed rozpoczęciem „przyjęcia” w wykonywaniu prac domowych. Zazwyczaj udawało jej się, korzystając z okazji, wynieść z kuchni Götha kilka pyszności, które przemycała do swojego baraku. Tutaj wraz z wygłodzonymi przyjaciółkami mogła się delektować jedzeniem aż do ostatniego okrucieństwa.

Pewnego popołudnia Gizę znowu wezwano do willi komendanta. Dziewczyna musiała jak zwykle szorować podłogi i taszczyć skrzynie z wódką, piwem i winem. Wtedy zdarzyło się jednak coś nadzwyczajnego. Gospodyni Götha wezwała do siebie Gizę, a następnie kazała jej rozebrać się z brudnych i śmierdzących łachów więźniarskich. Miała też porządnie umyć się nad umywalką w piwnicy. Pięknej Żydówce wręczono później białą suknię oraz czarne buty. Dopiero teraz stało się dla niej jasne, czego się od niej oczekuje. Miała wystąpić na przyjęciu w roli schludnie ubranej służącej i obsługiwać gości w salonie. Szybko się też zorientowała, że również dla zebranego w willi towarzystwa nie miał to być zwykły wieczór. Najwyraźniej spodziewano się jeszcze jakiegoś szczególnego gościa honorowego.

Właśnie odkładała czarną tacę, gdy szeroko otwarto drzwi do salonu, a do towarzystwa dołączył ów gość honorowy. Göth przywitał go z wielką pompą, przedstawiając wszystkim obecnym oficerom SS i ich żonom. Giza po raz pierwszy w życiu usłyszała wtedy nazwisko tej osobistości. Był to Adolf Eichmann. Z dziwną fascynacją żydowska dziewczyna przyglądała się jak damy podawały do pocałunku na powitanie swoje bogato zdobione biżuterią dłonie. Tymczasem Eichmann całował wyciągnięte w swoją stronę ręce. Wtedy Gizie przyszedł do głowy szalony pomysł. Zdjęła fartuch i przybrawszy wyprostowaną postawę, ustawiła się w kolejce do całowania. Gość honorowy stanął przed dziewczyną, która subtelnie uśmiechnęła się do niego. Eichmann wziął jej dłoń, przysunął do swych warg i pocałował. Po czym spojrzał jej w twarz i powiedział cichym głosem: „*Enchanté!*”

Göth i oficerowie, którzy znali Gizę, nie zareagowali - stali w osłupieniu. Możliwe, że nie chcieli skompromitować Eichmanna. Przyjęcie trwało. Dopiero po północy odesłano dziewczynę do jej baraku, gdzie czekały na nią przyjaciółki, martwiąc się już o los Gیزی. Ta jak zwykle przyniosła ze sobą trochę jedzenia: kawałek jabłka, trochę sera żółtego i ugotowane na twardo jajko. W trakcie jedzenia kobiety słuchały relacji z przyjęcia - wciąż jeszcze poruszona Giza opowiadała o Adolfie Eichmannie. Gdy więźniarki usłyszały z jej ust wstrząsającą wiadomość, iż jakiś wysoko postawiony nazista pocałował w rękę żydowską dziewczynę, wszystkie zrywały boki ze śmiechu.

Nagle radosną, swobodną atmosferę w baraku przerwało wtargnięcie do środka dwóch esesmanów. Kobiety błyskawicznie zerwały się ze swoich pryczy i stanęły na baczność. Na obu mężczyznach nie zrobiło to jednak wrażenia. Podeszli od razu do blokowej i zapytali ją o coś. Wtedy kobieta wskazała na Gizę. Bez słowa esesmani podeszli do dziewczyny, chwycili ją za ręce i wynieśli z baraku. Po krótkiej chwili padł jeden strzał - swoją prowokację Giza przypłaciła życiem. Sonia i inne kobiety z baraku były zszokowane. Bezgłośnie opłakiwały swoją przyjaciółkę.

XII. Oskar, Amon i "Emalia"

Do Krakowa Oskar Schindler, awanturnik i lekkoduch pochodzący z morawskiego Zwittau (Svitavy), przybył w październiku 1939 roku wraz z oddziałami niemieckiej armii. Celem przyświecającym jego przyjazdowi do stolicy Generalnego Gubernatorstwa było zabicie fortuny.

Mimo że był żonaty, korzystał z gościnności pięknych Polek. Schindler spodziewał się, iż uda mu się przejąć jakieś przynoszące znaczne dochody żydowskie przedsiębiorstwo - w tym momencie zaczyna się także akcja filmu Stevena Spielberga. Pierwszy sukces w drodze do jasno wyznaczonego celu były agent niemieckiego wywiadu odniósł już 14 listopada 1939 roku - podpisał wówczas umowę na wydzierżawienie firmy Rekord GmbH, fabryki naczyń emaliowanych mieszczącej się przy ulicy Lipowej 4. Firma została założona w 1937 roku przez trzech żydowskich przedsiębiorców i już w roku 1939 musiała ogłosić upadłość. Budynki fabryki znajdowały się na Zabłociu, w dzielnicy, która wchodziła w skład Podgórze, zamieszkanego głównie przez robotników. To właśnie tu od marca 1941 roku przebiegała granica nowo utworzonej żydowskiej dzielnicy zamkniętej w Krakowie. Fabryka znajdowała się w odległości około trzech kilometrów od obu cmentarzy żydowskich przy ulicy Jerozolimskiej, a więc terenu przyszłego obozu pracy przymusowej.

Wspomniane przedsiębiorstwo funkcjonowało w dalszym ciągu pod szyldem Deutsche Emailwarenfabrik Oskar Schindler, choć dość szybko przyjęła się obiegowa nazwa firmy „Emalia”. Początkowo dla Schindlera pracowało niewielu Żydów - w kwietniu 1940 roku było ich dokładnie siedmiu. W tym samym czasie Schindler zatrudniał dwustu pięćdziesięciu polskich pracowników. Liczba pracujących w firmie Żydów systematycznie rosła: w 1942 roku było ich pięciuset pięćdziesięciu, w roku 1943 - około dziewięciuset, a w 1944 już ponad tysiąc. Schindler miał szczęśliwą rękę do interesów. W osobie żydowskiego biznesmena Abrahama Bankiera, byłego prokurenta w firmie Rekord GmbH, miał u swego boku doskonałego znawcę czarnego rynku, w osiemdziesięciu procentach pokrywającego zapotrzebowanie ludności „okręgu gangsterów”. To właśnie umiejętnościom i brawurowym posunięciom

Bankiera Schindler zawdzięczał ogromne dochody z interesów prowadzonych w szarej strefie. Jednocześnie Oskar lokował swój majątek w kolejnych inwestycjach, by w ten sposób mieć możliwość zatrudnienia jeszcze większej liczby żydowskich pracowników, a tym samym zapewnienia im przeżycia.

Schindler nabył „Emalię” we wrześniu 1942 roku od polskiego sądu handlowego za kwotę 254 674,66 złotych i była to bardzo korzystna cena, jeśli uwzględnić fakt, iż dochody firmy w tym roku wynosiły około trzech milionów złotych. Priorytetem dla Schindlera stało się jednak niesienie pomocy swoim żydowskim pracownikom. Tymczasem nastął okres deportacji do obozów zagłady. Owładnięci wizją „ostatecznego rozwiązania” funkcjonariusze Gestapo i SS częstokroć nie oszczędzali nawet Żydów posiadających blauschein. W czerwcu 1942 roku Schindlerowi udało się dosłownie w ostatniej chwili uratować Abrahama Bankiera i kilku innych pracowników z pociągu śmierci, który odjeżdżał do Bełżca. Plany związane z definitywną „likwidacją” getta bardzo zaniepokoiły Oskara. Przypuszczalnie już pod koniec lutego lub na początku marca 1943 roku usiłował po raz pierwszy nawiązać kontakt z nowym komendantem nieukończzonego jeszcze „barakowego miasta” przy ulicy Jerozolimskiej - pewnego dnia elegancki i elokwentny Oskar Schindler udał się błotnistymi drogami do SS-Untersturmführera z Wiednia, o którym pracownicy opowiadali mu straszliwe historie.

Wprawdzie nie znamy żadnych okoliczności towarzyszących temu pierwszemu spotkaniu Götha z Schindlerem, jedno jest jednak pewne - mężczyźni od razu znaleźli wspólny język. I nie chodziło tylko o fakt, iż obaj urodzili się w 1908 roku. Schindler, określany przez Mietka Pem-pera mianem „mistrza kontaktu”, potrafił w bardzo umiejętny sposób poruszać najczulsze struny duszy komendanta, wydobywając z niego więcej „człowieczeństwa”. Göth stawał się pod jego wpływem bardziej towarzyski, rozsądniejszy i miał bardziej ludzkie odruchy. Obaj wykazywali także pewne podobieństwo pod względem charakterologicznym. Każdy z nich na

swój sposób potrafił umiejętnie manipulować ludźmi bardziej wpływowymi od siebie. Wiedzieli, jak zrobić wrażenie na osobach wyżej postawionych, jak zyskać ich przychylność - dlatego też obaj przywiązywali szczególne znaczenie do *show*. Obaj byli wreszcie wystarczająco sprytni, by nigdy nie tracić z oczu wytyczonych sobie celów.

Ich kontakty szybko uległy zacieśnieniu, a Schindler stał się w willi Götha mile widzianym gościem. Obaj panowie przeszli na „ty”, a Oskar mógł sobie nawet pozwolić na nazywanie komendanta pieszczotliwie Monym. Kosztowne prezenty, jakimi właściciel „Emalii” zasypywał komendanta, tudzież zmieniające się jak w kalejdoskopie towarzyszące mu piękne kobiety sprawiły, iż Göth zapalał jeszcze większą sympatią do swojego nowego przyjaciela. Na sukces Schindler nie musiał czekać zbyt długo. Jeszcze w kwietniu 1943 roku Oskarowi udało się przekonać Amona o konieczności utworzenia zewnętrznego obozu dla robotników przymusowych zatrudnionych w „Emalii”. Tłumaczył, iż trzykilometrowy przemarsz Żydów z Płaszowa na Zabłocie mógłby się niekorzystnie odbić na produktywności jego pracowników. Poza tym konieczność dochodzenia do pracy z obozu wiązałaby się z dodatkowym ryzykiem, a transport więźniów ciężarówką byłby zbyt drogi. Göth nie mógł pozostać głuchy na tak przekonujące argumenty. Ponadto Schindler wyraził gotowość poniesienia kosztów budowy obozu zewnętrznego, które wyceniono na kwotę trzystu tysięcy złotych. W rzeczywistości wyniosły one dwa razy tyle. Według córki komendanta Moniki Göth miał przejrzeć na wskroś prawdziwe motywy Schindlera. Powołując się na opowieść swojej matki Ruth Irene Kalder, Monika przytoczyła nawet słowa, które Mony miał wypowiedzieć przy tej okazji do Schindlera: „Wiesz co, Oskar, jeśli o mnie chodzi, to możesz im nawet sprawić srebrne poduszki, ale postaraj się być bardziej ostrożny, bo jeszcze nas wszystkich zgubisz”.

Schindler w pełni świadomie zaangażował się w tę przyjacielską relację z Göthem. Wśród dokumentów znalezionych w 1999 roku na poddaszu domu w Hildesheim w tak zwanej walizce Schindlera znajdował się także sporządzony dla ekspozytury American Jewish Joint Distribution Committee (Amerykańsko-Żydowskiego Połączonego Komitetu Rozdzielczego) w Budapeszcie siedmiostronicowy raport zatytułowany *Wyznania Pana X*, w którym właściciel „Emalii” bliżej scharakteryzował stosunki łączące go z Göthem. Miała to być „bardzo kosztowna przyjaźń”, gdyż Göth „bardzo chętnie pijał francuski koniak”. W raporcie tym czytamy między innymi: „Za każdym razem gdy składał mu wizytę, muszę wziąć ze sobą pięć-sześć butelek, a jedna kosztuje dwa-trzy tysiące złotych. Chodziłem z nim na polowania, piłem z nim. Starłem się wyjaśnić mu w przerwie między jedną a drugą butelką wódki, iż mordowanie Żydów jest bezsensowne i zbyteczne. Wydawało mi się, że osiągnąłem wtedy oczekiwany skutek, że moje słowa podziałały na niego. Udało mi się wyperswadować mu, żeby zgodził się na zatrudnienie Żydów w mojej fabryce. Sam nawet mogłem decydować o tym, kogo przyjąć do pracy. Było to wielkie osiągnięcie”.

Niezależnie od tego, jak dalece można ufać słowom Oskara, pewne jest, iż Schindler i Göth dobili targu. Komendant wystarał się o specjalne zezwolenie u Juliana Schernera. 8 maja 1943 roku można już było oddać pierwsze baraki powstałe w obozie o powierzchni 10 800 m². Baraki te wzniesiono na należących niegdyś do firmy ogrodniczej niezabudowanych parcelach pomiędzy prawym brzegiem Wisły i budynkami fabryki na Zabłociu. Do 25 maja przeniesiono tutaj z Płaszowa pięciuset pięćdziesięciu ośmiu Żydów. Pierwszym komendantem obozu został *SS-Oberscharführer* Albert Hujar. Spośród jedenastu wzniesionych tu baraków siedem przeznaczono dla więźniów. W pozostałych mieściło się ambulatorium, kuchnia obozowa, kwatery strażników i ode-manów. Szefem lokalnej Żydowskiej Służby Porządkowej został Peretz Selinger. Obozu strzegli „czarni” Ukraińcy oraz funkcjonariusze powołanej na terenie fabryki „Emalia” straży zakładowej. Z biegiem czasu w barakach przy ulicy Lipowej znaleźli także schronienie robotnicy zatrudnieni w innych firmach, na przykład pracownicy krakowskiej filii Neue Kuhler- und Flugzeugteilefabrik Kurt Hodermann GmbH czy firmy Chmielewski, zajmującej się budowaniem baraków. W lecie 1943 roku Göth wydał zezwolenie

na budowę nowego obozu zewnętrznego. Na dawnym targu końskim na Zabłociu wybudowano wówczas pięć baraków dla robotników zatrudnionych przy produkcji odbiorników radiowych dla Luftwaffe. Nocowało tu od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu więźniów, którzy musieli harować dla nazistów po dwanaście godzin dziennie.

Więźniowie, którym udało się znaleźć schronienie w nowym obozie zewnętrznym przy fabryce Schindlera, mogli się mienić szczęściarzami. Wprawdzie i tu nie brakowało ogrodzeń z drutu kolczastego i wartowni z karabinami maszynowymi, był tu także urządzone plac apelowy, jednak zaopatrzenie w żywność było o wiele lepsze niż w Płaszowie. Schindler zadbał o to, by Żydowski Ośrodek Wsparcia, organizacja ledwie tolerowana przez Niemców, zarządzana przez zaprzyjaźnionego z Oskarem doktora Michała Weicherta, nieustannie zaopatrywała obóz w artykuły żywnościowe, lekarstwa, środki dezynfekujące, opatrunki i odzież. Ponadto sam Schindler miał kupować na czarnym rynku żywność dla swoich pracowników, wydając na ten cel do pięćdziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. Powstała nawet kuchnia dietetyczna, a w jadłospisie nigdy nie brakowało owoców i warzyw. Pracownikom zatrudnionym u Oskara Schindlera przede wszystkim oszczędzono szykan, które sprawiały, że życie więźniów osadzonych w Płaszowie przeistaczało się w istne piekło. Jak wspomina ocalała z Holokaustu Irene Scheck Hirschfeld, Schindler miał sobie jednak zastrzec jedną rzecz - na egzekucje wykonywane na placu apelowym mógł posyłać swego przedstawiciela - był to jeden z więźniów, który, według niego, był nieco ograniczony umysłowo - okrucieństwa egzekucji nie wywierały na nim aż tak ogromnego piętna: „I gdy on szedł, każdy obejmował go, płacząc”.

Informatorem Schindlera na terenie obozu w Płaszowie był Mietek Pemper. Mężczyźni spotykali się w budynkach administracji obozu, by porozmawiać, za każdym razem, kiedy Göth przeprowadzał inspekcję w którymś z obozów zewnętrznych. Pemper, nie wiedząc, że Schindler pracował przed wojną jako szpieg dla Wilhelma Canarisa, szefa niemieckiej Abwehry, musiał przy każdej okazji informować go o najnowszych wydarzeniach i potencjalnych zagrożeniach dla więźniów zatrudnionych w „Emalii”. Pemper wspomina, że już latem 1943 roku spodziewał się ze strony Schindlera wybawienia, którego poszukiwał od czasu wybuchu wojny: „Nikt poza Schindlerem nie okazywał zainteresowania naszym losem jego odwaga przywróciła mi wiarę w człowieczeństwo. Gdy spotykałem go na terenie obozu, wiedziałem, że istnieje też inny świat, dla którego warto żyć”.

Od czasu do czasu Göth składał wizytę także w fabryce Schindlera, jednakże przeprowadzane „kontrole” zawsze zapowiadał Oskarowi Schindlerowi, który następnie niezwłocznie przekazywał odpowiednie ostrzeżenie swoim żydowskim pracownikom. Przede wszystkim należało zadbać o nieskazitelną czystość, wiedziano bowiem o fanaberii „Jego Ekscelencji”. I tak na przykład gdy komendant dostrzegł kawałek papieru leżący na podłodze, jeden z obecnych przy tym pracowników musiał podnieść ów strzępek z podłogi zębami. Gdy komendant wraz ze swoją świtą wchodził do hali fabrycznej, oprowadzany przez Schindlera, wszyscy żydowscy pracownicy musieli uklęknąć. Wtedy i tak nierzadko zdarzało się, że Göth bił pejcem po plecach któregoś z klęczących. Nie mógł natomiast tknąć żadnego z polskich pracowników, ponieważ Schindler traktował Polaków na równi z Niemcami. Kto tylko mógł, starał się - pod rozmaitymi pretekstami - uniknąć obecności w fabryce w czasie wizyty komendanta, przeczekując okres kontroli w obozie zewnętrznym. Tymczasem Schindler odgrywał rolę odnoszącego sukcesy dyrektora fabryki, który w elokwentny sposób przedstawiał wydajność swojego zakładu w należytych świetle - rolę tę opanował do perfekcji.

Już sam fakt, iż Göth zawsze przebywał na terenie fabryki w towarzystwie Schindlera udaremnił niejedyn akt bestialstwa ze strony „Jego Ekscelencji”. Pochodzący ze Starego Sącza, wówczas osiemnastoletni Moses Goldberg zaświadczył, co następuje: jako murarz pracujący na nocnej zmianie wracał pewnego poranka z pracy do baraku. Wtedy natknął się na Götha i

Schindlera. Moses zamarł, gdy mężczyźni zatrzymali się tuż przed nim. Gdth wskazał na swoje ubłocone buty z cholewami, uszyte na miarę przez Zygmunta Norenberga, i powiedział: „Wyczyść mi buty!”. Goldberg uklęknął i zaczął ścierać palcami błoto z butów komendanta. Nie była to wprawdzie najlepsza metoda czyszczenia butów, jednak Göth zachował spokój. Jedyne obecność Schindlera uratowała Mosesowi Goldbergowi życie w tej niebezpiecznej sytuacji.

Swoje mordercze skłonności Göth nie zawsze mógł powściągnąć nawet przy Schindlerze. Na przykład pewnego razu Oskar musiał się przyglądać, jak Göth szczuje jednym ze swoich dogów - Panem Roifem - inżyniera odpowiedzialnego za budowę baraków. Pies rozszarpał wówczas nieszczęśnikowi udo i jądra.

Składając zeznania przed Centralą Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu, Oskar Schindler oświadczył także, iż Amon Göth, przebywając w kamieniołomie, kopnięciem wepchnął jednego z żydowskich więźniów prosto pod chwytną koparkę - więzień ten został zmiażdżony ze skutkiem śmiertelnym przez ciężką maszynę. Na początek kwietnia 1943 roku Göth wyznaczył termin inspekcji w „Emalii”. Tego dnia, w wyśmienitym humorze, otoczony grupą oficerów SS, przechadzał się po halach fabryki i wtedy dostrzegł sprawiającego wrażenie nieobecnego, przygnębionego starego Żyda, który nazywał się Lamus - w owym momencie z trudem pchał swoją taczkę i widać było, jaki ból mu to sprawia. Gdy Göth zapytał, dlaczego mężczyzna jest taki smutny, jego towarzysz wyjaśnił komendantowi, że Lamus stracił przed kilkoma tygodniami w trakcie „likwidacji” getta żonę i jedyne dziecko. Wtedy Göth, zwracając się do Małpy - Franza Grima, wydał rozkaz: „Franz sprzątnij go!”. Szczerząc zęby, dodał, że w ten sposób żydowski więzień będzie mógł znowu połączyć się ze swoją rodziną -w niebie. Ten cyniczny żart komendanta wywołał u towarzyszących mu esesmanów salwę głośnego śmiechu. Następnie Göth i jego świta, rozbawieni, ruszyli dalej.

Tymczasem jeden z pracowników Schindlera udał się do swojego szefa, przebywającego w biurze, by donieść mu o całym zajściu. Oskar zbiegł szybko po schodach i zjawił się w samą porę - Grim właśnie kazał staremu Lamusowi biegać w kółko ze spodniami opuszczonymi do kostek. Więzień zrobił to, co mu rozkazano, lecz wtedy do akcji wkroczył Schindler. Powiedział Małpie, że nie może zastrzelić Żyda, gdyż ucierpiałoby na tym morale jego pracowników, a produkcja broni dla ojczyzny byłaby zagrożona. Grim, który właśnie celował w Lamusa ze swojego pistoletu, wymamrotał: „Co z tego będę miał, jeśli dam mu spokój?”. Wtedy Schindler spróbował użyć jeszcze silniejszego argumentu: „Dostaniesz flaszkę wódki, jeśli go nie zastrzelisz” - wykrzyczał, stopniowo tracąc nerwy. I rzeczywiście dopiero ten argument przemówił do Grima. „Zgoda!” - powiedział Franz, przystając na propozycję

Oskara. Schował pistolet do kabury i poszedł z Schindlerem, by odebrać obiecaną wódkę. Tymczasem pozostawiony samemu sobie stary Lamus w dalszym ciągu wykonywał otrzymany rozkaz, chodząc z opuszczonymi spodniami w kółko i czekając daremnie na kulę, która miała przynieść mu śmierć.

Oskar Schindler wykazywał determinację i umiejętności strategiczne, gdy chodziło o ochronę własnych pracowników przed „przyjacielem”. Jako przykład opieki roztaczanej przez właściciela „Emalii” nad swoimi pracownikami mogą posłużyć losy zatrudnionej w fabryce od maja 1943 roku rodziny Wohlfeilerów. Urodzony w 1896 roku Kalman Wohlfeiler, w czasie pierwszej wojny światowej żołnierz Legionów Polskich, prowadził przed okupacją wraz z młodszą o rok małżonką Chają sklep z owocami przy ulicy Starowiślniej 18. Ich urodzony w 1918 roku syn Abra-ham-Roman, nazywany po prostu Romkiem, był znanym i popularnym krakowskim piłkarzem - grał w żydowskim klubie Makkabi. Najmłodszym dzieckiem Wohlfeilerów była córka Eugenia (Genia), która przyszła na świat w 1926 roku. Mając siedemnaście lat, pracowała u Schindlera jako metalowicz, obsługując tokarkę. Gdy ojciec Kalman Wohlfeiler, którego Schindler darzył szczególną sympatią i który był

zatrudniony u właściciela „Emalii” jako malarz szyldów, nagle zaczął cierpieć na ciężkie nadciśnienie tętnicze krwi i został przeniesiony do rewiru szpitalnego w obozie zewnętrznym przy ulicy Lipowej, Romek próbował zdobyć dla niego lekarstwa. Przekazał jednemu z polskich pracowników Schindlera list, który ten miał dostarczyć dozorczy pod ich dawnym adresem przy ulicy Zybliekiewicza 15. W swym liście Romek prosił dozorcę o wsparcie finansowe. Prośba ta nie była bynajmniej bezzasadna - rodzina zostawiła u dozorczy wszystkie swoje meble i sprzęty domowe.

Jednak Romek miał pecha. Tego samego dnia Niemcy urządzili w Krakowie łapankę. Na swój celownik wzięli tym razem członków polskiego ruchu oporu. Jeden z patroli SS zatrzymał wtedy u bramy domu przy ulicy Zybliekiewicza gońca wysłanego przez Romka, a list dostał się w ręce wroga. Natychmiast o całej sprawie powiadomiono przebywającego wówczas w Płaszowie Götha. Ten wysłał do „Emalii” samochód z załogą złożoną z ukraińskich strażników. Rozkaz komendanta był jednoznaczny: Ukraińcy mieli pojmać Romka Wohlfeilera, przewieźć go na Hujową Górkę i rozstrzelać. I rzeczywiście Ukraińcy zatrzymali Romka, zakuli go w kajdanki i wrzucili do samochodu. Gdy dojeżdżali do bramy wyjazdowej z fabryki, nadjechała limuzyna Schindlera. Kierowca Ukraińców zatrzymał samochód, dzięki czemu Schindler mógł się zorientować, jakie jest aktualne położenie Romka. Zachowując trzeźwość umysłu, właściciel „Emalii” zaprosił ukraińskich strażników do swojego biura, by postawić im kolejkę. W czasie gdy Ukraińcy raczyli się wódką pochodzącą z zapasów Schindlera, ten zadzwonił do Götha, by się dowiedzieć, dlaczego przyjaciel chce mu odebrać jednego z najlepszych pracowników. Tłumaczył Göthowi, że bez Romka Wohlfeilera dalsza produkcja będzie niemożliwa. Ponadto obiecał, iż zrewanżuje się za darowanie życia temu „głupiemu Żydowi”, któremu miał osobiście dać nauczkę. Argument zawsze przemawiający do przyjaciela i tym razem okazał się niezawodny. Göth, mając nadzieję na okrągłą sumkę, przystał na propozycję. Ukraińcy otrzymali odpowiedni rozkaz i wrócili do Płaszowa bez Romka. Schindler urządził następnie swojemu podwładnemu prawdziwą scenę: „Dlaczego nie powiedziałeś mi o swoim ojcu? Przecież sam mogłem mu pomóc! Oni zastrzeliliby cię, gdybym się nie pojawił w odpowiednim momencie! A teraz uspokój się i weź rodzinie, która na pewno się teraz o ciebie zamartwia, coś do jedzenia!”. Wiadomość o aresztowaniu Romka rozeszła się w fabryce w okamgnieniu. Wszyscy myśleli już nawet, że Romka rozstrzelano. Gdy ten nagle pojawił się w hali fabrycznej, zaskoczenie ludzi było ogromne.

XIII. Zamach

W Julagu I, w odległości pięciu minut drogi pieszo od głównej bramy obozu w Płaszowie przy ulicy Jerozolimskiej, znajdował się prywatny gabinet stomatologiczny prowadzony przez więźnia Józefa Liebermana. Ów dentysta urodził się w 1920 roku w Krakowie i był jednym z tych młodych więźniów żydowskich, którzy byli gotowi walczyć z bronią w rękę przeciwko nazistowskiemu oprawcom. Rodzice Józefa Berta i Joel już nie żyli - padli ofiarą „wysiedlenia”, „akcji”, którą przeprowadzono w Skale, niewielkiej miejscowości położonej na północ od Krakowa. Zostali następnie zamordowani w jednym z obozów zagłady na Wschodzie. Ostatni raz Józef widział ich 2 września 1942 roku. Spośród trzech braci Liebermana żyli wówczas jeszcze Leon i Jakub. Trzeci zginął rażony gradem kul wystrzelonych z broni strażników SS gdy usiłował wyskoczyć z pociągu jadącego do Oświęcimia na dworcu kolejowym w Krzeszowicach.

Józef Lieberman przebywał w Julagu I od września 1942 roku. Obóz ten, podobnie jak Julag I i Julag III, był w tamtym czasie zarządzany przez SS-Oberscharführera Franza Josepha Mullera. Wykorzystując fakt, iż początkowo był jedynym dentystą w obozie, Lieberman wypracował sobie szczególną pozycję w miejscowej hierarchii. Nie tylko Muller miał zaufanie do sztuki lekarskiej swojego więźnia, do gabinetu Liebermana przychodzili się leczyć także esesmani z obozu głównego w Płaszowie. Nie otrzymywał on wprawdzie za swoją pracę pieniędzy, lecz często wynagradzano go, wręczając mu w prezencie alkohol i żywność. Jako dentysta, Lieberman musiał stale zaopatrywać swój gabinet w niezbędne do leczenia materiały, mógł więc względnie swobodnie poruszać się po obozie, dzięki czemu dowiadywał się różnych rzeczy, o których szeregowi więźniowie nie mieli najmniejszego pojęcia. Na obiad udawał się do domu Marysi Pazdy, który znajdował się w odległości kilkuset metrów od Julagu I. Gospodyni domu była opłacana przez swojego gościa i kilku innych członków żydowskiego podziemia za przekazywanie informacji, listów i małych paczek. Pazda utrzymywała także kontakty z partyzantami założonej w styczniu 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej.

Na obiady do Marysi Pazdy przychodzili także esesmani z załogi obozu w Płaszowie, przede wszystkim jeden z siepaczy Götha, dzielający zamiłowanie komendanta do strzelania do ludzi Edmund Zdrojewski, a także esesman Stieglitz oraz dwóch członków łotewskich oddziałów SS Janetz i Kammenpals. Tych dwóch ostatnich Lieberman znał aż nadto dobrze - wcześniej byli strażnikami w Julagu I. Marysia Pazda wykorzystywała zaufanie, jakim darzyli ją goście z SS, by wydobyć z nich cenne informacje. I tak na przykład zawsze wiedziała, kiedy Göth przybędzie z inspekcją do Julagu I. Informację tę przekazywała następnie Liebermanowi jego współwięźniom. Jeszcze ważniejsze były wiadomości dotyczące planowanych w najbliższym czasie „wysiedleń”, przy czym Pazda nie cofała się czasem nawet przed zadawaniem ukierunkowanych pytań, tak aby wyciągnąć od nich pożądane informacje.

Poza Liebermanem z możliwości stołowania się u pani Pazdy korzystali także odemani z Julagu I, co początkowo całkowicie uszło uwagi esesmanów. Łotysze Janetz i Kammenpals ostatecznie milcząco pogodzili się z tym faktem. Nie wiedzieli jednak, iż niepozorny dentysta obozowy Lieberman ukrywa w domu Pazdy pistolet, a także swoje pieniądze oraz wartościowe przedmioty. Kobieta była jego „bankiem”, pomagała mu przekupywać strażników SS.

Józef Lieberman utrzymywał kontakty z ŻOB-em, Żydowską Organizacją Bojową, w szczególności zaś z grupą bojową Akiba i jej przywódcami Adolfem Liebeskindem i Simonem Drangerem. Akiba była znana ze spektakularnych akcji. I tak na przykład 22 grudnia 1942 roku bojownicy Akiby wrzucili granaty ręczne do krakowskiej kawiarni Cyganeria przy ulicy Szpitalnej, zabijając przy tym jedenastu Niemców i ciężko raniąc trzynastu innych. Mający być obiektem tego ataku ludzie z Gestapo zostali jednak wcześniej ostrzeżeni przez żydowskiego szpicla Julka Apela i w tym dniu omijali lokal z daleka. To właśnie Julek Appel miał poinformować Gestapo, iż w żydowskim podziemiu działa kilku mężczyzn o nazwisku Lieberman i że należy ich szukać albo w getcie, albo w obozach pracy przymusowej na terenie

Krakowa. Według zdrajcy Julka Apela, Liebermanowie mieli pełnić funkcje odemianów. Gestapo postanowiło nie tracić ani chwili dłużej i zarządziło aresztowanie wszystkich Żydów o tym nazwisku przebywających w żydowskiej dzielnicy zamkniętej. Gdy komendantem w Płaszowie został Göth, rozciągnął ten rozkaz na wszystkie obozy znajdujące się w dystrykcie krakowskim. Aresztowanie Liebermanów z Julagu I planował w porozumieniu z krakowskim szefem Gestapo. W trakcie przeprowadzania akcji komendantowi towarzyszyli Zdrojewski, Janetz i oddział esesmanów. Na miejsce przybyli dwoma samochodami. Dotarwszy do obozu, Göth udał się wraz z szefem krakowskiego Gestapo do baraku Mullera, któremu po krótkiej wymianie zdań nie pozostało nic innego, jak tylko zlecić sprowadzenie trzech Liebermanów przebywających w jego obozie. Wkrótce przed Göthem stali bracia Józef i Jakub Liebermanowie oraz ich kuzyn Erwin Lieberman, pełniący funkcję odemana, który jednak - o czym wiedzieli obaj bracia - nie utrzymywał kontaktów z partyzantami.

Göth uważnie przyglądał się trzem przyprowadzonym przed barak Mullera więźniom. Tymczasem Zdrojewski, wyraźnie podenerwowany, wymachiwał im przed nosem swoim pistoletem, grożąc, że ich zastrzeli na miejscu.

„Szef” upatrzył sobie wreszcie pierwszą ofiarę. Podeszedłszy do Józefa Liebermana, który stał wciąż jeszcze ubrany w swój lekarski kitel, zaczął na niego wrzeszczeć i uderzył go dwukrotnie w twarz. Następnie kazał jednemu ze strażników przeprowadzić u Józefa dokładną rewizję osobistą. Później trzech Liebermanów załadowano do samochodu i przewieziono do Płaszowa. Samochód zatrzymał się przed barakiem tortur i wszyscy zostali wepchnięci do środka. Scena, którą ujrzeli wewnątrz, zaparła im dech w piersi. U sufitu dyndało trzech mężczyzn - powieszonych na związanych na plecach rękach; ich stopy kołysały się tuż nad ziemią. Tych trzech niewinnych mężczyzn zgubiło zapewne nazwisko „Lieberman”. Gdy oczy nowo przybyłych więźniów przyzwyczały się już do panującego w pomieszczeniu półmroku, dostrzegli sześciu następnych mężczyzn, spośród których dwóch leżało w kącie zalanych krwią. Ich ciała zostały zmasakrowane uderzeniami pejcza w tak okropny sposób, że obaj nieszczęśnicy nie dawali już żadnego znaku życia.

Liebermanowie z Julagu I przez mniej więcej kwadrans czekali w bezruchu, po czym ponownie pojawił się Göth. Włożył rękawiczki, a następnie z całej siły uderzył Józefa Liebermana w twarz. Było to pożegnanie, komendant musiał bowiem, wbrew własnej woli, zezwolić na wypuszczenie dentysty z baraku tortur. „Ty, sukinsynu! Możesz wracać do swojej roboty!” - powiedział do swojej niedoszłej ofiary. Jeden ze strażników odprowadził Józefa Liebermana do Julagu I.

Jak się później Lieberman dowiedział, zawdzięczał swoje uwolnienie z baraku tortur Franzowi Josephowi Mullerowi, który wbrew opinii Götha utrzymywał, iż jego dentysta nie ma nic wspólnego z partyzantami. Lieberman miał rzadko wychodzić do miasta, a jeśli już zdarzało się, że opuszczał teren obozu, to zawsze miał mu towarzyszyć jeden ze strażników. Poza tym, jak dalej dowodził Muller, Lieberman nie miał prawa do noszenia czapki odemana, należałoby zatem poszukać odemana noszącego nazwisko „Lieberman”.

Fakt, iż musiał pozostawić swego brata Jakuba i kuzyna Erwina na pastwę Götha, nie dawał Józefowi spokoju w ciągu kolejnych mijających dni. Wreszcie udało mu się namówić SS-Oberscharführera Mullera, by ten wstawił się także za obydwoh krewnymi dentysty. Oczywiście obiecał Mullerowi, iż jego ewentualna interwencja zostanie sownie wynagrodzona. Była to propozycja, której ten pogrążający się coraz bardziej w korupcji oficer SS nie był w stanie odrzucić. I rzeczywiście kilka dni później Muller osobiście przyprowadził kuzyna Erwina Liebermana, uwolnionego z więzienia Gestapo przy ulicy Pomorskiej, do Julagu I. W sprawie swego brata Jakuba Józef nie zdołał jednak nic wskórać. Gestapo zaaranżowało konfrontację Jakuba z żydowskimi szpiclami Julkiem Appelem i Weismanem, którzy od razu rozpoznali w nim jednego z członków podziemia. Muller podkreślił, że nic już w tej sprawie nie może zdziałać oraz że nie życzy sobie, by powracano do niej jeszcze kiedykolwiek w jego obecności.

Wszelki kontakt z Jakubem urwał się. Józef Lieberman był pewien, że jego brat nie żyje. Kiedy żydowski dentysta wrócił po wojnie do domu Marysi Pazdy, by odebrać swoje pieniądze

oraz wartościowe przedmioty, kobieta nie była w stanie oddać mu niczego, natomiast miała dla niego pewien list. Był to list od Jakuba z 1944 roku, napisany w jednym z obozów. Także bratu Józefa było dane przeżyć okres nazistowskiego terroru.

Wśród zatrudnionych w Płaszowie w charakterze strażników Rosjan, których żydowscy więźniowie nazywali z reguły Kozakami, był pewien człowiek, określany mianem Agronoma. Mężczyzna ten miał rzekomo pochodzić z rodziny nadwożańskich Niemców, studiować rolnictwo, a nawet przyjąć obywatelstwo niemieckie. Agronom cieszył się specjalnymi względami Götha, który powierzył mu też specjalne zadanie. Rosjanin zawsze towarzyszył komendantowi w jego wyprawach do siedziby Gestapo przy ulicy Oleandry, zawsze też miał mieć przygotowany do wystrzału pistolet maszynowy. Wprawdzie w drodze do Gestapo Göthowi zazwyczaj towarzyszyli także Zdrojewski i Janetz, jednak Kozaka nigdy nie mogli zabraknąć.

Ponieważ Agronom często przychodził do Julagu I, by skorzystać tam z usług żydowskiego krawca czy fryzjera, także Józef Lieberman miał niejednokrotnie okazję dłużej z nim porozmawiać. Okazało się, iż ów faworyt Götha jest w rzeczywistości Rosjaninem, tak przynajmniej wynikało z jego opowieści, i że nie marzy o niczym innym, jak tylko o zemście na Niemcach. Na razie jednak musiał poczekać na dogodny moment, by zrewanżować się swoim wrogom. Lieberman zachował jednak ostrożność, wystawiając najpierw gadatliwego strażnika na próbę. Chciał się dowiedzieć, czy to, o czym opowiedział mu Agronom, jest prawdą i jak dalece można zaufać temu człowiekowi. Lieberman zaczął więc udawać przed Rosjaninem, że interesuje się „zakazanymi” rzeczami, a nawet posunął się do krytykowania innych strażników za popełnione przez nich błędy. Agronoma nic jednak nie było w stanie zbić z tropu. Lieberman nabrał wówczas przekonania, że w razie potrzeby może liczyć na Kozaka.

Było wczesne lato 1943 roku. Gestapo przeżywało właśnie pasmo „sukcesów”. Funkcjonariusze tajnej policji z powodzeniem aresztowali, zabijali lub osadzali w jednym w obozów pracy coraz więcej członków żydowskiego podziemia. Tylko nielicznym spośród więźniów działających w konspiracji udało się przeżyć - zazwyczaj przepustką do życia były sfabrykowane „aryjskie” papiery. Mimo to w dalszym ciągu czynili oni starania, by pozostać w stałym kontakcie z przyjaciółmi mieszkającymi w gettach lub osadzonymi w obozach. Aby dać wszystkim czytelny znak, iż wciąż jeszcze możliwe jest stawianie oporu nazistowskiemu oprawcom, postanowili wreszcie zorganizować zamach na Götha. Jako miejsce ataku wybrano most kolejowy na granicy Podgórze, pod którym przebiegała główna ulica prowadząca z Płaszowa do centrum miasta. Zamachowcy wiedzieli, że Göth korzysta z tej ulicy za każdym razem, gdy wyjeżdża do miasta lub gdy wraca z centrum do obozu w Płaszowie. Aby poczuć, że to właśnie on jest panem tego okupowanego kraju, komendant podróżował do centrum nie samochodem, lecz w zaprzężonej w dwa konie otwartej kolasce. Niewielka prędkość, z jaką poruszał się pojazd, stanowiła istotny czynnik uwzględniony w planie zamachu, który przewidywał zrzucenie z mostu na Götha kilku granatów ręcznych. Ważnym sojusznikiem grupy zamachowców miał być Agronom - to on miał przekazać Józefowi Liebermanowi informacje na temat dnia i godziny zamachu. Aby samemu nie znaleźć się na linii ognia, Kozak miał w dniu ataku symulować chorobę i pod tym pretekstem pozostać w obozie.

Na kilka dni przed planowanym zamachem Lieberman i jego przyjaciele zaopatrzyli się w niezbędną broń. Łącznie dysponowali wyprodukowanymi w podziemiu trzema granatami ręcznymi oraz dwoma pistoletami. „Skarb” był przechowywany w ukryciu w gabinecie, w którym Lieberman przyjmował pacjentów. W planowanej akcji miało wziąć udział pięć osób: poza samym Józefem Liebermanem także jego kuzyn Erwin oraz niejaki Dunek Bernstein wszyscy trzej z Julagu I, oraz dwie żydowskie dziewczyny działające w żydowskim podziemiu w Krakowie - Mania i Gusta, obie posiadające „aryjskie” papiery.

Barak, w którym mieścił się gabinet Liebermana, przylegał tylną ścianą do pobliskich torów kolejowych i tutaj też znajdowało się dojscie do obozu, z którego nikt nie korzystał. Dentysta załatwił klucz od bramy, o czym wiedzieli jedynie wtajemniczeni w plan zamachu sprzymierzeńcy.

Wreszcie nadeszła wyczekiwana w napięciu informacja od Agronoma - tego dnia Göth miał przejeżdżać pod wiaduktem kolejowym między czwartą a piątą po południu. Już o poranku w baraku Liebermana pojawiły się Mania i Gusta, by odebrać granaty ręczne. Zgodnie z przyjętym planem, o uzgodnionej porze obie kobiety miały spacerować tam i z powrotem po wiadukcie kolejowym. Granaty miały leżeć w niesionych przez nie koszykach, jeden granat ukryty wśród kwiatów, drugi - wśród jajek. Dokładnie o trzeciej Mania i Gusta pojawiły się na moście. Trzymając po jednym koszu, przyglądały się ruchowi na ulicy znajdującej się pod wiaduktem. Obaj Liebermanowie oraz Dunek Bernstein leżeli w ukryciu po obu stronach ulicy. Ich zadaniem miała być ochrona dziewcząt przy użyciu broni palnej, w wypadku gdyby Mania i Gusta były ścigane po przeprowadzeniu zamachu. Wszyscy zdawali sobie sprawę ze skromnych warunków, w jakich przyszło im przypuścić atak na komendanta. Brakowało broni i ludzi. Jednakże nadzieja, iż uda im się zgładzić „rzeźnika Götha”, kazała odsunąć na bok wszelkie obiekcje.

Józef Lieberman, inicjator przedsięwzięcia, z nasypu przy drodze obserwował szosę, która jawiła mu się, jakby leżała przed nim na paterze. Napięcie wzrosło jeszcze bardziej, gdy na horyzoncie pojawiła się kolaska Götha. Gdy pojazd znajdował się już w odległości około stu metrów, Lieberman zauważył, iż w karecie nie ma Agronoma. Zdawało się, iż wszystko przebiega według planu. I nagle kątem oka zauważył coś jeszcze. Dziesiątki esesmanów i strażników zbliżało się w ich stronę skrajem ulicy, trzymając gotowe do wystrzału pistolety maszynowe. Oznaczało to zdradę. Lieberman zrozumiał od razu, że jedyne, co pozostało niedoszłym zamachowcom, to ratowanie własnego życia szybką ucieczką. Dał więc swoim współnikom znak, aby się wycofali. Mania i Gusta opuściły wiadukt, trzej mężczyźni porzucili swoje kryjówki przy drodze i zaczęli uciekać tak szybko, jak to tylko było możliwe. Sytuacja stawała się z minuty na minutę coraz bardziej niebezpieczna. Göth wziął ze sobą swoje dwa psy; prowadzone przez esesmanów barykadujących przejście pod wiaduktem, zaczęły tropić uciekinierów.

Każdy z trzech mężczyzn usiłował ratować się na własną rękę. Liebermanowi udało się w ostatniej chwili wspiąć na ogrodzenie z drutu kolczastego i przeskoczyć na drugą stronę, na teren fabryki Mayer-Reder-Kraus, gdzie ukrył się następnie w jednym z baraków mieszkalnych. Gdy się ściemniło, Józef odważył się wrócić do Julagu I, udał się do swojego gabinetu i narzucił na siebie biały kitel lekarski. Gorączkowo rozważał wszystkie możliwości. Instynktownie czuł, że tylko Agronom mógł zdradzić plan zamachu i pewnie wyjawiał przy tej okazji także jego nazwisko, mimo że przed kilkoma dniami dostał od niego złoty zegarek jako „specjalny prezent”. Józef Lieberman postanowił porzucić wszelkie złudzenia i z rezygnacją czekał, aż po niego przyjdą.

Tymczasem Erwin Lieberman i Dunek Bernstein zostali pojmani przez esesmanów w trakcie ucieczki. Na dworze było już zupełnie ciemno, gdy Göth zajechał, zgodnie z oczekiwaniami, przed Julag I. Komendant zlecił przyrowadzenie Józefa Liebermana i przewiezienie go, bez zadawania jakichkolwiek pytań, do Płaszowa. Wyglądało na to, że komendant był dobrze poinformowany. W baraku tortur na terenie obozu w Płaszowie Józef ujrzał Erwina i Dunka. Obaj, ciężko pobici, zwisali z sufitu, zawieszani na związanych rękach i nogach. Ich twarze były tak zdeformowane torturami, że jedynie z trudem można było ich jeszcze rozpoznać. Zaraz po Liebermanie do baraku wszedł Göth, który znów włożył swoje białe rękawice. Komendant tradycyjnie pogroził więźniowi pistoletem, po czym zaczął go okładać pięściami po twarzy, głośno na niego rycząc. Lieberman zdołał jedynie zrozumieć, iż tym razem nie uda mu się ująć cało, jeśli nie powie Göthowi wszystkiego, co wie na temat ruchu oporu i partyzantów. Jednak Józef Lieberman nie dał się zastraszyć. Zachowując zimną krew, wszystkiego się wyparł. Cały dzień miał spędzić w swoim gabinecie, lecząc pacjentów. Mimo to Göth mu nie uwierzył. Odstąpił jednak od niego do czasu, zlecając przed opuszczeniem baraku wymierzenie krnąbrnemu więźniowi kolejnej porcji tortur.

Ale i tym razem szczęście uśmiechnęło się do walecznego dentysty z Julagu I. Przypadkiem koło baraku przechodził zyczliwie do niego nastawiony Łotysz Janetz. Na pytanie strażnika, co takiego przeszkrobał, że trafił na tortury, Lieberman raz jeszcze przytoczył wymyśloną historię, z której wynikało, że jest niewinny i że znalazł się w swym obecnym położeniu na skutek

jakiejś fatalnej pomyłki. Zleciwszy odroczenie tortur, Janetz udał się niezwłocznie do Götha. Gdy wrócił po dziesięciu minutach, Lieberman mógł już być pewny swojego ocalenia. Okazało się, iż Janetz osobiście wstawił się za lekarzem, poświadczając niewinność Józefa. W czasie gdy łotewski strażnik odprowadzał Liebermana do Julagu I, obaj mężczyźni spotkali na swojej drodze kierownika obozu Mullera. Ten miał powiedzieć wtedy do żydowskiego więźnia: „Masz szczęście. Będiesz długo żył, skoro udało ci się już dwa razy ująć cało ze spotkania z Göthem”. Lieberman opowiedział mu następnie o swoich przeżyciach związanych z pobytem w baraku tortur, a także o tym, w jak straszliwym stanie znajdowali się jego przyjaciele, po czym Muller odesłał szczęśliwca do jego baraku. Strażnik Janetz otrzymał w nagrodę butelkę wódki.

Wieczorem u Liebermana pojawił się *SS-Oberscharführer* Muller na małą pogaduszkę, jak to sam nazwał, jednak rozmowa była utrzymana w poważnym tonie. Muller dobrze wiedział o zaangażowaniu żydowskiego dentysty w podziemie, dlatego też doradzał więźniowi zerwanie wszelkich kontaktów z ludźmi działającymi w konspiracji. Stwierdził, iż Niemcy mają doskonały wywiad i gdyby się dowiedzieli, że Lieberman należy do mchu oporu, nie mogliby go pozostawić przy życiu. Żydowski więzień szybko się zorientował, iż kierownik Julagu I nie przyszedł go bynajmniej ostrzec, lecz wybać, wypytując przede wszystkim o bazy partyzantów w Puszczy Niepołomickiej. Jego przypuszczenia wkrótce się potwierdziły. Pytania stawiane przez Mullera nie były przypadkowe -okazało się, iż otrzymał on rozkaz wyeliminowania operującej w tamtym rejonie jednostki partyzanckiej i dlatego pilnie potrzebował odpowiednich informacji. Lieberman wykazał się jednak ostrożnością i udało mu się nawet przekonać *SS-Oberscharführera*, iż nic mu nie jest wiadomo na temat operacji żydowskiego podziemia poza Krakowem.

Następnego dnia Józef Lieberman jeszcze raz zwrócił się do Mullera z prośbą, aby ten wstawił się u Götha za jego obydwoma przyjaciółmi. W zamian obiecał mu odpowiednie „wynagrodzenie” - użył zatem argumentu, który zawsze przemawiał do chciwego *Oberscharführera*. Muller interweniował zatem u komendanta obozu w Płaszowie, uzyskując to, iż Erwin i Dunek nie zostali rozstrzelani. Obaj zostali skazani na ciężkie prace, noc spędzali w więzieniu Żydowskiej Służby Porządkowej. O ich powrocie do Julagu I oczywiście nie mogło być mowy. Blisko dwa tygodnie po interwencji Mullera szef odemanów Wilek Chilowicz wypytywał w Julagu I o Liebermana. W gabinecie dentysty doszło wówczas do długiej rozmowy między obydwoma mężczyznami. Wreszcie Józef Lieberman, który nie szczędził wódki, poprosił szefa odemanów o przysługę. Chodziło o uwolnienie jego kuzyna Erwina i Dunka Bernsteina z więzienia Żydowskiej Służby Porządkowej i przeniesienie ich do Płaszowa, gdzie mogliby pracować jako „zwykli” więźniowie. Żegnając się z dentystą, Chilowicz obiecał uczynić wszystko, co w jego mocy, by uwolnić przyjaciół Liebermana.

Mimo to przez kolejnych kilka tygodni nic się nie zmieniło. Erwin Lieberman i Dunek Bernstein w dalszym ciągu siedzieli w więzieniu. Józefowi Liebermanowi udawało się czasem przesmugłować dla nich chleb i pieniądze. Pewnego razu u Liebermana pojawił się znowu niezapowiedziany gość, tym razem była nim Mania Chilowicz, powszechnie znienawidzona żona szefa odemanów, utrzymująca bardzo dobre kontakty z różnymi esesmanami. Józef Lieberman znał ją jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy to oboje mieszkali w krakowskim Podgórzu, a on sam musiał zabiegać o to, by Mania była tolerowana w kręgu jego przyjaciół. Pochodzącą z prostej, biednej rodziny dziewczynę już wtedy zżerała ambicja, chciała za wszelką cenę awansować do wyższej warstwy społecznej. W czasie swej wizyty Mania Chilowicz opowiedziała znajomemu dentyście o wielkiej „akcji oczyszczania”, która miała się niebawem odbyć na terenie obozu i pochłonąć około stu dwudziestu ofiar. Czystka miała także osiągnąć wszystkich więźniów, którzy byli osadzeni w więzieniu Służby Porządkowej. Twierdziła, że przez wzgląd na starą przyjaźń łączącą ją z Józefem podjęła próbę uratowania jego dwóch kolegów i w ostatniej chwili udało jej się ocalić Erwina i Dunka. Obaj stali już nadzy przed wycelowanymi w ich stronę lufami karabinów plutonu egzekucyjnego. Udało się ich jednak przywrócić do pracy w obozie.

Józef Lieberman był wzruszony. Marika, jak niegdyś wołano na Chilowiczową, rzeczywiście

zrewanżowała mu się za przysługę wyświadczoną jej w przeszłości. Erwin i Dunek mieli przeżyć wojnę. Przewieziono ich później z Płaszowa do Częstochowy, gdzie zostali wyzwoleni przez Armię Czerwoną.

Plany oswobodzenia towarzyszy broni

Nazistom nie udało się jeszcze rozbić wszystkich organizacji działających w podziemiu. Członkowie żydowskiego ruchu oporu snuli plany związane z uwolnieniem więźniów z obozu w Płaszowie. Działająca w Sosnowcu grupa żydowskich partyzantów, do której należał także Manus Diamant, znany później z tego, że urządził polowanie na Eichmanna, planowała wyrwanie ze szponów Götha swojego kompana Moshe Bejskiego. Moshe wraz z bratem Urim Bejskim, podobnie jak wielu innych Żydów pochodzących z położonych na północny wschód od Krakowa Działoszyc, zostali siłą wywiezieni do Julagu II w krakowskim Prokocimiu. Przed wojną Moshe Bejski był członkiem syjonistycznej młodzieżówki Hanoar Hazioni (Młodzieży Syjonistycznej). Grupa operująca w Sosnowcu wysłała do Płaszowa Fredkę Oksenhendler-Kożuch, żonę komendanta Józka Kożucha. Narażając życie, Fredka przedostała się do ogrodzenia obozu i nawiązała kontakt z Moshe Bejskim, któremu przekazała wówczas szczegółowo opracowany plan ucieczki. Jednak urodzony w 1921 roku Bejski odrzucił tę propozycję, uzasadniając swoją decyzję następująco: „Nie, nie mogę. Być może udałoby się wam mnie uratować, ale, zgodnie z dyrektywami Amona Götha, oznaczałoby to egzekucję dwudziestu pięciu więźniów w ramach akcji odwetowej”.

Moshe Bejski pozostał w obozie i miał szczęście. Znalazł zatrudnienie w „Emalii” i stał się wkrótce jednym z powierników Oskara Schindlera. Bejski wyspecjalizował się w fałszowaniu dokumentów, które uratowały życie wielu Żydom. Miał też swój wkład w ustalanie „listy Schindlera”.

Po wojnie Moshe Bejski wyjechał do Izraela, gdzie awansował aż do stanowiska sędziego Sądu Najwyższego. Był także ściśle związany z Yad Vashem i Massuah (Instytutem Studiów nad Zagładą) w kibucu Tel Yitzhak. Zmarł 6 marca 2007 roku w Tel Awiwie.

XIV. Obóz dla Polaków

Obóz w Płaszowie, położony na peryferiach Krakowa, w lecie 1943 roku szybko się rozrastał. Więźniowie już od dawna nie rekrutowali się wyłącznie spośród mieszkańców krakowskiego getta. 12 czerwca 1943 roku do obozu w Płaszowie przybyło pięciuset dwudziestu dwóch Żydów z Borysławia - były to osoby, które przeżyły likwidację getta w tym wschodniogalicyskim mieście, słynącym z wydobywania ropy naftowej. 23 maja Niemcy urządzili tam ostatnią masakrę: około tysiąca zdolnych do pracy żydowskich „pracowników zbrojeniówki” załadowano do pociągu jadącego do Majdanka, SiPo i SS rozstrzelały na miejscu także około tysiąca Żydów którzy zostali uznani za niezdolnych do pracy. Po tym jak odemani zasypali masowe groby, również zostali zabici.

Ostatni Żydzi z Borysławia zostali deportowani do Płaszowa w czerwcu 1944 roku. Wśród nich był także Arnold Klinghofer, były dyrektor miejscowego banku, a także przewodniczący zarządu przedsiębiorstwa zajmującego się produkcją osprzętu wiertniczego. Arnoldowi towarzyszyły jego dzieci: dziesięcioletni syn Ignacy oraz córka Helena, które udało mu się z pomocą Bertholda Beitza, kierownika handlowego przedsiębiorstwa Karpathen AG, uratować z pociągu śmierci jadącego do Bełżca. Jego żona Dorothea została w pociągu i zginęła w obozie zagłady w Bełżcu.

Grupa „wysiedleńców” z Borysławia została przyjęta u bramy obozu przez Götha i małżeństwo Chilowiczów. Komendant, siedząc na swoim siwku, przyglądał się w milczeniu tej scenie. Wilek Chilowicz, jak zawsze wystrojony, miał na sobie spodnie jeździeckie, białą jedwabną koszulę i wypolerowane do połysku buty. W ręce trzymał nieodzowny pejcz. Jego żona robiła duże wrażenie swoim eleganckim kostiumem. Zamiast powitania na więźniów posypały się wyzwiska: „Szybciej, wy chuje! Szybciej, wy pizdy!”. Wilek i Marysia dawali w jednoznaczny sposób do zrozumienia, kto rządzi w obozie. Arnold Klinghofer został po kilku dniach przeniesiony do kopalni soli w Wieliczce, a później przewieziono go stamtąd do obozu w Mauthausen, gdzie zginął. Ignacy, który później przybrał nowe imię i nazwisko Igor Kling, opisał Elinor J. Brecher swoje wspomnienia z pobytu w płaszowskim obozie. Wraz ze swoim przyjacielem Tolkiem Mankleidem znalazł zatrudnienie jako ślusarz w warsztacie samochodowym na terenie obozu w Płaszowie. Pewnego dnia obaj młodzi mężczyźni otrzymali zadanie do wykonania poza obozem. Bmw Götha nie zapaliło, mężczyźni mieli przybyć do domu komendanta. Gdy zjawili się przed Czerwonym Domem, czekała już na nich Susanna - Helen Sternlicht wraz z dwoma psami Götha. Ignacy i Tolek zamarli ze strachu. Dopiero gdy Helen przywołała do siebie psy, mężczyźni odważyli się podejść do limuzyny komendanta i udało im się także usunąć usterkę.

Na początku lipca 1943 roku Göth zlecił wydzielenie za pomocą ogrodzenia z drutu kolczastego części obozu, w której miał powstać „obóz pracy wychowawczej” przeznaczony dla więźniów polskiego pochodzenia. Przywiezieni do Płaszowa z więzienia przy ulicy Montelupich oraz z posterunków krakowskiej policji Polacy byli zazwyczaj skazani za drobne wykroczenia na krótkotrwałe kary osadzenia na terenie obozu, jednakże miejscowy personel traktował tych więźniów równie brutalnie jak robotników przymusowych, bezwzględnie ich eksploatując. Nie dziwi zatem fakt, iż także oni stali się świadkami zbrodni Götha i jego popleczników. Aby odróżnić Polaków od robotników żydowskich, zmuszono ich pod koniec lipca 1943 roku do noszenia na piersi dużej czerwonej litery „P”, a także czerwonych pasków na spodniach. Za funkcjonowanie nowego podobozu dla Polaków odpowiadał SS-Oberscharführer Lorenz Landstorfer.

W „polskim obozie” Göth osadzał w 1944 roku również Romów i Sinti, przybywających do Płaszowa z innych obozów. Jednym z pierwszych polskich więźniów przywiezionych do królestwa Amona Götha był woźnica Władysław Kopystecki. Mężczyzna został zatrzymany 8 lipca 1943 roku, w sobotę, pięć minut (*sic!*) po dwudziestej pierwszej, na drodze z Psycho-wic do Dębniak, z powodu złamania godziny policyjnej. Policjant zaprowadził winowajcę na komisariat w Pychowicach, do wsi, która w 1941 roku znalazła się w granicach administracyjnych Krakowa. Tutaj woźnica spędził noc w areszcie. O poranku 9 lipca przewieziono go na ulicę

Franciszkańską, gdzie przebywało już jedenaście innych osób zatrzymanych z powodu nieprzestrzegania godziny policyjnej. O godzinie dziewiątej przed południem przetransportowano wszystkich dwunastu zatrzymanych do Płaszowa, gdzie na nowo przybyłych towarzyszy czekało już ośmiu więźniów osadzonych wcześniej w nowym polskim obozie. Po upływie zaledwie tygodnia ich liczba wzrosła do trzystu. Pierwszego dnia po przybyciu do polskiego obozu nowi więźniowie nie dostawali nic do jedzenia, dopiero drugiego dnia wieczorem otrzymywali jeden bochenek chleba, który musiał wystarczyć dla wszystkich nowo przybyłych Polaków. Kopystecki, skazany na dwa tygodnie pobytu w „obozie pracy wychowawczej” w Płaszowie, w rzeczywistości spędził w polskim obozie siedem i pół miesiąca.

Komando, do którego przydzielono Kopysteckiego, miało za zadanie demontować płyty nagrobne na cmentarzach żydowskich. Pozyskanym w ten sposób materiałem wybrukowano następnie ulice i drogi na terenie obozu. Pewnego dnia w pobliżu miejsca, gdzie pracowała brygada Kopysteckiego, pewna Żydówka właśnie gotowała karmę dla świń, gdy nagle za jej plecami pojawił się Göth, ubrany w białą koszulę i półbuty. Komendantowi towarzyszył jeden z jego dogów. Kobieta nie dostrzegła komendanta i zjadła jeden ugotowany kartofel. W obliczu tak oczywistego „wykroczenia” Amon, nie zwlekając ani chwili, strzelił Żydówce w głowę. Kobieta wyróciła się na kocioł z karmą dla świń. Po chwili Göth wezwał dwóch żydowskich więźniów zaprzątniętych wykonywaniem prac w chlewie, którym następnie zlecił wrzucenie ciała postrzelonej właśnie nieszczęśnicy do stojącego obok drugiego kotła, z gotującą się wodą.

Mężczyznom nie pozostawiono wyboru - musieli przytaszczyć żyjącą jeszcze Żydówkę do drugiego kotła i wrzucić ją żywcem do wrzątku. Ponieważ zaś kobieta, cierpiąc niewypowiedziane męczarnie, wymachiwała rękami i nogami wokół siebie tak gwałtownie, że woda wylewała się poza rant kotła, Göth rozkazał mężczyznom, by przykryli kocioł pokrywą, i odszedł. Jeden z żydowskich więźniów stracił jednak panowanie nad sobą i pobiegł w kierunku łaźni. Został wówczas zastrzelony przez komendanta w trakcie ucieczki. Kopystecki i jego współwięźniowie przyglądali się temu kątem oka. Nadzorujący ich pracę kapo poradził im, by schylili się jak najbardziej nad roztrzaskanymi płytami nagrobnymi, w przeciwnym razie mogliby ściągnąć na siebie uwagę komendanta.

Wśród Polaków schwytanych przez Niemców w Krakowie 10 lipca 1943 roku znajdował się pięćdziesięcioletni majster budowlany Józef Nieckarski. Aresztowanych przewieziono najpierw na ulicę Franciszkańską, skąd zostali odtransportowani ciężarówkami do Płaszowa, gdzie skierowano ich do polskiego obozu. W tamtym czasie przebywało tu ponad stu sześćdziesięciu więźniów, Nieckarski był sto sześćdziesiąty dziewiąty. Po upływie około dwóch tygodni, podczas których liczba polskich więźniów wzrosła do pięciuset, do polskiego obozu przyszedł pewien oficer SS, który rozkazał osadzonym tu więźniom ustawić się w szeregach, a następnie zapytał ich, czy mają chęć do pracy. Oczywiście zebrani Polacy nie marzyli o niczym innym, jak tylko o pracy, wiedzieli aż za dobrze, iż miejsce pracy stanowiło najlepszą ochronę przed śmiercią. I w ten sposób załoga polskiego obozu została przydzielona do budowy „piwnicy na ziemniaki”. Jako termin ukończenia prac wydział budowlany wyznaczył w swojej dyrektywie 1 września. Gdyby robotnikom nie udało się ukończyć budowy w wyznaczonym czasie, to, zgodnie z rozkazem, wszyscy zaangażowani w prace budowlane więźniowie polscy mieli zostać rozstrzelani. Bądź co bądź chodziło o grupę trzy-stu-czterystu osób.

Więźniowie maksymalnie wyteżyli siły, by dotrzymać wyznaczonego terminu. Wielkim problemem był brak wystarczającej liczby fachowców. Ponadto na efektywność pracy Polaków negatywny wpływ miały panujące wśród więźniów głód i pragnienie. Dzienna racja żywnościowa przydzielana wówczas bardzo ciężko pracującym polskim więźniom to jedna kawa o poranku, porcja barszczu czerwonego na obiad, a wieczorem jeszcze jeden kubek kawy, do tego jeden bochenek chleba, który przypadał na siedem-osiem osób. Wskutek narzucenia Polakom tej głodowej diety wielu z nich cierpiało na obrzęk głodowy, a niektórzy po prostu umierali z głodu. Najcięższe chwile przeżywali jednak w sierpniu. W obozie panowała wówczas susza, brakowało wody, dlatego Polacy nie otrzymywali już kawy. W zamian za to

dostawali zgniłą kapustę. Ponieważ pragnienie nieustannie się nasilało, Józef Nieckański poprosił inżyniera Rutkowskiego, by wystarał się o coś do picia, przede wszystkim o kawę. I rzeczywiście Rutkowskiemu udało się załatwić w kuchni obozowej, w której gotowano zarówno dla żydowskich, jak i polskich więźniów, wiadro kawy. Gdy pojawił się z kawą w obozie, więźniowie rzucili się na wiadro, które w okamgnieniu zostało opróżnione. Nieckański, dla którego nie starczyło już kawy, wysłał jeszcze raz Rutkowskiego do kuchni, tym razem jednak o całej sprawie doniesiono Göthowi. Zarządzono apel. Pierwsze pytanie, które padło z ust komendanta pod adresem stojących przed nim więźniów, brzmiało: „Kto wydał kawę?”. Gdy przed szereg wystąpiła pewna Żydówka, Amon zastrzelił ją na miejscu.

Do grupy robotników pracujących przy budowie „piwnicy na ziemniaki” przydzielono czterech strażników, którzy pojawiali się na placu budowy kilka razy dziennie i dawali upust swoim sadystycznym instynktom, bez litości okładając więźniów pejciami. Kobiety i mężczyźni byli w tym wypadku traktowani na równi, nikt nie wiedział, za co i po co jest bity.

Także w polskim obozie Göth korzystał z licznych możliwości wzbogacenia się kosztem więźniów. Gdy komando stolarzy, pracujące na terenie obozu na własny rachunek, nie dotrzymało terminu wykonania swej pracy, który był zbyt krótki, komendant, nie zastanawiając się długo, zatrzymał dla siebie uzgodnione wcześniej wynagrodzenie tych mężczyzn. Jednocześnie zlecił aresztowanie i osadzenie w obozie tych pochodzących z Beskidów i Podhala stolarzy i cieśli pod kierownictwem starszego mężczyzny o nazwisku Waksmundzki. Gdy 10 marca 1944 roku z więzienia przy ulicy Montelupich przewieziono do Pła-szowa polskiego więźnia politycznego Tadeusza Śliwińskiego, członka PPS-u i grupy działaczy skupionych wokół Józefa Cyrakiewicza, członkowie byłego komanda stolarzy wciąż jeszcze przebywali na terenie polskiego obozu.

Tadeusz Śliwiński w czasie swego pobytu w polskim lagrze usłyszał także pewną opowieść o Gocie, którą przytoczył później w swoich wspomnieniach. Komendant podobno zlecił wydrążenie w ziemi tunelu prowadzącego z piwnicy jego willi do kamieniołomu w obozie. Miał w ten sposób zapewnić sobie na wszelki wypadek dogodną drogę ucieczki.

Jednym z pierwszych sprawdzianów była dla Götha inspekcja obozu przeprowadzona w lipcu 1943 roku przez generała Friedricha Wilhelma Krugera, głównego dowódcę SS i policji „Wschód”. Według relacji Mietka Pempera, w przededniu wizytacji Göth kazał więźniom generała pracować w dzień i w nocy, aby wszystko świeciło czystością. Kruger, paradując w towarzystwie grupy esesmanów ulicami obozu, nie widział ani jednego więźnia. Wszyscy robotnicy przymusowi musieli się pochować w swoich barakach. Zamiast nich szefowi SS i policji zaprezentowano w warsztatach cały szereg różnych maszyn. Kruger, będąc pod ogromnym wrażeniem osiągnięć Götha, złożył 23 lipca, zgodnie z planem i w porozumieniu z *Generalkutnantem* Maximilianem von Herffem z Głównego Urzędu Personalnego SS, wniosek o awansowanie Amona Götha do stopnia *SS-Hauptsturmführera*. Było to wyróżnienie, które poparł oczywiście także kolega komendanta Julian Scherner. Pismo wystosowane do urzędu sformułował *SS-Sturmbannführer* Klein, członek sztabu Krugera. Klein podkreślił w dokumencie, iż Göth stworzył coś z niczego, a swoje wzorcowe sukcesy osiągnął bez względu na własną osobę.

Główny Urząd Personalny SS z siedzibą w Berlinie nie widział żadnego powodu, by odrzucić wniosek Krugera. W ten sposób Göth pokonał za jednym zamachem dwa kolejne szczeble tej dziwacznej drabiny kariery w szeregach SS, perwersyjnego wytworu maskulinistycznego myślenia w kategoriach hierarchii. 28 lipca 1943 roku Göth został awansowany do stopnia *Hauptsturmführera* w Fachgruppe SS- und Polizeiwesen przy głównym dowódcy SS i policji „Wschód”, przeskakując rangę *SS-Obersturmführera*. Za udzielone mu przy tej okazji przez Juliana Scherнера wsparcie Göth potrafił się zrewanżować; zlecił brygadom roboczym z obozu wybudowanie dwóch domów dla swojego dłużnika: jednego w Cichym Kąciku, na zachodnich peryferiach Krakowa, skąd Scherner nie miał daleko do swojego biura przy ulicy Oleandry, i drugiego, letniskowego, w Zakopanem. Członkiem ekipy budowlanej zatrudnionej przy

wznoszeniu domu w Zakopanem był trzydziestopięcioletni kupiec Julian Statter, który w styczniu 1943 roku został przeniesiony z małego obozu pracy przymusowej przy osławionej Szkole Policji i Służby Bezpieczeństwa Rosenbauma w Rabce do *Sauberungskolonne*

(grupy oczyszczającej) w krakowskim getcie. Statter stracił przez nazistów swoją żonę Różę i córkę Anitę, matkę Reginę, siostrę Helenę i brata Ludwika. On sam kilkakrotnie uszedł z życiem po „likwidacji” getta i po przybyciu do Płaszowa. Pewnego dnia Göth kazał się stawić kolumnie oczyszczającej na placu apelowym i osobiście wybrał mężczyzn do rozstrzelania. Pozostałych, wśród których był także Julian Statter, wysłał na płaszowski dworzec towarowy do rozładowywania buraków. Gdy ci wrócili z pracy, zastali swoich towarzyszy niedoli martwych.

Także innym razem Julian Statter ledwo uniknął śmierci. W lipcu 1943 roku Göth kazał się stawić na placu apelowym robotnikom przydzielonym do budowy baraków. Przechadzając się wzdłuż szeregów, wybrał kilku więźniów. „Wychłostać!” - tak brzmiał jego rozkaz, przy czym nie było wiadomo, za co Göth wyznaczył taką karę. Przyniesiono duże stoły, wyznaczeni przez komendanta więźniowie musieli się pochylić nad nimi i opuścić spodnie. Krwawą robotę przejęli Zdrojewski i Łotysz Janetz. Jak zwykle więźniowie musieli głośno liczyć wymierzane im razy -gdy któryś z nich się pomylił, kara była wymierzana od nowa. Na wpół przytomne ofiary ustawiono pod ścianą najbliższego baraku; następnie więźniowie ci mieli zostać przeniesieni na Hujową Górkę i rozstrzelani. Jednakże w tym momencie na placu apelowym zjawiała się Ruth Irene Kalder, która oddała się po chwili wraz z Göthem. Dla Stattera i jego towarzyszy było to wybawienie, gdyż po niedługim czasie Chilo-wicz, któremu udało się skłonić ukraińskich strażników, by odwrócili wzrok, rozkazał więźniom, żeby uciekli do „domu”, do baraków, i więcej już nie pokazywali się tego dnia w obozie. Wykonanie polecenia Chilowicza nie przyszło im łatwo, z bólu prawie nie mogli się poruszać.

Inspekcja w Julagu III

Był lipcowy wieczór 1943 roku. Nad placem apelowym w Julagu III w krakowskim Bieżanowiu wisała jeszcze duchota mijającego dnia. Wyczerpani pracą więźniowie stawili się na apel odliczeniowy. Franz

Joseph Muller przystępował właśnie do przyjmowania raportów, gdy dotarła do niego wieść, że do obozu przybędzie Göth wraz ze swoją żoną z Płaszowa, by przeprowadzić inspekcję. Wiadomość ta nie zwiastowała niczego dobrego. Na zebranych więźniów padł strach, wszyscy zastanawiali się, kto tym razem stanie się ofiarą Götha. Ktoś z tłumu puścił bezsensowną plotkę, że płaszowski komendant jest baronem z Wiednia. Nikt tak do końca nie wierzył w tę sensację. Wszyscy byli jednak przekonani, iż było coś nadzwyczajnego w tym dzikim *SS-Führerze* o zimnych stalowoniebieskich oczach, którego otaczała nieustająco śmiertelna groza. Dla wszystkich więźniów jedno było pewne -kto się dostanie w ręce Götha, ten może się już pożegnać z życiem.

I wtedy na miejsce przybył jeden z oficerów SS należący do orszaku Götha, podszedł do Mullera i szepnął mu coś na ucho. Ten, przybrawszy wojskową postawę, wykrzyknął tylko: „Więzień numer 36045, wystąp!” Numer 36045, chudy jak szkielet trzydziestoletni mężczyzna o nazwisku Herschel Zwi Zimmermann, wystąpił trupio błydy przed szereg. Pochodził ze Skały Podolskiej, niegdyś przygranicznego miasteczka, leżącego w byłej monarchii austro-węgierskiej. Studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a jego ojciec, wierny poddany cesarza austriackiego, zajmował się handlem zbożem.

„Szybko, przeklęty psie! Ruszaj się! Do swojego baraku!”

Zebrawszy w sobie resztki sił, Herschel zaczął biec w stronę swojego baraku. Lewą dłoń przyłożył do serca, gdzie widniał naszyty na jego kurtkę numer obozowy. W żydowskiej mistyce liczba ta oznaczała tyle, co „życie”. „Żyję i będę żył” - te słowa powtarzał sobie zawsze w chwilach rozpacz, takich jak ta. „Z Bożą pomocą uda mi się wydostać żywym z tego piekła”.

Gdy już dobiegł do swojego baraku, wpadł do środka. Wewnątrz zastał stojących przed pryczą Götha i jego siepaczy. Komendant trzymał w ręku małą książeczkę.

- Co to za dokument? - zapytał Göth surowym głosem.

- To jest żydowski kalendarz! - odpowiedział Herschel.

- A kto jest na tym zdjęciu na okładce?

- To zdjęcie Theodora Herzla!

- Co takiego? Tego szalonego Żyda z mojego Wiednia, który napisał książkę o państwie żydowskim?!

Gdy Herschel przytaknął, Göth zadawał kolejne pytania:

- A ty, ty, psie, wierzysz w to, że dojdzie do wskrzeszenia państwa żydowskiego?!

Herschlowi głos uwiązł w gardle. Przyszły mu na myśl słowa *Schmah Israel Adonai*, modlitwy wypowiedanej w godzinie śmierci.

- Dlaczego milczysz?! - warknął Göth na Zimmermanna.

Przeczuwając nieuniknioną śmierć, w akcie rozpacz i utwierdzony w przekonaniu, że nie ma już nic do stracenia, Herschel wydusił z siebie następujące wyznanie:

- Wierzę, że w dawnej ojczyźnie Izraela powstanie państwo żydowskie. Ja już z pewnością nie dożyję tej chwili, ale państwo żydowskie powstanie tak czy owak!

- Ha, ha, ha! - Göth zanosił się od śmiechu, a wraz z nim jego towarzysze. - Szanse na powstanie państwa żydowskiego są tak samo nikłe jak na to, że ty zostaniesz jego ambasadorem!

- Nie, on zostanie parlamentarzystą! - parsknął jeden z esesmanów stojących obok komendanta. Inni szybko podchwycili tę myśl:

- On zostanie ministrem, nie, będzie prezydentem!

Ryjąc ze śmiechu, zaczęli bić Herschla. Gdy ten osunął się na ziemię, zaczęli kopać butami ten zakrwawiony ludzki kłębek. Zanim Zimmermann stracił przytomność, przez jego głowę przemknęła jeszcze jedna myśl: „I tak nadszedł już kres moich cierpień i mojego życia”. Wydawało mu się, że słyszy głos swojej zmarłej matki mówiący: „Herschele, mój synu!”. „Tak, mamu - westchnął ciężko. - Chcę do ciebie...”.

Ludzie Götha mieli już dosyć; chwyciwszy nieprzytomnego Żyda, wyrzucili go przez drzwi baraku na zewnątrz, gdzie panowała milcząca ciemność.

Gdy Herschel Zwi Zimmermann odzyskał przytomność, po Gocie i jego poplecznikach nie było już żadnego śladu. Resztkami sił i jęcząc z bólu, wczołgał się po schodach do baraku. Położywszy się na swojej pryczy w trzecim szeregu pod dachem, zapadł w głęboki sen. Nic mu się wtedy nie przyśniło. Następnego dnia o poranku towarzysze

Zimmermanna, przerażeni jego wyglądem, siłą wynieśli go do umywalni. Na porannym apelu Herschel stał już z nimi w szeregu. Zwi przeżył. Udało mu się wydostać z tego piekła - uciekł jeszcze w tym samym miesiącu. W 1978 roku Herschel (wtedy Henryk) Zwi Zimmermann został ambasadorem Izraela w Nowej Zelandii.

SS-Oberscharführer Franz Joseph Muller, który później usiłował wykreować się na „przyjaciela narodu żydowskiego” i winą za mordy dokonane na żydowskich więźniach obarczył Amona Götha, w rzeczywistości był chętnym pomocnikiem komendanta obozu w Płaszowie. W pobliżu obozu satelity, Julagu III, w krakowskim Bieżanowie firma Klucł wzniosła trzy baraki, w których zamieszkali zatrudniani przez tę firmę nielegalni pracownicy żydowscy. Pewnego wieczoru w jednym z nich wybuchł pożar. Gdy na miejsce przybyli Amon Göth, Julian Scher-ner i Franz Joseph Muller, pożar tak bardzo się rozprzestrzenił, iż

ukrywający się tu Żydzi usiłowali ratować się ucieczką. Göth i jego ludzie otworzyli do uciekających ogień ze swoich pistoletów maszynowych. Tymczasem strażnicy Mullera zdołali pojmać trzydzieści pięć kobiet. Wtedy Göth wydał Mullerowi rozkaz, by ten zabił także te kobiety. Nieszczęśliwie przewieziono do Julagu I, gdzie zmuszono je, by się rozebrały do naga. Następnie zostały rozstrzelane. Jak zeznali później świadkowie, Muller miał wtedy własnoręcznie zabić czternaście kobiet. Pozostałe dwadzieścia jeden zostało zabite przez jego strażników.

Stracenie Haubenstocka i Krautwirtha

Na wieczór 3 sierpnia 1943 roku Göth zaplanował nowy pokaz okrucieństwa. Wszyscy więźniowie zostali wezwani na apel, nikogo nie mogło wszakże zabraknąć na tym przedstawieniu. Göth i jego ludzie zapowiedzieli stracenie szesnastoletniego Haubenstocka i inżyniera Krautwirtha. Jako „gościa honorowego” zaproszono głównego dowódcę SS i policji Juliana Scherнера, któremu miało przypaść w udziale odczytanie wyroku śmierci. Chłopca oskarżono o prowokowanie ukraińskich strażników. Haubenstock miał zaintonować w ich towarzystwie znaną rosyjską piosenkę. Tymczasem Krautwirthowi, który był zatrudniony w Neue Kiihler- und Flugzeugteilefabrik Kurt Hodermann, zarzucono, iż niedokładnie sporządził pewną listę.

W trakcie egzekucji wystąpiła „awaria”. Stryczek zaciśnięty wokół szyi chłopca zerwał się, sam zaś skazaniec jeszcze raz błagał o darowanie mu życia. Jednak Göth odtrącił go jednym kopniakiem i rozkazał jeszcze raz powiesić. Ale i za drugim podejściem sytuacja się powtórzyła, i tak walka chłopca ze śmiercią trwała dalej. Tymczasem Krautwirthowi udało się podciąć sobie żyły na nadgarstkach za pomocą żyłki. Mimo iż znajdował się w stanie agonii, komendant chciał za wszelką cenę widzieć go dyndającego na szubienicy. Jednakże również w wypadku Krautwirtha zawiódł stryczek - żydowskiemu inżynierowi nie było dane szybko umrzeć. Wtedy Göth stracił cierpliwość, dobył pistoletu i strzelił obu wiszącym na szubienicy ofiarom w głowy.

Ciała powieszonych jak zwykle miał zdjąć z szubienicy Herman Lad-ner. Chodziło o to, by stryczek mógł posłużyć w trakcie wykonywania następnych egzekucji, ponieważ jednak Göth strzelił do ofiar, stryczki były tak splamione krwią, że Ladner nie był w stanie ściągnąć ich ze zwłok straconych ofiar. Ostatecznie Göth pozwolił mu na odcięcie sznurów nożem.

Mord na blokowym

Sześćdziesięcioletni kupiec Kiwa Eisen pracował w magazynie u Juliusa Madritscha : przebywał w obozie od lutego 1943 roku. Gdy pewnego wieczoru wracał z pracy do swego baraku, barak ten został otoczony przez Ukraińców. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Wtedy też na miejscu pojawił się Göth wraz z kilkoma esesmanami, by przeprowadzić rewizję. Każdy mieszkaniec baraku musiał oddać swoje pieniądze i wartościowe przedmioty, które miały zostać zebrane do skrzyni. Następnie Ukraińcy przeszukali prycze i wnętrze baraku - jeden z nich

znalazł kilka srebrnych złotych ukrytych w piecu. Ukraińiec doniósł o swoim odkryciu Göthowi. Ten wykorzystał to zajście do zademonstrowania swej władzy nad życiem i śmiercią. Wydał blokowemu polecenie, by się dowiedział, kto ukrył w piecu pieniądze. Ponieważ nikt się nie przyznał, to właśnie blokowy musiał ponieść odpowiedzialność za swoich ludzi. Z początku

wydawało się, że dopisało mu szczęście, gdyż Göth chciał poprzestać na karze dwudziestu pięciu razów wymierzonych pejczem, rozkazując „winowajcy” opuścić spodnie. Jednakże później, gdy esesmani szykowali się do położenia ofiary na koźle, komendant uznał, że pierwotnie nałożona kara jest zbyt łagodna, a przez to nawet niestosowna. Wyciągnął z kabury pistolet, po czym wyprowadził blokowego na zewnątrz, przed drzwi. Żadne rozpaczliwe błaganie, żadne prośby o litość, żadne łzy nie zmieniły decyzji Götha. Komendant zastrzelił mężczyznę przed barakiem, po czym wszedł z powrotem do środka i uderzył każdego ze stojących w szeregu więźniów dwukrotnie w twarz.

Późnym wieczorem 18 sierpnia 1943 roku miała miejsce największa w historii obozu w Płaszowie próba ucieczki. Szesnastu ukraińskich strażników i najprawdopodobniej wielu żydowskich więźniów uciekło dwoma ciężarówkami należącymi do komendantury. Uciekinierzy mieli także posiadać broń i amunicję. W odwecie SS rozstrzelali dwustu więźniów, których zwłoki zostały następnie załadowane na trzy ciężarówki i wywiezione z obozu.

XV. Mycie rąk po "robocie"

W połowie sierpnia 1943 roku w biurze Wilhelma Koppego, w budynku Akademii Górniczo-Hutniczej przy alei Mickiewicza 30, odbyły się ważne konsultacje wysoko postawionych funkcjonariuszy SS. Urodzony w 1896 roku w Hildesheimie Koppe, w czasie pierwszej wojny światowej odznaczony Żelaznym Krzyżem I i II klasy, zastąpił Friedricha Wilhelma Krugera na stanowisku dowódcy Nad-okręgu SS „Wschód”. Spotkaniu przewodniczył Scherner, a tematem rozmów była kwestia „likwidacji” gett w Tarnowie i Bochni. Scherner wyznaczył Götha do przeprowadzenia „akcji” w Tarnowie - szczegóły związane z tą operacją miały zostać ustalone w trakcie kolejnych konsultacji, planowanych na koniec sierpnia. Przewidywano, iż dwustu mężczyzn i sto kobiet pozostanie w getcie jako osoby do sprzątnięcia po przeprowadzeniu „akcji”. Dwa tysiące pracowników zatrudnionych w zakładach tekstylnych Madritscha planowano przewieźć do Płaszowa, a kilkaset robotników do małego obozu w Trzebini, miejscowości położonej na zachód od Krakowa, aby wybudować tam nowe warsztaty SS. Pozostałe sześć tysięcy ludzi zamierzano wymordować w obozie Auschwitz-Birkenau.

Za likwidację getta w Bochni miał być odpowiedzialny szef sztabu Schernerera SS-*Obersturmbannführer* Haase, wspierany przez grupę funkcjonariuszy SD pod dowództwem szefa krakowskiego Gestapo Hermanna Heinricha.

W odległości około dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na wschód od Krakowa, nad rzeką Białą, leży stare miasto Tarnów. Pierwsze wzmianki o Tarnowie pochodzą z 1124 roku. W 1772 roku wskutek pierwszego rozbioru Polski miasto zostało zajęte przez oddziały austriackie. Pod rządami dynastii habsburskiej Tarnów urósł do rangi trzeciego co do wielkości, po Lwowie i Krakowie, miasta w kraju koronnym Galicji.

Także żydowska wspólnota w Tarnowie mogła się poszczycić długą i bogatą tradycją. Żydzi mieszkali tu już od XV wieku, mając swój wkład w rozwój miasta. W momencie wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku w Tarnowie mieszkało około dwudziestu pięciu tysięcy Żydów, co stanowiło nieco ponad połowę całej populacji miasta.

W marcu 1941 roku naziści, podobnie jak w wielu innych dużych miastach na terenie Generalnego Gubernatorstwa, utworzyli w Tarnowie getto. Latem 1941 roku na skutek przesiedleń ludności żydowskiej z okolicznych obszarów liczba mieszkańców tarnowskiego getta wzrosła do czterdziestu tysięcy, u czerwca 1942 roku miała miejsce pierwsza „akcja”. Urządzona wówczas krwawa masakra pochłonęła około siedmiu tysięcy ofiar, następne jedenaście i pół tysiąca osób załadowano do wagonów i wysłano do komór gazowych w Bełżcu. Jednym z najbardziej znaczących pracodawców zatrudniających pozostałych na terenie getta Żydów był Julius Madritsch, który utworzył tu filię swoich - strategicznie istotnych dla wojska - krakowskich zakładów tekstylnych. Pod pretekstem konieczności przyspieszenia wykonania pilnego zlecenia zbrojeniowego Madritschowi oraz jego współpracownikom Raimundowi Titschowi i doktorowi Adolfowi Lenhardtowi udało się uratować z dwóch „transportów” mających miejsce 25 i 26 marca 1943 roku dwieście trzydzieści dwoje mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy zamiast do Płaszowa trafili do Tarnowa. Ten znaczący sukces był możliwy tylko dlatego, że Göth okazywał swoim rodakom z Wiednia niespotykaną życzliwość. Podobnie jak Schindler w swej fabryce „Emalia”, także Madritsch dbał o swoich pracowników, zapewniając im dodatkowe przydziały żywności, odzieży i obuwia. Z pomocą doktora Michała Weicherta z Żydowskiego Ośrodka Wsparcia otoczył swoich pracowników opieką medyczną, a także zaopatrywał ich w niezbędne leki. Istotne wsparcie otrzymał Madritsch od Wehrmachtu, któremu udawało się przez pewien czas chronić swoje „interesy zbrojeniowe” przed ingerencjami SS.

Dla szefa SS i policji Juliana Schernerera oraz jego pomocnika Amona Götha kwestia „likwidacji” getta w Tarnowie była już jednak przesądzona. Göth, mając na względzie możliwość zdobycia bogatych łupów, obmyślił nawet perfidny plan, który umożliwiłby mu utrzymanie na dystans Madritscha. Zaprosił przedsiębiorcę wraz z Raimundem Titschem : września 1943 roku do swojej willi na kolację. Swą wizytę zapowiedział także SS-*Oberführer* Julian Scherner. Punktualnie o dwudziestej, dręczeni złymi przecuciami, Madritsch i Titsch przybyli do willi komendanta, który witając się z obydwoma gośćmi, potwierdził ich obawy.

Okazało się, iż „przesiedlenie” mieszkańców getta w Tarnowie miało zostać przeprowadzone jeszcze tej nocy, a Madritsch i Titsch zostali poproszeni przez komendanta o pozostanie na przyjęciu do rana.

Göth niebawem przeprosił gości i wraz ze swoimi ludźmi wyruszył w kierunku Tarnowa, a Madritsch i Titsch, choć zatroskani o los swoich pracowników, musieli dotrzymać towarzystwa Schernerowi i kilku innym oficerom SS. Dopiero o piątej nad ranem udało im się opuścić dom komendanta. Madritsch natychmiast udał się swoim samochodem do Tarnowa, gdzie tymczasem doktor Lenhardt robił wszystko, co w jego mocy, by uratować pracowników zakładu Madritscha. W czasie krótkiej rozmowy z Göthem Madritschowi udało się uzyskać gwarancję komendanta, iż „jego ludziom” nic się nie stanie. „Akcja” już się zaczęła.

O trzeciej nad ranem SS, SD i inne jednostki otoczyły kordonem getto w Tarnowie. Na największym placu w mieście, placu Magdeburskim [obecnie plac Ofiar Stalinizmu], zebrali się ludzie, którzy domyślali się, że ma się wydarzyć coś złego. Strach i niepewność wisiały w powietrzu.

O siódmej do żydowskiej dzielnicy zamkniętej przybył Göth. Kilku odważnych ludzi precyzyjnie się przez tłum do komendanta, by zapytać, co się dzieje. Ten wyjaśnił, że wszyscy zostaną przewiezieni do obozu w Płaszowie, dlatego wydaje się sensowne, by mieszkańcy getta wzięli ze sobą wszystkie wartościowe rzeczy i ubrania, które z pewnością przydadzą im się w obozie. Wydał także rozkaz, by wszyscy mieszkańcy Getta A, zamieszkanego przez pracujących Żydów, udali się do Getta B i tam ustawili się w grupach, zgodnie ze swoim przydziałem do pracy. Każda grupa robocza miała być oznakowana tablicą z napisem informującym o miejscu zatrudnienia, na przykład „Madritsch” czy „Ost-bahn”. Komendant zaczął się przechadzać z wyciągniętym pistoletem wzdłuż długich szeregów Żydów, wykrzykując rozkazy na cały plac. Jeśli ktoś poruszał się zbyt wolno, ginął natychmiast od strzału. Wśród ofiar śmiertelnych była żona Chaskiela Klappholza. W pierwszej kolejności zostało wybranych trzystu członków kolumny oczyszczającej, którym polecono, by się zebrali na terenie fabryki Singera. Miało tam miejsce pewne zajście. Narzeczona Żyda Dawida Batista, który został wybrany do grupy oczyszczającej, podeszła do Götha i poprosiła go o pozwolenie na to, żeby mogła zostać ze swoim narzeczonym. Komendant odrzucił prośbę, jednak młoda kobieta błagalnym tonem poprosiła go jeszcze raz. Göth kazał jej się odwrócić, a następnie strzelił jej w głowę. Kobieta -która nazywała się Zimmermann - zmarła na miejscu.

Następnie odbyła się „selekcja” - wybrano dwa tysiące osób, które miały zostać robotnikami przymusowymi w Płaszowie; zostały one natychmiast przewiezione na dworzec i „załadowane” do wagonów towarowych. Tymczasem skazani na śmierć pozostali na placu Magdeburskim. Dopiero po południu poprowadzono ich, uformowanych w grupy, na dworzec, gdzie także upchnięto do wagonów - na jeden wagon towarowy przypadało nawet stu sześćdziesięciu Żydów. Aby uniemożliwić „pasażerom” ucieczkę, zabito deskami otwory wentylacyjne. Z tego też powodu wielu więźniów zmarło już w trakcie transportu do obozu zagłady w Oświęcimiu.

Tymczasem jeszcze raz przeprowadzano kontrolę wagonów, które miały pojechać do Płaszowa. Jednym z najbardziej gorliwych wykonawców tego zadania okazał się po raz kolejny Franz Grim - Małpa Götha. Gdy Grim usłyszał dochodzący z jednego z wagonów płacz dziecka, kazał jeszcze raz otworzyć drzwi, po czym osobiście wszedł do pociągu. Według świadka tego wydarzenia, pochodzącej z Tarnowa piętnastoletniej wówczas Erny Birnbaum, Małpa miał odepchnąć na bok ludzi stojących przy drzwiach i skierować się w stronę kobiety o nazwisku Muller, siedzącej na ziemi nieopodal wejścia. Obok kobiety, która stosunkowo późno dołączyła do swojej grupy, stał worek na pościel, w którym ukryła ona swoje płaczące półtoraroczne dziecko. Grim od razu zorientował się, co się dzieje. Wyciągnąwszy pistolet z kabury, zaczął bić jego rękojeścią w worek tak długo, aż płacz zupełnie ucichł. Po chwili lewą ręką wyciągnął dziecko z worka, a prawą przyłożył mu pistolet do głowy i zastrzelił je. Jego zwłoki wyrzucił przez drzwi na peron. Matka na widok dokonywanego na jej oczach brutalnego mordy straciła przytomność. Jak wynika z relacji Erny Birnbaum, kobieta zginęła w Płaszowie.

Poszukiwania esesmanów zakończyły się sukcesem. Zatrzymano około pięćdziesięciu kobiet

i mężczyzn. W plecakach pojmanyh Żydów znaleziono małe dzieci, które rodzice chcieli przeschmuglować z getta. Wraz z nimi nieszczęśnicy zostali załadowani do jednej z ciężarówek i odwiezieni na plac Magdeburgski. Pracujący jako metalowiec Leon Leser z okna baraku, w którym stłoczono Żydów przeznaczonych do transportu do Płaszowa, obserwował mord dokonany na tych ludziach. Göth kazał pewnemu małżeństwu pójść wraz z ich dwojgiem małych dzieci jedną z uliczek. Gdy żydowska rodzina wykonała polecenie komendanta, ten zastrzelił wszystkich jej członków. Następnie kazano czterem następnym osobom ustawić się przy zwłokach właśnie rozstrzelanych ludzi. Göth znowu otworzył ogień ze swojego pistoletu automatycznego. Po chwili przyszła kolej na następną czwórkę. Leon Leser zauważył, że komendant zaczął się pocić. Zdjął czapkę i otarł pot z czoła. Nie wszystkie trafione przez niego osoby umarły od razu. Niektórzy podnosili ręce, ruszali się.

Tej zbrodniczej „akcji” przyglądała się także trzydziestoletnia Żydówka Erna Landau, która ostrzeżona przez pewnego odemana, ukrywała się na poddaszu jednego z budynków przy placu Magdeburgskim. Ze swojej kryjówki widziała, jak pewien mniej więcej sześciolatek chłopiec zaczął błagać Götha o litość. Ten zawołał w jego stronę: „Chodź, chodź! Nie bój się!”. Chłopcu udało się jeszcze wyciągnąć z torby lusterko i kilka innych drobnych rzeczy, które Göth, z uśmiechem na twarzy, odebrał mu lewą ręką, by po kilku sekundach zastrzelić go prawą. Erna Landau doliczyła się w tym dniu dokładnie pięćdziesięciu czterech ofiar.

Göthowi przyniesiono miskę z wodą, by komendant mógł sobie w niej umyć ręce. Jego „robotą” dobiegła końca. Ofiary dające jeszcze jakieś znaki życia zostały zamordowane przez funkcjonariuszy Gestapo, którym Göth ustąpił pierwszeństwa, chcąc im okazać respekt.

Na miejscu rozstrzelano również tych wszystkich Żydów, których udało się jeszcze znaleźć ukrywających się w swoich domach i innych kryjówkach. Erna Landau miała jednak dużę szczęścia. Pięć dni spędziła bez jedzenia, ukrywając się w dalszym ciągu na poddaszu. Później na nową kryjówkę obrała sobie komin. Dopiero po pewnym czasie odważyła się wyjść z ukrycia, wkrótce została przyjęta do kolumny oczyszczającej. Dopiero pod koniec stycznia 1944 roku została wraz z córką przewieziona do Płaszowa. 14 maja 1944 roku nazwisko jej córki znalazło się na liście tych dzieci, które miały w najbliższym czasie zostać odtransportowane do Oświęcimia.

W ciągu następnych dni rozebrano pod nadzorem SS maszyny pochodzące z zakładów Madritscha, które następnie przetransportowano do Płaszowa, podobnie jak wszystkie materiały z magazynów, a także półprodukty. Na drodze długich i żmudnych negocjacji Juliusowi Madritschowi udało się w końcu przeforsować swój plan - jako jedyny prywatny przedsiębiorca uzyskał wówczas zgodę na przeniesienie należących do niego warsztatów i baraków bezpośrednio na teren obozu pracy przymusowej. „Obowiązująca aż do końca wojny” umowa między nim a szefem SS i policji Julianem Schernerem została podpisana 14 września 1943 roku. Sam Madritsch podkreślał później w swoich skromnych wspomnieniach *Menschen in Not!* (Ludzie w potrzebie), że to właśnie Göth, wstawiając się za nim w czasie rozmów z Schernerem, miał umożliwić osiągnięcie tego „jedynego sukcesu”. Także przewidziane w umowie wynegocjowane przez Madritscha udogodnienia względem robotników przymusowych zasługują na chwilę uwagi. Nie tylko uznano obszar, na którym znajdowały się baraki pracowników zatrudnionych w zakładach Madritscha, za teren neutralny, lecz także przyznano przedsiębiorcy prawo do wypłacania im premii w postaci dodatkowego przydziału żywności. Madritsch mógł zatem przewozić względnie przemycać swoimi wozami na teren obozu dodatkową żywność: tygodniowo około sześciu tysięcy bochenków chleba, marmoladę, a nawet papierosy i inne pożądane towary. Oczywiście wspaniałomyślność SS należało odpowiednio wynagrodzić. Miesięcznie Madritsch musiał wykładać na ten cel sumę około trzystu pięćdziesięciu tysięcy złotych. Do tego dochodziły jeszcze „gratyfikacje” dla Götha i wielu innych oficerów SS. Trzeba było także przekupywać szefa Żydowskiej Służby Porządkowej Chilowicza, który był prawdziwym „mistrzem w wyłudzeniu niekończących się nadzwyczajnych dotacji”. Dodatkowe wydatki związane z „nadwyżkowym” zaopatrywaniem pracowników w żywność, wynoszące około dwustu pięćdziesięciu tysięcy złotych miesięcznie, Madritsch, podobnie zresztą jak Oskar Schindler, starał się wyrównać przychodami uzyskiwanymi ze sprzedaży „zaoszczędzonych”

towarów na czarnym rynku.

Po „likwidacji” żydowskich gett w Tarnowie i Bochni przyszła kolej na ostatnie obozy żydowskie znajdujące się w Rzeszowie i Przemyślu. Według Jakuba Stendiga, także w ich wypadku Göth miał osobiście brać aktywny udział w przeprowadzaniu „akcji” jako „organizator”.

XVI. Krwawa jesień

Lato dobiegało już końca. Mony i Irene mogli się wreszcie przenieść z pełnego hałasu ciasnego Czerwonego Domu do urządzanej specjalnie dla komendanta i jego towarzyszki willi. Ich nowy dom, zamieszkiwany uprzednio przez dwie rodziny żydowskie, znajdował się przy SS-Stralße, która dalej przez wzgórze prowadziła do szwalni i zakładów tekstylnych Madritscha. Tutaj, na górze, było o wiele spokojniej i przytulniej niż w pobliżu głównej bramy wjazdowej do obozu. Poza tym więźniowie zatrudnieni przy przebudowie willi nie szczydziли trudu, by urządzić nową „rezydencję” zgodnie z gustem Götha i Kalder. Powstał nawet osobny pokój dla psów. Wejście do willi wybrukowano jasnym marmurem pozyskanym w trakcie „rozbiórki” starego cmentarza żydowskiego. Z balkonu, wychodzącego na południe, para mieszkańców rezydencji mogła się nacieszyć ostatnimi ciepłymi dniami lata. Oczywiście służba przeniosła się wraz z państwem do nowego domu. Pracowali tu między innymi Lena i Susanna, a także Naftali Derschowitz, „ordy-nans” szefa, który dostał nawet własny pokój. Obie dziewczyny musiały się natomiast zadowolić ciasnym pomieszczeniem w piwnicy. Mimo to w ich pokoju stały dwa łóżka, miały też do dyspozycji małą łazienkę.

Mony wykorzystał przeprowadzkę, by przewieźć kilka „rzeczy”, które „uzbierały się” w ciągu pierwszej połowy roku w Płaszowie, na przeznaczone dla nich miejsce. Wysłał Franza, którego darzył bezgranicznym zaufaniem, z dwoma walizkami wypełnionymi biżuterią i innymi wartościowymi przedmiotami do swojej rodziny w Wiedniu. W kasie pancerniej zrobiło się miejsce na nowe kosztowności.

Kilka dni po przeprowadzce do willi Naftali Derschowitz, w dalszym ciągu korzystający z prawa do swobodnego poruszania się po obozie, był świadkiem, jak Gestapo przeprowadziło na Hujowej Górze egzekucję na nowożeńcach i ich orszaku weselnym. Panna młoda wciąż była ubrana w białą suknię, w ręce trzymała bukiet kwiatów. Muzycy zostali przyprowadzeni na miejsce egzekucji z instrumentami. Księża byli ubrani w sutanny. Ofiary, łącznie pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób, zapędzono do grobu. Następnie esesmani otwarli do nich ogień. Mordowi na polskich chrześcijanach przyglądał się także dwudziestoczteroletni mechanik precyzyjny, pochodzący z Kruszwicy Chaim Pieterkowski, który odpowiadał za stan urządzeń technicznych w chłodni. Mężczyzna dowiedział się kilka dni później od esesmana Wilhelmięgo, który ciężko przeżywał wykonaną na Polakach egzekucję, co spowodowało tę krwawą masakrę. Kilku członków krakowskiego Gestapo miało zostać przeniesionych na front, gdyż w ich okręgu panował względny spokój, a sami funkcjonariusze nie mieli zbyt wiele do roboty. Aby udowodnić, że jest dokładnie na odwrót, a tym samym oddalić od siebie niebezpieczeństwo przeniesienia na front, gestapowcy wpadli na chory pomysł, by w jakiejś podkrakowskiej wsi zaarrestować parę młodą wraz z gośćmi weselnymi, a następnie, pod pretekstem wykrycia zakonspirowanej grupy partyzantów, przewieźć pojmanych ludzi do Płaszowa i rozstrzelać.

„Sprzątnąć!”

Był rok 1943. Słoneczny jesienny dzień miał się już ku wieczorowi. Do Płaszowa przybyło komando „Bonarka”. Grupa licząca około pięćdziesięciu więźniów, zatrudnionych w cegielni Bonarka, ustawiła się przed główną bramą obozu. Właściciel przedsiębiorstwa Bonarka - niejaki Ingber - został zastrzelony przez Götha. Za pretekst posłużył komendantowi fakt, iż Ingberowi nie udało się na czas dostarczyć żądanej przez niego liczby robotników.

Grupa pracowników cegielni została zatrzymana przez jeden z wydziałów policji bezpieczeństwa. Zarządzono przeszukanie wszystkich członków komanda. Przy rewizji byli obecni także Zdrojewski, Hujar, Grim i Gross, gorliwi kompani Götha. „Pucybut” komendanta - osiemnastoletni Naftali Derschowitz - przyglądał się temu wydarzeniu z niewielkiej odległości.

W pierwszym odruchu paniki spowodowanej zarządzoną rewizją kilku więźniów wyrzuciło niesiony ze sobą chleb. Reakcja ta ściągnęła na całą grupę śmiertelne niebezpieczeństwo. Na

postawione zatrzymanym pytanie, kto wyrzucił chleb, nikt nie udzielił odpowiedzi. W zaistniałej sytuacji Zdrojewski kazał wezwać „szefa”. Po przybyciu na miejsce Göth jeszcze raz zadał to samo pytanie, jednakże również on nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Robotnicy stali w milczeniu, czekając na spełnienie się ich losu. Göth skinął tylko na swoich ludzi, wydając komendę: „Sprzątnąć!”.

Więźniowie zostali zaprowadzeni przez ukraińskich strażników na Hujową Górę. Tymczasem Zdrojewski i Grim poszli po swoje pistolety maszynowe. Następnie ruszyli śladem skazanych na śmierć nieszczęśników, wśród których był także brat Estery Schwimmer.

Gdy więźniom kazano się rozebrać do naga, miał miejsce pewien incydent. Jeden z więźniów - instalator o nazwisku Fischer - próbował ucieczki. Pewien ukraiński strażnik udał się w pościg za zbiegiem. Po chwili dogonił Fischera - nie strzelał, lecz przebił ciało swojej ofiary bagnietem.

Wtedy pozostali więźniowie zostali zmuszeni do wejścia do wykopanego uprzednio dołu. Miały wówczas miejsce straszliwe sceny - wielu rozpaczliwie błagało o darowanie im życia. Ludzie Götha pozostali jednak niewzruszeni i otworzyli ogień w ich kierunku.

Gena usiłuje uratować swoją matkę

Pośród wielu młodych kobiet walczących w tym królestwie śmierci o przetrwanie znajdowały się także trzy siostry Goldfingerówny: Gena, najmłodsza z nich, urodzona w 1923 roku, oraz starsze od niej o rok Miriam i Hela. Przed wojną rodzice dziewcząt Samuel i Ester Goldfingerowie byli właścicielami małego zakładu tekstylnego w Krakowie, który przynosił wystarczające dochody, by rodzina mogła wieść dostatnie życie. Wraz z dziewięciorgiem dzieci, pięcioma chłopcami i czterema dziewczynkami, państwo Goldfingerowie zamieszkiwali wygodny pięciopokojowy apartament przy ulicy Sarego. W domu były parkiety, na ścianach wisiały kryształowe lustra, nie zabrakło i perskich dywanów. Dzieci uczęszczały na lekcje gry w tenisa oraz jazdy na łyżwach. W protestanckim gimnazjum uczyły się niemieckiego i francuskiego, poza tym otrzymywały także prywatne lekcje języka angielskiego. Pani domu Estera, Austriaczka mówiąca perfekcyjnie po niemiecku, prowadziła gospodarstwo domowe zgodnie z nakazami żydowskiej tradycji. Jednocześnie otwierała podwoje swego domu także dla licznych przyjaciół niemających żydowskiego pochodzenia. W święta Bożego Narodzenia zapraszała na obiad wpływowych urzędników krakowskiego magistratu. Burmistrz, szef policji i inni dygnitarze otrzymywali od niej prezenty. Gospodarz domu Samuel Goldfinger służył swego czasu jako oficer w armii cesarsko-królewskiej. Jego przedwczesna śmierć w 1932 roku, spowodowana chorobą płuc, jeszcze bardziej zacieśniła więzy emocjonalne rodzeństwa, zwłaszcza młodszego, z energiczną matką.

W momencie wybuchu wojny w apartamencie Goldfingerów mieszkało jeszcze sześć osób: matka Estera, cztery córki: Gena, Miriam, Hela i Sala, oraz najmłodszy syn Willek. Bracia Willka - Herman, Marcus, Soul i Janek - założyli już własne rodziny. Wkrótce po inwazji hitlerowskich Niemiec na Polskę kontakt z nimi się urwał. Najstarszy z synów -prowadzący w Tarnowie sklep jubilerski Herman - pierwszy padł ofiarą nazistów. Wraz z żoną i trojgiem dzieci został zastrzelony we własnym domu przez uzbrojonych w pistolety maszynowe esesmanów w trakcie jednej z obław.

Ponieważ jeden z kuzynów Estery Goldfingerowej - niejaki doktor Tworek - był poważanym w Chicago lekarzem, przez pewien czas rodzina rozważała możliwość ucieczki z Polski. Jednakże na to było już za późno. Przedsięwzięcie zostało zamknięte, maszyny do szycia zarekwirowane i wysłane do Rzeszy. W końcu rodzina Goldfingerów została zmuszona do oddania nazistom wszystkich posiadanych wartościowych rzeczy: kosztownych lnianych tkanin, dywanów, futer, abażurów, srebrnych lichtarzy i tac. Wszystkie te przedmioty zostały załadowane na ciężarówkę i przewiezione do głównej kwatery SS w krakowskim Rynku, przemianowanym przez okupantów na Adolf-Hitler--Platz. Później zmuszono rodzinę do

opuszczenia apartamentu. Wraz z pozostałym dobytkiem Goldfingerowie przenieśli się do osiedla mieszkaniowego w podkrakowskim Borku. Dzięki różnym pracom dorywczym i drobnym interesom prowadzonym na czarnym rynku rodzinie udawało się jakoś utrzymać przy życiu. Gena sprzedawała nielegalnie rowery, matka Estera szyła i robiła na drutach. Jesienią 1941 roku zostali przesiedleni do getta w Podgórzu. Wór kartofli i niewielka ilość mąki -to wszystko, co pozostało rodzinie jako pożywienie. Tymczasem Sala opuściła rodzinę, przyłączając się do innej grupy Żydów. Zamieszkała z czterema osobami w pokoju na parterze w pewnej kamienicy czynszowej. Wraz ze współlokatorami musiała dzielić kuchnię i łazienkę z dwoma innymi rodzinami. W jednym z kątów pokoju stał wprawdzie piec, jednakże brakowało węgla na opał i Sala musiała spać w ubraniach i płaszczu, by się ogrzać. W czasie surowej zimy na przełomie 1941 i 1942 roku nocą w mieszkaniu było czasami tak zimno, że pościel przymarzała do ściany.

Wkrótce nazistowscy terroryści dopadli kolejnych członków rodziny. Janek Goldfinger, który wstąpił do polskiej armii, został zabity w czasie próby ucieczki kanałami z getta. Chciał się przedostać do Francji, by dołączyć do żydowskiego ruchu oporu w tym kraju. Żona i mały syn Janka zostali posłani na śmierć już po pierwszej przeprowadzonej w getcie „selekcji”. Najmłodszy z braci Goldfingerów - Willek - który związał się z dziewczyną o imieniu Niusia został postrzelony przez jednego ze strażników, gdy pomagał „kobiecie” swojego przyjaciela przemeblować mieszkanie. Ranny Goldfinger zmarł w szpitalu na terenie getta, nikt z rodziny nie mógł się z nim pożegnać, gdy jego zwłoki przenoszono na cmentarz.

Pozostającym przy życiu członkom rodziny nieustannie towarzyszył strach, że pewnego dnia o poranku usłyszą pukanie do drzwi i że zostaną zmuszeni do opuszczenia mieszkania bez możliwości powrotu. Dziewczęta obawiały się przede wszystkim o los matki, która z powodu wieku wydawała się najbardziej narażona na niebezpieczeństwo. A jednak Estera Goldfingerowa miała szczęście. Udało jej się uniknąć deportacji z getta i wraz z pozostałymi przy życiu trzema córkami trafiła do obozu w Płaszowie.

Wszystkie cztery kobiety miały swoje prycze w baraku numer 10, spały w najniższym rzędzie. Najmłodsza z nich - Gena - znalazła miejsce między matką i Miriam, która spała po jej lewej stronie. Hela została przydzielona do brygady robotnic zatrudnionych przy kruszeniu żydowskich płyt nagrobnych na terenie obozu i z tego powodu była także świadkiem mordy dokonanej przez Götha na matce Zosi Ormianer. Gena wraz z matką pracowały przez kilka pierwszych miesięcy swojego pobytu w Płaszowie w szwalni w śródmieściu, szyjąc mundury dla niemieckich żołnierzy, co miało tę zaletę, że czasem udawało im się przynieść z miasta coś do jedzenia. Jednakże po jakimś czasie szwalnia została przeniesiona do obozu i nie było już możliwości zdobycia kawałka kiełbasy czy chleba dzięki wymianie przeprowadzanej pod koniec zmiany. Wtedy poza obozem pracowała jeszcze tylko Miriam. Jej „mąż” Henek, z którym za zgodą matki mieszkała od kilku dni w getcie, był architektem nadzorującym pracę grupy żydowskich robotników zatrudnionych przy wznoszeniu pewnego budynku. Grupa ta liczyła pięćdziesięciu pięciu mężczyzn, wśród których wielu było studentami medycyny lub poważanymi prawnikami. Miriam była sekretarką Heńka. Była też jedyną wśród nich kobietą. Na placu budowy Goldfingerówna mogła gotować i za każdym razem przynosiła matce oraz siostrze coś do jedzenia. Było jej bardzo przykro, ponieważ matka nie mogła już opuścić obozu. Starła się znaleźć dla niej odpowiednią pracę i wydawało się, że jej zabiegi przyniosą w końcu oczekiwany rezultat. Aby omówić kwestię zatrudnienia matki, uzgodniła spotkanie z siostrą Geną, które miało się odbyć wieczorem 14 września 1943 roku. O wpół do ósmej miała przekazać siostrze informacje dotyczące pracy dla matki.

Gena pracowała tego dnia na nocną zmianę, dlatego z niecierpliwością czekała na siostrę. Stała przy oknie baraku, patrząc w kierunku, z którego miała nadejść Miriam. Nad obozem zapadał właśnie zmierzch. Nagle Gena usłyszała odgłosy strzałów dochodzące od strony Hujowej Górki. Nie było to nic nadzwyczajnego, a mimo to ogarnęło ją jakieś dziwne przeczucie. Po kilku minutach opuściła swoje stanowisko przy oknie, by po chwili znów na nie powrócić. Znowu rozległ się huk strzałów. Zapadła cisza. Gena w dalszym ciągu czekała na siostrę, jednak Miriam nie przychodziła. Powoli zaczęły się schodzić kobiety, które miały tego dnia pracować z Geną na nocną zmianę. Po ich twarzach można było poznać, że są czymś poruszone. Łączyły się w grupki, żywo rozmawiały, rzucając w stronę Geny spojrzenia pełne współczucia. W Genie narastał paraliżujący strach, że musiało się stać coś okropnego i że wydarzenie to ma jakiś związek z jej osobą.

Jedna ze stojących obok kobiet, łapiąc się za serce, opowiedziała wreszcie Genie, czego

dowiedziała się od pewnego kapo. Rozstrzelano grupę robotników, do której należeli także Miriam i Henek. Göth kazał przeszukać nieszczęśników u bramy głównej obozu. W czasie rewizji znaleziono przy nich różne artykuły spożywcze. Komendant bez chwili wahania wydał rozkaz, by rozstrzelać całą grupę. Robotnicy zostali zaprowadzeni na Hujową Górkę, gdzie kazano im się rozebrać do naga. Następnie własnoręcznie musieli wykopać swój grób. Miriam poprosiła jeszcze o zgodę na pożegnanie się z „mężem”. Zginęli, mocno się obejmując. Ich ciała, trafione przez śmiertelne kule, razem wpadły do grobu.

Gena załamała się, dużo płakała. Jedna z jej koleżanek musiała pójść za nią do pracy na nocną zmianę. Tragiczna wiadomość dotarła także do matki i Heli. Obie kobiety, pocieszając się wzajemnie, usiłowały pokonać swój ból. Następnego dnia, zgodnie z rytuałami śmierci, jakie Göth narzucił więźniom, Esterę Goldfinger i jej obie córki przydzielono do pracy na Hujowej Górce. Ich zadanie polegało na noszeniu drewna, które posłużyło do rozpalenia ognia, w którym spalono zwłoki Miriam i Heńka. Jak zwykle chodziło o to, by nie pozostawić żadnego śladu po dokonanej zbrodni.

Nawet na opłakiwanie pomordowanych krewnych nie było ani chwili. Po południu 15 września do baraków, w których mieszkały kobiety, przyszła grupa kapo ze starszym obozu Wilkiem Chilowiczem na czele. Mężczyźni mieli znaleźć wszystkie starsze mieszkanki baraków. Z baraku numer 10 wyszli z Esterą Goldfinger, która wraz z innymi starszymi więźniarkami została zaprowadzona do szopy, gdzie miała się odbyć „selekcja”. Zrozpaczona Gena wykrzyczała w stronę kapo: „Jeszcze wam nie dość?! Wczoraj zastrzelono moją siostrę i jej męża, a dziś chcecie mi jeszcze odebrać matkę?! Zlitujcie się!”. Mężczyźni, milcząc, poszli dalej. Przysłano ich tu, aby znaleźli ofiary, nie chcieli ściągnąć na siebie kłopotów.

Przypadek pozwolił jednak Genie uwierzyć, że jeszcze nie wszystko jest stracone. Przez okno baraku kobieta zobaczyła wracającego ze szpitala doktora Grossa, który szedł w kierunku szopy. Gena podbiegła do niego i zaczęła go żarliwie prosić, żeby wstawił się u esesmanów za jej matką. Ostatecznie Estera była zdrowa i nadawała się do pracy. Doktor Gross obiecał kobiecie, że spróbuje jej pomóc, dał jednak do zrozumienia, iż szanse na uratowanie matki są niewielkie. Gena nie wiedziała jednak, iż jej rozmówca, żydowski lekarz obozowy, miał odegrać kluczową rolę w zaplanowanej przez komendanta nowej zbrodniczej akcji. Ponieważ Göth osobiście zlecił doktorowi Grossowi sporządzenie listy chorych i niezdolnych do pracy więźniarek, to właśnie żydowski lekarz miał w najbliższym czasie zdecydować o życiu i śmierci spędzonych do szopy kobiet.

Tymczasem w obstawionej kordonem SS szopie przeznaczonej na miejsce „selekcji” tłoczyły się dziesiątki mężczyzn i kobiet w średnim wieku lub starszych. Wiele z nich płakało, już dawno pojęli, że czeka ich śmierć przez rozstrzelanie. W ostatnich chwilach przed „selekcją” przekazywali jeszcze kapo prezenty pożegnalne i pamiątki dla swoich bliskich: zegarek lub banknoty, które udało się jeszcze do tej pory przechować w kryjówe. Osaczona ze wszystkich stron tłoczącym się tłumem, Estera instynktownie zrobiła to, co okazało się bardzo dobrym posunięciem. Przeniosła się przez tłum aż do drzwi, gdzie urzędował doktor Gross. Krzyknęła do lekarza: „Nazywam się Estera Goldfinger. Proszę mnie wypuścić!”. Ten nie zwlekał ani chwili z odpowiedzią. „Wracaj do swojego baraku!” - powiedział do Estery. I tak pani Goldfinger, wraz z którą szopę mogło opuścić jeszcze kilka innych kobiet, powróciła do swoich córek. Te, witając ją, nie posiadały się ze szczęścia. Straciły już wiarę w jej powrót. Po niedługim czasie słychać było dochodzące od strony Hujowej Górki odgłosy strzałów. Dwadzieścioro ośmioro mężczyzn i kobiet znalazło się na liście sporządzonej przez doktora Grossa -wszyscy zostali rozstrzelani.

Od tamtej pory masowe egzekucje stały się częścią obozowej codzienności. Zaledwie kilka dni później, 17 września 1943 roku, z komanda budowlanego zbiegł jeden z więźniów. Zaraz po ucieczce robotnika Göth powziął decyzję o rozstrzelaniu całej grupy zatrudnionej przy budowie baraków, to jest łącznie trzydziestu pięciu osób.

Ponieważ jednak brygada ta składała się z wydajnych pracowników i miała w obozie dobrą opinię, komendant rozmyślił się. „W obozie jest wystarczająco dużo starych przyków, żeby można było pozwolić tym pozostać przy życiu!” - stwierdził cynicznie. Później zarządził dla całego obozu apel odliczeniowy, który miał się odbyć następnego dnia o poranku. „Wyselekcjonowanych” zostało sześćdziesięciu starszych więźniów, których natychmiast poprowadzono na Hujową Górkę, by ich rozstrzelać. Miejsce po lewej stronie na przycy Geny pozostało puste. Od tego momentu, jak napisała później w swoich wspomnieniach, miała ona wrażenie, że jej lewa ręka jest ciągle zimna i martwa, tak jakby oderwano jej w tamtym miejscu kawałek ciała.

Sądny Dzień

Na cztery dni przed świętem Jom Kippur, 4 października 1943 roku, pewnej rudowłosej, nawróconej na katolicyzm Żydówce o nazwisku Dobrańska, która wyszła za mąż za Polaka katolika, udało się uciec z obozu. Dzięki pomocy męża mogła przekupić jednego z ukraińskich strażników, który wypuścił ją pod osłoną nocy z obozu. Przyjaciele Dobrańskiej pomogli jej przedostać się do kryjówki znajdującej się w okolicach Krakowa. Gestapo, podejrzewając, że za ucieczką kobiety stał jej mąż, aresztowało go i poddało torturom, nie mogło go jednak zmusić do mówienia. Dobrańskiej udało się przeżyć wojnę w ukryciu, jednakże cena, jaką musieli za to zapłacić jej współwięźniowie, była wysoka. Gdy tylko jej ucieczka wyszła na jaw, Göth w ramach „akcji odwetowej” kazał rozstrzelać stu mężczyzn. Tymczasem w ciągu dwóch następnych dni w obozie nie wydarzyło się nic, co wskazywałoby, iż komendant zamierza spełnić swoją groźbę. W sercach więźniów zaczęła nawet kiełkować nadzieja, że Göth odstąpi od wykonania wyroku. Były to, jak się okazało, tylko pobożne życzenia. Jeśli nawet Göth chwilowo wstrzymał się z realizacją swojej zapowiedzi, uczynił to tylko po to, by wyrzucić poprzez specjalną inscenizację aktu mordy jeszcze większe wrażenie.

Uważał, że najbardziej odpowiednim terminem spełnienia jego groźby będzie 8 października 1943 roku, a więc dzień, w którym przypadało żydowskie święto pojednania Jom Kippur [zwane też Sądny Dzień]. W ten najbardziej uroczysty dzień świąteczny komendant kazał, w ramach odwetu za ucieczkę rudowłosej Dobrańskiej, wybrać pięćdziesięciu mężczyzn, którzy mieli zostać rozstrzelani - przede wszystkim chodziło mu o fizyczną eliminację więźniów chorych i słabych. Miał to być jego „prezent świąteczny”, Sądny Dzień. Skazani na śmierć Żydzi modlili się rzekomo w swoich barakach. To posłużyło jako uzasadnienie wyroku śmierci.

Ofiary eskortowało w drodze na Hujową Górkę czterdziestu uzbrojonych Ukraińców. Na czele grupy podążającej na miejsce kaźni szedł esesman Willi Staubl, który w prawej ręce trzymał pejcz, a w lewej pistolet maszynowy. Od czasu do czasu pozwalał się więźniom wyprzedzić, by wychłostać tych, którzy teraz szli przed nim i którzy nie mogli dotrzymać kroku swym towarzyszom niedoli kroczącym w kolumnie. Gdy już dotarli na Hujową Górkę wypadki potoczyły się bardzo szybko. Więźniowie musieli się rozebrać do naga, a następnie położyć na ziemi w wykopanym dole. Wtedy też Willi zaczął strzelać.

Obserwujący z miejsca swej pracy sznur nieszczęśników idących na śmierć, Leon Bach usłyszał, jak jeden ze skazańców, z wyglądu przypominający rabina, skomentował w języku jidysz to, co właśnie miało miejsce. Leon Bach przetłumaczył ten komentarz na własne potrzeby następująco: „Willi, komendant i esesmani to najgorsze męty i śmieci, jakie kiedykolwiek wydała ziemia”.

Wśród więźniów wybranych do rozstrzelania był siedemnastoletni Abraham Zuckerman, syn kapelusznika z Krakowa i przyjaciel Mońka Pantirera, z którym uczęszczał do chederu i studiował Talmud. Pracując w kuchni obozowej w Płaszowie, Moniek troszczył się o to, by Abraham, nazywany Abe, który wykonywał ciężką pracę fizyczną w składzie węgla otrzymywał co jakiś czas nieco więcej zupy. Według relacji samego Abrahama Zuckermana, pochodzącej ze spisanych przez niego później wspomnień, nie bał się śmierci, „niewiele na ten temat rozmyślał”. Miał jednak szczęście. Gdy

czekał już dłuższą chwilę wraz z innymi skazańcami na pluton egzekucyjny, nagle na miejscu pojawił się Chilowicz. Zaczął krzycząc, wymyślać więźniom z powodu ucieczki kobiety. Miała to być dla nich „lekcja”. Jednak mężczyźni szybko się zorientowali, że Chilowicz jedynie odgrywa rolę, by udobruchać nazistowskich morderców. W końcu szef odemianów kazał im wracać do pracy, darując im tym samym życie.

Po tym jak Mesjasz nie objawił się we wrześniu 1942 roku, pewien mężczyzna nazwiskiem Rav Naftali z rozpaczy przestał się modlić. W świątecznym dniu Jom Kippur Naftali zbiegł z miejsca pracy swojej brygady, by ochronić znajdujący się na starym cmentarzu żydowskim na Kazimierzu nagrobek rabina Mojżesza Isserlesa (zmarłego w 1572 roku) i został zastrzelony w czasie pełnienia tej „misji”.

Po wydarzeniach, które miały miejsce w święto Jom Kippur, wielu żydowskich więźniów zaczęło się zastanawiać, skąd Göth czerpie swoją wiedzę na temat kalendarza żydowskiego. Spekulowano, że komendant musiał mieć do czynienia z Żydami już w Wiedniu. Inni twierdzili, iż znajomość świąt żydowskich mógł wynieść ze swych doświadczeń zebranych w 1942 roku. Göth nie zdołał jednak złamać oporu Żydów przy użyciu terroru. Wokół młodego opiekuna psów Götha Adama Sztaba uformowała się w październiku grupa złożona z więźniów działających w podziemiu. Aby podkreślić ciągłość tradycji ruchu oporu, grupa przybrała nazwę Żydowska Organizacja Bojowa - ŻOB. Nawiązano kontakt z tymi, którzy pełnili jakieś istotniejsze funkcje w obozie lub cieszyli się względną swobodą poruszania się po Płaszowie. Prawie natychmiast udało się pozyskać pięciu kapo: kapo łaźni Moshe Hechta, kapo zakładów metalowych Victora Traubmana, kapo cieślów Moshe Sternlichta, kapo elektryków Wilka Machaufa, a także niejakiego Langerera, kapo nadzorującego pracę w magazynach koców. Przywódcami nowego ŻOB-u zostali Adam Sztab, Victor Traubman i David Herz. Utworzono trzy „jednostki bojowe”, dowodzone przez Moshe Sternlichta, Weinreba i Immerglucka. Dzięki znajomości z Adamem Sztabem także Susanna -

Helen Sternlicht, pokojówka komendanta, utrzymywała dość bliskie stosunki z ludźmi działającymi w żydowskim podziemiu. Szczególne znaczenie dla organizacji miał Samuel Kepler, który uczył Götha jazdy konnej. Kepler, jako ulubieniec komendanta, cieszył się licznymi przywilejami, a nawet mógł czasami wychodzić poza teren obozu. Z kolei w osobie Józefa Fuglewicza, który pracował jako „służący” urodzonego w 1898 roku w Nadrenii SS-*Untersturmführera* Antona Scheidta, grupa zyskała człowieka obracającego się w kręgu kierownictwa SS i mającego przez to dostęp do ważnych informacji. Także sam Adam Sztab wydawał się niezastąpionym i wyjątkowo cennym członkiem ŻOB-u -pracował nie tylko dla Amona Götha, lecz także dla SS-*Untersturmführera* Rabela.

XVII. Wspaniały wyczyn Pempere

Raz w tygodniu kierownicy poszczególnych zakładów i warsztatów byli zobowiązani złożyć odpowiedni raport w baraku, w którym mieściło się biuro komendanta. Göth nie zorientował się jednakże, iż wszystkie takie cotygodniowe raporty, zanim znalazły się na jego biurku, były uważnie czytane przez jego stenografa Mietka Pempera. Ten okazjonalnie mógł czytać wyłożone w przedsionku czasopisma, takie jak: „Völkischer Beobachter”, „Krakauer Zeitung” czy „Das Reich”. Był także na bieżąco z wydarzeniami rozgrywającymi się na froncie wschodnim. Wiedział, iż Sowieci, po odniesieniu zwycięstwa w bitwie pod Stalingradem przeszli do skutecznej kontrofensywy i że to zaostrenie się sytuacji wojennej miało zgubne skutki dla ludności żydowskiej osadzonej w obozach pracy przymusowej znajdujących się na obszarze Warszawa -Lublin. Obozy, które zostały uznane za nieistotne z punktu widzenia gospodarki wojennej, a więc takie, w których nie produkowano „mogących przyspieszyć zwycięstwo Niemiec” towarów przeznaczonych na potrzeby armii walczącej na froncie, zostały już „zlikwidowane”. Osadzeni w nich żydowscy robotnicy przymusowi zostali rozstrzelani lub wywiezieni do obozów zagłady.

Aby uchronić więźniów obozu w Płaszowie przed podobnym losem, Mietek Pemper podjął niebezpieczną grę. Najpierw prosił usilnie Oskara Schindlera, w którego fabryce wytwarzano garnki i patelnie, by ten poszerzył zakres produkowanych wyrobów o elementy uzbrojenia. Właściciel „Emalii” posłuchał jego rady i przystąpił do produkowania części, z których montowano granaty. Gdy Schindler uzyskał rok później zezwolenie na przeniesienie produkcji do Briinnlitz, stało się to właśnie dzięki jej nowemu zbrojeniowemu profilowi. Tym samym udało się uratować kolejnych żydowskich pracowników, których nazwiska zostały umieszczone na osławionej liście.

Pemper był jednak zbyt wielkim realistą, by uwierzyć, iż produkcja elementów granatów w fabryce Schindlera uchroni obóz przed likwidacją. Dlatego też rozmawiał o ewentualnych niebezpieczeństwach z przyjaciółmi Itzhakiem i Natanem Sternami, przedstawiając im swój nowy plan. Według Pempera, trzeba było koniecznie przekształcić obóz pracy przymusowej w Płaszowie w obóz koncentracyjny, gdyż tylko takie obozy nazisci byli skłonni pod koniec wojny utrzymać. Cel ten można było osiągnąć jedynie przez odpowiednie „wyolbrzymienie” rozmiarów produkcji.

Przezorny stenograf Götha obmyślił także strategię, która miała go przybliżyć do osiągnięcia wytyczonego celu. Przystąpił do systematycznego zbierania od kierowników poszczególnych zakładów informacji na temat wydajności znajdujących się w nich maszyn oraz rodzaju wytwarzanych produktów. Wszystkie uzyskane w ten sposób dane porządkował następnie mozolnie nocami w długich tabelach produkcyjnych w formacie poprzecznym DIN-A4. Pemper zastosował pewien chwyt. Na końcu każdej linijki zamieścił skrót niemieckiego słowa *oder - od* (lub). Była to informacja, którą łatwo było przeoczyć w trakcie niezbyt ważnej lektury. Następnie Mietek Pemper przedstawił komendantowi sporządzone przez siebie tabele. Ten z początku był oburzony, ponieważ on także nie zwrócił uwagi na skrót *od*. Jak twierdził - tak wielkich ilości nie można wyprodukować w obozie. Wtedy stenograf zwrócił mu uwagę na to, iż ów skrót oznacza rozwiązania alternatywne. Dopiero po tym wyjaśnieniu Göthowi zaczęło świtać w głowie, co knuje jego żydowski pomocnik. „Göth siedział przez kilka minut w milczeniu, jednakże cały czas badawczo mi się przyglądał. Wydawało mi się, że czas stanął w miejscu. Nagle przyszła mi do głowy zatrważająca myśl. Albo wyciągnie zaraz pistolet, bo pomyśli: chcesz mnie wyprowadzić w pole, udając nadgorliwego pracownika. Możliwe też, że stwierdzi: Pemper wie o czymś, o czym właściwie wiedzieć nie może, a mianowicie, że przedstawione tabele są dokładnie tym, czego potrzebuję” - tak opisuje ten decydujący moment Mietek Pemper w swoich wspomnieniach. Göth nie strzelił. Wprawdzie pojął intencje swego stenografa, jednak mimo to schował tabele do kieszeni, a następnie zabrał je na rozmowę z wyższym dowódcą SS i policji „Wschód”. Udało mu się wtedy na ich podstawie udokumentować znaczenie obozu w Płaszowie dla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego.

Krakowscy kacykowie z SS byli pod wrażeniem szczegółowości danych. Zgodnie z przewidywaniami Pempera, na pierwszym posiedzeniu u Krugera, które odbyło się 3 września 1943 roku, przeoczono skrót od. Wkrótce tabele Pempera wraz z odpowiednimi protokołami posiedzeń powędrowały do Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS (WVHA) w Berlinie-Oranienburgu, do generała SS Oswalda Pohla. To właśnie w tym urzędzie 7 września 1943 roku odbywały się negocjacje dotyczące zamknięcia względnie pozostawienia obozów pracy przymusowej na terenie Generalnego Gubernatorstwa. W rozmowach poza Oswaldem Pohlem wzięli udział były szef Götha w Lublinie *SS-Gruppenfuhrer* Odilo Globocnik, *SS-Brigadefuhrer* Richard Glucks - inspektor obozów koncentracyjnych, jego zastępca Gerhard Maurer oraz *SS-Fuhrerzy* Lórner, Schellin, Florstedt i doktor Horn. Panowie szybko osiągnęli porozumienie w kwestii organizacji pracy niewolniczej w przyszłości. Obozy pracy „o kluczowym dla gospodarki wojennej znaczeniu, a także te, które mogły mieć wpływ na przyspieszenie ostatecznego zwycięstwa Niemiec”, zostały przejęte przez *Amtsgruppe D* (Grupę Urzędów D przy WVHA) jako obozy koncentracyjne. Do tej kategorii zakwalifikowane zostały obozy: przy starym lotnisku w Lublinie, Trawniki, Poniatowa, Radom, Budzyń, Niemieckie Zakłady Zbrojeniowe w Lublinie, obóz przy ulicy Janowskiej we Lwowie, a także Lager Krakau-Płaszów. Rozstrzygnięcia te oznaczały wielką szansę dla dwudziestu tysięcy płaszowskich więźniów - prawdopodobieństwo, że przeżyją Holokaust i wojnę, niepomniernie wzrosło. Pemper uratował także komendanta Götha, który w dalszym ciągu mógł pełnić swój urząd króla w Płaszowie.

Opatrzony datą 22 października 1943 roku oficjalne pismo Oswalda Pohla, w którym zarządzono przekształcenie Płaszowa w obóz koncentracyjny, nadeszło do biura komendanta dwa dni później. Göth był w wyśmienitym humorze. Upiorna wizja przydziału do czynnej walki na froncie po raz kolejny się oddaliła. Göth miał jeszcze jeden powód do radości. Tego samego dnia do obozu w Płaszowie przybył jego stary kolega Josef (Pepi) Neuschel, który został kierownikiem wszystkich zakładów i warsztatów znajdujących się na terenie lagru. Młodszy o rok od Götha Pepi „wiernie i bezwarunkowo służył ruchowi narodowo-socjalistycznemu w walce o osiągnięcie jego celu” - taką uwagę zamieścił Neuschel w swoim „życiorysie” sporządzonym 30 kwietnia 1938 roku na potrzeby nowo utworzonych w Wiedniu struktur partyjnych. Już jako jedenastoletni chłopiec Pepi uzyskał od ojca zgodę na wstąpienie do młodzieżówki narodowosocjalistycznej. Członkiem partii stał się we wrześniu 1930 roku (numer legitymacji partyjnej 300112), a w roku 1934 wstąpił do SS. Jego kariera w NSDAP wiodła go od Blockwarta w Leo-poldstadt, przez urząd „kierownika szkoleń ideologicznych” w Sturm-bann III/u aż do funkcji kierownika powiatowego urzędu badań nad pochodzeniem w X Powiecie NSDAP.

Aby unaocznić Pepiemu z Wiednia rozmiary swej władzy w Płaszowie, Göth zarządził przeprowadzenie inspekcji w biurach administracyjnych mieszczących się w baraku komendantury. Mimo intensywnych poszukiwań nie udało się znaleźć prawie niczego. Kilku żydowskich maszynistów, odpowiedzialnych za prowadzenie dokumentacji warsztatów naprawy, schowało w szufladach swoich biurków trochę kiełbasy, którą otrzymali od dobrotliwych niemieckich klientów. Znalaziono także zepsuty pistolet, oddany przez kogoś do naprawy i opatrzony odpowiednią fiską z numerem zlecenia. Jednak dla Götha te błahostki stanowiły wystarczający powód i doskonałą okazję zarazem, by dla przykładu krwawo ukarać winowajców. Kazał wyjść piętnastu więźniom z biur, w których znaleziono ukryte rzeczy. Dziesięć osób zostało przeznaczonych do rozstrzelania; wśród nich byli między innymi Emilia Balsam, Amalia Berlińska, doktor Streimer i doktor Bachner. Wykonanie egzekucji powierzono *Zugwachtmeistrowi* z Schutzpolizei Ferdinandowi Glaserowi. Mietek Pemper, który nie był obecny przy inspekcji, przeżywał dramatyczne chwile. Od zaprzyjaźnionego człowieka, z którym chodził w szkole podstawowej do jednej klasy, dowiedział się, iż wśród osób, które miały być rozstrzelane, znajduje się także dziewczyna owego przyjaciela. Aby uratować kobietę przed niechybną śmiercią, Mietek musiał natychmiast interweniować u Götha. I znów

stenograf komendanta wykazał się rozsądkiem i zmysłem dyplomatycznym. Pobiegł za grupą więźniów oraz Göthem i Neuschlem. Na początku napomknął komendantowi coś o napawających optymizmem rozmowach telefonicznych, jakie miał rzekomo przeprowadzić, by następnie przedstawić swoją „osobistą prośbę”. Zapewniał go, iż kobieta z wydziału rozliczeniowego obozowych warsztatów, *Werkstatt-Abrechnungen*, nie miała nic wspólnego ze znalezioną bronią. Ku wielkiemu zaskoczeniu Pempera Göth zareagował na prośbę łagodnie. Miał wówczas powiedzieć: „No więc dobrze, niech będzie. Proszę ją odprowadzić”. Zgodził się nawet, żeby jeden z towarzyszących mu esesmanów - zatrudniony od pewnego czasu w urzędzie komendanta niejaki Ruge - pobiegł do grupy Glasera i przyprowadził z powrotem kobietę. Glaser mógłby nie uwierzyć więźniowi Pemperowi, a nawet, być może, jego też by zastrzelił. Dziewięciu pozostałych nieszczęśników zostało straconych na Hujowej Górze. Kobieta, której Pemper uratował wówczas życie, przeżyła wojnę i wyemigrowała później do Izraela. Zmarła w 2004 roku.

2 listopada 1943 roku zastrzelono doktora Władysława Stenzla, jednego z lekarzy pracujących na terenie obozu. Jego wina polegała na tym, że był on podejrzany o ułatwianie osadzonemu w obozie Polakom nawiązywania kontaktu z ich rodzinami pozostającymi poza obozem.

XVIII. "Godzina miłości"

Rzecz miała miejsce po południu pewnego późnojesiennego dnia w 1943 roku, na przełomie października i listopada. W południowo--wschodniej części obozu, nieopodal Hujowej Górki, już w lecie przystąpiono do przesuwania ogrodzenia z drutu kolczastego nieco dalej na zewnątrz, poza teren lagru. Pozyskany w ten sposób areał przeszedł do historii Płaszowa pod nazwą Nowy Teren. Wzniesiono nowe wartownie, zdemontowane ze starych wież reflektory przeniesiono na nowe wieże. Tego popołudnia pochodzący z Wrocławia elektryk Natan Bernard pracował w starej wartowni, która wznosiła się między warsztatami elektryków i Hujową Górką na wysokość dwunastu metrów. Przy zdejmowaniu reflektorów pomagał mu piętnastoletni chłopiec o nazwisku Wnuczek. Pracę obu więźniów nadzorował strażnik z SS.

Nagle obaj mężczyźni zauważyli, że do Hujowej Górki zbliża się grupa pięćdziesięciorga młodych Żydów i Żydówek, eskortowana przez ukraińskich strażników. Za więźniami podążali esesmani, a wśród nich siepacze Götha: Zdrojewski, Hujar i Grim. Wszyscy nieśli w rękach karabiny i pistolety maszynowe. Na końcu szedł sam Göth. Mężczyźni pracujący na wieży wartowni, która znajdowała się w odległości zaledwie dziesięciu metrów od Hujowej Górki, w milczeniu przysłuchiwali się i przyglądali wszystkiemu.

Doszedłszy do rowu, ofiary musiały się rozebrać do naga, a swoje rzeczy ułożyć starannie na ziemi, po czym zapędzono ich do wykopanego dołu. Göthowi, który kazał sobie podać karabin, przyszedł do głowy szatański pomysł - dzisiaj chciał zapewnić sobie oraz swoim ludziom wymyślną „rozrywkę”. Zapowiedział trzęsącym się ze strachu i zimna więźniom, którzy znajdowali się w grobie naprzeciwko komendanta: „Kto urządzi sobie godzinę miłości, ten pozostanie przy życiu”. Więźniowie początkowo nie zrozumieli, co miał dokładnie na myśli, jednakże gesty wykonywane przez esesmanów nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do intencji Götha. Ten najwyraźniej starał się nakłonić swoje ofiary do odbycia stosunku płciowego. I rzeczywiście młodzi ludzie rzucali się na siebie wzajemnie, obejmowali i trzymali w kurczowym uścisku. Powodowały nimi rozpacz zmieszana z gasnącą już nadzieją, że uda im się przeżyć. Stojący w pobliżu mordercy uważnie śledzili ten spektakl przez kilka minut. Ponieważ jednak nie zamierzali pozwolić Żydom na zbyt dużo „przyjemności”, otworzyli ogień do wijących się, skłębionych ludzkich ciał, które znajdowały się u ich stóp. Strzelali wszyscy, także sam Göth.

Zaraz po tym jak rozległy się pierwsze strzały, obaj znajdujący się na wieży wartowni mężczyźni na rozkaz nadzorującego ich pracę strażnika zsunęli się na ziemię. Ten ostrzegł ich, szepcząc, iż jeśli zostaną zauważeni przez Götha i jego ludzi, niechybnie również zostaną rozstrzelani. Przez szerokie szpary między belkami platformy mogli jednak w dalszym ciągu obserwować masakrę. Na widok tych przerażających scen młody Wnuczek stracił przytomność.

Tymczasem krwawa rzeź dobiegała właśnie końca. Kto dawał jeszcze jakieś znaki życia, tego ludzie Götha dobijali strzałem z pistoletu. Następnie wezwano grabarzy. Jak zawsze po przeprowadzeniu takiej „akcji” siepacze Götha i on sam byli nienaturalnie pobudzeni. Komendant najprawdopodobniej znów zaprosił ich na wieczór do swojej willi, gdzie rozwodzący się na temat „bohaterskich czynów”, które stały się ich udziałem tego dnia, i upijano się wraz z „szefem” aż do utraty przytomności. Być może już wtedy pojawiały się różne pomysły, kogo można by jeszcze „sprzątnąć”.

Natan Bernard i jego pomocnik zostali niezauważeni i powrócili, nienagabywani przez nikogo, do swego baraku. Dopiero dwadzieścia lat po wojnie Bernard zrelacjonuje wydarzenia z tej popołudniowej masakry funkcjonariuszom izraelskiej policji.

Zeznania naocznych świadków pozwalają przypuszczać, iż ta „godzina miłości” nie była bynajmniej przypadkiem odosobnionym. O podobnej sytuacji doniósł także w swojej relacji pochodzący z Gliwic trzydziesto-sześćioletni Jakub Kornhauser. Podobnie jak Natan Bernard także Kornhauser przybył do Płaszowa wraz z transportem z obozu pracy w Kłaju 15 maja 1943 roku. Jakub był również elektrykiem i miał wszędzie dostęp. Widział na własne oczy, jak transport około trzydziestu młodych kobiet z więzienia przy ulicy Montelupich przybył na

Hujową Górkę. W tym czasie Kornhauser wraz ze swoim szwagrem i pomocnikiem przeciągał właśnie nowe przewody z jednej wartowni do drugiej, znajdując się w odległości około osiemdziesięciu metrów od punktu relacjonowanego zdarzenia. Na miejsce egzekucji kobiety prowadzili Zdrojewski, Hujar i *Zugwachtmeister* Schreiber. Ofiary musiały się rozebrać do naga. Wtedy też Hujarowi i Zdrojewskiemu przyszedł na myśl „żart” szczególnego rodzaju. Nagin kobietom kazali ułożyć się na ziemi i rozłożyć nogi. Na widok leżących z rozwartymi udami więźniarek kilku strażników i esesmanów straciło panowanie nad sobą. Rzucili się na kobiety, by je zgwałcić. Jakub Kornhauser i jego koledzy w wartowni, z obawy, że zostaną zauważeni, ukryli się. Napadnięte kobiety rozpaczliwie stawiały opór za każdym razem, gdy usiłowano zadać im gwałt. Wtedy kazano im biegać w kółko. Po chwili na miejscu pojawił się jednak Göth, któremu towarzyszyli John i jeszcze jeden oficer SS. Egzekucja mogła się rozpocząć. Kobiety zmuszono, by weszły na niewielkie wzniesienie i ułożyły się tam na brzuchu, jedna koło drugiej. Gdy wykonały rozkaz, mordercy wzięli je na celownik swoich automatycznych pistoletów.

Ostatni pocałunek

Kierownikiem brygady szewców pracujących dla ludzi SS w Płaszowie był SS-*Scharführer* Emil Hengenius, jasnowłosy, rostry esesman pochodzący z Wiednia-Floridsdorfu. Człowiek ten należał do tych „porządnych” esesmanów w płaszowskim obozie, którzy „po ludzku” traktowali więźniów. Szczególnie bliskie kontakty utrzymywał on z czterdziestodziewięcioletnim krakowskim Żydem Jakubem Bossakiem, którego wziął nawet pewnego razu ze sobą na Hujową Górkę, gdzie miała się odbyć egzekucja. Sam *Scharfuhrer*nie musiał wtedy brać czynnego udziału w morderstwie.

Gdy esesman i więzień przybyli na miejsce, nadjeżdżały właśnie trzy samochody. Z pojazdów wysiedli następnie skazańcy, wśród nich ubrany w sutannę ksiądz, mężczyzna w mundurze kolejarza i mniej więcej trzydziestoletnia kobieta, trzymająca na rękach swoje śliczne małe dziecko -mniej więcej dwuletniego syna. Ofiary zostały przyjęte przez kilku esesmanów, wśród których Jakub Bossak rozpoznał Małpę - Franza Griina oraz jasnowłosego Łotysza Arvida Janetza. Nagle do kobiety podszedł Franz Grim i powiedział: „Daj swemu dziecku ostatniego całusa!”.

Ogarnięta śmiertelnym strachem kobieta poczęła całować syna z rozpaczliwą żarliwością. Wtedy Grim wyrwał jej dziecko z rąk i chwyciwszy je za nogi, rozbił jego głowę o leżący w pobliżu dość duży kamień. Następnie wrzucił dziecko do dołu. Nie zaprzatając sobie głowy zastanawianiem się, czy dziecko jeszcze żyje, czy już jest martwe, Grim odwrócił się w stronę matki i zastrzelił ją.

Jakub Bossak, który na widok tego bestialstwa omal nie zemdleł, przypomniał sobie później dość mgliście o tym, że pozostali więźniowie musieli się rozebrać, a następnie ułożyć w dole. Janetz otworzył ogień do leżących ofiar z pistoletu maszynowego. Potem stał nad nagimi zwłokami, obgryzając sobie paznokcie. Bossak nie wiedział później, w jaki sposób on i Hengenius wrócili do warsztatu szewskiego. Szczególnie głęboko wyrył mu się w pamięci jedynie obraz Grima mordującego małego chłopca.

XIX. "Odkrycie kart" w Julagu I

Rządy terroru sprawowane przez Götha w Płaszowie sięgnęły zenitu pod koniec października 1943 roku. Poczł on w tamtym okresie, iż jego pozycja jest wystarczająco silna, by mógł wyeliminować z gry uciążliwą konkurencję z najbliższego otoczenia. Przygotowano plan likwidacji Julagów I-III. W *Briicke zur Freiheit* Franz Joseph Muller opisał decydujące spotkanie z Göthem 11 listopada 1943 roku.

Tego dnia jeden z odemantów doniósł Mullerowi, iż Göth oczekuje go w jego mieszkaniu. „Było mi ciężko na sercu. Musiałem najpierw zebrać się w sobie. Czego chce ten facet? Co zamierza zrobić? Przemogłem się i poszedłem do swojego baraku” - tak wspomina Franz Joseph Muller chwile poprzedzające jego spotkanie z Göthem. Ten czekał już na werandzie, przed wejściem do mieszkania. Przyniósł mu, najprawdopodobniej sfalszowany, tajny rozkaz. „Podszedłem do biurka, wyciągnąłem szkatułkę, otwarłem ją kluczem, a następnie wyjąłem z niej zapieczętowany list z hasłem. Zacząłem czytać:

»Najwyższy stan gotowości. Nadciągają oddziały wroga. Niezwłocznie przeprowadzić rejestrację Żydów osadzonych w obozie«.

Dalej już nie czytałem”.

Müller doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż ów rozkaz oznaczał likwidację jego obozów, i wcale nie ukrywał swego zdania na ten temat: „Ty łajdaku, wreszcie dopiąłeś swego!”.

Sytuacja zaostrzyła się dramatycznie. „Przepasałem się, założyłem swój stalowy hełm, zdjąłem swój pistolet maszynowy ze ściany. Wyszedłem i krzyknąłem: »Alarm!«.

Göth uśmiechnął się szyderczo i powiedział: »Możesz sobie krzyczeć do woli. Twoi strażnicy leżą nawaleni na pryczach«.

»Jeśli to są moi strażnicy, to podlegają panu!« [Od 1 września 1943 roku Göth był oficjalnie najwyższym szefem Julagów I-III - D.S.] Wywiązała się słowna przepychanka i Göth powiedział: »Najpierw jednak sprzątnie pan swoich Żydów!«.

»Zanim to zrobię, wyjdiesz stąd pierwszy albo będę strzelał!«.

Uniosłem pistolet, który zrzędzeniem losu wystrzelił, nieomal trafiając Götha.

Göth ukrył się w ciemności. Załamany podszedłem do swojego biurka”.

Mullerowi nie pozostało jednak zbyt dużo czasu na uzalanie się nad samym sobą. Wkrótce pojawiło się dwóch esesmanów: jeden w stopniu *Hauptsturmführera*, drugi *Untersturmführera*, którzy go aresztowali. Nie mógł odtąd opuszczać swojego pokoju. Jeszcze tego samego dnia udzielono mu urlopu. Kierownikiem obozu został pewien *SS-Oberscharführer*.

Trzy dni później, wieczorem 14 listopada, batalion ukraińskich strażników obstawił na rozkaz Götha Julag I. Następnego dnia o poranku więźniowie otrzymali polecenie stawienia się na apel. Wśród nich był także żydowski dentysta i niedoszły zamachowiec, który planował zabójstwo Götha, Józef Lieberman. Wszyscy osadzeni w obozie byli przygotowani na taki rozwój wydarzeń, już kilka dni wcześniej zapowiedziano im, iż komendant przybędzie do Julagu na „inspekcję”. Göth przyprowadził ze sobą całą swoją świtę - jego esesmani i strażnicy ukraińscy obstawili plac apelowy. Gdy komendant ogłosił rozwiązanie obozu, wśród zebranych na placu więźniów zapadła całkowita cisza. Göth zapowiedział przeniesienie więźniów likwidowanego Julagu I do obozu w Płaszowie. Następnie dał im dokładnie dziesięć minut na spakowanie rzeczy osobistych. W obozie zapanowała zbiorowa histeria. Wszyscy więźniowie pobiegli do swoich baraków. Każdy z nich starał się spakować wszystko, co wydawało się najważniejsze. Józef Lieberman miał jeszcze tylko jeden złoty ząb, który ukrył w butelce z cementem dentystycznym. Zanim pobiegł z powrotem na plac apelowy, udało mu się zabrać ze sobą kilka par kleszczy do rwania zębów, a także innych narzędzi oraz lekarstw. I rzeczywiście po upływie dokładnie dziesięciu minut wszyscy ponownie stawili się na placu apelowym. Wtedy też wydano rozkaz wymarszu do położonego w odległości pięciu minut pieszo Płaszowa. Niemalże natychmiast esesmani i strażnicy ukraińscy zaczęli bez opamiętania bić maszerujących więźniów. W tym samym czasie można było już usłyszeć pierwsze strzały.

Jeszcze na terenie Julagu I padły pierwsze ofiary śmiertelne, wielu więźniów zostało rannych.

Muller stał wówczas wraz ze swoją żoną Rosą przy oknie i musiał się biernie przyglądać, jak wyprowadzano „jego” żydowskich służących. W *Brucke zur Frdheit* pożegnanie z żydowską służbą zostało ustylizowane na ważny moment rozpoznania: „Wśród wyprowadzanych służących nie było takiego, kto by nie spojrział w kierunku okna, przy którym stałem wraz z żoną za zasłoną. Wielu płakało, a i mnie potoczyły się po twarzy wielkie łzy. Dopiero teraz poczułem, jak głęboko byłem związany z moimi Żydami, i jeszcze dzisiaj łączą mnie silne więzy emocjonalne z narodem Izraela”.

W tym samym dniu doszło do rozwiązania dwóch pozostałych Jula-gów - w Prokocimiu i Bieżanowie. Göth dał swoim ludziom zaangażowanym przy likwidacji żydowskich obozów wolną rękę. Brutalność i samowola siepaczy komendanta wszędzie zbierały krwawe żniwo.

Sam Göth oczekiwał maszerujących w kolumnach nowych płaszow-skich więźniów u wejścia do obozu, przy bramie głównej. Blisko trzy tysiące Żydów popędzono do „obozu przejściowego”, w którym znajdował się tak zwany barak kwarantanny, jednocześnie nowo przybyłym zabroniono nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z innymi więźniami spoza przydzielonego im arealu. Otoczeni kordonem ukraińskich strażników więźniowie początkowo nie dostawali niczego do jedzenia i picia, nie mogli nawet korzystać z latryn. Wszyscy byli przygnębieni, zdawali sobie bowiem sprawę z tego, iż transporty z obozu przejściowego mogą prowadzić jedynie do komór gazowych. Gdy zapadła zimna, mglista listopadowa noc, niektórzy próbowali zasnąć, kładąc się w miejscu, gdzie do tej pory stali. Ci, do których uśmiechnęło się wtedy szczęście, znaleźli miejsce na nocleg w baraku kwarantanny.

Następnego dnia o poranku, po dwudziestu czterech godzinach męczącego oczekiwania, nowo przybyli więźniowie dostali wreszcie kawę i kawałek chleba. Następnie zostali przydzieleni do pracy, która wydawała się pozbawiona jakiegokolwiek sensu. Pod nadzorem Ukraińców musieli przenosić deski, kamienie i części baraków z jednego końca obozu na drugi. Do pracy poganiali ich odemani, których zadaniem było niedopuszczenie do tego, aby ich podopieczni nawiązali rozmowę z innymi więźniami. Po upływie kilku dni miała miejsce wyczekiwana przez wszystkich ze strachem „selekcja”. W Płaszowie mogło pozostać około stu mężczyzn, przede wszystkim fachowców. Pozostali więźniowie zostali przydzieleni do transportu, miejsce ich przeznaczenia nie zostało jednak wyjawione. Skazanych na deportację znów ogarnął strach przed Auschwitz. Wśród stu osób, które mogły pozostać w obozie w Płaszowie, był również dentysta Józef Lieberman. Także w tym wypadku pomogła mu znajomość z Chilowiczem. Ponieważ jednak do transportu zostali przeznaczeni żona i teściowie Liebermana, żydowski dentysta świadomie zrezygnował z możliwości pozostania w Płaszowie i dobrowolnie zgłosił się do uczestnictwa w „dalszej podróży”.

Droga prowadząca do trzydziestu podstawionych już na torach w pobliżu obozu wagonów bydłowych, mimo iż krótka, była straszna. Göth nie zamierzał bowiem pozwolić „swoim” Żydom tak po prostu odejść. Pojawił się ze swoimi ludźmi przy bramie wyjazdowej z obozu, aby móc jeszcze przez chwilę podelektować się władzą nad więźniami. Wyciągnął z szeregów maszerujących nieszczęśników kilka osób, które zostały następnie przez niego rozstrzelane. Tymczasem pomocnicy komendanta bez litości bili innych więźniów. Józef Lieberman obawiał się o swoje życie, był bowiem przekonany, że Göth zapamiętał jego twarz. Udało mu się jednak niepostrzeżenie przemknąć obok komendanta. Po chwili przystąpiono do „ładowania” więźniów. Do każdego z wagonów upchnięto mniej więcej po sto osób, kobiety i mężczyzn umieszczano osobno. Drzwi zostały zamknięte za pomocą łańcuchów, na których następnie zawieszono ciężkie kłódki. Uzbrojeni w pistolety maszynowe esesmani zajęli miejsca na dachach wagonów. Lokomotywa ruszyła. Dla tysięcy ludzi rozpoczął się tym samym „transport” w nieznaną.

Więźniowie, zerkając na zewnątrz przez szpary w ścianach wagonów, usiłowali się zorientować, co jest celem ich „podróży”. Już wkrótce znaleźli się i tacy, którzy utrzymywali, że

„transport” znajduje się w drodze do Oświęcimia. Wśród stłoczonych w wagonach Żydów zaczęła się szerzyć rozpacz. Józef Lieberman i kilku jego towarzyszy zaczęli wyłamywać deski z podłogi. Ponieważ pociąg poruszał się z niewielką prędkością, wierzono w możliwość ucieczki. Już po kilku godzinach jazdy pobyt w bydłych wagonach stał się udręką nie do zniesienia. Brakowało jedzenia i picia, swoje potrzeby fizjologiczne więźniowie musieli załatwiać w miejscu, w którym stali, niektórym robiło się słabo lub po prostu mdleli. Raz po raz rozlegały się odgłosy strzałów z pistoletów maszynowych. Próby ucieczki okazały się bezowocne.

Po dwudziestu czterech godzinach „podróży” sytuacja ludzi upchniętych do wagonów była katastrofalna. Głód i pragnienie, brud i smród mieszały się z wszechogarniającym strachem i poczuciem beznadziejności położenia. I właśnie wtedy nadeszła wiadomość, która w okamgnieniu postawiła wszystkich na nogi. Pociąg wjechał właśnie na dworzec w Skarżysku-Kamiennej, co oznaczało, iż więźniowie są w drodze do miejscowego obozu.

O północy pociąg zatrzymał się. Esesmani zdjęli łańcuchy i kłódki, po czym drzwi się otworzyły, a Żydów wypędzono z wagonów, krzycząc na nich i bijąc ich bez litości. Po upływie około półgodziny więźniowie pomaszrowali przez las do obozu w Skarżysku-Kamiennej. Józef Lieberman i jego żona przeżyli...

Tego dnia, 15 listopada, do Skarżyska-Kamiennej nie trafili bynajmniej tylko więźniowie z Julagu I. Göth wysłał wówczas na północ także transport z płaszowskimi robotnikami wykwalifikowanymi. Czterdziestoletni żydowski rzeźnik pochodzący z Tarnowa, który pracował w obozie jako blacharz, był świadkiem „selekcji” przeprowadzonej w baraku metalowców. Jeden z esesmanów pojawił się tam, oznajmiając więźniom, iż część z nich zostanie przeniesiona do innego obozu pracy. Następnie zasiadł przy stole i wyczytał nazwiska tych wszystkich, którzy zostali przeznaczeni do transportu. Nagle do baraku wszedł Göth. Donośnym głosem obwieścił, iż wszyscy obecni w baraku więźniowie muszą pojechać w tym transporcie. Następnie kazał im ustawić się w dwóch szeregach pod dwiema ścianami baraku. Wtedy jeden z więźniów o nazwisku Pinkas Scheinfeld wystąpił z szeregu i powiedział komendantowi, że nie może jechać z innymi więźniami, gdyż w obozie przebywa jego żona, której nie chce zostawiać samej. W czasie gdy Scheinfeld przedkładał jeszcze Göthowi swoją prośbę, ten spokojnym ruchem, jakby chodziło o wykonanie rutynowej codziennej czynności, wyciągnął pistolet z kabury i strzelił do niego, nie uraczywszy go żadnym słowem. Scheinfeld runął na ziemię, ale dawał jeszcze znaki życia. Wtedy Gdth strzelił raz jeszcze, tym razem trafiając swoją ofiarę prosto w głowę. Gdy nieszczęśnik leżał już martwy, w kałuży krwi, u stóp komendanta, ten zwrócił się z ostrzeżeniem do innych więźniów - jeśli ktokolwiek waży się jeszcze powiedzieć choćby jedno słowo, będzie leżał na ziemi u jego stóp tak samo jak zwłoki Scheinfelda.

Pinkas Scheinfeld był tego dnia jedyną osobą, która wyraziła sprzeciw związany z przydziałem do transportu, przyplacając swój opór własnym życiem. Jak wynika z relacji Mózesa Judasa, znanego w obozie jako Popychacz, sześciu innych żydowskich robotników, którzy ukrywali się, chcąc uniknąć wywózki, zostało później wykrytych przez strażników i rozstrzelanych na miejscu przez Götha.

A jakie były dalsze losy Franza Josepha Mullera? W dniu rozwiązania jego obozów doznał ataku nerwowego i przez kilka tygodni nie wychodził z łóżka. Następnie za odmówienie wykonania rozkazu i „bunt przeciwko swojemu przełożonemu” został skazany na sześć tygodni walki na froncie w dywizji SS „Galizien”. 5 marca 1944 roku Muller dostał się w okolicach Brodów i Tarnopola do niewoli sowieckiej. W 1949 roku został skazany przez radziecki sąd na dwadzieścia pięć lat pracy przymusowej, jednakże już w październiku 1955 roku mógł wrócić z sowieckiej niewoli do swojej ojczyzny. 9 stycznia 1960 roku został aresztowany. 24 kwietnia 1961 roku skazano go za „morderstwo w dwudziestu dwóch przypadkach, podżeganie do morderstwa w pięćdziesięciu ośmiu przypadkach, współudział w morderstwie w pięciu przypadkach, a także za zabójstwo w pięciu przypadkach” na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Zmarł 18 czerwca 1988 roku.

W dniach 27 i 28 listopada 1943 roku Göth przebywał służbowo w Wiedniu. Przed

wszystkim usiłował zaaranżować spotkanie z doktorem Kanerą z Gaustabsamtu, jak się okazało - daremnie. Od swojego przyjaciela Heinricha Judexa, *Fürsorge-SS-Führera* „Donau”, Göth dowiedział się, iż Kanera chce nawiązać z nim kontakt w związku z pojawieniem się nowych zarzutów przeciwko komendantowi, które zostały sformułowane w anonimowym piśmie przesłanym z Wiednia do kancelarii *Führera*. W swoim opatrzonym datą 8 grudnia 1943 roku piśmie zaadresowanym do Kanery Göth, któremu zależało na zdementowaniu tych „wstrętnych kawiarnianych plotek”, zaproponował wiedeńskiemu urzędnikowi szybkie przekazanie „sprawy” bezpośrednio do krakowskiej NSDAP. Było to bardzo sprytne posunięcie ze strony Götha, który mógłby wpłynąć na przebieg i wyniki śledztwa. Göth zajął także szczegółowe stanowisko w kwestii anonimowego donosu, do którego miała być załączona ostatnia strona czasopisma „Deutscher Reichsanzeiger”. Na stronie tej zaznaczono czerwoną ramką rubrykę, która ukazywała Götha jako właściciela wielkiego pakietu akcji jednej z drukarni. Ustosunkowując się do tego, Göth wyjaśnił Kanerze, iż w wypadku donosu chodziło o przepisowe, rutynowe i zupełnie niewinne doniesienie walnego zgromadzenia jego drukarni Hermes AG.

XX. Urodziny i dni świąteczne

Nadszedł grudzień. Zbliżał się dzień urodzin komendanta, a szef OD miał już pomysł na prezent urodzinowy dla swojego pana. Poszedł do warsztatu szewskiego, do Zygmunta Norenberga, by zamówić dla Götha parę butów z niewyprawionej skóry z korkowymi podeszwami. Nowe buty miały idealnie pasować do brunatnego stroju „szefa”. Zygmunutowi Norenbergowi nie pozostało nic innego, jak tylko spełnić prośbę Chilowicza i przyjąć jego zamówienie. Obawiał się jednak, iż nowe obuwie nie sprostą wygórowanym oczekiwaniom komendanta. Göth mawiał rzekomo, iż palce u stóp powinny mieć w bucie taką swobodę jak palce u rąk na klawiaturze fortepianu. Norenberg osobiście przyniósł gotowe buty komendantowi, który włożył je i opuścił willę, by się przespacerować. Złe przeczucia szewca sprawdziły się - po jakimś czasie Göth wezwał do siebie Norenberga, wściekły, podstawił mu pod nos buty i zapytał: „Co to ma być?!”. Na to pytanie Norenberg odpowiedział spokojnie: „Para butów”. Göth odwarknął: „Dlaczego te buty nie pasują na moje stopy?!”. Norenberg wskazał wtedy na nowy sztywny materiał, z którego zostały zrobione podeszwy, jednak gniewu Götha nic już nie było w stanie powstrzymać. Najpierw kilkakrotnie uderzył szewca w klatkę piersiową, by następnie potraktować go szpicrutą. Gdy maltretowany przez komendanta Norenberg odwrócił się, nagle usłyszał strzał, jednak ze zdziwieniem zauważył, że kula go nie trafiła i wciąż żyje. Göth strzelił w powietrze prawdopodobnie dlatego, że potrzebował jeszcze swojego szewca, aby móc przechwalać się nim w towarzystwie swoich przyjaciół z SS. Poza tym zarówno on, jak i inni funkcjonariusze SS czerpali korzyści z pracy Norenberga.

Dwukrotnie Norenberg towarzyszył Göthowi w drodze do głównej kwatery szefa SS i policji Krugera, aby na miejscu odebrać zamówienia kilku oficerów SS i funkcjonariuszy Gestapo i zdjąć miarę. Za terminowo wykonane buty Norenberg wystawiał rachunki, następnie pieniądze były wypłacane z kasy *SS-Polizeifu*. Za parę eleganckich, robionych na miarę butów Norenberg żądał od osiemnastu do dwudziestu dwu złotych. Szczególnymi względami cieszył się Göth, który za osiem par butów płacił przeciętnie jak za trzy.

11 grudnia 1943 roku Amon Göth obchodził swoje trzydzieste piąte urodziny. W ramach uroczystości przewidziano na wieczór bankiet w willi. W ostatnim momencie Göth wymyślił coś szczególnego. Gdy po południu dowiedział się, że do obozu została właśnie przywieziona słynna żydowska pianistka, zażyczył sobie, by zagrała dla niego serenadę. Kobieta nazywała się Natalia Hubler i była popularną w przedwojennych czasach artystką. Urodziła się w 1911 roku w Krakowie jako Natalia Weissman. Była córką bogatego przedsiębiorcy. Dzięki wsparciu Marii Zweig, kuzynki Stefana Zweiga, studiowała u Artura Schnabla w Berlinie, później pobierała lekcje u Georga Bertrama, a w 1929 roku dała swój pierwszy wielki koncert z Filharmonikami Berlińskimi. Natalia Hubler, która straciła męża w 1939 roku w czasie pierwszego nalotu bombowego Niemców, miała już za sobą ciężkie przeżycia - wraz ze swoją o pięć lat młodszą siostrą Heleną, zwaną Helunią, przedostały się w 1941 roku z Krakowa do Tarnowa, następnie na fałszywych „aryjskich” papierach do Warszawy, gdzie przez jakiś czas ukrywały się u pewnej polskiej rodziny. Obie zostały rozpoznane jako Żydówki przez polską granatową policję, kiedy usiłowały uciec przez granicę na Słowację. Zostały aresztowane i wydane Gestapo w Zakopanem, co z reguły oznaczało pewną śmierć. Z Zakopanego wraz z czterema innymi Żydami zostały przewiezione przez Gestapo odkrytą ciężarówką w siarczysty mróz do Płaszowa i tam natychmiast osadzone w więziennej celi.

Życzenie Götha było dla jego esesmanów rozkazem. W czasie gdy na ławach do bicia praca szła pełną parą, a krzyki maltretowanych więźniów wypełniały cały obóz, Natalię Hubler robiono na bóstwo u fryzjera i ubierano w suknię wieczorową. Wreszcie przywieziono ją do willi Götha, gdzie w salonie wszystko było już przygotowane. Mony, otoczony swoimi esesmanami, miał na sobie lśniącą białą wieczorową marynarkę. Obok niego stała Majola, odgrywając rolę eleganckiej pani domu. Nawet psy mogły się przysłuchiwać koncertowi.

„Usiądź i zagraj mi coś!” - powiedział krótko Göth. Natalia już od wielu lat nie grała na

fortepianie i z tego też powodu wybrała fragment, który znała perfekcyjnie. Zagrała *Nokturn cis-moll* Chopina, a więc utwór, którego melancholijny charakter udzielił się słuchaczom. Mony i Majola sprawiali wrażenie głęboko poruszonych. Natalia zauważyła, że przyjaciółka Götha szepnęła mu coś na ucho, a Mony zdecydował się na zmianę podejścia - przybrał przyjazny ton, rezygnując ze zwracania się do pianistki *per* „ty”. „Muszę przyznać, że gra pani wspaniale - powiedział - ale pani chce uciec, zgadza się?”. Na to zaskakujące pytanie pianistka zareagowała zdziwieniem. Tymczasem Göth powiedział do niej jeszcze jedno zdanie, którego nikt przedtem nie słyszał z jego ust: „Pani powinna żyć! Może pani opuścić więzienie i przejść do obozu pracy”. Natalia odrzekła zdecydowanie: „Ale nie bez mojej siostry!”. Mony, pozostający wciąż w sentymentalnym nastroju, nawet i na to przystał, chciał jednak usłyszeć coś więcej w wykonaniu żydowskiej pianistki. „Niech pani zagra coś wesołego!” - poprosił. Natalia zagrała kilka pierwszych taktów skoczego tańca Manuela de Falli. Muzyka ta nie przypadła jednak do gustu komendantowi. „Dość! - krzyknął. - Tylko nie to! To żydowska muzyka!” - stwierdził, ujawniając swój dość wątpliwy autorytet w kwestiach muzyki. Mimo to w dalszym ciągu łagodnie obchodził się z Natalią, którą na koniec wysłał do kuchni, gdzie mogła się najeść do syta, a nawet wziąć paczkę z żywnością dla swojej siostry Heluni.

W rezultacie Natalia Hubler i jej siostra mogły zostać przyjęte do pracy w obozie. „9 grudnia urodziłaś się na nowo!” - tak inne więźniarki skomentowały jej przybycie do obozu. Nieco ponad tydzień po występie Natalii Hubler w willi komendanta, 18 grudnia 1943 roku, około północy, w baraku kobiet, które już od dawna spały na swoich pryczach, wyczerpane ciężką pracą, nagle pojawił się kapo. Mężczyzna powiedział do Natalii: „Komendant chce, żebyś znowu zagrała!”. Gdy Natalia przybyła na miejsce w towarzystwie kapo, w willi panowała krzątanina. Praca wrzała. Jak za każdym razem w czasie takich suto zakrapianych alkoholem, radosnych wieczorów obecni byli także bracia Rosnerowie, Herman i Poldek. Göth zażyczył sobie, by Natalia akompaniowała im na fortepianie. Jednakże pianistka nigdy jeszcze nie grała muzyki rozrywkowej i szlagierów znajdujących się w repertuarze Rosnerów. Musiała więc improwizować. Wreszcie muzycy zdecydowali wspólnie, że zagrają *Tańce węgierskie* Brahmsa. Był to jednak kompromis, który nie zadowolił komendanta. W rezultacie zrezygnował on z koncertów Natalii.

Jednego z pierwszych wiosennych dni 1944 roku Natalia miała raz jeszcze okazję spotkać Götha. Pracowała wraz ze swoją siostrą i innymi kobietami ze swej brygady, gdy nagle zauważyły przez okno, że w pobliżu pojawił się Göth wraz z jednym z psów. W tym samym momencie pewien więzień wyszedł z pobliskiego baraku, udając się w kierunku latryny. Gdy Göth ujrzał niezdającego sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa mężczyznę, wydał psu jedną ze swoich cynicznych, urągających godności człowieka komend: „Człowieku, zjedz psa!”. Komendant wydawał się dumny z tego „dowcipu”. Tymczasem pies rzucił się na nieszczęśnika, któremu rozszarpał spodnie, wygryzając przy okazji spore kawałki mięsa z nogi. Następnie zadowolona z siebie bestia potruczała z powrotem do swego pana. Przeróżliwy krzyk leżącego we krwi więźnia, którego po chwili zabrał kapo, zdawał się w ogóle nie obchodzić Götha. Wręcz przeciwnie - komendanta rozpieszczała duma, gdyż znów udało mu się pokazać „tej żydowskiej hołocie”, do czego jest zdolny.

W obliczu przerażającego okrucieństwa, którego była właśnie świadkiem, uchodząca wśród współwięźniarek za optymistkę Natalia Hubler zaczęła powątpiewać w szanse na przeżycie obozu. Swoją ówczesną sytuację określiła następująco: „Pragnęłam tylko jednego: zasnąć pewnego wieczoru i nigdy więcej się już nie obudzić - to było moje największe marzenie”.

Mimo to Natalii Hubler i jej siostrze udało się przeżyć nazistowski terror. Natalia wyszła w 1946 roku za mąż za polskiego dyplomatę Józefa Karpfa i jako Natalia Karp kontynuowała swoją pianistyczną karierę.

W czasie między obydwoma występami Natalii Hubler i między muzyką Chopina i Brahmsa Göth musiał poświęcić się swoim „przyziemnym” zadaniom związanym z kierowaniem

oboziem. Chodziło między innymi o opustoszałe getto, w którym prace porządkowe *Sauberungskolonnen* dobiegały kresu. Na samym końcu przystąpiono do wyburzania muru okalającego getto, gdyż teren ten miał ponownie zostać włączony jako „normalne” osiedle mieszkaniowe do dzielnicy

Podgórze. Ponadto należało się zająć także Żydami pozostającymi jeszcze w getcie, a więc członkami *Ordnungsdienstu*, ze zniechęconym szpiclem Gestapo Symche Spirą na czele, oraz ich rodzinami. Ponieważ spełnili już swoją powinność, teraz przyszła kolej na uśmiercenie ich. 14 grudnia aresztowano Symche Spirę wraz z rodziną oraz wszystkich innych odemanów i ich krewnych. Zostali oni następnie przewiezieni samochodami ciężarowymi na Hujową Górkę i rozstrzelani. Nie oszczędzono także dzieci. Ponieważ Gestapo zależało na pozbyciu się świadków i zatarciu wszelkich śladów zbrodni, zwłoki odemanów i ich rodzin zostały spalone. „Popatrz, to Symche Spira. Właśnie udaje się w szczególną podróż” - powiedział ojciec Stell Muller-Madej, wskazując na płonący na Hujowej Górze ogień. Spira i jego rodzina byli ostatnimi mieszkańcami getta. Aż do samego końca szef OD ludził się, iż w zamian za świadczone przez niego usługi naziści wywiozą go do Rzeszy. Powiedzenie: „Spira przetrwa wojnę. Nawet jeśli wszyscy zginą, on będzie żył!” - stało się jego znakiem rozpoznawczym.

Göth nie uzyskał urlopu na święta Bożego Narodzenia, być może sam nie złożył odpowiedniego wniosku. W końcu w jego willi zawsze coś się działo. Przypuszczalnie dopiero później dowiedział się o przeprowadzce swej żony Anny Göth wraz z dziećmi Ingeborg i Wernerem do Zeiselmayer. Zamieszkali oni w domu przy Leopoldgasse 5. 23 grudnia Anna zgłosiła dzieci w urzędzie meldunkowym gminy. Jako „właściciel” w księdze meldunkowej widnieje niejaki Karl Wagner, do którego w tamtym czasie najwidoczniej jeszcze należał dom. Rodzina obchodziła święta bez ojca, wiernie pełniącego służbę w dalekiej Polsce.

Wizyta Jointu

Pewnego dnia pod koniec 1943 roku główny księgowy Schindlera Itzhak Stern został wezwany do kancelarii *Deutsche Emailwaren-fabrik* przy ulicy Lipowej 4. Gdy buchalter przybył w towarzystwie strażnika na miejsce, w gabinecie zastał Schindlera oraz dwóch obcych mężczyzn, którzy natychmiast zaczęli zadawać mu pytania dotyczące sytuacji panującej w Płaszowie. Stern był początkowo nieufny w stosunku do nieznanym. Wziął Schindlera na bok, chciał się bowiem upewnić, czy może otwarcie rozmawiać z tymi ludźmi. Ten wyjaśnił mu, iż jeden z gości nazywa się doktor Sedlacek i reprezentuje budapeszteńską dyspozyturę Jointu - Amerykańsko-Żydowskiego Połączonego Komitetu Rozdzielczego. Drugi, jak zrozumiał z objaśnień swego szefa Stern, został przysłany przez Franza von Koraba, kierownika mieszczącego się w Krakowie biura *Abwehry*. Obaj mężczyźni dopiero niedawno przybyli do Krakowa, wcześniej przebywali na Węgrzech i w Turcji. Stern nabrał zaufania do przybyszów i zdał im relację na temat sytuacji panującej w Płaszowie. Następnie zaproponował, że oprowadzi gości po obozie, aby na własne oczy mogli zobaczyć masowe groby. Schindler natychmiast przystał na tę propozycję, deklarując chęć przygotowania tego przedsięwzięcia od strony organizacyjnej. Skontaktował się z Göthem, oznajmiając mu, że ma specjalnych gości - przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego, i że na ich cześć zamierza wydać przyjęcie, na które oczywiście zaprasza również jego. Odważny plan udało się z powodzeniem zrealizować. Komendant, dostrzegając w tym spotkaniu kolejną możliwość umocnienia swojej pozycji, wpadł w zastawioną pułapkę. Jeszcze tej samej nocy Göth, wprawiony w wyśmienity nastrój z powodu imprezy, zaprosił rzekomych specjalistów od zbrojeń do obozu, aby oprowadzić ich po miejscowych warsztatach pracy. Wyraził także zgodę, by Schindler nakłonił Sterna do zaopiekowania się gośćmi podczas „zwiedzania” obozu. Oprowadzanie gości po obozie Stern zaaranżował w taki sposób, aby mogli się zbliżyć do masowych grobów. Dotarłszy na miejsce, księgowy Schindlera pochylił się, rzekomo aby zawiązać sznurowadła, umożliwiając swoim podopiecznym wykonanie zdjęć przy użyciu ukrytego aparatu fotograficznego. Wykonane wówczas zdjęcia przeszmuglowano następnie do Budapesztu, gdzie zostały przekazane starym przyjacielom Schindlera - doktorowi Rudolfowi Kastnerowi, Joelowi Brandowi i Springmannowi, którzy przesłali je później do Palestyny. Po upływie kilku dni także sam Oskar Schindler wyjechał z

Krakowa. Ukrywszy się na pace samochodu dostawczego przewożącego gazety, pojechał do Budapesztu, by spotkać się tam z żydowskimi znajomymi. Zawiózł wtedy przemycony w bagażu pisany ręcznie raport na temat sytuacji w płaszowskim obozie, sporządzony przez Natana Sterna, młodszego brata Itzhaka. Dokument ten przeszedł później do historii pod nazwą *Raportu Sterna* i posłużył jako ważny materiał źródłowy.

Wracając z Budapesztu, Schindler przywiózł ze sobą około pięćdziesięciu tysięcy marek przeznaczonych dla krakowskich Żydów. Z pieniędzy skorzystali ci więźniowie, którzy w dzień pracowali w komandach poza terenem obozu; potajemnie kupowali za nie żywność dla siebie i swoich rodzin.

Ludzkie i nieludzkie

Na noc sylwestrową 1943 roku zapowiedziano huczne przyjęcie, które miało się odbyć w jasno oświetlonej willi Götha. Panie ubrały się w kosztowne suknie wieczorowe, a większość mężczyzn przybyła w mundurach Waffen-SS. Herman i Poldek Rosnerowie zapewnili swoją porywającą muzyką odpowiednią atmosferę. Gospodarz przyjęcia uraczył swoich gości najlepszymi szampanami. W kuchni jeszcze nigdy dotąd nie widziano tylu wykwintnych potraw. Głównym tematem prowadzonych przez gości rozmów była rozpaczliwa „bohatera walka” niemieckich oddziałów na froncie rosyjskim. Nadchodzące wieści napawały niepokojem. To właśnie w Wigilię Bożego Narodzenia Sowietci przeszli do wielkiej ofensywy przeciwko Grupie Armii „Południe” i udało im się w wielu miejscach przełamać opór wojsk niemieckich. Walki na froncie wydawały się jednak czymś bardzo odległym. Zresztą nikt jeszcze wówczas nawet nie myślał o najgorszym.

Krótko po północy rozbawione towarzystwo wpadło na pomysł, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Panie włożyły swoje futra, panowie ubrali się w ciężkie skórzane kurtki. Była chłodna, bezchmurna zimowa noc. Gwałtowny wiatr wiejący ze wschodu sprawił, że chłód wydawał się jeszcze bardziej przejmujący. Mimo iż goście marzli, wszyscy żartowali i dowcipkowali. Zdawali się nie pamiętać, gdzie się znajdują. Nagle zapadła cisza. Skonfundowane towarzystwo dostrzegło *Mannschaftszug*-grupę więźniarek, które mijaly właśnie willę komendanta, ciągnąc ciężki ładunek. Kobiety musiały wykonać trzynaście do piętnastu „tur w czasie ciągnącej się w nieskończoność, trwającej dwanaście godzin nocnej zmiany - od szóstej wieczorem do szóstej rano”. Każdy ładunek stanowiło dziewięć ton kamienia. Widok tych marznących nieszczęśnic, które ubrane w cienkie ubrania więziarskie, zgarbione, resztkami sił ciągnęły linę, wywarł ogromne wrażenie przynajmniej na Majoli. Kobieta szepnęła coś na ucho Göthowi. Ten, jak się wydawało, sam dostrzegł osobliwość zaistniałej sytuacji. Goście patrzyli w jego stronę wyczekująco, więc zawahał się tylko przez chwilę. „Koniec pracy na dzisiaj!” - powiedział do kapo nadzorującego *Mannschaftszug*. Więźniarki zostały odesłane do swoich baraków. Ten epizod opisał później w swoich wspomnieniach Jakub Stendig.

Tymczasem z relacji Oskara Schindlera wynika, iż wieczorne przyjęcia wydawane tamte zimy w willi Götha nierzadko przeradzały się w istne dzikie orgie. Wystarczających ilości alkoholu oraz pięknych kobiet dostarczał sam Schindler. „Najbardziej zasłużeni weterani” tych imprez byli skorzy do każdej „zabawy”. Gdy w trakcie jednego z takich wieczorów szalała zamieć i na dworze powstały wielkie zasy śniegu, jeden z gości honorowych wpadł na pomysł, by wyrzucić wszystkie obecne na przyjęciu kobiety nago na śnieg.

Sam Oskar Schindler nie stronił bynajmniej od zabawy. Wręcz przeciwnie - pozwalał sobie na niejedno podczas odwiedzin składanych w willi swego przyjaciela. Susanna - Helen Sternlicht (później Helen Jonas-Rosenzweig) opowiedziała w rozmowie z Davidem M Crowe'em o jednym z takich wyskoków Schindlera. Według relacji kobiety, w trakcie jednej z pijatyk u Götha ktoś zadzwonił po nią z piętra willi. Na górze były dwa pokoje, w jednym znajdowały się różne przyrządy do ćwiczeń, w drugim stały dwa łóżka. Gdy Susanna weszła do tego drugiego pokoju, zobaczyła Schindlera z pewną kobietą, oboje byli nacy i leżeli na łóżku. Oskar

chwycił służącą za prawą rękę, usiłując pociągnąć ją w swoją stronę. Miał przy tym wołać: „Susanna! Susanna!”. Kobięcie ledwie udało się obronić przed natarczywością Schindlera. Trzymała się kurczowo szafy.

Podczas gdy w willi Götha towarzystwo szukało zapomnienia w alkoholowym odurzeniu, na zewnątrz trwała zwykła walka więźniów o przeżycie. Wśród nich była także pracująca w Mannschafszugu dwudziestopięcioletnia Rachel Aronowicz z Krakowa, ostatkiem sił brnąca przez grudniowe i styczniowe noce na przełomie 1943 i 1944 roku. Kobieta mieszkała w obozie wraz z siostrą i ojcem. Jej matka, którą komendant z bliżej nieznanym powodów upatrzył sobie na ofiarę, została zastrzelona własnoręcznie przez Götha 2 maja 1943 roku. Pewnej nocy Rachel i inne kobiety z jej brygady nie mogły już wytrzymać szczypiącego mrozu. Opuściwszy Mannschafszug, znalazły schronienie w jamie w ziemi. Nie były w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by usiąść gdzieś, ogrzać się i wreszcie odpocząć. Nie odczuwały strachu, ostatecznie nie miały już nic do stracenia. Siedząc w przypominającej grób ciemnej dziurze, przytulały się do siebie przez kilka minut, gdy nagle stanął przed nimi nadzorujący ich pracę odeman z pejcem w dłoni. Mężczyzna, bijąc więźniarki na oślep, złorzecząc im i depreczując swymi butami, zagonił Rachel i jej towarzyszkę niedoli do roboty. Krwawiące ciała kobiet znów naprężyły się do pracy przy linii. Nagle, niczym anioł śmierci, w samym środku pustego pola przed willą pojawił się Göth i otworzył ogień do Mannschafszugu. Kilka kobiet, które zostały trafione przez komendanta, padło na ziemię obok szyn, po których jeździły wagoniki. Pozostałe, nie podnosząc wzroku i nie zatrzymując się ani na chwilę, kontynuowały swoją katorżniczą pracę.

Po zakończeniu zmiany kobiety udały się do budynku Ordnungsdien-stu, aby odebrać tu obiecane im połowę bochenka chleba i buty. Czekwały kilka godzin. Wreszcie okazało się, że nie ma dla nich żadnych butów, jedynie sam chleb, a także całe mnóstwo wyzwisk i złorzeczeń kierowanych pod ich adresem przez odemanów. Wiadomość o „wykroczeniu” brygady, w której pracowała Rachel Aronowicz, w okamgnieniu rozeszła się po całym obozie. Jak dowiedziały się później z ust osób trzecich, swoją „przerwą w pracy” naraziły na pewną śmierć nadzorującego ich pracę odemana. Po odebraniu żywności robotnice powlokły się do swoich baraków i bezwładnie opadły na prycze, chowając chleb pod strzępy ubrań, które służyły im za poduszki. Chwilę później zostały wyrwane ze snu. Wszystkim więźniom kazano się stawić na apel karny. Oznaczało to stanie na mrozie przez wiele godzin. Kobietom z zimna puchły stopy. Jeśli któraś z nich usiadła, była bita bez litości przez kapo. Po odbyciu apelu karnego więźniarki mogły wreszcie wrócić do swoich baraków, gdzie zapadły w kamienny sen.

Jednak nie było im dane spać zbyt długo. Szósta wieczorem oznaczała początek następnej nocnej zmiany. Wszystko zaczynało się od nowa. Znowu czekała je praca na mrozie i w ciemności, znowu były karane przez kąpiących je i chłostających kapo, po raz kolejny drżały o swoje życie, któremu w każdej chwili mógł położyć kres strzał z pistoletu komendanta. Rachel i inne kobiety zaprzęgnięte do Mannschafszugu znajdowały się już na skraju fizycznej i psychicznej wytrzymałości. Jak wynika z relacji złożonej przez Rachel w Yad Vashem, w życiu kobiet zdarzały się chwile, kiedy nie były już w stanie zrozumieć, co do nich mówiono. Słowa nie docierały do nich, nie potrafiły już jasno myśleć. Całą ich egzystencję wypełniała tylko jedna potrzeba - potrzeba zaspokojenia głodu. Nie znały już strachu przed śmiercią, nawet jeśli lufa pistoletu była skierowana w ich stronę. Stały się automatami, „narzędziami”, które wstawały, pracowały, stawały się na apel, podlegały „selekcji”. Zawsze były głodne, zawsze posłusznie wykonywały rozkazy swych dręczycieli.

XXI. KL Płaszów

10 stycznia 1944 roku Płaszów oficjalnie został przekwalifikowany na obóz koncentracyjny. Sześćset nowo przybyłych nadzorców i nadzorzycy zastąpiło wyszkolonych w Trawnikiach esesmanów, którzy nie mieli odtąd prawa wstępu na teren obozu. Kilka nowych nadzorzycy szybko zyskało opinię okrutnych potworów. Więźniowie bali się między innymi „panny” Alice Orłowski, czterdziestoletniej wysokiej blondynki pochodzącej z Berlina. To „grube i ohydne babsko o przepitym męskim głosie”, niezawodny trybik w maszynierii śmierci, odznaczyło się brutalnym i bezwzględny traktowaniem więźniów już w Majdanku. Orłowski podobno nigdy nie rozstawała się wówczas ze swoim pejcem, z którego bardzo chętnie czyniła użytek, na przykład gdy ktoś z więźniów nie stał w czasie apelu równo z linią szeregu albo „gadał”. Jak przypomina sobie Halina Nelken, nadzorczyń poruszała się w „nienaturalny, kanciasty, męski sposób”, a „gdy w czasie apelu lustrowała wzrokiem szeregi więźniów, jej olbrzymi tyłek przelewał się z jednej strony na drugą”. Królestwem Orłowski była główna ulica obozu; najczęściej grasowała w okolicach pralni, wrzeszcząc na więźniów i bijąc ich, z papierosem w ustach i butelką wódki w zasięgu ręki oraz trzepaczką pod pachą. Bicie więźniów było dla niej swego rodzaju sportowym wyzwaniem. „Jeszcze zobaczymy, kto się pierwszy zmęczy - ty czy ja!” - tak zazwyczaj brzmiał jej komentarz. Orłowski nie znała litości, gdy nakrywała jakąś parkę, która, ukryta za kocem lub płachtą lnianego płótna służącymi do zasłaniania pryczy, chciała wykorzystać krótkie chwile na wymianę czułości. W takich sytuacjach nadzorczyń tłukła bez opamiętania „tych grzeszników”.

Nie mniej brutalnie wykonywała swoje obowiązki inna *SS-Aufseherin*, zaledwie dwudziestosiedmioletnia, pochodząca z Walldorfu w Turynii Luise Danz. Halina Nelken opisuje ją jako kobietę „suchą niczym tyczka, z zaciętą miną”. Jej znakami rozpoznawczymi były ciosy zadawane w podbródek i kolanem w brzuch. Jeszcze młodsza od Luise Danz była dwudziestoczteroletnia Hildegard Lachert, nazywana przez więźniów Krwawą Brygidą ponieważ zawsze biła więźniów tak długo, aż pojawiła się krew. Wśród nadzorzycy była też kobieta o nazwisku Ehlert, „karykatura krowy”, jak ją określiła Halina Nelken. Ehlert nadzorowała obieranie ziemniaków i również była znana z zamiłowania do bicia.

Funkcję *SS-Obemufseherin*, przełożonej wszystkich nadzorzycy, pełniła okryta złą sławą Elsa Ehrich, która swoją „karierę” rozpoczynała w Ravensbrück, by później wziąć aktywny udział w „selekcjach” więźniów do komory gazowej w Majdanku. Przybyła do Płaszowa wraz ze swoim kochankiem *SS-Hauptsturmführerem* doktorem Blanckem, pełniącym w Majdanku funkcję naczelnego lekarza i szefa tamtejszego krematorium. Jedynie trzy spośród nowych nadzorzycy nie stosowały przemocy względem więźniów. Były to Holenderki: Willy i Peter, a także gruba Stuka. Niemniej jednak każda z nich miała „swojego esesmana do chłania i do spania” - przynajmniej tak wynika z relacji Haliny Nelken.

Już pierwsze zarządzenie wydane przez nowe nadzorczyńie w obozie kobiet sprawiło, iż zostały znienawidzone. Noszenie biustonoszy zostało zabronione pod groźbą kary śmierci. I rzeczywiście Orłowski oraz jej kompanki, które - jak wspomina Stella Müller-Madej - „niczyń upiory snuły się po obozie, strasząc więźniarki”, nie żartowały. Podejrzliwie obmacywały w czasie apeli plecy pracujących kobiet w poszukiwaniu zakazanego elementu garderoby. Tymczasem więźniarki nie zamierzały tak łatwo dać za wygraną, wykazując się ogromną pomysłowością. I tak na przykład przesuwały zapięcie stanika w ten sposób, że znajdowało się ono pod pachą. Za pomocą igły i nici potrafiły dokonywać prawdziwych cudów. Z tego powodu ceny utensyliów krawieckich na czarnym rynku osiągały horrendalny poziom: za metr nici trzeba było płacić porcją chleba, za igłę - porcją margaryny. Wymiany dokonywano jak zwykle przy latrynach.

Gdy jedna z więźniarek została przyłapana na noszeniu stanika, najpierw wtrącono ją do bunkra, a później, wieczorem, została wystawiona na widok publiczny wobec tłumu zgromadzonego na placu apelowym. Stała na kamiennej emporze w pobliżu szubienicy z

obnażoną górną połową ciała, jej piersi były pomalowane czerwonym lakierem. Obok „oszustki” stała jedna z nadzorczyń, która od czasu do czasu uderzała ją, gdy ta z wyczerpania za bardzo pochylała się do przodu. Wszystkie komanda musiały przemaszerować obok swej maltretowanej i poniżanej towarzyszki losu. Dopiero wtedy mogły się ustawić w szeregi. W końcu nieszczęśnicy okazano litość. Kobieta, za którą wstawił się u *Oberaufse-herin* Elsy Ehrich Wilek Chilowicz, nie została zastrzelona, lecz przeniesiona do karnego komanda.

Wraz z nadzorcami i nadzorczyńiami z szeregów SS do Płaszowa przybyli także nowi więźniowie: pochodzący z Rzeszy kryminaliści, którzy zostali skazani na długie odsiadki. Wśród nich byli także mordercy, tacy jak na przykład Toni Fehringer (Sierota), który zabił własnych rodziców. Ci przestępcy zostali mianowani kapo. Otrzymali własny, lepiej wyposażony barak, a także lepsze wyżywienie. Na piersi nosili literę „V”, od pierwszej litery niemieckiego słowa *Verbrecher*, oznaczającego przestępcę.

Każdy z więźniów otrzymał numer, który przyszywano mu do kurtki na lewej piersi. Göth nie ukrywał dumy z powodu swojej nowej funkcji - komendanta „KL Płaszów”. jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, iż ta nowa funkcja wiąże się z nowymi obowiązkami. Wymagania stawiane przez Główny Urząd Gospodarczo-Administracyjny SS komendantom obozów były wszakże wysokie. Odpowiednie wytyczne generał Oswald Pohl sformułował patetycznie już w 1942 roku w następujący sposób: „[Komendant obozu koncentracyjnego] powinien umiejętnie łączyć swoją wiedzę fachową w kwestiach wojskowych i gospodarczych ze sprawnym dowodzeniem grupami ludzi, tak aby możliwe było osiągnięcie optymalnej wydajności ich pracy”. Göth, jak zawsze ambitny, starał się sprostać tym wymaganiom. Aby się „doksztąpić”, odbywał wizytacje w innych obozach koncentracyjnych, między innymi w KL Mauthausen. Jak wynika z relacji Mietka Pempera, istniejący w tym obozie zwyczaj tatuowania więźniów wywarł na Gocie tak wielkie wrażenie, iż postanowił nawet wprowadzić podobny system w Płaszowie. Za pomocą stempla igłowego, składającego się z trzech do pięciu jednocyfrowych pieczętek ułożonych w metalowej ramce, każdemu z więźniów miał zostać wytatuowany numer. Gdy jednak Mietek Pemper, a później także lekarz obozowy doktor Blancke, odradzili Göthowi „stemplowanie” więźniów, wskazując na wiążące się z tym pewne „techniczne” trudności, komendant zrezygnował ze swoich planów. Nie można było jednak uchylić się od przepisowego w wypadku obozów koncentracyjnych numerowania więźniów. W Płaszowie numeracja zaczynała się od stu. Pierwszy numer, 101, przypadł cieszącemu się w obozie uprzywilejowaną pozycją szefowi odemianów Wilkowi Chilowiczowi.

Innym pomysłem zainspirowanym wizytacjami Götha w innych kacetach był plan otwarcia obozowego burdelu. Więźniowie mieli być nagradzani za szczególnie wydajną pracę „premią” w postaci zezwolenia na odwiedzin w domu publicznym. I tym razem Mietkowi Pemperowi udało się wyperswadować komendantowi ten zamiar. Stenograf argumentował, iż Płaszów, w przeciwieństwie do innych obozów koncentracyjnych, jest właściwie kontynuacją getta, w którym dominowały stabilne struktury rodzinne. Dla wygłodzonych i osłabionych ojców rodzin lepszą nagrodą byłaby nieco większa porcja chleba lub zupy. Burdel mógłby zainteresować co najwyżej nielicznych uprzywilejowanych więźniów. Göth zgodził się z tymi argumentami, nie zamierzał jednak całkowicie zrezygnować ze swojego planu utworzenia domu publicznego. Przybytek urządzono we *Fröhliches Haus* (dosł. Radosnym Domu), przy czym docelowa grupa klientów została ograniczona do ukraińskich, łotewskich i litewskich strażników obsługiwanych przez polskie prostytutki. Za wizytę w obozowym burdelu strażnicy płacili dwa złote, w przeliczeniu na niemiecką walutę - jedną markę. Natomiast wstępu do burdelu zabroniono niemieckim esesmanom. Ci w dalszym ciągu otrzymywali specjalne bonusy, uprawniające ich do składania wizyt w domu publicznym znajdującym się w krakowskim śródmieściu, w lokalu, gdzie mieścił się wcześniej akademik dla żydowskich studentów.

Nowe przepisy w znacznym stopniu ograniczyły samowolę Götha i jego podkomendnych. Za

przydział więźniów do pracy odpowiadał odtąd Urząd II, wchodzący w skład Grupy Urzędów I przy WVHA z siedzibą w Berlinie-Oranienburgu. Oznaczało to, iż płaszowscy więźniowie mieli status pracowników niemieckiej zbrojeniówki i jako tacy stanowili część gigantycznej maszynierii zbrojeniowej Trzeciej Rzeszy. Dla Götha i Pempera wiązało się to z ogromnym nakładem pracy administracyjnej. Każda najdrobniejsza zmiana związana z przydziałem więźniów do poszczególnych komand wymagała przedłożenia w Urzędzie II w Amtsgruppe I odpowiedniego wniosku, który następnie musiał zostać zatwierdzony i podpisany przez szefa urzędu Gerharda Maurera lub jego zastępcę *SS-Obersturmführera* Sommera.

W samym obozie powołano jednego do pełnienia funkcji *Arbeitseinsatzführera*, odpowiedzialnego za przydział więźniów do poszczególnych brygad roboczych. Do jego obowiązków należało także sprawdzanie, czy więźniowie rzeczywiście wykonali pracę zgodnie z danymi zawartymi w odpowiednim wniosku, a także kontrolowanie jakości i wydajności tej pracy.

Nieuzasadnione zabijanie więźniów stało się niemożliwe, przynajmniej na papierze, gdyż śmierć każdego więźnia negatywnie odbijała się na produktywności całej armii przymusowych robotników. Z tego też powodu trzeba było przedłożyć w Berlinie stosowny wniosek o zgodę na wykonanie wyroku śmierci, a ten musiał zostać zatwierdzony.

Wskutek przekształcenia płaszowskiego lagru w obóz koncentracyjny przedsiębiorstwo Juliusa Madritscha znalazło się w krytycznym położeniu. Już w nocy z 8 na 9 stycznia 1944 roku do Madritscha zadzwonił Göth. Komendant miał dla austriackiego przedsiębiorcy hiobowe wieści. WVHA planował przeniesienie zakładów zaopatrzeniowych SS do płaszowskiego obozu. Aby stworzyć wystarczającą ilość miejsca, rozważano włączenie zakładów Madritscha do Niemieckich Zakładów Zbrojeniowych (D.A.W.), co oznaczałoby koniec dla austriackiego przedsiębiorcy. Już 9 stycznia do Krakowa przybyła delegacja Głównego Urzędu Gospodarczo--Administracyjnego SS. Madritscha zaproszono na rozmowę w czasie której przedstawiono mu plan. Tymczasem wiedeński przedsiębiorca bronił się z determinacją, powołując się na ważną „aż do końca wojny” umowę z Schernerem, jak również na to, iż w najbliższym czasie przewidywał otrzymanie istotnych zleceń na produkcję. Udało mu się na razie uzyskać odroczenie decyzji, a później, 24 lutego 1944 roku, podpisanie nowej umowy zapewniającej dalszą działalność jego przedsiębiorstwa przez sześć następnych miesięcy. Tym razem umowę zawarto z urzędnikami SS w Oranienburgu, co oznaczało wynegocjowanie nowego ważnego okresu ochronnego dla pracowników zatrudnionych w zakładach Madritscha.

Nowa kwalifikacja obozu w Płaszowie wiązała się z istotną zmianą także w życiu Mietka Pempera, który stracił możliwość wglądu w akta personalne funkcjonariuszy SS. W biurze komendantury powołano nowe stanowisko - referenta personalnego, które powierzono *SS-Unter-offizierowi* Charles'owi Ehlingerowi, byłemu oficerowi księgowemu z Alzacji. Po tym jak mężczyzna dostał się do niemieckiej niewoli w 1940 roku, zakwalifikowano go jako *volksdeutscha*.

Podziemie się zbroi

W styczniu 1944 roku Adamowi Sztabowi i jego przyjaciółom z ŻOB-u udało się w końcu zorganizować broń. Były to dwa pistolety kaliber 6,5 mm, które skradziono śpiącym strażnikom. Dwa kolejne pistolety wynieśli z magazynu z bronią kowale wykonujący na dachu tego pomieszczenia prace naprawcze. Później wszystko potoczyło się jeszcze lepiej: jednemu z członków organizacji bojowej - Sterlingowi - udało się dorobić klucz do obozowego magazynu z

bronią, dzięki czemu możliwe było wyniesienie trzech następnych sztuk broni. Arsenal ZOB-u liczył więc wtedy sześć pistoletów i jeden karabin. Poza tym w podziemiu potajemnie produkowano broń. Ignacy Loker, Ber Fisher i Victor Reif wymyślili sposób, jak z rur ciśnieniowych wytwarzać granaty. Metoda była wprawdzie prymitywna technicznie, niemniej jednak skuteczna. Jak dowiadujemy się z późniejszych relacji Jakova Sternberga, w proces wytwarzania granatów byli zaangażowani także dwaj profesorowie fizyki z żydowskiego liceum w Krakowie: Yeshayahu Driblat i Zvi Mereminski. Broń była składowana ukradkiem w małym bunkrze w pobliżu warsztatów metalowych.

Broń miała stanowić ostatnią deskę ratunku, na wypadek gdyby doszło do likwidacji obozu. Obawiano się, że zamknięcie obozu byłoby jednoznaczne z deportacją do obozu zagłady w Oświęcimiu lub z rozstrzelaniem na miejscu. Mimo nikłych szans na odniesienie sukcesu w walce z dobrze uzbrojonym SS bojownicy żydowscy chcieli stawiać opór, a nawet ustalono szczegółowy przydział funkcji na przewidywany dzień X. Plan zakładał, iż mężczyźni z brygady elektryków przetną wówczas przewody elektryczne, którymi zasilano ogrodzenie z drutu kolczastego. Jednocześnie kilku uzbrojonych bojowników miało spacyfikować wybrane posterunki straży. W tych „wyzwolonych” spod nadzoru strażników strefach należało przeprowadzić akcję ucieczki możliwie największej liczby więźniów, którzy następnie mieli się ukryć w okolicznych lasach.

Próby nawiązania kontaktu z polskim podziemiem, mające na celu zapewnienie schronienia uciekającym z obozu więźniom żydowskim, nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Samuelowi Keplerowi udało się co prawda nawiązać kontakt z członkiem PPR-u - niejakiem Laptasem, nie uzyskał on jednak od niego gwarancji konkretnej pomocy. Nie udało się także zdobyć wsparcia polskich socjalistów z PPS-u dla płaszowskich Żydów. Po raz kolejny okazało się, że niechęć do Żydów jest w polskim społeczeństwie silniej zakorzeniona niż nienawiść do niemieckich okupantów.

W połowie stycznia 1944 roku Göth pojechał do Szebni, aby skontrolować przygotowania do całkowitej „likwidacji” miejscowego obozu. Przy tej okazji przejął on dokumentację obozu, którą następnie zabrał ze sobą do Płaszowa. 2 lutego ostatni pozostający przy życiu więźniowie osadzeni w obozie w Szebniach zostali załadowani do wagonów towarowych na stacji kolejowej w pobliskiej Moderówce. Około stu Żydów oraz tysiąc dwustu Polaków i przedstawicieli innych narodowości przewieziono wówczas do Płaszowa. Nowo przybyli więźniowie otrzymali numery od 8862 wzwyż. Tymczasem funkcjonariusze Gestapo urządzili kolejną krwawą masakrę na Hujowej Górcie. Około dwustu więźniów z więzienia przy ulicy Montelupich zginęło wówczas od strzałów tych morderców z urzędu.

12 lutego 1944 roku era rządów Schernera w Krakowie dobiegła końca. Najwidoczniej dobrze poinstruowany przez głównego dowódcę SS i policji „Wschód” Wilhelma Koppego, generalny gubernator Hans Frank osobiście zrelacjonował w trakcie swego spotkania z Heinrichem Himmlerem, które odbyło się w specjalnym pociągu *Reichsführera* wyczyny dowódcy SS i policji na dystrykt krakowski na zaniku w Szebniach. Możliwe, że Frank doniósł także o suto zakrapianej alkoholem imprezie, w której zadenuncjowany miał wziąć udział wraz z Göthem i Schindlerem. Zszokowany doniesieniami, Himmler zarządził natychmiastowe odwołanie Schernera, dla którego snujący intrygi Koppe miał już na podorędziu nową posadę. Scherner miał poprowadzić lokalną ofensywę przeciwko „bandom” partyzantów nad Bugiem. Jego wrogowie nie liczyli się jednak z tym, iż ten niestroniący od alkoholu weteran pierwszej wojny światowej sprawdzi się jako roztropny dowódca oddziałów i że znowu uda mu się zyskać oddanych przyjaciół. Decyzja o suspendowaniu Schernera z krakowskiego urzędu została jednak podtrzymana, a nawet wszczęto przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne. Degradacja dotychczasowego dowódcy SS i policji w Krakowie niekorzystnie odbiła się na położeniu Götha, który stracił ważne wsparcie ze strony urzędu przy ulicy Oleandry.

28 lutego 1944 roku Göth przyjechał do Wiednia, gdzie odwiedził *Kreisleiterra* Hansa Arnolda w jego biurze przy Spiegelgasse 21. Znowu chodziło o kierowane pod adresem Götha zarzuty i po raz kolejny udało mu się rozwiać atmosferę nieufności wokół swojej osoby. *Gaupersonalamtsleiter* (kierownik powiatowego urzędu personalnego) Volkmer, który dowiedział się o zapowiedzianej wizycie Götha, poprosił w osobistej notce do Arnholda o ponowne zbadanie

„kwalifikacji moralnych tego członka partii”.

Ostatnia Żydówka

Göth zaprosił do swojej willi kilku wyższych oficerów SS z Krakowa, a także swoich podkomendnych - morderców z obozu, takich jak John czy Zdrojewski. Jeden z obecnych oficerów SS, któremu rzuciło się w oczy, w jaki sposób Göth traktuje Lenę - Helenę Hirsch wziął w końcu kobietę na stronę. Rozmawiając ze służącą, podzielił się z nią swoimi spostrzeżeniami. Oświadczył swojej rozmówczyni, iż jej los jest już przesądzony. Podobnie jak wszyscy inni więźniowie osadzeni w obozie musi umrzeć. Jednak będzie ostatnią Żydówką, jaką zabiją, gdyż Göth czerpie szczególną sadystyczną przyjemność z dręczenia jej. Znęcanie się nad Heleną miało, według oficera SS, sprawiać Göthowi rozkosz przewyższającą wszystkie inne przyjemności. Dlatego też Hirsch miała być ostatnią Żydówką, jaką zabiją w Płaszowie.

Inaczej zinterpretowała ten szczególny stosunek komendanta do jego służącej wdowa po Oskarze Schindlerze Emilie. W swoich wspomnieniach utrzymuje ona, iż Göth był „śmiertelnie” zakochany w Lenie. Właśnie z tego powodu miał codziennie maltretować Helenę - tylko w ten sposób mógł ukryć swoje prawdziwe uczucia do żydowskiej służącej.

Nienawiść do Wehrmachtu

Jeszcze bardziej niż funkcjonariuszy Gestapo Göth nienawidził oficerów Wehrmachtu. Pewnego wieczoru Oskar Schindler zaprosił do swojego luksusowego, położonego nieopodal wzgórza wawelskiego mieszkania przy ulicy Straszewskiego 7/2 kilku wyższych oficerów SS. Wśród zaproszonych gości był także Göth. Jak zwykle Schindler wzorcowo odgrywał rolę gospodarza przyjęcia. Komendant, który korzystając z nadarzającej się okazji, chciał zapomnieć o obozowej codzienności, upił się na umór. Przyjęcie było już w zaawansowanej fazie, gdy nagle pojawił się jeszcze jeden gość - pewien major Wehrmachtu. Według Emilie Schindler, Göth miał się podnieść i stojąc na chwiejnych nogach, rzucić w stronę osłupiałego majora pogardliwe pytanie: „Kim jesteś, ty żalosny karle?”. Następnie, nie czekając nawet na odpowiedź zaatakowanego żołnierza Wehrmachtu, wybuchnął niepohamowanym gniewem, wygłaszając istną tyradę nienawiści: „Wy, w Wehrmachcie, pewnie myślicie, że macie czyste ręce. Jacy wy jesteście szlachetni, jak rycersko walczyacie z wrogiem! Nie imacie się gównianej roboty. Wy, tchórze, myślicie tylko o tym, jak uratować swoją duszę, a nam pozwalacie łaskawie na odgrywanie roli waszych aniołów stróżów, zabezpieczających wam tyły”.

Z przytoczonej powyżej anegdoty, którą spisała w swych wspomnieniach Emilie Schindler, wynika, iż Göth doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak jego płaszowska „działalność” zostanie później oceniona. W przeciwieństwie do oficera Wehrmachtu on rzeczywiście zaprzedał już „swoją duszę”. Wiedział, że określenia typu „szlachetny” czy „rycerski”, nawet przy najbardziej życzliwej ocenie jego osoby, nie pasują do niego. Przysłuchująca się Göthowi Emilie odniosła wrażenie, że za miotanymi przez niego pełnymi nienawiści słowami kryła się rozpacz...

Wielki Piątek

"Nowicjusz" Tadeusz Śliwiński przeżył swój pierwszy poranny apel w obozie 11 marca 1944

roku. Jak zwykle kierownicy bloków, wśród których byli sami esesmani, zbierali od blokowych, po wydaniu komendy: „Czapki z głów!”, kartki ze stanem liczbowym więźniów. Rzeczywista liczba więźniów była następnie konfrontowana z tą, którą zadeklarowali blokowi na kartkach, po czym kierownicy bloków jeszcze raz osobiście liczyli więźniów stojących w szeregach, by przekazać później swój wynik *Rapportführerowi*. I biada tym blokowym, którzy nie byli w stanie przedstawić jakiegoś przekonującego usprawiedliwienia ewentualnych niezgodności w stanie liczbowym więźniów. W takich wypadkach musieli się liczyć w najlepszym razie z karą chłosty, która była im wymierzana przez esesmanów. Chilowicz oraz jego zastępca Finkelstein, trzymając w rękach pejczy, szli właśnie między kolumnami mężczyzn, wyrównując w razie potrzeby szeregi. Po stronie kobiet znajdowała się Marysia Chilowicz, „szefowa”, doprowadzając swoim postępowaniem niektóre więźniarki do łez. Z pedanterią sprawdzała worki na chleb i chusty na głowie więźniarek. Tymczasem stojące u jej boku *SS-Aufseherinnen* nie próżnowały, okładając nieszczęśnice pejczami. Za pomocą komend „Czapki z głów!” oraz „Uformować brygady pracy!” narzucono więźniom porządek. Następnie poszczególne komanda odmaszerowały do swoich miejsc pracy. Dla nowych więźniów z więzienia przy ulicy Montelupich kierownik bloku przygotował specjalny program. Ponieważ zawszawieni „nowicjusze” tak bardzo mieli śmierdzieć więzieniem, iż od fetoru robiło mu się niedobrze, esesman uznał, że powinni się przewietrzyć. Wydał rozkaz: „Padnij!”. Śliwiński, który rozumiał po niemiecku, wyszeptał swojemu sąsiadowi komendę po polsku, po czym obaj rzucili się na ziemię. Tymczasem inni mężczyźni z grupy nowych więźniów wciąż stali, co doprowadziło kierownika bloku do wściekłości: „A więc to tak? Wy zasańcy! Nie rozumiecie po niemiecku? Powstań! Padnij! Powstań! Przysiady! Turlać się! Przysiady! Raz, dwa! Psiakrew! Raz, dwa!”.

Po półgodzinnym „wietrzeniu” niektórzy z więźniów, skrajnie zmęczeni i osłabieni wykonywaniem ćwiczeń, nie mogli się już podnieść z ziemi. Wielomiesięczny pobyt w więzieniu sprawił, iż nie byli w stanie podołać tej musztrze. W czasie czołgania się przez plac apelowy niektórzy z nich zwracali swoje skromne śniadanie, a kierownika bloku tak obrzydził widok wymiotujących więźniów, że wezwał blokowego, któremu następnie powierzył kontynuowanie tych „ćwiczeń”. Gdy kierownik bloku znikł za barakami, blokowy nie dręczył już więcej mężczyzn, nakazując im ćwiczenie zakładania i zdejmowania czapek, dzięki czemu mogli nieco odpocząć. Przez kolejny kwadrans nieustannie padały wówczas naprzemiennie rozkazy: „Zdjąć czapki!” i „Włożyć czapki!”. Następnie blokowy przepędził mężczyzn do baraku. Uważał, iż wysiłki zmierzające do wpojenia czegokolwiek tym nędznym kreaturom, inteligentom, na nic się nie zdadzą, bo oni i tak niczego nie rozumieją. Nie będzie z nich już ludzi, skoro nawet Gestapo z więzienia przy ulicy Montelupich uznało, że nie ma z nich żadnego pożytku, i pozbyło się ich.

Tadeusz Śliwiński, który był młodym, zaangażowanym socjalistą, nie dał się jednak złamać i już w czasie wykonywania pierwszych zleconych mu robót starał się dokładnie zapamiętać plan obozu. Ponieważ był pragmatykiem, chciał możliwie najszybciej przekazać odpowiednie informacje swoim towarzyszom z Krakowa. Zamierzał ponadto nawiązać kontakt z ŻOB-em zakładał bowiem, że na terenie obozu działają także żydowscy bojownicy. Studiował rozmieszczenie wież strażniczych, a także analizował parametry techniczne podwójnego ogrodzenia z drutu kolczastego, rozważając możliwość masowej ucieczki więźniów z obozu. Najpierw Śliwiński został przydzielony do pracy w Steinbruchkommandzie, brygadzie wykonującej prace w małym kamieniołomie, w którym pozyskiwano wapień, znajdującym się naprzeciwko Szarego Domu. W komandzie pracowali tylko Polacy i „Cyganie”, których traktowano jeszcze gorzej niż Żydów. Więźniami „opiekowało się” dwóch esesmanów, którzy czyniąc użytek ze swoich pejczy, pilnowali, by „Cyganie” wykonywali swoją pracę bez chwili wytchnienia. Podczas gdy polscy więźniowie zajmowali się ładowaniem znajdującego się bezpośrednio przy torach kamienia wapiennego na wagoniki przeznaczone dla Mannschaftszugsu, „Cyganie” przynosili ciężki kamień z odległych stosów. Śliwiński był świadkiem, jak obaj esesmani-nadzorcy znęcali się nad sześćdziesięcioletnim romskim robotnikiem Pawłowskim. Mężczyzna został tak skatowany przez swoich oprawców, iż ci, uznawszy, że ich ofiara już nie żyje, rzucili rzekome zwłoki za stertę kamienia. Gdy inni więźniowie przynieśli Pawłowskiego wieczorem do baraku, nieszczęśnikiem zaopiekowały się „Cyganki”, którym udało się w końcu przywrócić go do życia.

Tadeusz Śliwiński miał szczęście. Udało mu się zdobyć przydział do jednego z komand zewnętrznych. Mógł teraz powiadomić swoją rodzinę, że wciąż żyje. 25 marca pojechał wraz z nową brygadą roboczą, tak zwaną „sanitarką”, do obozu sanitarnego przy ulicy Śląskiej, gdzie więźniowie komanda musieli porządkować rzeczy składowane w magazynie. Była to nieco mniej wyczerpująca praca, która miała ponadto i tę zaletę, iż w godzinach popołudniowych za ogrodzeniem obozu sanitarnego gromadzili się członkowie rodziny pracujących tu więźniów, przynosząc ze sobą w torbach i koszach jedzenie dla swych krewnych. Pod ogrodzenie przyszła także matka Śliwińskiego. Radość z powodu tego spotkania, mimo że matkę i syna dzieliło ogrodzenie, była ogromna. Matka powiedziała Śliwińskiemu, że ledwie go rozpoznała, tak bardzo miał się zmienić w ostatnim czasie.

W roku 1944 Wielki Piątek przypadł na 7 kwietnia. W tym dniu Tadeusz Śliwiński „Boruta”, młody członek PPS-u, i jego koledzy wracali na ciężarówce do Płaszowa z pracy w obozie sanitarnym, który znajdował się przy ulicy Śląskiej, nieopodal głównej kwatery Gestapo. Gdy zatrzymali się przy Szarym Domu, natychmiast dostrzegli czarną chmurę dymu unoszącą się prosto ku niebu, która zdawała się otulać zachodzące właśnie słońce ciemną woalką. Po kilku sekundach poczuli unoszący się w powietrzu charakterystyczny zapach - był to odór palonego ludzkiego mięsa. Od innych więźniów z bloku dowiedzieli się później, co się stało tego dnia. Około dziewiątej rano przybyły tu ciężarówki z ponad stu pięćdziesięcioma więźniami przywiezionymi z więzienia przy ulicy Montelupich. Samochody zatrzymały się dopiero na wysokości kuchni. Eskortujący skazańców esesmani zrzucili swoje przyszłe ofiary z pak ciężarówek, a następnie kazali im się ustawić w trzyosobowych szeregach. Z ostatniego samochodu wyskoczyła jeszcze zgraja esesmanów uzbrojonych w pistolety maszynowe, którzy poprowadzili więźniów na Hujową Górkę do przygotowanego już dołu. Dotarłszy na miejsce, esesmani podzielili się na dwie grupy. Jedni obeszlili rów wykopany w ziemi, a następnie ustawili się za nim w półokręgu, drudzy przygotowywali się tymczasem do wymordowania więźniów. Za każdym razem popychano trzy ofiary w kierunku dołu i strzelano do nich. Nagle oczekujący na śmierć zaintonowali polski hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła...”.

Śpiew więźniów wyraźnie poirytował esesmanów, którzy stali się nerwowi. Strzelcy plutonu egzekucyjnego zaczęli źle celować i musieli jeszcze raz oddawać salwy ze swoich pistoletów maszynowych. Tymczasem Polacy, ze śpiewem na ustach, trójka za trójką padali na krwawiące ciała uprzednio rozstrzelanych towarzyszy, żegnając się z życiem i ojczyzną. Śpiew rozbrzmiewał przez ponad pół godziny, stawał się tylko coraz cichszy, w miarę pomniejszania się liczby żyjących jeszcze Polaków. Pracującym w pobliżu więźniom, którzy obierali ziemniaki, włosy z przerażenia stawały dęba. Płakali i modlili się za umierającymi.

Gdy ucichł już odgłos ostatniej salwy, leżące w dole ciała pomordowanych zostały polane benzyną przywiezioną w kanistrach. Następnie do rowu wrzucono podpalony łachman. Wszystko natychmiast stanęło w płomieniach. Więźniowie, którzy nie zostali zabici, lecz tylko postrzeleni lub stracili przytomność, zaczęli się ruszać. Można było także usłyszeć dochodzące z wnętrza dołu jęki palących się żywcem ludzi. Wtedy esesmani zaczęli strzelać w stronę sterty zakrwawionych ciał i nie przestali do czasu, aż ucichł ostatni odgłos. Przez całą noc z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę z dołu buchały płomienie ognia. W ciągu następnego dnia znad masowego grobu unosił się jeszcze czarny dym, który w Wielką Niedzielę poszarzał. Szare smugi na błękitnym niebie przypominały o śmierci Polaków.

Tymczasem na froncie wschodnim działania zbrojne nabrały rozmachu. 4 marca Armia Czerwona znów znalazła się w ofensywie. Niemieckie Grupy Armii „Południe” i „A”, stojące w tym czasie na błotnistych terenach na wschód od Dniestru, znajdowały się już na straconych pozycjach. Na nic się zdały wszystkie rozpaczliwe zaklinania i rozkazy Hitlera, by żołnierze wytrwali. Należało się pogodzić z utratą Ukrainy. Także w „okręgu gangsterów” pojawiało się coraz więcej znaków zwiastujących, iż dni nazistowskiego terroru są już policzone. W Poniedziałek Wielkanocny 10 kwietnia 1944 roku sowieckie bombowce zbombardowały Lwów i

Drohobycz. Do Płaszowa przybył „transport” ze Wschodu. Tysiąc dwadzieścia dwoje żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci przywieziono z Drohobycza i z obozu pracy w Borysławiu, z którego obrony Niemcy musieli w końcu zrezygnować. Göth osobiście przyjechał konno na płaszowski dworzec, by powitać nowo przybyłych więźniów. Dla wielu z nich Płaszów oznaczał jedynie stację przejściową w drodze do obozów koncentracyjnych położonych dalej na zachód. Spośród trzynastu tysięcy Żydów mieszkających w 1938 roku w Borysławiu wojnę przeżyło zaledwie czterystu.

Wraz z grupą Żydów z Drohobycza do Płaszowa przybyła także „hrabina” Jeannette Suchestow, niemiecka Żydówka. Nazwisko tej polskiej Mrs Simpson przed wojną często pojawiało się w nagłówkach prasy bulwarowej. Niegdyś przyjechała do Drohobycza jako sekretarka majątnego żydowskiego przedsiębiorcy Suchestowa, który w końcu ją poślubił. Mężczyzna był o wiele starszy od swojej żony i tak bardzo uległ urokowi młodej kobiety, że spełniał wszystkie jej zachcianki, zanim jeszcze ta zdołała wyrazić swoje życzenie. Finansował między innymi jej podróże na Riwierę, gdzie pani Suchestow poznała hrabiego Radziwiłła, człowieka słynącego z rozrzutności i słabości do hazardu. Gdy rodzina zamroziła hrabiemu konta bankowe, ten stał się utrzymankiem Jeannette, która wyłudzała dla niego pieniądze od swego męża. Ostatecznie kobieta wróciła do Drohobycza, a Suchestow wybaczył jej wszystko. Jednak już wkrótce spadło na niego nieszczęście. W 1939 roku do Drohobycza wkroczyli sowieccy żołnierze, przedsiębiorca został wywłaszczony ze swojego majątku, a następnie, jako „wróg klasowy”, wydany z miasta. Tymczasem Jeannette mogła pozostać. Utrzymywała się ze śpiewu. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do miasta latem 1941 roku została sekretarką dyrektora rafinerii Höchstmann. Ta posada przez długi czas chroniła ją przed deportacją na pewną śmierć lub do któregoś z obozów.

Urodzony w 1936 roku polsko-żydowski pisarz Henryk Grynberg wspomina w swojej książce *Drohobycz, Drohobycz* pierwsze chwile spędzone przez Jeannette Suchestow w Płaszowie. Na kobietę miał już czekać na peronie naczelny lekarz obozowy doktor Blancke. Kochanek głównej nadzorki Elsy Ehrich był najwidoczniej zafascynowany galicyjską sławą. „Gdzie jest ta zwariowana Żydówka Jeannette Suchestow?” -z takim pytaniem miał się zwrócić do gromady Żydów z Drohobycza. Gdy przerażona Jeannette wystąpiła z szeregu, Blancke powiedział do niej protekcyjnym tonem: „Jesteś moją sekretarką!”

Także w Płaszowie Suchestow była określana przezwiskiem Pani Hrabina. Nawet wtedy, gdy kapo, chcąc ją upokorzyć, kazali jej wozic gnój, Jeannette potrafiła zachować godność, pokazując wielką klasę. Bez słowa sprzeciwu załadowała taczkę cuchnącym ładunkiem i pchając ją przed sobą załadowaną po brzegi, przeszła obok nich „z wysoko podniesioną głową”. Mężczyznom zrzędyły miny. Tak wspomina to zajście Halina Nelken. Po jakimś czasie doktor Blancke rzeczywiście sprowadził Suchestow do szpitala obozowego. Kobieta nie pracowała jednak jako jego sekretarka, jak by to wynikało z chępliwej zapowiedzi lekarza, lecz, podobnie jak Halina Nelken, była służącą.

Na początku wiosny 1944 roku, gdy dni znów stawały się coraz dłuższe, a przez poszarzałe błoto wokół baraków zaczęła przebijać się delikatna warstwa zieleni, Lola Sternlicht poważnie zachorowała. Kobieta musiała zostać przeniesiona do szpitala. Helen, Sydel i Bronia widziały się wówczas z matką ostatni raz. Lola zmarła po mniej więcej dwóch tygodniach. Wieść o jej śmierci wkrótce dotarła do Willi Götha. Helen, której tę smutną wiadomość przekazała Ruth Kalder, wybuchnęła płaczem. Tymczasem o śmierci Loli Sternlicht dowiedział się, także z ust Majoli, komendant Göth. Ku zaskoczeniu wszystkich wyjątkowo zdobył się na gest współczucia. Poszedł do kuchni, w której siedziała zalewająca się łzami Helen, i powiedział do niej następujące słowa: „Susanna, słyszałem, że twoja matka umarła. Wiem, jak to jest, gdy komuś umiera matka. Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie możesz znaleźć”. Była to obietnica, do której Helen miała jeszcze powrócić w przyszłości.

W Płaszowie ciała zmarłych więźniów były z reguły palone. Jednak Adasiowi Sztabowi udało się wykraść zwłoki Loli z rewiru szpitalnego i pochować w pobliżu pewnego wzgórza. Na szyi zmarłej Adaś Sztab zawiesił butelkę, w której umieścił kartkę z jej danymi. Następnie

odmierzył krokami odległość między miejscem pochówku a najbardziej rzucającym się w oczy elementem krajobrazu. Córki Loli dokładnie zapamiętały dane przekazane im przez Adasia. Gdy Helen i Sydel po wojnie przybyły ponownie do Płaszowa, by poszukać grobu swej matki nie mogły jednak znaleźć miejsca pochówku.

28 kwietnia 1944 roku Oskar Schindler obchodził swoje trzydzieste szóste urodziny. Z tej okazji Herman Rosner poprosił Götha o zgodę na to, by muzyk mógł zaśpiewać szacownemu dyrektorowi „Emalii” serenadę. Komendant przystał na propozycję Rosnera, który w towarzystwie ukraińskiego strażnika Iwana, znanego nie tylko z bestialskiego okrucieństwa, lecz także z nadzwyczajnego głosu, udał się do biura Schindlera. Występ duetu bardzo się spodobał Oskarowi, który poczęstował

Iwana alkoholem. Ten szybko się upił, a następnie opuścił biuro. Była to dla Rosnera doskonała okazja, by porozmawiać w cztery oczy z człowiekiem, w którym pokładał tak wielkie nadzieje. Schindler nie ukrywał przed swoim rozmówcą, że sytuacja na froncie wschodnim jest krytyczna i że wkrótce trzeba będzie zamknąć „Emalię”. W Oskarze coraz bardziej narastała fala wściekłości i właśnie chciał rzucić krzesłem w wiszący na ścianie portret Hitlera, gdy krzesło pękło mu w rękach. W każdym razie Herman Rosner wyszedł ze spotkania z Schindlerem bardzo zadowolony. Nie tylko udało mu się pogłębić już i tak dobre relacje z niemieckim fabrykantem, lecz także mógł być pewien, że ten nie opuści jego rodziny w potrzebie.

XXII. "Odpowiednia praca dla każdego"

W marcu 1944 roku oddziały Wehrmachtu wkroczyły na Węgry.

„Regent” Miklós Horthy, który niegdyś, jako żołnierz armii cesarsko-królewskiej, składał przysięgę na wierność ostatniemu habsburskiemu cesarzowi Karolowi I, rzucił setki tysięcy węgierskich Żydów w tryby maszyny śmierci obsługiwanej przez *Sondereinsatzkommando* (specjalną jednostkę zarządzającą operacją eksterminacji węgierskich Żydów) Eichmanna. Nie wszystkie jednak „transporty” kierowano do obozów zagłady. Część węgierskich Żydów zamierzano wykorzystać do niewolniczej pracy. I tak w drugiej połowie kwietnia SS-*Obersturmführer* Gerhard Maurer z Urzędu II, wchodzącego w skład Grupy Urzędów D przy WVHA, wystosował pismo, przesłane dalekopisem do wszystkich komendantów obozów koncentracyjnych, z zapytaniem, ilu węgierskich Żydów byłoby w stanie przyjąć do czasu ukończenia prac budowlanych przy wznoszeniu nowych obozów w pobliżu zakładów zbrojeniowych. Göth, który jak zwykle chciał zaimponować berlińskim urzędnikom, zadeklarował gotowość przyjęcia ośmiu tysięcy Żydów. Potrzebował jednak zezwolenia na podwójne obłożenie pryczy. Więźniowie mieli pracować na dwie zmiany - w ten sposób pracujący na zmianę dzienną mogliby dzielić prycze z tymi pracującymi na nocną zmianę. Maurer odrzucił jednak propozycję Götha, powołując się na zastrzeżenia, jakie zgłosili inspektorzy sanitarni z Urzędu III, którzy obawiali się, iż podwójne obłożenie pryczy mogłoby doprowadzić w lecie do wybuchu epidemii.

Göth nie dawał jednak za wygraną. W jego głowie zaczął się rodzić szatański plan. Wysłał kolejne pismo do Berlina-Oranienburga, w którym przedstawił nową propozycję. Tym razem pisał, iż mógłby przyjąć sześć tysięcy węgierskich Żydów, jeśli tylko zezwolono by mu na wysłanie wszystkich nie w pełni zdolnych do pracy więźniów płaszowskiego obozu do Oświęcimia na *Sonderbehandlung* (specjalne potraktowanie). Odpowiedź Maurera, zawierająca zgodę na przeprowadzenie tego morderczego planu, nadeszła niemal natychmiast. Komendantura obozu zagłady w Oświęcimiu zaczęła się więc przygotowywać na przyjęcie „transportów” z Płaszowa.

7 maja 1944 roku, w niedzielę, Göth kazał się stawić wszystkim więźniom osadzonym w obozie na „apel zdrowotny”. Niepokojąco brzmiało motto tego dnia: „Odpowiednia praca dla każdego”. Kobiety i mężczyźni zbrali się na dwóch odrębnych placach, bo mimo że na dworze było przejmująco zimno, wszyscy więźniowie musieli się rozebrać do naga. „Komisja” zajęła miejsce przy rządzie długich stołów. W jej skład wchodził prominentni siepacze Götha, naczelny lekarz obozowy Max Blancke i jego zastępca - jeden z sanitariuszy z

SS-Aufseherinnen przygotowały notatniki do zapisywania wszelkich uwag. Na apelu brakowało jednego więźnia. Był nim Mietek Pemper. Cała sprawa związana z apelem od samego początku wydawała mu się podejrzana. Swoimi wątpliwościami podzielił się nawet poprzedniego dnia wieczorem z Itzhakiem i Natanem Sternami. Pemper uzyskał od komendanta zgodę na niestawienie się na apel. I to właśnie stenograf komendanta dowiedział się dwa tygodnie później z korespondencji Götha, co było powodem przeprowadzenia tej „akcji”.

Więźniów szykanowano wówczas w szczególny sposób. Kobietom kazano się rozebrać do naga. Następnie, trzęsąc się z zimna, musiały się ustawić w szeregu. Każda z nich miała pokonać swego rodzaju tor przeszkód. W tym celu na placu apelowym wykopano wcześniej dołki, przez które musiały teraz przeskakiwać więźniarki. Był to cyniczny „test sprawnościowy”, od którego wyniku zależało ich życie. Każda kobieta, która wpadła do dołka, była natychmiast zapisywana na listę osób mających odbyć w najbliższym czasie „podróż” do komór gazowych w Oświęcimiu. Wśród tych, które się potknęły i nie zdały testu, była także Estera Goldfinger. Kobieta nie tylko była krótkowidzem, lecz także brakowało jej skoczności z powodu wieku. Skrupulatnie notujący mężczyźni w mundurach i białych kitlach nie znali jednak litości - jej nazwisko znalazło się na liście osób przeznaczonych do transportu.

Tydzień później, 14 maja 1944 roku, trąbka Wilusia Rosnera znów wezwała więźniów na apel. Zapowiadał się słoneczny, ciepły dzień. Esesmani kordonem obstawili plac, było ich więcej niż kiedykolwiek do tej pory. Wszyscy zastanawiali się, co też Göth może knuć tym razem. Wszędzie słychać było szepty, przypuszczenia i plotki obiegiły szeregi więźniów. Obawiano się nowych „likwidacji” - strażnicy SS stali z odbezpieczoną bronią. Nawet sam Wilek Chilowicz zdawał się nie znać powodów tej akcji.

Okazało się, że wszyscy osadzeni w obozie więźniowie stawili się na apel, nikogo nie brakowało. Obecni byli także pomocnicy kapo i ode-mani, nadzorcynie oraz obozowi „dostojnicy”. Po długim oczekiwaniu wreszcie na placu pojawił się i sam Amon Göth wraz ze swoimi psami i świtą: *SS-Standartenführerem* Mullerem, *rem* Landstorferem, Hujarem i innymi. Panowie w wypolerowanych na połysk butach zasiedli na przygotowanych dla nich ławkach. Otaczała ich armia więźniów.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem, przystąpiono do odliczania. Następnie zostały wyczytane nazwiska tych więźniów, którzy mogli się udać do pracy. Padło wtedy także nazwisko Geny Goldfinger. Tymczasem jej matka musiała zostać na placu apelowym. Gena wiedziała, że bez matki u swego boku nie warto w ogóle żyć. Gdy więc w drodze do szwalni zobaczyła jednego z głównych lekarzy pracujących w szpitalu obozowym, postanowiła postawić wszystko na jedną kartę, narażając tym samym także własne życie. Ruszyła w kierunku lekarza, a następnie zwróciła się do niego najlepszą niemiecką, na jaką tylko było ją stać: „Widzi pan - mam tylko jedną matkę. Proszę, niech ją pan uratuje! Ona jest jeszcze młodą kobietą i pracuje bardzo ciężko!”. Zdumiony śmiałością młodej Żydówki i jej bardzo dobrą niemiecką, mężczyzna odrzekł, że ostateczna decyzja w tej sprawie leży w gestii komendanta, a on sam nie może jej pomóc. Następnie kazał kobiecie wracać do pracy.

Tymczasem na głównej ulicy prowadzącej do obozu pojawiły się dwie ciężarówki. Z samochodów zrzucono plandeki. Przygotowano podium, na które wszedł teraz Göth, by wygłosić mowę do więźniów. Na placu zapanowała dojmująca cisza, przerwana nagle przez odgłos kroków. Nikt z więźniów nie odważył się odwrócić głowy, jednakże po chwili wszyscy zrozumieli, co się święci. Na plac apelowy przybyły dzieci z *Kinder-hausu*, które maszerowały wraz ze swoim tatele Kochem, by w końcu ustawić się w szeregach przed Göthem i jego ludźmi. Tatele Koch zdał raport, po czym przekazał listę z nazwiskami dzieci komendantowi. Ten nie raczył nawet na nią spojrzeć, tylko rzucił ją po prostu na ławkę. Skinął swoją szpicrutą w stronę kierowców ciężarówek, dając im znak, by podjechali samochodami do dzieci. Mężczyźni zeskoczyli z pak ciężarówek, a następnie ściągnęli plandeki.

Dzieci, które do tej pory stały bez ruchu, sparaliżowane strachem, zaczęły teraz krzyczeć, daremnie prosząc, aby pozwolono im zostać w obozie: „Mamo! Mamusiu! Tato! Tatusiu! Pomóżcie nam! Ja nie chcę, boję się, zabierzcie mnie stąd!”. Bez cienia litości mężczyźni popędzili dzieci do ciężarówek, tymczasem bezradni rodzice musieli przyglądać się tej scenie, łkając z rozpacz. Pewne małe dziecko usiłowało uciec na czworakach. Jedna z nadzorczyń *SS-Aufseherin* zaczęła je bić pejczem, następnie chwyciła za rączki i wrzuciła niczym worek na pakę ciężarówki. Żydówka, która przybyła do Płaszowa z tarnowskiego getta, Erna Landau padła przed Göthem na kolana, błagając go, by pozwolił jej pojechać z dzieckiem. Ten pozostał jednak niewzruszony.

Ojcowie i matki wyli z bólu. Nagle ze szczekaczek rozbrzmiała muzyka, walc *Mama, komm zuruck!* (Mamo, wróć, proszę!). Z relacji jednego ze świadków - Normana Kamelgarda - dowiadujemy się, iż jedna z matek w akcji rozpacz z powodu utraty dziecka podcięła sobie żyły i zmarła jeszcze na placu apelowym.

Tymczasem chorych i starych ludzi prowadzono już do podstawionych na dworcu w Płaszowie wagonów, które miały ich następnie zawieźć bezpośrednio do komór gazowych w Oświęcimiu. W grupie tych ludzi był także Moses Ferderber, mąż Berthy Ferderber-Salz. Przyczyną jego zguby były ropiejące wrzody pokrywające całe ciało. Mężczyzna nie mógł tego

faktu ukryć przed oczami przeprowadzającego „selekcję” doktora Blanckiego - morderca w białym kitlu przeznaczył go na śmierć. Od tego momentu Moses co noc, w trakcie długich rozmów, żegnał się ze swoją żoną, pocieszał ją i podnosił na duchu: „Musisz żyć! - powtarzał jej nieustannie. - Musisz mi obiecać, że wszystkimi swoimi siłami będziesz walczyć o swoje życie. Dziewczynki czekają na twój powrót z obozu”. Obie córki małżeństwa Ferderberów, zaopatrzone w fałszywe „aryjskie” papiery, ukrywały się u pewnej polskiej rodziny. Daremnie Bertha starała się jeszcze dodać mężowi otuchy -Mosesa dopadła rezygnacja. Był przekonany, że nie może ująć swojemu przeznaczeniu.

W tym samym czasie ze swoim ojcem Mendlem żegnał się także Aleksander Białywłós. Przyniósł ojcu nieduży kawałek chleba - było to wszystko, co posiadał. Podarowany Mendlowi chleb miał sprawić, by nie tracił on nadziei, nawet w Oświęcimiu. Tymczasem Mendel Białywłós, pięćdziesięciodwuletni szklarz, odmówił przyjęcia prezentu. „Zatrzymaj chleb dla siebie - powiedział synowi - ja już go nie potrzebuję. Nie chcę już dłużej żyć. Straciłem wszystko i nawet gdyby dano mi jeszcze przeżyć dziesięć następnych lat, cóż by to było za życie?”. Po chwili, używając słów zaczerpniętych z języka polskiego i jidysz, przykazał synowi: „Bądź menschem!” - było to ostatnie zdanie, jakie Aleksander usłyszał z ust swego ojca. Długo przechowywał je w pamięci, strzegąc niczym skarbu. Szesnastoletniemu chłopcu łzy pocięły po policzkach, gdy popatrzył w stronę ojca. Ich spojrzenia spotkały się po raz ostatni. Aleksander, najstarszy syn pochodzących z Krosna Mendla i Lea Białywłósów, ostatni żyjący jeszcze członek rodziny, pozostał w Płaszowie sam.

Do pociągu śmierci jadącego do Oświęcimia musiała wsiąść także matka Chaima Spielmana ze Skawiny. Oboje jej wnucząt, które w marcu 1943 roku Chaim wraz z jednym z braci przemycił w skrzynce z getta do obozu, znajdowało się już na ciężarówkach, ruszających właśnie w kierunku bramy obozu. Zrozpaczone, wyciągały rączki, jakby błagały o pomoc. Cierpienia matek nie sposób wręcz opisać. Kobiety rzucały się na ziemię, wyrwały sobie włosy z głowy, inne podczołgiwały się do ławki, na której siedział Göth. Wtedy nadzorczyńie, okładając je bez litości pejcami, zapędzały z powrotem na miejsca. Komendant zachowywał się tak, jakby rozgrywane się na jego oczach przerażające sceny nie robiły na nim żadnego wrażenia. Wydawał się prawie znudzony. Wreszcie wraz ze swoimi towarzyszami wstał z ławki, poszedł do swojego samochodu i odjechał.

Ponieważ nie wydano jeszcze więźniom rozkazu, żeby się rozeszli, kilka kobiet podeszło do esesmanów, prosząc ich, żeby ci rozstrzelali je na miejscu. Nadzorczyńie kopały je, szarpały za włosy i pejcami zapędzały z powrotem do szeregów. Wciąż jeszcze rozbrzmiewała muzyka. Tymczasem słońce zaczęło prażyć, a więźniowie musieli jeszcze przez kilka godzin stać na placu apelowym, nie otrzymując nawet łyka wody do picia. Jeden z ojców - Ignacy Kleiner - oszalał z bólu i rozpacz -jego synek Marek został wywieziony wraz z innymi dziećmi. Mężczyzna śmiał się bez przerwy, mimo że kapo bili go bez chwili wytchnienia. Dopiero gdy zapadł zmrok, więźniowie mogli wrócić do swoich baraków.

Tutaj czekała ich niespodzianka - około dwadzieściora dzieci, głównie z rodzin odemanów, przeżyło „akcję”. Niektóre z nich ukryły się w stertach śmieci, dwoje - w latrynie. Byli to dziesięcioletni Jerzyk Spira oraz Juliusz Cinz, którzy w ostatniej chwili zostali wyciągnięci przez kapo z masy odchodów, bo już niebawem groziło im uduszenie. Ponieważ żadna z nadzorczyń nie była w stanie zbliżyć się do paskudnie cuchnących dzieci, zaopiekowano się nimi na miejscu - chłopcy musieli tu spędzić całą noc, dopiero później można było ich przemycić do szpitala, gdzie byli w miarę bezpieczni. Esesmani i ich poplecznicy panicznie bali się zarażenia i dlatego omijali to miejsce szerokim łukiem, gdy tylko było to możliwe.

Nikt też nie zauważył nawet, iż zdecydowana na wszystko Erna Lan-dau również uratowała swoją córkę. Jakimś sposobem udało jej się niepostrzeżenie wydostać dziecko z pięcioosobowego szeregu, by następnie zniknąć wraz z nim w jednym z baraków należących do szwalni Madri-tscha. Ukrywała się tu przez cały dzień, po czym wróciła na swoje miejsce i do swojej brygady, zmieniła córce imię i pracowała dalej.

Tymczasem pracująca w szwalni Gena Goldfinger przez cały dzień nie mogła się

skoncentrować na pracy. Ciągłe myślała o swojej matce i o straszliwym losie, jaki ją czekał. Jednak i tym razem los się odwrócił. Gdy Gena skończyła o siódmej wieczorem pracę, czekała już na nią pewna znajoma. Ta powiedziała Genie, że jej matka Estera Goldfinger żyje i że pracuje na nocną zmianę. Dziewczyna ledwie była w stanie zrozumieć radosną wiadomość. Nie zwlekając ani chwili dłużej, udała się do hali fabrycznej na spotkanie z matką. Po raz kolejny szczęście uśmiechnęło się do kobiet z rodziny Goldfingerów - ale jak długo jeszcze miało im sprzyjać?

We wspomnianą majową niedzielę do Oświęcimia wywieziono około tysiąca czterystu starych i chorych więźniów. Wśród deportowanych było też dwieście osiemdziesięcioro sześcioro dzieci. Po południu Göth przekazał telegraficznie dokładne liczby do Oświęcimia. Nie ulega wątpliwości, że był to masowy mord, który płaszowski komendant przeprowadził wyłącznie z własnej inicjatywy, nikt bowiem wówczas nie wydał mu stosownego rozkazu.

Jednak w tym dniu miały jeszcze miejsce inne przerażające wydarzenia. O zachodzie słońca sygnał trąbki jeszcze raz przeszył obozową ciszę, wzywając wszystkich więźniów na kolejny apel. Kapo i nad-zorczyńce ponownie pędzili nieszczęśników na plac apelowy, znowu trzeba się było ustawić w szeregach, znów w kierunku więźniów nadciągali strażnicy SS. Wszyscy spekulowali na temat nowego transportu. Wkrótce stało się jasne, że Göth, zarządzając drugi z rzędu apel, chciał zapewnić swoim siepaczom nieco „rozrywki” na wieczór. Tym razem ofiarą cynicznej zabawy padli pacjenci obozowego szpitala, przyprowadzeni na plac apelowy przez kierownika strefy dla chorych doktora Grossa. Ci, którzy byli jeszcze w stanie chodzić o własnych siłach, nieśli na noszach ciężko chorych i kaleki. Naczelny lekarz obozowy doktor Blancke przyjechał na miejsce samochodem. Po chwili na placu pojawili się także podchmieleni, trzymający pejczy w rękach Hujar, Landstorfer, Muller i kilku kapo. Przymaszerowało również uzbrojone w karabiny *Spezialkommando*. Doktor Gross, przekazawszy oficerom SS listę z nazwiskami chorych więźniów, opuścił plac apelowy. Tymczasem esesmani ze *Spezialkommanda* popędzili więźniów, także tych, którzy ledwo szli, na Hujową Górkę, okładając ich pejczami i kolbami swoich karabinów.

Mordercy zachowywali się tak, jakby wręcz nie mogli się już doczekać zabijania. Jeszcze w drodze na wzgórze otworzyli ogień do ludzi niesionych na noszach. Tych, którym udało się dotrzeć na miejsce kaźni, rozstrzeliwano indywidualnie. Ostatecznie każdy ze zgrai chciał oddać strzał.

Pozostali więźniowie, stojąc na placu apelowym, zaczęli się modlić za swoich towarzyszy, którzy właśnie rozstawali się z życiem. Kapo w milczeniu przyglądali się modlącym, zapewne przez wzgląd na respekt, jaki odczuwali względem czcigodnego rytuału wiary - doskonale zdawali sobie sprawę, że nikt i nic nie może już pomóc ofiarom na Hujowej Górze. Dopiero gdy wybrzmiały ostatnie strzały, więźniowie mogli się rozejść i wrócić do swoich baraków.

Gdy Norman Kamelgard kładł się tego wieczoru do snu na swojej pryczy, przed oczami stanął mu obraz wywożonych z obozu dzieci stłoczonych na pakach ciężarówek. Także on się modlił. Miał jeszcze nadzieję, że jego modlitwa zostanie wysłuchana przez Boga. Łudził się, że Bóg obserwując bestialstwo Niemców i znając ich plany wyniszczenia Żydów, sprawi, iż nadejdzie kiedyś taki dzień, że Żydzi na całym świecie powstaną przeciwko władzy nazistów. Norman wiedział, że jeśli chce przeżyć, musi się kurczowo trzymać tej ostatniej nadziei. Gdy zasypiał, wciąż płakał.

Prawie każdego dnia ludzie byli prowadzeni na Hujową Górkę, gdzie ich rozstrzeliwano. Byli przywożeni przez Gestapo z więzienia przy ulicy Montelupich. Więźniów, zazwyczaj z rękami związanymi drutem, prowadzono na brzeg dołu w okolicach dawnych stanowisk artyleryjskich, gdzie musieli usiąść. Wtedy jeden z funkcjonariuszy Gestapo szukał „odpowiedniego” miejsca kaźni. Po chwili przyprowadzał tu jedną z ofiar, zdejmował jej drucziane więzy z rąk. Mierząc pistoletem w więźnia, gestapowiec kazał mu się rozebrać do naga i starannie ułożyć ściągnięte ubrania. Sama egzekucja trwała zaledwie kilka sekund.

Wybrana ofiara musiała uklęknąć na krawędzi dołu przed funkcjonariuszem, który brał ją na cel, by następnie uśmiercić strzałem w potylicę. Dla przeznaczonych na śmierć towarzyszy nieszczęśnika odgłos pierwszego strzału był sygnałem, że nadeszła pora, by się ze sobą pożegnać. Trzeba się było spieszyć. W każdej chwili siepacz z Gestapo, przeważnie „referent” w cywilu, mógł wrócić, by odprowadzić na miejsce egzekucji kolejną ofiarę.

Odłożone przez ofiary ubrania Gestapo zabierało ze sobą, chyba że były to jakieś tanie łachmany, w takich wypadkach rzeczy pozostawały na miejscu. Wtedy do akcji wkraczała składająca się z trzech lub czterech żydowskich więźniów brygada usuwająca zwłoki. Przynosili oni ze sobą stare drewniane pale, z których konstruowali w dole coś na kształt rusztowania, na którym kładli zwłoki pomordowanych, po czym przystępowali do kontroli uzębienia. Znalezione ewentualnie złote zęby były wrywane obcęgami z ust zabitych więźniów. Była to swego rodzaju krwawa danina dla Götha, który w zamian za „świadczony usługi” - udostępnianie miejsca straceń wraz z „infrastrukturą” - chciał zatrzymać dla siebie odpowiednią część zysków. Po przeprowadzeniu oględzin rusztowanie wraz ze zwłokami polewano benzyną i podpalano. Tadeusz Śliwiński podał, że stos ze zwłokami palił się około czterech godzin, a gdy było wilgotno - nawet całą noc.

Nie wszystko trafiało jednak do kieszeni Götha. Zdarzało się, że wyrwane zmarłym, często jeszcze zakrwawione złote zęby, a także monety i inne znalezione przy zwłokach złote przedmioty przywłaszczali sobie esesmani. Niezwłocznie udawali się wówczas do Mordechaja Wulkana, obozowego złotnika, który następnie wykuwał dla nich złote pierścienie. Nierzadko byli oszukiwani przez złotnika, który na przykład otrzymywał od nich dwudziestodwukaratowe złoto, a zwracał im ośmiokaratowy pierścień. Wulkan zeznał później, iż oszukiwanie esesmanów sprawiało mu nie lada przyjemność. Wydaje się to nawet zrozumiałe, zważywszy na to, iż Mordechaj stracił w trakcie „akcji”, która miała miejsce 14 maja, swojego pięcioletniego syna oraz ojca Dawida.

Świadkiem jednej z egzekucji przeprowadzonych przez Gestapo na Hujowej Górze była Stella Muller. Z baraku, w którym wtedy pracowała, widziała wyskakujące z ciężarówki ofiary, którym zaklejono usta lepcem. Wszyscy więźniowie musieli się rozebrać do naga, starannie ułożyć swoje ubrania, a następnie ustawić się przed wykopanym dołem. Stella obserwowała wówczas dwoje dzieci, rodzeństwo, mniej więcej dwunastoletniego chłopca i jego siostrzyczkę. Dziewczynka nie miała więcej niż cztery lata. Starszy brat zatroszczył się o swoją siostrzyczkę także w chwili śmierci. Szybko się rozebrał, by pomóc i jej to uczynić. Oczekując na śmiertelne strzały, objął ją ramionami i mocno przycisnął do siebie. „Zadaję sobie pytanie, czy ci ludzie, bo w końcu są przecież ludźmi - mają głowy, ręce, nogi - mają własne rodziny. Czy są zdolni do cierpienia, do kochania, do odczuwania strachu? I prawdopodobnie nie dożyję już dnia, w którym ktoś mógłby mi odpowiedzieć na to pytanie. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego oni nas - bezbronych więźniów - tak strasznie nienawidzą. Nieustannie staje mi przed oczami obraz chłopca trzymającego małą w ramionach. Cała przemieniam się w niemy krzyk skargi, w bezgłośny, suchy płacz, bo płakać nam tu też nie wolno”.

Piętnastoletnia wówczas Stella Muller niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko „strzelać, zabić choćby jednego Niemca”.

XXIII. "Wszyscy naziści mogą mnie pocałować!"

W połowie czerwca 1944 roku sytuacja militarna „Wielkich Nie miec” uległa jeszcze znacznieszemu pogorszeniu. Podczas gdy w Normandii Niemcy musiały odpiierać ofensywę zachodnich aliantów, na Wschodzie Wehrmacht znajdował się na całej linii frontu w odwrocie. Generał Wilhelm Koppe, wyższy dowódca SS i policji „Wschód”, pełniący jednocześnie funkcję sekretarza stanu do spraw bezpieczeństwa w rządzie Generalnego Gubernatorstwa, zlecił Göthowi opracowanie planu bezpieczeństwa dla KL Płaszów. Należało uwzględnić kilka scenariuszy wydarzeń, które napawały niepokojem. Jeden z nich przewidywał zaatakowanie obozu przez polskich partyzantów. Liczono się także z możliwością wybuchu powstania więźniów w samym obozie. Göth poszedł na łatwiznę - kazał sobie przesłać odpowiednie „plany awaryjne i obronne” z dwóch innych obozów koncentracyjnych. Wtedy też komendant popełnił kardynalny błąd - przekazał plany, które były objęte klauzulą ścisłej poufności, Mietkowi Pemperowi. Stenograf miał je zaadaptować do płaszowskich warunków. Powstała zatem paradoksalna sytuacja, w której żydowski więzień, nie mając pojęcia o technikach wojskowych i bezpieczeństwa, musiał przygotować tajny plan na wypadek, gdyby doszło do najgorszego scenariusza. Wprawdzie komendant surowo zakazał swojemu stenografowi rozprowadzania szczegółów dotyczących planu, jednak nie wszystko udało się utrzymać w tajemnicy. I tak na przykład pewnego dnia *SS-Hauptscharführer* Lorenz Lands-torfer zastał Pempera przy pracy nad tajnymi planami. Mietek obawiał się, że ten przypadkowo wtajemniczony esesman mógłby swoją wiedzą ściągnąć na Götha jakieś niebezpieczeństwo. Na szczęście Landstorfer, prosty człowiek z bawarskiej wioski, był wyjątkowo lojalnym podkomendnym, całkowicie oddanym swojemu przełożonemu.

Tymczasem Göth, który starał się przede wszystkim zabezpieczyć własne interesy, niewiele sobie robił z nadchodzących z Berlina sloganów i rozkazów. Myślał o własnej kiesie i o tym, żeby przeżyć wojnę. Już dawno pojął, że idee, którymi się niegdyś zachwycił, stały się pustymi frazesami. „Wszyscy ci naziści mogą mnie pocałować!” - zwykł w owym czasie mawiać do Ruth Irene Kalder. Chodziło mu wyłącznie o przyjęcie odpowiedniej strategii przetrwania i o zabezpieczenie swojej przyszłości. Był zdeterminowany, by wykorzystać w tym celu swoją słabnącą już pozycję komendanta. Zamierzał zainwestować wojenne łupy w pewne interesy. Rozważał nabycie posiadłości ziemskich lub banku. Mietkowi Pemperowi zlecił sporządzenie katalogu pytań przydatnych w czasie negocjacji handlowych, a nawet zasięgnął rady u mieszkającego w Wiedniu ojca. Jak zeznał później Pemper, z konsultacji tych uzbierała się pokaźna korespondencja, która we wrześniu 1944 roku dostała się w ręce sędziego śledczego SS.

Rozpustny tryb życia zaczął się mścić na komendancie, nękanym teraz przez problemy zdrowotne. Doktor Gross przepisywał mu morfinę, której pacjent potrzebował z czasem coraz częściej i w coraz większych ilościach. Ponadto nasiliły się objawy cukrzycy. Powracające raz za razem stany ogólnego wyczerpania rzucały się cieniem na obowiązki komendanta, który często był zmuszony odpoczywać.

Rozpoczęła się akcja „likwidacji” ostatnich obozów pracy położonych na wschód od Krakowa. Pod koniec czerwca 1944 roku Göth udał się wraz z Albertem Hujarem i kilkoma innymi oficerami SS do Mielca. Osadzonym tam więźniom został wydany rozkaz likwidacji obozu w ciągu dwóch godzin. Maszyny z hal montażowych zakładów Hein-kla były już rozebrane na części. Zostały przewiezione wraz z pracownikami do obozu zewnętrznego w Wieliczce. W miejscowej kopalni soli, położonej w odległości niespełna dwudziestu kilometrów od Płaszowa, miała powstać budowana naprędce podziemna fabryka samolotów. To ambitne przedsięwzięcie było aktem rozpacz, zważywszy na to, iż front zbliżał się w szybkim tempie. Dobrze zorganizowani członkowie działającej w polskim podziemiu Armii Krajowej coraz śmiej poczynali sobie w walce niemieckimi okupantami. 11 lipca 1944 roku członkowie batalionu „Parasol” pod dowództwem Stanisława Leopolda „Rafała” i Stanisława Huskowskiego „Alego” zorganizowali zamach na Wilhelma Koppego, który został wcześniej skazany przez Polskie Państwo Podziemne na karę śmierci. „Akcja Koppe”, przeprowadzona na placu Kossaka

w Krakowie, mimo że precyzyjnie przygotowana, nie powiodła się. Mercedes generała Koppego wy dostał się spod gradu kul wystrzelonych przez Polaków. Niedo szła ofiara zamachu została tylko raniona. Zamachowcy, zatrzymani przez jednostki policji i Wehrmachtu w trakcie ucieczki na północ, ponieśli ciężkie straty.

Torturowanie zupą

Nastał nowy letni dzień. Bertha Ferderber wracała właśnie po ciężko przepracowanej nocy wraz ze swoimi towarzyszkami niedoli ze szwalni do baraku. Wiedziała, że jej mąż nie żyje. Wciąż jeszcze tęskniła za obojgiem swoich dzieci. Słońce właśnie wschodziło, gdy wyczerpane ciężką pracą kobiety dotarły na plac apelowy. Jedna tylko myśl dodawała im jeszcze siły - zjeść skromną porcję zupy, wyciągnąć się na pryczy i zasnąć. Jednak esesmani przygotowali dla nich jeszcze jedną torturę. Kazali im nosić deski i kamienie tam i z powrotem. Dopiero po zaliczeniu tego bezsensownego zadania kobiety mogły się wreszcie ustawić w kolejce przy kotle z zupą. W grupie Berthy Ferderber była pewna piętnastoletnia dziewczyna, cierpiąca z powodu ciągłego głodu, która biegła właśnie z powrotem na sam początek kolejki osób oczekujących na wydanie zupy. Miała nadzieję, iż po wydaniu porcji wszystkim więźniarkom w kotle zostaną jeszcze resztki strawy. Szybko wychłęptała swoją zupę, by już po chwili czekać niecierpliwie obok kotła z pustą blaszaną miską w ręce na dokładkę. Kobiety tolerowały jej zachowanie, wszystkie dawały biedaczce nieco zupy z własnych porcji.

Nagle pojawił się esesman Willi Staubl, jeden z najgorszych siepaczy Götha. Willi miał około dwudziestu trzech lat. Walcząc na froncie, stracił lewą rękę, dlatego też jeden z rękawów u jego munduru zwisał swobodnie, dyndając w rytm jego kroków. Mężczyzna podszedł do dziewczyny i zapytał ją, dlaczego stoi przy kotle poza kolejką. Ta, nieprzygotowana na takie pytanie, powiedziała po prostu prawdę - czeka na koniec wydawania zupy, licząc na dodatkową porcję. „Mówisz, że chcesz więcej zupy? - zapytał ją Willi. - Dobrze, w takim razie dajcie jej więcej zupy!” - rozkazał osobom wydającym posiłek.

Zaskoczona dziewczyna uniosła swoją miskę i rzeczywiście otrzymała dokładkę. Gdy jednak chciała odejść ze swoim jedzeniem, Willi zaczął nalegać, by zjadła zupę w jego obecności. Po tym jak skończyła jeść dokładkę, esesman kazał jeszcze raz napełnić zupą jej miskę. Gdy młoda kobieta zjadła kolejną porcję, podziękowała Willemu, twierdząc, że jest już syta.

Wtedy wszelka życzliwość nagle zniknęła z twarzy Willego. Prawą ręką esesman odepchnął od kotła kobiety czekające jeszcze w kolejce na swoją porcję zupy, oznajmiając: „Nie ma już zupy dla was. Resztę zje ona!” Zupełnie zmieszana dziewczyna musiała ponownie podstawić swoją miskę, by przyjąć czwartą, a później i piątą porcję. Willi pochylił się nad kotłem i upewniwszy się, że w środku jest jeszcze zupa, warknął na wijącą się już z bólu nieszczęśnicę: „Zjedz wszystko!”. Ponieważ ofiara esesmana nie nawykła do spożywania tak dużych ilości jedzenia, zaczęła wkrótce wymiotować. Padła na ziemię, błagając Willego, żeby położył kres jej cierpieniom i zastrzelił ją. Ten, mimo iż zazwyczaj bardzo chętnie robił użytek ze swojego pistoletu, nie zamierzał jednak wyświadczać dziewczynie tej przysługi. Wręcz przeciwnie - chciał się delectować torturowaniem swojej ofiary aż do samego końca. Wezwał więc dwóch kapo i rozkazał im wlać resztę zupy z kotła do gardła dziewczyny przy użyciu siły.

Dopiero gdy dziewczyna była już bliska śmierci, Willi zostawił nieszczęśnicę w spokoju, pogardliwie się uśmiechając. Do stojących w pobliżu kobiet wykrzyczał: „Teraz już wiecie, jak karmimy kreatury, które nie są zadowolone z tego, co mają, i chcą jeszcze okraść z jedzenia swoich towarzyszy!”

Ponad dwadzieścia kobiet z grupy Berthy Ferderber w ogóle nie dostało tego letniego poranka zupy. Mimo to nie opuściły w potrzebie na wpół żywej dziewczyny. Zaniósły ją do baraku, gdzie cierpliwie i z oddaniem pielęgnowały nieszczęśnicę do czasu, aż ozdrowiała. Tej młodej kobiecie, która jeszcze długi czas dochodziła do siebie, udało się przeżyć pobyt w płaszowskim obozie. Po wojnie spotkała się z Berthą Ferderber w Krakowie.

Kto chce zachować życie, ten je traci

Tymczasem likwidacja obozów na Wschodzie trwała nadal. 24 lipca 1944 roku do Płaszowa przybył transport z Rzeszowa. Byli to żydowscy robotnicy przymusowi pracujący we Flugmotorenwerke Reichshof GmbH, zakładach produkujących silniki dla lotnictwa przekazani wiosną 1944 roku pod zarząd administracyjny komendanta obozu koncentracyjnego w Płaszowie. Reichshof GmbH należało do grupy przedsiębiorstw producenta broni Ernsta Henschela z Kassel. Poza tym w Rzeszowie działała jeszcze jedna firma czerpiąca korzyści z eksploatacji żydowskich robotników przymusowych - Daimler Benz, która miała tu zakłady naprawcze silników dla lotnictwa na froncie.

Tu poddawano przeglądowi i naprawie przede wszystkim silniki messerschmittów, które dostarczano z lotnisk we Lwowie, Wrocławiu, w Poznaniu i Krakowie.

Ponieważ w Rzeszowie słyhać już było odgłosy ognia artyleryjskiego nadciągającego frontu, Göth musiał się spieszyć, zarządził więc ewakuację obozu zewnętrznego. Z tym transportem przybył do Płaszowa trzydziestodwuletni żydowski urzędnik Nacek Reben. Jako zastępca komendanta pracowników firmy Reichshof spędził osiemnaście miesięcy w obozie w Rzeszowie. Do momentu przejęcia zakładów przez SS więźniowie żyli tu w dość znośnych warunkach. Już trzy dni po przybyciu do Płaszowa transport został przekierowany do Mauthausen. Nacek Reben mimo próśb, by pozwolono mu pojechać, został zatrzymany w Płaszowie. Gdy wieczorem zgłosił się u Götha i ponowił swoją prośbę, ten uśmiechnął się tylko do niego głupawo i oznajmił mu: „Dziś zostaniesz rozstrzelany!”. Następnie kazał mu odejść. Reben bezskutecznie starał się odgadnąć intencje komendanta.

Po nieudanej próbie ucieczki dwóch więźniów egzekucję wyznaczono jeszcze na ten sam dzień. Młoda Stella Muller była świadkiem, jak obaj więźniowie, przywiązani do dwóch koni - jednego należącego do Götha, drugiego do Hujara - byli wleczeni po placu apelowym. Jednocześnie psy komendanta doskakiwały do nich, wygryzając im kawałki ciała.

Esesmani dopingowali psy, by te raz po raz rzucały się na tych na wpół żywych nieszczęśników. W końcu zmęczeni tym przerażającym widowiskiem kaci rozstrzelali swoje ofiary. „Nie drżałam, nie miałam czkawki. Chciałam umrzeć. Tutaj jednak nikt nikogo nie pyta, czy chce żyć, czy umrzeć. Kto chce zachować życie, ten je traci - a kto pragnie śmierci, ten musi żyć” - takie refleksje nasunęły się wówczas Stelli Muller.

„Czarnorynkowiec” Wictor

6 sierpnia 1944 roku „transport” z ośmioma tysiącami ludzi wyjechał z Płaszowa do Oświęcimia. W grupie kobiet, które pędzono wtedy do brudnych bydlęcych wagonów, była Regina Steiner, przyjaciółka Wictora Lezerkiewicza, który znalazł w obozie pracę jako elektryk i dzięki temu mógł się po nim całkiem swobodnie poruszać. Pewnego dnia Wictor wymieniał żarówki w biurze SS. Wtedy zwrócił na niego uwagę SS- *Unterscharführer* Franz Simonlehner, który dowodził robotnikami pracującymi w kamieniołomie. Gdy esesman wręczył elektrykowi kilka papierosów, ten początkowo nie chciał ich przyjąć. Jednak Simonlehner, znany z sadystycznych skłonności, obstawał przy swoim. Po kilku dniach okazało się, że w biurze SS trzeba zamontować nowe lampy, i wyraźnie nalegano, by zajął się tym Lezerkiewicz. Ten, ze względu na własne bezpieczeństwo, wziął ze sobą kolegę. Rzeczywiście - intuicja go nie zawiodła. W biurze czekał już na niego Franz Simonlehner. Początkowo wszystko wydawało

się w porządku - Wictor i jego kolega montowali lampy, jednak zanim skończyli pracę, *SS-Unterscharführer* rozkazał pomocnikowi Lezerkiewicza wracać samemu. Gdy Wictor w końcu też chciał wyjść, Simonlehner wcisnął mu do ręki paczkę papierosów i powiedział: „Słuchaj no! Mam jeszcze więcej papierosów i chcę, żebyś je dla mnie sprzedawał. Potrzebuję pieniędzy, żeby móc sobie za nie kupić kilka cennych rzeczy”. Lezerkiewiczowi nie pozostało nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry - sprzedaż papierosów na terenie obozu była uznawana za przestępstwo i każdy, kto został przyłapany na gorącym uczynku, był karany śmiercią. Nie sposób było jednak odmówić, tym bardziej że jego życie i tak już było zagrożone. Tak więc wziął od esesmana pięć paczek papierosów, a był to dopiero początek „interesów”, które przez jakiś czas szły całkiem nieźle. Od czasu do czasu Wictor przychodził do biura Simonlehnera, po czym opuszczał je ze wszystkim, na co tylko w obozie był popyt - dostawał chleb, masło, słodycze, papierosy. Lezerkiewicz stał się „czarnorynkowcem” - co jednak nie okazało się dla niego takie złe. Zawsze mógł się zaopatrzyć w dodatkową żywność.

Pewnego dnia dostał od swojego „wspólnika” dziesięć paczek papierosów. Jak zwykle Wictor płacił od ręki, a papierosy ukrył pod koszulą. Gdy jednak chciał opuścić biuro, *SS-Unterscharführer* chwycił go za rękę i ciągnął do innego pomieszczenia. Lezerkiewicz na początku się opierał, jednak po chwili zaczął się obawiać, że esesman mógłby zacząć do niego strzelać, i dlatego uległ. Simonlehner zaprowadził go do biura *SS-Oberscharführera* Alberta Hujara, wyjaśniając mu też powód ich przyścia - przyprawiony więzień miał handlować nielegalnym towarem, ukrył papierosy pod koszulą. Hujar kazał Wictorowi wyciągnąć koszulę ze spodni - paczki papierosów wysypały się na podłogę. Gdy zapytał więźnia, skąd ma papierosy, ten odpowiedział, że kupił je od Simonlehnera, po czym obaj oficerowie SS jęli na siebie krzyczyć. Chwilę potem opamiętali się i przystąpili do swojej „właściwej pracy”. Zniknęli w pokoju obok, żeby wrócić uzbrojeni w pejczy, którymi zaczęli okładać Wictora. Ten pod naporem otrzymanych razów osunął się na ziemię. Miał złamany nos, a z ust ciekła mu krew. Usłyszał jeszcze, jak jeden z esesmanów powiedział: „Już po nim!”.

Hujar i Simonlehner wezwali kilku odemanów, którym nakazali przenieść na wpół żywego Wictora na Hujową Górkę i spalić jego ciało. Dwóch żydowskich policjantów wywlokło Lezerkiewicza z biura Hujara i wrzuciło go na taczkę. Gdy przewozili go na miejsce kaźni, Wictor oprzytomniał i zaczął mówić. Chciał im pokazać, że jeszcze żyje. Poprosił obu odemanów, żeby go wypuścili, co też ci, dotarłszy na wzgórze ze swym „ładunkiem”, uczynili. Mimo obfitego krwawienia Wictorowi udało się dojść do warsztatu krawieckiego, w którym pracował jego przyjaciel Ted Wilk. Ten wraz z dwoma innymi pracownikami umył

Lezerkiewicza i obandażował mu głowę, tak że mu było widać tylko oczy. Wictor, ciesząc się, że w ogóle udało mu się przeżyć, unikał w czasie dalszego pobytu w obozie wszelkich kontaktów z Simonlehnerem i Hujarem. Lezerkiewicz był także jednym z tych szczęśliwców, którym udało się znaleźć na „liście Schindlera” i przeżyć.

Tymczasem ewakuacja obozu trwała. Dzień później, 7 sierpnia, w poniedziałek, kolejne pociągi odjechały z płaszowskiego dworca - „transport kobiet” do obozu koncentracyjnego w Sztutowie, liczący od czterech do pięciu tysięcy osób, przede wszystkim węgierskich Żydówek, oraz „transport mężczyzn” do Mauthausen. Większość tych więźniów w ciągu ostatnich miesięcy wojny musiała walczyć o przeżycie w obozach zewnętrznych w regionie Muhlviertel: w Ebensee i Gusen I-III, w Linzu i Melku.

Sześć bochenków chleba za ćwierć miliona dolarów...

W aktach Prokuratury Generalnej, numer 345, spoczywających w warszawskim IPN-ie

znajduje się sporządzona w języku angielskim przez doktora Maximiliana Hauptmanna, ocalałego z Holokaustu Żyda z Monachium, notatka dotycząca „SS Captaina Amona Goetha” Hauptmann, który pracował jako statystyk u elektryków, był odpowiedzialny za kontrolowanie zaopatrzenia obozu w energię elektryczną - z tego też powodu cieszył się względnie dużą swobodą poruszania się. Każdego dnia Hauptmann, który sam siebie postrzegał jako „oko i ucho” obozu, przechodził między barakami i warsztatami i prawie nic z tego, co się działo na *Penis Hill* [Hujo-wej Górcie] i *Vulva Valley* [Cipowym Dołku], nie uchodziło jego uwagi.

W swoich wynurzeniach na temat „krwiożerczego psa” Götha Hauptmann przytoczył między innymi historię Żyda Steifa, przyjaciela jego ojca. Gdy kolejny „transport” miał odjechać do Oświęcimia, Steif, stary Żyd, który osiągnął wiele sukcesów w życiu zawodowym, usiłował teraz przeżyć, przekupując strażników. Zgłosił się u Götha, by zaproponować dobicie targu. W zamian za darowanie mu życia oferował komendantowi ukryte klejnoty. Ten natychmiast nadstawił uszu. „Jak wysoka jest przedwojenna wartość twoich diamentów?” - zapytał Steifa. Żyd odpowiedział: „Ćwierć miliona dolarów i nikt poza mną nie wie, gdzie są ukryte”.

Wydawało się, że propozycja złożona komendantowi została przyjęta - Steif mógł pozostać w obozie, nie wysłano go z „transportem”. I tak mijał tydzień za tygodniem, wreszcie upłynął miesiąc. Można było sądzić, że Göth zapomniał już o całej sprawie, jednak w rzeczywistości komendant chciał jedynie poczekać na najkorzystniejszy moment. Pewnego dnia pojawił się u Steifa w baraku, kazał mu zaprowadzić się na miejsce, gdzie miał być ukryty jego skarb. Z relacji Maximiliana Hauptmanna wynika, że Göth musiał być bardzo zadowolony, gdyż po powrocie z „wycieczki” zarządził wspaniałomyślnie przydzielenie Steifowi dodatkowej racji żywnościowej - sześciu bochenków chleba i podwójnej porcji zupy. A wszystko to za ćwierć miliona dolarów.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem komendant ponownie złożył wizytę Steifowi. Doskonale zdawał on sobie sprawę, iż każdy wtajemniczony w jego przekręty może się okazać niewygodnym świadkiem, i zamiast nowych prezentów podarował staremu Żydowi śmiertelny strzał w głowę.

XXIV. Śmiertelna pułapka na Wilka Chilowicza

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku Göth zdał sobie sprawę, iż dni jego rządów w Płaszowie są już policzone. Linia frontu przesuwiała się nieuchronnie coraz bliżej. Ponieważ żołnierze Armii Czerwonej doszli już do Tarnowa, wśród niemieckich okupantów w Krakowie wybuchła panika, która z czasem zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. W zaistniałej sytuacji należało zabezpieczyć zrabowane dobra oraz zatrzeć ślady popełnionych zbrodni. Mony instynktownie czuł, że wrogowie zaczynają mu deptać po piętach. Dlatego też zdecydował się na ewakuację. Najpierw wywiózł swój „majątek”. W tym celu podobno kazał zarekwirować dziesięć wagonów towarowych, do których załadowano skradzione meble, futra, wartościowe dzieła sztuki tudzież inne skarby. Transport został wysłany przez granicę celną do Berlina, a stamtąd do Briinnlitz [Brynice, obecnie Brnenec w Czechach] na Morawach, które miało się stać ważnym przystankiem w trakcie planowanej ucieczki komendanta. Także Oskar Schindler nosił się z zamiarem przeniesienia swojej fabryki wraz z zatrudnionymi w niej żydowskimi pracownikami do Brunnlitz. Ta zbieżność zdaje się sugerować, iż Göth w swych planach ewakuacji zamierzał wykorzystać dług wdzięczności, który zaciągnął u niego jego „przyjaciel”. W każdym razie Göthowi nie udało się niezauważenie wywieźć łupów. Ponadto kilku niezadowolonych z jego poczynań płaszowskich esesmanów złożyło na niego donos, w którym czytamy: „Göth żyje w Płaszowie jak maharadża, podczas gdy nasi żołnierze umierają na Wschodzie”. W rezultacie interesowali się nim już nie tylko urzędnicy celni. Sporządzony przez esesmanów donos na Götha dostał się w ręce doktora Georga Konrada Morgena sięjącego postrach prawnika SS, do którego obowiązków należało badanie wszelkich „nieprawidłowości” w obozach koncentracyjnych. Komendant otrzymał wkrótce od jednego z ludzi nadzorujących transport do Briinnlitz alarmujący telegram, w którym była mowa o tym, że przeciwko Göthowi wszczęto już co najmniej jedno postępowanie dyscyplinarne.

Göth musiał się teraz pozbyć niewygodnych świadków, którzy posiadając liczne informacje na temat jego machinacji, mogliby złożyć obciążające go zeznania. Do grona tych osób należeli przede wszystkim starszy obozu Wilek Chilowicz, jego żona i odeman Mietek Finkelstein. Z powodu wprowadzenia nowych restrykcyjnych przepisów komendant nie mógł jednak tak po prostu zastrzelić swoich potencjalnych wrogów. Potrzebował odpowiedniego zezwolenia od generała Wilhelma Koppego, wyższego dowódcy SS i policji „Wschód”. Z tego też powodu wymyślił wyrafinowany plan pozbycia się niewygodnych osób, który przewidywał sprowokowanie grupy obozowych prominentów skupionych wokół Chilowicza do próby ucieczki z obozu, a następnie „likwidację” przyłapanych *in flagranti* delikwentów. Jednocześnie Göth miał zawiadomić

Wilhelma Koppego o poczynionych rzekomo przez Chilowicza i innych odemanów przygotowaniach do wywołania powstania wśród więźniów obozu, co miało dostarczyć powodu do wydania odpowiedniego zezwolenia na egzekucję Chilowicza i jego ludzi. Preludium do wcielenia w życie tego perfidnego planu stanowiła rozmowa, którą Göth przeprowadził na początku sierpnia z Koppem w jego krakowskim biurze. Przekonawszy generała o groźącym w najbliższym czasie wybuchu powstania, uzyskał pisemne zezwolenie na przeprowadzenie „błyskawicznej akcji”, co oznaczało prawo do wykonywania egzekucji bez przesłuchiwania podejrzanych i bez rozprawy sądowej.

Tymczasem posądzenie o przygotowywanie „powstania” nie było zupełnie bezzasadne. Chilowicz był wystarczająco inteligentny, by właściwie ocenić swoje położenie. Także on zaczął rozważać różne scenariusze, na wypadek gdyby doszło do inwazji Armii Czerwonej. Jeden z więźniów - przysłany wczesną wiosną 1944 roku do Płaszowa z Hamburga-Neuengamme lekarz Stanisław Jagielski - zeznał później, iż Chilowicz miał mu przedstawić klarowną strategię działania w razie ofensywy Sowietów. Zamierzał, odpowiednio wpływając na Götha, jak najdłużej odkładać ewakuację obozu, by następnie uderzyć w odpowiednim momencie, przejąć władzę w obozie i uwięzić strażników SS. Z relacji Jagielskiego wynika, iż

szef odemanów oraz jego przyjaciele bynajmniej nie uważali tego planu za nierealistyczny. Wszyscy mieli wiedzieć o bogactwie Chilowicza i o wiążących się z nim wpływach. Po obozie krążyła podobno plotka, jakoby *Lageralteste* ukrył swoje bajeczne skarby, miliony i diamenty w pewnym otwartym grobie. Tak więc Chilowicz i Göth czyhali na siebie wzajemnie, przy czym Göth okazał się bardziej konsekwentny w dążeniu do wytyczonego celu, a była nim fizyczna eliminacja niegdysiejszego kompana. Niepoślednią rolę w intrydze uknutej przez komendanta miał odegrać *SS-Ober-wachmann* Josef Sowiński, pochodzący z okolic Zakopanego volks-deutsch. Ten stał się narzędziem w rękach Götha. Sowiński poczynił odpowiednie starania, by uspić czujność małżeństwa Chilowiczów, utrzymując, że popadł w niełaskę u swojego przełożonego i że z tego powodu grozi mu przeniesienie na front. Wraz z Wilkiem i Marią, którzy nie przejrżeli podwójnej gry esesmana, Sowiński opracował plan uciezki. Wczesnym rankiem 13 sierpnia wszyscy troje mieli opuścić obóz ukryci w jednej z ciężarówek w pojemniku na gaz drzewny. Chilowicz miał wziąć ze sobą posiadane diamenty i złoto, by móc sfinansować dalszą uciezkę. Ponieważ w pojemniku mogło się pomieścić pięć osób, w planowanej ucieczce mieli wziąć udział także Mietek Fin-kelestein oraz Feiga, siostra Chilowicza, wraz ze swoim mężem Moń-kiem Ferberem. Tymczasem starszy obozu, który był gotów wynagrodzić Sowińskiego za pomoc w ucieczce diamentami, zażądał jeszcze od współnika ostatniego dowodu lojalności - broni. Sowiński, po odbyciu konsultacji z Göthem, wystarał się o pistolet kalibru 38 mm. Broń miała jednak poważny defekt w postaci nieco spiłowanej iglicy i z tego powodu zupełnie nie nadawała się do użytku.

Był ranek 13 sierpnia 1944 roku, niedziela. Już wczesnym rankiem ciężarówka stała w pogotowiu. Zgodnie z planem, małżeństwo Chilowiczów i ich towarzysze uciezki wcisnęli się do opróżnionego pojemnika na gaz. Tymczasem sam Sowiński, zgodnie z obietnicą, eskortował samochód. Rzekoma uciezka na wolność skończyła się u głównej bramy obozu. Tam czekali już Göth, Albert Hujar, Iwan Scharujew, Amthor i kilku innych esesmanów, stojąc na pacy ciężarówki. Göth kazał zatrzymać samochód, by przeprowadzić kontrolę, co było równoznaczne z wydaniem wyroku śmierci na pięcioro ukrywających się Żydów, których na razie tylko aresztowano. Pochodzący z Monachium Maximilian Hauptmann, któremu udało się przeżyć Zagładę, przedstawił inną wersję mających wówczas miejsce wydarzeń. Według jego relacji, Göth zupełnie spokojnym głosem kazał Chilowiczowi pójść w kierunku obozu, a następnie strzelił mu w plecy. Miał także otworzyć ogień do Marii, która została ciężko raniona. Mimo to udało jej się jeszcze stanąć na nogi, z rozłożonymi rękami szła chwiejnym krokiem w stronę męża. Zanim jednak zdołała podejść do niego, Göth oddał w jej stronę jeszcze jeden strzał, tym razem śmiertelny.

Tymczasem wśród więźniów obozu można było zaobserwować wyraźne podenerwowanie. Lękiem napawał ich fakt, iż komendant, który nigdy nie przybywał do obozu przed godziną dziesiątą, tak wcześnie pojawił się przy bramie. Mietek Pemper, którego znajomi wypytywali o przyczynę tego podejrzanego „odstępstwa” od obozowej rutyny, udał się do komendantury. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że Göth jest już w swoim biurze. Obecni byli także inni oficerowie SS, wśród nich znajdował się również niejaki Richartz, który w cywilu był dentystą w Karyntii. W tym gronie nie zabrakło i Josefa Sowińskiego. Panowie zebrali się w komendanturze tak wcześnie, by przesłuchać pewnego młodego więźnia, którego Sowiński oskarżył o pomoc w zdobyciu broni palnej dla Chilowicza. Chodziło o to, by zapewnić przekonujące wyjaśnienie, dlaczego szef odemanów w ogóle wszedł w posiadanie pistoletu. Gdy młody mężczyzna zdecydowanie zaprzeczył wszystkim stawianym mu zarzutom, a Sowiński w dalszym ciągu obstawał przy wymyślonym przez siebie scenariuszu wydarzeń, Göth kazał nieszczęśnikowi wyjść na dwór przez okno znajdujące się w korytarzu willi. Jednak zanim jeszcze więzień zdołał postawić nogę na zewnątrz, został zabity przez komendanta strzałem w potylicę.

Zabiciem tego niewinnego mężczyzny Göth w przekonujący sposób rozwiązał problem z

bronią znaną u Chilowicza. Komendantowi zebrało się nawet na żarty. Najwidoczniej rozbawiony sytuacją, rzekł, zwracając się do Mietka Pempera: „A tak nawiasem mówiąc Chilowicz powiedział, że Pemper też chciał uciec”. Zdanie to zabrzmiało w uszach wyczulonego stenografa jak wyrok śmierci. Ten, starając się jakoś obronić, natychmiast zdementował tę insynuację, mówiąc: „Chilowicz skłamał. To nieprawda. On być może na wolności nie zwracałby na siebie uwagi w uszytych na miarę garniturze i butach. Ale ja? Od razu rozpoznano by mnie jako więźnia i sprowadzono z powrotem do obozu”. Göth zareagował śmiechem, a następnie kazał Pemperowi przygotować się do spisywania raportu, który komendant miał podyktować swojemu stenografowi.

W towarzystwie Richartza, pełniącego funkcję „oficera sądowego”, Göth udał się po południu do swojej willi, by definitywnie zamknąć kwestię legalności przeprowadzonych właśnie egzekucji. Przez kilka godzin dyktował Pemperowi szczegółowy opis domniemanych przygotowań więźniów do wybuchu powstania na terenie obozu. Puszczając wodze fantazji, nakreślał rzekomy plan związany z otwarciem bramy obozu i ukrywaniem się więźniów na wolności, w razie gdyby ucieczka się powiodła. Następnie w formie aneksu do raportu sporządzono listę zawierającą nazwiska „prowodyrów udaremnionego właśnie powstania w obozie”. Były to nazwiska osób, które właśnie umierały na Hujowej Górcie. Na koniec Richartz poświadczył, że Göth nie działał na własną rękę, lecz podjął stosowne środki zmierzające do „zapobieżenia wybuchowi wielkiego powstania więźniów osadzonych w obozie”.

Gdy Pemper chciał się udać do swego biura w komendanturze, by przepisać na maszynie podyktowany mu przez Götha raport, ten krzyknął jeszcze za nim, by zostawił na liście rzekomo podlegających do wybuchu powstania osób jeszcze jedno wolne miejsce. Stenograf był wówczas przekonany, że w tym wolnym miejscu znajdzie się jego nazwisko. Pomyślał wtedy: „Teraz przyszło mi jeszcze przepisać na maszynie raport z własnego stracenia”.

Jednakże tego niedzielnego popołudnia na Hujowej Górcie zamordowano „jedynie” czternaście osób. Göth podjął nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Każdemu z zaangażowanych w mord oficerów SS przydzielił do zastrzelenia po kilka ofiar, tak żeby żaden z nich nie mógł się później wymówić od odpowiedzialności za popełnioną masakrę.

Tymczasem, jak się okazało, przeprowadzone na Hujowej Górcie na rozkaz Götha egzekucje nie zdołały zaspokoić jego żądzy krwi. Komendant miał pewien nieuregulowany rachunek i chciał go wyrównać jeszcze tego samego dnia. Chodziło o Adasia Sztaba, o którego dowiedział się, że jest zaangażowany w podziemny ruch oporu. Göth wyruszył konno na poszukiwanie Adasia. Helena właśnie pracowała w ogrodzie za willą, gdy jej szef, przejeżdżając obok niej, zapytał: „Susanna, gdzie jest Adam?”. Kobieta podniosła wzrok na komendanta i odpowiedziała: „Nie wiem”. Göth sprawiał wrażenie, jakby czuł się usatysfakcjonowany jej odpowiedzią, i ruszył na swoim koniu w kierunku biura. Po krótkiej chwili Helen usłyszała dwa strzały. Pewna zaprzyjaźniona z nią kobieta opowiedziała jej później, co się wtedy wydarzyło. Po tym jak znaleziono Adasia, zaprowadzono go do Götha. „Gdzie ukrywasz broń?” - warknął w stronę chłopca komendant. „Nie mam żadnej broni” - Adaś starał się obronić, uciekając się do kłamstwa. Jednak Göth podjął już decyzję - Adaś musiał umrzeć. Komendant wyciągnął pistolet i dwukrotnie strzelił w kierunku młodego opiekuna jego psów. Ten upadł na ziemię, ale jeszcze nie umarł. Göth kazał go powiesić.

Tymczasem obawy Pempera związane z własną osobą okazały się zupełnie bezpodstawne. Później dowiedział się, iż wolne miejsce na liście skazańców było przeznaczone dla więźnia Alexandra Spanlanga, kierownika warsztatu stolarzy i cieślów. Spanlang był jednym z mężczyzn z najbliższego otoczenia Chilowicza, których miano „zlikwidować” tego dnia. Gdy stał już rozebrany do naga na Hujowej Górcie, wpadł na pomysł, który w jego mniemaniu mógł mu uratować życie. Odwróciwszy się do stojącego za jego plecami z pistoletem maszynowym w ręku *SS-Untersturmführera* Antona Scheidta, oznajmił mu, że ukrył u polskich chłopów mieszkających w pobliżu Krakowa kilka koni wierzchowych oraz wartościowe kafelki na ścianę i że podaruje je esesmanowi w zamian za darowanie mu życia. *Untersturmführer*, nieustępujący w niczym swemu szefowi pod względem chciwości i przebiegłości, doskonale wiedział, co należy zrobić w takiej sytuacji. Rzeczywiście darował życie Spanlangowi i

niewzłocznie udał się do Götha. Obaj uzgodnili wspólnie, że pozornie przystaną na ofertę przedstawioną przez więźnia. Jednak Spanlangowi udało się w ten sposób jedynie odroczyć wykonanie wyroku o jeden dzień. Gdy tylko esesmani odebrali w poniedziałek polskim chłopom konie i kafelki, więzień został rozstrzelany przez Scheidta. Tymczasem komendant zlecił jeszcze w niedzielę dopisać nazwisko Spanlanga na listę skazanych na śmierć „podżegaczy”. Mietek Pemper przypuszcza, że odpowiedniego dopisku dokonała Ruth Kalder.

Z relacji doktora Maximiliana Hauptmanna wynika, iż tego dnia śmierć nie ominęła jeszcze jednej ofiary. Göth nie zapomniał bynajmniej, iż jego pokojówka - piękna Ala Gut - miała romans z Chilo-wiczem. Być może usłyszała od kochanka coś, co mogłoby zaszkodzić komendantowi. Dlatego też ten nie zamierzał się patyczkować z piękną dziewczyną - po prostu kazał ją zastrzelić.

Tymczasem w obozie huczało już od plotek. Więźniowie przekazywali sobie szeptem informacje na temat domniemanej próby ucieczki Chilowicza, czym zresztą tłumaczyli sobie odgłosy strzałów dochodzących od strony Hujowej Górki. Wkrótce jednak to, co było jedynie przedmiotem domysłów, stało się pewne. Göth szykował się do ostatniego festiwalu przemocy, jeszcze raz chciał się delektować swoją władzą nad życiem i śmiercią. „Spektakl” grozy rozpoczął się późnym popołudniem, kiedy to strażnicy SS przystąpili do przeprowadzania rewizji baraków. Esesmani napadali wręcz w barakach na więźniów, których później pędzili na plac apelowy. Wszystkie komanda przydzielone do robót w fabrykach lub warsztatach zostały jeszcze przed ukończeniem czasu pracy ściągnięte do obozu i również skierowane na plac apelowy. Więźniowie musieli się ustawić w pięciosobowych szeregach, tymczasem orkiestra obozowa zaintonowała marsza. Następnie więźniowie musieli pomaszerować w stronę głównej ulicy obozu. Po tym jak uszli dwieście metrów, usłyszeli kolejny rozkaz: „W prawo patrz!”, a tam, na skraju ulicy, leżała sterta zwłok. Były to ciała Wilka i Marii (Kaczki) Chilowiczów, Mietka Finkelsteina i ich krewnych. Obok nich można było zobaczyć komendanta dosiadającego swego siwka. Göth siedział na koniu niewzruszony, na głowie miał swoją czapkę oficerską, której widok siał wśród zgromadzonych przerażenie. Dwóch więźniów uniosło do góry ogromne płótno, na którym widniał napis: „Zastrzeleni z powodu przyłapania na posiadaniu broni, pieniędzy i diamentów w trakcie próby ucieczki”. Czternastoletnia Stella Muller, która maszerowała obok swojej matki, „nie mogła oderwać oczu od much wypełzających z ust i nozdrzy zwłok”. Następnie przemówił sam komendant.

Zapowiedział, iż każdy, kto zostanie przyłapany na łamaniu dyscypliny albo na próbach wzniecenia buntu, zginie w dokładnie taki sam sposób jak Chilowicz i jego klika.

Przemarsz więźniów obok zwłok zakończył się powrotem na plac apelowy, gdzie czekał ich jeszcze „punkt kulminacyjny” dnia. Chodziło o egzekucję Adasia Sztaba i innego, poddanego wcześniej ciężkim torturom „wichrzyciela” i „spiskowca”. Adaś Sztab był dobrym znajomym Stelli Muller. Wraz z jej bratem Adamem grywał on niegdyś w piłkę w krakowskich parkach. Dopiero później wyciekły szczegółowe informacje na temat aresztowania młodego opiekuna psów komendanta. Zgubiło go najwidoczniej nawiązanie kontaktów z jednym z Ukraińców, który rzekomo sprzedał mu broń, by następnie zadenuncjować chłopca, donosząc o wszystkim Göthowi. Należy przy tym podkreślić, iż Adasiowi już raz udało się uciec z życiem, gdy pewnego razu popadł w niełaskę u swojego szefa, a ten chciał go poszczuć swoimi dogami Ralfem i Rolfem. Wtedy jednak za Sztabem ujęła się Majola, ratując mu tym samym życie. Mimo to Göth nie przestał nienawidzić chłopca, któremu zazdrościł tego, że jego własne psy zdawały się bardziej lubić swojego opiekuna niż pana. Nic więc dziwnego, że przy pierwszej nadarżającej się okazji komendant potraktował Adasia bez litości. Chłopiec został poprowadzony na szubienicę - szedł tyłem z rękami związanymi na plecach. Wokół szubienicy ustawili się jedynie Göth i jego podkomendni, oficerowie SS. Gdy Stella Muller zamknęła z przerażenia oczy, jedna z nadzorczyń wymierzyła jej cios pejczem, zmuszając ją tym samym do przyglądania się egzekucji. Podobnie jak Stella zareagowała także Hela Rosner, żona Poldka, która odwróciła wzrok. W czasie gdy drgające w agonii na szubienicy ofiary wydawały z siebie ostatnie tchnienia życia, Göth, siedząc znowu na swym koniu, przemawiał do więźniów, kreśląc wizję „spisku”, który rzekomo miał miejsce, oraz surowych kar, jakie grożą wszystkim siejącym zamęt w obozie wichrzycielom. Obok zwłok Adasia Sztaba postawiono tablicę z napisem: „Kto ukrywa broń, ten zginie”.

W obliczu takiego okrucieństwa Stella Muller dostała ataku katalepsji. Szczękościsk spowodował, że ugryzła się w wargę, która zaczęła krwawić. Jej matka zaciągnęła ją z powrotem do baraku, gdzie doktor Ilse Filipowska i Matylda Lów siłą rozwarły jej usta, by następnie wlać w nie trochę wódki. Stella płakała z powodu stracenia Adasia Sztaba.

Masakra dokonana 13 sierpnia stała się punktem zwrotnym w życiu rodziny Ferberów. Rodzicom - Leonowi i Malii Ferberom - a także obojgu dzieciom - Romanowi i Hance Ferberom - udało się wprawdzie ujść z życiem, jednakże wraz ze śmiercią Chilowicza i Mońka Ferbera skończyły się dni ich względnego bezpieczeństwa w obozie. Matka Malia Ferber w ciągu jednego tylko dnia straciła syna, brata, szwa-gierkę, siostrę i szwagra - nigdy już nie doszła do siebie po tej rodzinnej tragedii. Mimo to przeżyła wojnę. Mońkowi udało się natomiast jeszcze przed śmiercią umieścić wszystkich swoich krewnych na „liście Schindlera”.

Po tej morderczej akcji stanowisko Chilowicza zostało ponownie obsadzone. Nowym *Lagerkapo* został pochodzący z Rzeszowa Nacek Reben. Göth, określając zakres jego kompetencji, powierzył mu zadanie odgrzebywania i palenia zwłok. Ponadto do obowiązków następcy Chilowicza należało zaopatrywanie obozu w niezbędną do palenia ekshumowanych zwłok benzynę, a także zorganizowanie grupy robotników do pracy przy masowych grobach. Przy odkrywaniu grobów zatrudniono dwie grupy robotników, po czterdzieści osób w każdej. Pracowały na dwie zmiany, w dzień i w nocy, by zatrzeć ślady masowych zbrodni. Jak później zaświadczył Igor Kling, ludzie ci niejednokrotnie musieli wykonywać swoją robotę gołymi rękami. Kling, który został przeniesiony do komanda Reben z zakładów samochodowych i od tej pory wraz ze swoim przyjacielem Marionem Speicherem ciężko pracował przy grobach, wspomina warunki pracy w rozmowie z Elinor J. Brecher w następujący sposób: „Było bardzo zimno, dlatego też przynoszono nam zazwyczaj nieco tłustszą zupę niż w wypadku innych więźniów. Nie chciano dopuścić do sytuacji, w której z wyczerpania nie bylibyśmy w stanie kontynuować pracy. Martwi leżeli w piasku, dlatego też ekshumacja zwłok nie wiązała się z jakimś szczególnym wysiłkiem. Niemniej jednak zwłoki rozkładały się. Gdy pewnego razu unieśliśmy wraz z kolegą jedno z ciał - on za ręce, ja za nogi - rozsypało się ono w trakcie unoszenia w samym środku. Ja stałem, trzymając same ręce, kolega miał w rękach dwie nogi”.

W Płaszowie kapo nadzorujący pracę robotników przydzielonych do Sonderkommando 1005 (specjalne komando, które odpowiadało za wydobywanie zwłok z masowych grobów i palenie ich w celu zatarcia śladów popełnionych zbrodni ludobójstwa) byli Niemcami, za pracę więźniów odpowiadał osobiście *SS-Standartenführer* Muller. Tak zwaną *dungsaktion*, operacją mającą na celu zatarcie śladów masowych zbrodni popełnionych przez nazistów w Generalnym Gubernatorstwie, dowodził *SS-Standartenführer* Paul Blobel, który pracował niegdyś w Dusseldorfie jako architekt. Wątpliwą sławę przyniósł Blobelowi, szefowi Sonderkommando na na Ukrainie, udział w akcji eksterminacji ludności żydowskiej w Babim Jarze. Latem 1944 roku przybył do Krakowa, by wraz z *SS-Obergruppen* Wilhelmem Kop-pem oraz kilkoma innymi oficerami SD i policji omówić szczegóły planowanej akcji.

Enterdung ściśle regulowały odpowiednie przepisy. I tak jeśli ekshumujący zwłoki natrafili na ubrane ciała, najpierw przeszukiwali dokładnie wszystkie kieszenie, później układali śmiertelne szczątki ofiar w stosy, polewali je mieszaniną ropy i benzyny, a następnie podpalali. Według obliczeń Naćka Reben, w ciągu miesiąca spalano wówczas w ten sposób od pięciu do sześciu tysięcy zwłok. Wywieziono wtedy siedemnaście ciężarówek z ludzkimi prochami. Tymczasem proceder zabijania więźniów trwał nadal. Nacek Reben musiał w wypadku każdej z egzekucji przeprowadzanych na Hujowej Górcie trzymać w pogotowiu swoich ludzi, którzy odpowiadali między innymi za sprzątnięcie ubrań pomordowanych ofiar. Sam Reben wielokrotnie przyglądał się, jak rozstrzeliwano słowackie rodziny czy polskich intelektualistów oraz duchownych. Pewnego razu *Lagerkapo* był świadkiem przyjazdu trzech samochodów Schutzpolizei (Policji Ochronnej), eskortowanych przez licznych strażników. Z

samochodów wyciągnięto siłą od siedemnastu do dwudziestu elegancko ubranych starszych mężczyzn, których natychmiast poprowadzono na Hujową Górę, gdzie zostali rozstrzelani jeden po drugim. Reben widział, jak trzeci w szeregu daremnie błagał o litość i jak czwarty z kolei wykrzyczał w kierunku swoich morderców: „Wy bandyci! Wszyscy wraz z Hitlerem będziecie musieli ponieść za to odpowiedzialność! Niech żyje Polska!”.

Po straceniu tych mężczyzn Nacek Reben sprawdzał ich ubrania w poszukiwaniu dokumentów bądź informacji dotyczących ich tożsamości. Jak się okazało - na próżno, gdyż funkcjonariusze Gestapo zatrudnieni w więzieniu przy ulicy Montelupich jak zawsze wykonali całą pracę, zacierając wszelkie ślady. Dopiero później Reben dowiedział się od jednego z esesmanów, że mężczyzną, który krzyczał w trakcie egzekucji, był pewien ksiądz z Krakowa.

Wśród robotników przydzielonych do Sonderkommando 1005 znajdowali się dwaj bracia pochodzący z Miechowa - Jack i Iser Mintzowie (właściwie Minc), którzy przebywali w obozie już od końca 1943 roku. W jednym z masowych grobów odkryli zwłoki Wilka Chilowicza Iser Mintz dokonał jeszcze jednego odkrycia - znalazł należący do zamordowanego zegarek na rękę, który miał na kopercie wygrawerowany napis „Za wzorową służbę”, prezent od więźniów wręczony szefowi odemianów z okazji urodzin. Nadzorujący pracę komanda kapo Iwan, brutalny kryminalista, znany z tego, że chętnie wymieniał złote zęby na wódkę, a także z tego, że bił więźniów łopatą po głowie, dokładnie obejrzał zegarek. Wyciągnął nóż, którym zarysował cyferblat, a ponieważ stwierdził, że zegarek nie jest ze złota, oddał go Iserowi Mintzowi, który wymienił go później na kilka bochenków chleba.

Braciom Mintzom, którzy jako „Żydzi Schindlera” przeżyli wojnę, udało się jeszcze odkryć inne przedmioty pozostawione przez ofiary masakry z 13 sierpnia: srebrną, inkrustowaną perłami papierosnicę ode-mana Michała Pacanowera, a także puderniczkę Marii Chilowiczowej.

Gdy kilka dni później wczesnym rankiem Susanna - Helen Sternlicht -ścierała kurze na piętrze w willi Götha, zauważyła nagle, że kolumna kobiet w białych chustach na głowie, uformowana w pięciosobowe szeregi, ruszyła w kierunku bramy obozowej. Najprawdopodobniej czekała je deportacja. Helen odruchowo pomyślała o swoich siostrach Sydel i Broni. Szybko zbiegła do kuchni, wzięła ze sobą także białą chustę i nie dając się powstrzymać Lenie Hirsch, pobiegła w kierunku obozowej bramy. I rzeczywiście na miejscu stał już Göth, kontrolując „ładowanie” kobiet do bydłowych wagonów. Helen skierowała się bezpośrednio w stronę komendanta, przekonana, iż tylko on może jeszcze pomóc jej siostram. Gdy Göth usłyszał za swoimi plecami zdyszana Susannę, odwrócił się i wykrzyczał, wściekły: „Won mi stąd albo cię zabiję!”. Komendantowi zawtórował jeden z towarzyszących mu esesmanów: „Wynoś się stąd!”. Jednak po chwili Göth się zreflektował: „Idź stąd i nie patrz tak na mnie, właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że mamy do dyspozycji za mało wagonów, dlatego też musimy zostawić kilka kobiet w obozie. Powiedz swoim siostram, że mogą powoli wracać do swoich baraków”. Gdy Susanna Sternlicht wykrzyczała w stronę swoich sióstr to polecenie Götha, nagle wszystkie kobiety z kolumny rozpięzchły się. Strażnicy SS zaczęli strzelać w powietrze i pędzić kobiety znów w stronę wagonów. Dla Broni i Sydel sytuacja stawała się dramatyczna. Tymczasem Lena Hirsch, która pozostała w willi, zaczęła się obawiać o swoją przyjaciółkę. Wreszcie zebrała się na odwagę, by obudzić Ruth Kalder i poprosić ją o wezwanie żydowskiej policji, która miała wyciągnąć Sydel i Bronię z transportu - w przeciwnym razie, jak zasugerowała Lena, deportacja niechybnie objęłaby też Susannę. Ruth początkowo wahała się, obawiając się reakcji Götha: „Proszę, nie oczekuj ode mnie, że to zrobię! Nie mogę wezwać policji bez jego wiedzy!” -tymi słowami Kalder starała się wyperswadować Lenie jej pomysł. A jednak służąca, powodowana strachem o los Susanny, naciskała na nią dalej. Wreszcie kochanka Götha ustąpiła i sięgnęła po słuchawkę... W ten sposób Sydel i Bronia zostały uratowane, a Helen wróciła szczęśliwa do willi.

Dla obu żydowskich służących były to ostatnie dni ich pracy w willi komendanta. Ten nie zamierzał dłużej dawać podstaw do już i tak krążących w biurach SS plotek, że w jego domu mieszkają Żydzi. Lena i Susanna musiały się przenieść do piwnicy w budynku zajmowanym przez nadzorczynie SS. Wyprowadzka z willi być może uratowała życie Helen Sternlicht. W dzień po przeprowadzce, nocą, Ruth Kalder wyznała Göthowi, że to właśnie Lena przyczyniła się do uratowania sióstr Sternlicht. Zareagował on tak, jak się można było

tego po nim spodziewać -wyciągnął karabin z szafy i udał się do pomieszczenia służących, by zastrzelić Susanne. Jednakże zastał tam jedynie Lenę, którą postraszył swoim karabinem. Gdy następnego ranka Helen przyszła do Willi, nie było już śladu po jego złości: „Miałeś szczęście!” - powiedział do niej. Helen zaczęła się obawiać, że Göth mógłby teraz zabić jej siostry, tymczasem on instynktownie przeczuwał, że jego władza się kończy, dlatego też jego chęć zabijania osłabła.

W czasie likwidacji obozu szczęście miały również Stella Muller i jej matka, a także Berta i Rosa Grunberg, które zostały uratowane przed deportacją przez inżyniera Grünberga. Za jego namową Huth, Muller i Schupke nakłonili Götha, by wy dostał te cztery kobiety z transportu.

XXV. Walka o "listę Schindlera"

Göth i jego podkomendni gorączkowo pracowali nad zacieraniem śladów popełnionych zbrodni. Specjalne zadanie powierzono Son-derkommandu 1005 - więźniowie tej brygady roboczej mieli otwierać masowe groby, wyciągać z nich na wół rozłożone zwłoki i palić je. Kapo nadzorującym pracę komanda był pochodzący z Górnej Austrii dwudziestoletni Toni Fehringer, mężczyzna o zadartym nosie i chłodnych stalowych oczach. Przez więźniów Austriak był nazywany Blond Bestią, dla nadzorczyń SS, które za nim szalały i z nim sypiały był Jasnowłosym Tonim. Nosił naszyty zielony trójkąt, co oznaczało, że trafił do obozu jako więzień kryminalny. Przystępstwem, którego się dopuścił, było zamordowanie własnych rodziców, dlatego też był przez więźniów sarkastycznie określany Sierotą. Toni cieszył się w obozie nadzwyczajnymi przywilejami - mieszkał we własnym pokoju, otrzymywał też takie samo jedzenie jak strażnicy SS. Poza tym oszukiwał więźniów znajdujących się pod jego nadzorem, okradając ich z żywności. Każdego dnia z czterdziestu do pięćdziesięciu wydanych mu bochenków chleba zatrzymywał cztery lub pięć sztuk dla siebie. Podobnie postępował w wypadku przydziałów margaryny i marmolady. Zagarnięte w ten sposób racje żywnościowe Austriak sprzedawał następnie na czarnym rynku, wymieniając produkty spożywcze na diamenty i złoto. Swoim łupem Toni dzielił się z innymi strażnikami SS i starszym sztabowym z jego baraku. Więźniowie bali się Sieroty, który słynął z sadystycznego okrucieństwa. Prawie każdego dnia pod byle pretekstem atakował któregoś z więźniów pięściami, brutalnie bijąc nieszczęśnika, aż ten nie nadawał się już do pracy. Dla ofiary oznaczało to pewną śmierć. Każdy, kto nie mógł pracować, był natychmiast „likwidowany”. Wśród ofiar Fehringera znajdowali się między innymi czterej bracia Orensteinowie. Henryk, Fred, Felek i Sam pracowali jako „matematycy” w „komandzie chemików”. Pochodzili z Hrubieszowa, miejscowości położonej w dystrykcie lubelskim. Jakimś cudem udało im się przeżyć mordercze „akcje” przeprowadzane w ramach „Akcji Reinhardt”, a także pobyty w obozach w Budzynie i Majdanku. Do Płaszowa trafili w kwietniu 1944 roku. Przydział do komanda chemików sprawił iż mieli w pewnym sensie uprzywilejowaną pozycję wśród więźniów. Osoby pracujące w tej brygadzie roboczej były uważane za „naukowców”, co oczywiście nijak się miało do rzeczywistości. Tłoczy się konflikt między braćmi Orensteinami i Jasnowłosym Tonim wybuchł ostatecznie i września 1944 roku. W tym dniu Fred został pobity przez Fehringera i jego kochankę, nad-zorczynię SS. Bratu pospieszył z pomocą Henryk. W rezultacie doszło do krótkiej bijatyki, co nie uszło uwagi jednego ze strażników SS. Fehringer utrzymywał, iż przyłapał Freda na ukrywaniu pieniędzy. W rzeczywistości Toni i jego kochanka już wcześniej odkryli u Orensteina banknot dwudziestodolarowy, który Fred wszył do rozporoka swoich spodni. Wtedy też znalezione pieniądze zostały zarekwirowane przez kapo i nadzorczynię. Jednak para nie zamierzała na tym poprzestać. Teraz chciała wykończyć Freda Orensteina. Strażnik SS zanotował numery braci Orensteinów, którzy zdawali sobie sprawę z tego, iż ich dni są już policzone. Esesman mógłby ich zastrzelić na miejscu za stawianie oporu strażnikowi. Jednak okazało się, że szczęście raz jeszcze uśmiechnęło się do braci. Po przesłuchaniu przez oficera SS Mullera, w czasie którego obaj mężczyźni znowu zostali ciężko pobici, wymierzono im karę stania w bunkrze przez dwadzieścia cztery godziny. Później przeniesiono ich do komanda karnego, którego członkowie ciężko pracowali w kamieniołomie. Następnie Orensteinowie zostali przydzieleni do grupy więźniów ekshumujących zwłoki na Hujowej Górze. Niemniej jednak Fred i Henryk w dalszym ciągu znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na razie pozostawali przy życiu, bo SS czekało na zatwierdzenie wydanego na nich wyroku śmierci przez urzędników z Berlina. Esesmani raz po raz przypominali Orensteinom, że prędzej czy później i tak zawisną na szubienicy. A mimo to uniknęli śmierci. Zostali wywiezieni w jednym z „transportów” na zachód, zanim jeszcze zdążyło nadejść z Berlina zezwolenie na wykonanie egzekucji.

W Komandzie 1005 pracował także żydowski architekt Simon Wiesenthal. Ten urodzony

w 1908 roku w Buczaczu mężczyzna ledwie uniknął egzekucji przez rozstrzelanie we Lwowie w 1941 roku, po czym odbył prawdziwą odyseję po nazistowskich obozach. W Płaszowie miał do czynienia z sadyzmem i chciwością Toniego Fehringera, który wyłamując zęby zwłokom wyciągniętym z grobów, pilnował, aby wszelkie znalezione w ten sposób złote plomby dostały się w jego ręce. Złoto Toni wymieniał następnie na wódkę, którą pił w ogromnych ilościach. Pewnego dnia, po czternastu godzinach ciężkiej pracy przy ekshumowaniu i paleniu zwłok, wśród dymu i smrodu, Fehringer uraczył więźniów szczególnym „żartem”. Kazał mianowicie zebranym na placu apelowym, wyczerpanym z wysiłku członkom komanda uprawiać „sport”. Więźniowie musieli wykonać trzydzieści przysiadów, padać na ziemię, wstawać, maszerować szybkim krokiem. Ćwiczenia trwały tak długo, aż niektórzy całkowicie opadli z sił. W obliczu tych tortur Simon Wiesenthal poprzysiął sobie, iż jeśli uda mu się przeżyć wojnę, nie spocznie, dopóki nie odnajdzie Jasnowłosego Toniego. I była to przysięga, której mężczyzna dotrzymał, mimo że po klęsce Trzeciej Rzeszy jego motto brzmiało: „Prawo, nie zemsta!”. W 1947 roku Wiesenthal wytropił Antona Fehringera w Kirchdorf an der Krems i doprowadzi do jego osądzenia. Sierota został skazany na siedem lat ciężkiego więzienia. Zmarł po trzech latach odbywania kary.

Tymczasem jednak w Płaszowie proceder masowego mordowania trwał nadal. Teraz przyszła kolej na słowackie rodziny, które przywożono do obozu, a następnie rozstrzeliwano w Cipowym Dołku.

Zamknięcie „Emalii”

Pod koniec sierpnia 1944 roku przystąpiono do likwidacji obozów zewnętrznych na Zabłociu i przy ulicy Lipowej. Robotnicy zatrudnieni w Nachrichtengeratelager Luftwaffe oraz w „Emalii” musieli wrócić do Płaszowa. Dla pracowników fabryki Schindlera rozpoczął się trudny okres niepewności. W końcu dyrektor fabryki obiecał im, że nie porzuci ich w potrzebie. Emilie Schindler, która jednak w swoich wspomnieniach nie zawsze okazuje się wiarygodnym źródłem informacji - utrzymywała na przykład, że Göth został zabity pod koniec wojny przez Czechów (*sic!*) - w przekonujący sposób odmalowała nastrój towarzyszący jej mężowi w trudnej sytuacji, w jakiej ten znalazł się pod koniec 1944 roku. W czasie wspólnej kolacji Oskar miał w długim monologu zwierzyć się swojej żonie z dręczących go myśli: „Sytuacja staje się coraz bardziej beznadziejna. Göth postanowił, że zamknie obóz w Płaszowie, a wszystkich więźniów, a więc także i moich pracowników, wyśle do Oświęcimia. Musimy koniecznie wywieźć stąd naszych ludzi, abyśmy mogli kontynuować produkcję gdzie indziej. Zaproponowano mi przejęcie zakładów zbrojeniowych w Briinnlitz. To byłoby idealne rozwiązanie, tak przynajmniej mi się wydaje. Sam już jednak nie wiem, co powinienem zrobić, żeby on zgodził się na naszą przeprowadzkę. Próbowałem już przekonać go diamentami, biżuterią, gotówką, wódką, papierosami, kawiozem. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Może wyślę do niego kilka ładnych kobiet, żeby go jakoś udobruchać. Z ostatniej kochanki nie wydawał się szczególnie zadowolony. Ta łagodna kobieta usiłowała odwieść go od jego sadystycznych praktyk. Gdth ma jej już dosyć. A może jednak uda jej się coś wskórać? Martwię się też o losy listy, którą musimy przedłożyć. Nie znam tych wszystkich robotników, a już na pewno nic nie wiem o ich rodzinach. Ledwie pamiętam nazwiska tych nielicznych, którzy przychodzą do mnie do biura, żeby powiedzieć, że czegoś im brakuje. A już na pewno nie mam zielonego pojęcia, kim są inni. Rozmawiałem już z byłymi właścicielami fabryki. Jeden z Żydów chce sporządzić listę pracowników, których zabierzemy ze sobą do Briinnlitz. Wszystko to sprawia, że staję się coraz bardziej nerwowy i przybity. Po prostu nie nawykłem do sytuacji, w

których nie mogę sam kontrolować spraw”.

Żydem, który miał spisać listę, był skorumpowany odeman Marcel Goldberg, określony przez Davida M. Crowe'a mianem „jednej z najbardziej tajemniczych postaci w historii »listy Schindlera«”. Był to człowiek, który samowolnie skreślał z listy pewne nazwiska, by na ich miejsce wpisać inne. Decydujące znaczenie miała przynależność do grupy obozowych „prominentów”, a także oferta przedłożona przez danego petenta. Im więcej złota i diamentów ktoś miał do zaoferowania, tym pewniejszy mógł być wpisania swego nazwiska na listę. Sam Oskar Schindler nie wywierał żadnych nacisków na Goldberga w trakcie sporządzania listy. Postawił jednak jeden warunek. Na liście musieli się znaleźć „jego” Żydzi, których właściciele „Emalii” chciał koniecznie wziąć ze sobą do Brunnlitz. Aby osiągnąć ten cel, potrzebował jednak pomocy Götha, z którym szczegółowo konsultował scenariusz „odwrotu”. Wszystko wskazuje na to, iż obaj „przyjaciele” byli gotowi pomóc sobie wzajemnie raz jeszcze. Schindler chciał mieć wolną rękę w kwestii odtransportowania swoich Żydów, ponad tysiąca osób. Tymczasem Göth potrzebował Schindlera, by ten pomógł mu wywieźć z Płaszowa wszystkie zrabowane skarby. Poza tym znowu liczył na duży zastrzyk gotówki od Oskara, tym bardziej że znajdował się w trudnej sytuacji.

Jedną z legend wiążących się z „listą Schindlera” dotyczy ostatniego miejsca na niej. Prawdopodobnie było ono zarezerwowane dla Leny -Heleny Hirsch. To właśnie z jej powodu Schindler miał odwiedzić Götha, „uzbrojony” w prawie wszystkie swoje pieniądze, butelkę wódki i karty do gry. Schindler miał położyć na stole przed Göthem listę, a obok swoje pieniądze i flaszkę wódki. Mężczyźni zagrali kilka partii w oczko, umilając sobie grę alkoholem. Zanim Oskar przedstawił Amonowi swoją ofertę, długi komendanta zaciągnięte u Schindlera wynosiły już trzy tysiące siedemset złotych. Oskar zaproponował Mony'emu jeszcze jedną partię, zapowiadając, że jeśli ten wygra, dostanie od niego dwukrotnie większą sumę. Jeśli jednak znów przegra, Lena znajdzie się na liście. Göth przegrał także i tę decydującą o losach Heleny Hirsch partię. Zgodził się na umieszczenie nazwiska Leny na ostatniej pozycji na liście.

Tymczasem stosunek SS do Götha uległ radykalnej zmianie. Teraz na komendancie miał się zemścić stworzony przez niego brutalny reżim, który za najmniejsze wykroczenie wydawał winowajcę na pastwę sądów SS i policji. Mietek Pemper przytoczył jako przykład tego drakońskiego postępowania Götha względem jego podkomendnych z SS przypadek SS-*Rottenführera* Krupatza. Ten otrzymał od komendanta rozkaz, by towarzyszył Warenhauptowi, żydowskiemu więźniowi zatrudnionemu w obozowym warsztacie samochodowym i zajmującemu się samochodami Götha, w drodze do miasta. Więzień miał załatwić części zamienne do bmw komendanta. Według Pempera, Krupatz był „korpulentnym starszym mężczyzną”, który nie dorównywał intelektualnie pochodzącemu z Zakopanego, sprytnemu Warenhauptowi. Z tego też powodu esesman wpadł w pierwszą zastawioną na niego przez Żyda pułapkę. Gdy obaj mężczyźni dotarli do położonego w centrum miasta domu, który miał dwa wejścia, Warenhaupt powiedział Krupatzowi, że mieszka tu Polak mający części zamienne do bmw szefa. Polak ten miał być, według żydowskiego więźnia, wyjątkowo nieufny, dlatego też zaproponował on, że sam wejdzie do środka, by zdobyć te części. Krupatz dał się wywieść w pole, pozwolił Warenhauptowi w pojedynkę wejść do budynku. Już nigdy więcej go nie zobaczył. Göth szalał z wściekłości. Złożył odpowiedni donos na Krupatza, któremu zarzucił „uwolnienie więźnia wskutek niedbalstwa” i „sprzyjanie więźniowi w trakcie ucieczki”. Tymczasem sam komendant nie był bez winy. Zgodnie z przepisami, więźnia udającego się do miasta powinno eskortować dwóch esesmanów. Tak więc odpowiedzialność za zaniedbania spoczywała na Gocie.

Zdaniem niektórych ludzi z SS miarka się przebrała. W ich mniemaniu Göth przekroczył już wszelkie dopuszczalne granice. Niezadowoleni esesmani skrzyknęli się i wspólnie

sformułowali doniesienie przeciwko Göthowi. Zarzucili mu, iż żyje w obozie niczym maharadża, podczas gdy na froncie codziennie giną żołnierze. Ponadto otwarcie poruszyli kwestię interesów prowadzonych przez komendanta na czarnym rynku. Donos został przekazany drogą służbową do biura doktora Konrada Morgena, przed którym wielu musiało się mieć na baczności, gdyż ten prawnik i esesman zajmował się zwalczaniem korupcji w obozach koncentracyjnych. Był to początek końca panowania Götha w Płaszowie.

Pod koniec sierpnia 1944 roku zarzuty pod adresem Amona Götha znalazły potwierdzenie w postaci pierwszego niezbitego dowodu. W Opawie odkryto i zatrzymano pociąg z łupami zagrabionymi przez komendanta. Sporządzony wówczas raport został przekazany sędziemu śledczemu SS doktorowi Konradowi Morgenowi, który natychmiast wszczął śledztwo w tej sprawie. Pociągnięcie Götha do odpowiedzialności wydawało się już tylko kwestią czasu.

XXVI. Aresztowanie i sąd SS

Prawdopodobnie Göth zdawał sobie sprawę, że nad jego głową zbierają się czarne chmury. Nie mógł już jednak w żaden sposób powstrzymać nadciągającej burzy. Wiedział, że jest zwierzyną łowną, którą otaczają myśliwi, by ją zabić. Zresztą wrogów miał już nie tylko w Krakowie. Także urzędnicy w Berlinie zdawali się popierać działania doktora Konrada Morgena skierowane przeciwko płaszowskiemu komendantowi. 6 września 1944 roku, o godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści, do *SS-Standartenführera* Brandta z osobistego sztabu Himmlera nadszedł telegram od głównego dowódcy SS i policji „Wschód” generała Wilhelma Koppego. Najwidoczniej generał policji w Krakowie chciał się ustosunkować do zapytania Brandta dotyczącego Amona Götha, skoro już w pierwszym zdaniu telegramu czytamy: „Komendant obozu w Płaszowie SS-HSTUF. Göth przebywa jeszcze w Krakowie-Płaszowie”. Było to sformułowanie wskazujące na to, iż Brandt w swoim zapytaniu uważał możliwość nagłego „odwołania” Götha z Płaszowa za zupełnie realistyczną. Następnie Koppe zwrócił uwagę, że obóz znajduje się „już w stanie rozkładu” i że „w najbliższym czasie” zostanie rozwiązany. Następnie jeszcze raz nawiązał do Götha: „Przeciwko *SS-Hauptsturmführerowi* Göthowi toczy się obecnie sądowe postępowanie śledcze w sprawie malwersacji. Jednocześnie zbadane zostaną inne podejrzenia, jakie pojawiły się w toku postępowania sądowego”. Określenie „inne podejrzenia” bez wątpienia dotyczy defraudacji, jakich dopuścił się Göth, przede wszystkim chodziło o załadowany towarem pochodzącym z przemytu wagon zatrzymany w Opawie.

Był 13 września 1944 roku. Helen Sternlicht sprzątała właśnie w willi Götha, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Na zewnątrz stało dwóch Niemców w ubraniach cywilnych, którzy chcieli rozmawiać z Amonem Göthem. Helen udała się po schodach na piętro, aby zapowiedzieć gości. Gdy Göth zszedł na dół, mężczyźni wyciągnęli z teczek jakieś papiery, które wręczyli komendantowi. Ten przejrzał je pobieżnie. Nie wdając się w dyskusję z gośćmi, sięgnął po swój kapelusz oraz pas z kaburą, by po chwili opuścić willę w towarzystwie ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy Gestapo, idąc pośrodku. „Zabrali go!” - powiedziała Helen do Leny, która początkowo nie chciała uwierzyć jej słowom: „Ależ ty jesteś naiwna! Kto miałby go zabrać? Przecież to on tutaj rządzi. Jemu nikt niczego nie może zarzucić”.

Mężczyzna, przez którego żyła w nieustannym strachu o swoje życie, nie wrócił już jednak. Po tym jak obie dziewczyny spędziły kilka dni zupełnie same w willi, nagle zadzwonił telefon. Gdy Helen odebrała, usłyszała w słuchawce głos Götha, zupełnie zmieniony, pozbawiony rozkazującego tonu. Göth powiedział, żeby spakowała jego bieliznę i skarpetki, które miały zostać odebrane w najbliższym czasie. Nic już więcej nie mówił. Helen i Lena były teraz pewne, że komendant został aresztowany. Przeżyły jego pełne terroru rządy.

Helen (Susanna) Sternlicht i Helena (Lena) Hirsch miały szczęście. Nazwiska ich obu zostały umieszczone na liście przez Oskara Schindlera. Helen w następujący sposób wspomina wizytę Oskara w willi kilka dni po aresztowaniu Götha: „Wkrótce po tym przed drzwiami willi zjawił się Oskar Schindler. Powiedział: »Susanna, pójdziesz ze mną. Sporządziłem pewną listę. Buduję nową fabrykę w Czechach i zabieram ze sobą wszystkich, których potrzebuję. Ciebie też«. Następnie dopytywał się o członków mojej rodziny. Zapisał sobie imiona moich sióstr i zapowiedział: »Będziecie bezpieczne«. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że nie ma wobec mnie złych zamiarów. Zrozumiałam, że za każdym razem gdy był u Götha na piętrze, żeby rozmawiać z nim na temat obozu, realizował swoje ukryte zamiary. Był w pewnym sensie podwójnym agentem. Poczułam się bezpieczna”.

Nakaz aresztowania Götha został wystawiony przez Sąd SS i Policji VI w Krakowie. I podstaw aresztowania legły zarzuty dotyczące zawłaszczenia przedmiotów wartościowych i pieniędzy żydowskich więźniów dla odniesienia korzyści osobistej oraz nieregularnego traktowania więźniów w KL Płaszów. W swojej wielkiej biografii poświęconej Schindlerowi David M. Crowe wyraził przypuszczenie, iż obaj funkcjonariusze policji kryminalnej, którzy

aresztowali Götha, zawieźli go do Wiednia. Zyskał on w ten sposób jeszcze nieco czasu na uregulowanie swoich spraw osobistych w rodzinnym mieście, przede wszystkim zaś musiał omówić z ojcem kondycję finansową wydawnictwa. W każdym razie podróż do Wiednia nie była podyktowana koniecznością „urlopu”, jak to lakonicznie wyraził Mietek Pemper w swojej „prawdziwej historii »listy Schindlera«”. Następnie Göth został aresztowany w Wiedniu przez sędziego śledczego SS doktora Konrada Morgena.

Pierwsze, co się dostało w ręce funkcjonariuszy, to ogromna suma pieniędzy w gotówce - osiemdziesiąt tysięcy marek, które Göth miał przy sobie w momencie aresztowania. Była to ważna wskazówka świadcząca o tym, że szykował się on już do ucieczki z Płaszowa. Na pytanie o to, skąd wziął taką sumę pieniędzy, były komendant odpowiedział, że otrzymał je od Oskara Schindlera. Te zeznania sprawiły, że w wir śledztwa prowadzonego przeciwko Göthowi dostał się także dyrektor „Emalii”. Schindlera aresztowano w połowie października 1944 roku w Briinnlitz. Następnie został przewieziony w kajdankach do Krakowa. Tymczasem jego żydowskim pracownikom zatrudnionym przy wyładowywaniu wagonów z Krakowa w ostatniej chwili udało się ukryć wszelkie rzeczy osobiste należące do Götha, które mogłyby wzbudzić podejrzenie. Żydzi Schindlera wylali nielegalnie „dostarczony” alkohol do potoku, natomiast papierosy schowali pod transformatorem. Funkcjonariusze otwarli wprawdzie kilka walizek Götha, które Schindler wziął na przechowanie, jednak nie znaleźli nic obciążającego - jedynie brudne ubrania.

Schindler był przesłuchiwany w głównej kwaterze Gestapo w Krakowie przy ulicy Pomorskiej jednocześnie przez dwunastu oficerów SS i sędziów. Pozostał jednak konsekwentny w swoich zeznaniach, trzymając się przygotowanej linii obrony. Utrzymywał, że nic mu nie było wiadomo na temat defraudacji, jakich dopuścił się Göth, któremu także nigdy (*sic!*) nie wręczał żadnych łapówek. Nie musiał rzekomo posuwać się do przekupstwa, ostatecznie zatrudniał w Briinnlitz wystarczająco dużo pracowników. Schindler nie zdementował natomiast informacji, jakoby przekazał Göthowi osiemdziesiąt tysięcy marek. W tej kwestii przyjął „miękką” linię obrony: „Nawet jeśli wręczyłem mu te pieniądze, jak utrzymuje, to była to darowizna. Nie było żadnego innego powodu” -ta zawołowana wypowiedź stanowiła dla śledczych twardy orzech do zgryzienia. Dlaczego Göth miałby zaciągnąć kredyt u Schindlera i dlaczego przedsiębiorca powierzył mu tak wysoką sumę pieniędzy? Czy kwota ta stanowiła „gratyfikację” za transport „Żydów Schindlera” do Briinnlitz? A może krył się za tym jakiś inny nowy „interes”? Jaki plan na przyszłość obaj mężczyźni powzięli naprawdę?

Po ośmiu dniach spędzonych w areszcie przy ulicy Pomorskiej Schindler wyszedł wreszcie na wolność. Niepoślednią rolę w zwolnieniu właściciela „Emalii” odegrały dobre stosunki łączące go z inspektorem zbrojeniowym generałem Maximilianem Schindlerem. Zwolnionemu z aresztu Oskarowi udało się jeszcze przyjechać do Płaszowa, gdy „załadowywano” trzysta kobiet z „listy” do pociągu, który miał pojechać do Brünnlitz. Nowy komendant obozu Arnold

Büscher, mężczyzna nieznoszący Schindlera za jego życzliwą postawę względem Żydów, posłał jednak owe trzysta Żydówek wraz z pozostałymi tysiąc siedmiuset kobietami do Oświęcimia, łamiąc tym samym wcześniejsze ustalenia.

Amon Göth i Julian Scherner zostali razem postawieni przed sądem honorowym SS. Oskarżono ich z powodu wystąpienia licznych, przede wszystkim finansowych, niezgodności związanych z zarządzaniem obozem w Płaszowie.

Götha wypuszczono z więzienia za kaucją jeszcze w październiku 1944 roku, natomiast Scherner został zdegradowany do stopnia *SS-Hauptsturmführera* rezerwy i przeniesiony karnie do osławionej formacji Oskara Dirlewangera. Scherner, który w wieku dziewiętnastu lat został odznaczony Żelaznym Krzyżem, prawdopodobnie poległ podczas walki z partyzantami 28 kwietnia 1945 roku w Puszczy Niepołomickiej.

Dochodzenie w sprawie Götha trwało dalej, mimo iż oskarżony został wypuszczony na wolność. W listopadzie 1944 roku do Briinnlitz przybyła gestapowska komisja, a wraz z nią - Majola. Funkcjonariusze chcieli obejrzeć magazyn, w którym Göth przechowywał swoje skarby: walizki, pudła i sześćdziesiąt skrzynek, wszystko to ułożone w stosy sięgające aż po

sufit hali magazynowej i opatrzone inicjałami „A.G.". Gdy czterdziestodwuletni więzień Edward Elsner, który Götha poznał już w Szep-niach, otworzył w obecności inspektorów z Gestapo jedną ze skrzyń, ze środka wysypały się ubrania, futra. W innych skrzyniach znajdowały się wino i koniak, papierosy, czekolada i inne luksusowe towary. Majola wzięła kilka rzeczy, utrzymując, że należą wyłącznie do niej, następnie wszystko zostało zaplombowane. Edward Elsner usłyszał jeszcze, jak Majola uskarżała się na los swego kochanka: „Mój biedny Mony! On jest tam, nie mogąc niczego kupić, a tymczasem wszystko ma tu”.

Co miała na myśli Majola, mówiąc „tam”? A może Göth ukrywał się gdzieś i usiłował „stamtąd” odzyskać swoje skarby? W każdym razie rodzina musiała znać jego adres. Anna Göth, dowiedziawszy się o romansie Mony’ego z Ruth Kalder, zażądała rozwodu. Jej adwokat doktor Max Preisseecker wystosował odpowiedni list do Götha, który musiał dotrzeć do adresata, skoro po jakimś czasie ten ustosunkował się do jego treści. Wkrótce bowiem do kancelarii doktora Preisseeckera wpłynęło pismo od Götha, opatrzone datą 3 grudnia 1944 roku, niezawierające jednak danych adresowych nadawcy. Göth potwierdził najpierw, że odebrał pismo z 25 listopada, a następnie zadeklarował: „Wciąż jestem gotów odstąpić trzydzieści procent udziałów w Wydawnictwie Literatury Militarnej i Fachowej, tak aby zapewnić materialne podstawy egzystencji swojej rodzinie, w razie gdyby doszło do rozwodu. Kwestię podziału tych trzydziestu procent pozostawiam żonie, niech zadecyduje sama (*sic!*): albo po piętnaście procent na dziecko, albo po dziesięć procent dla każdego z dzieci i dla niej samej. Wspomniane trzydzieści procent powinno w zupełności wystarczyć na utrzymanie. Gdyby doszło do zamknięcia wydawnictwa, mojej żonie i dzieciom będzie wypłacana miesięcznie kwota w wysokości ośmiuset marek. Jeśli jednak wydawnictwo pozostanie otwarte, wówczas żona z dziećmi otrzymają trzydzieści procent dochodów. Wymieniona suma ośmiuset marek byłaby tym samym gwarantowanym, wypłacanym co miesiąc minimalnym zabezpieczeniem finansowym. Proszę przedyskutować te ustalenia z żoną. Mojego ojca Amona Franza Götha upoważniam do prowadzenia w moim imieniu koniecznych negocjacji z Panem i rodzinnym notariuszem doktorem Scheibertem”. Göth podkreślił jeszcze, że zależy mu na możliwie najszybszym otrzymaniu rozwodu za porozumieniem stron. Dlaczego jednak nie pofatygował się osobiście do Wiednia, żeby na miejscu uregulować swoje sprawy? Najwidoczniej wciąż jeszcze był przetrzymywany w areszcie przez SS, być może w Dachau.

Na początku stycznia Ruth Irene Kalder uciekła wraz ze swoją matką z Katowic. 9 stycznia obie kobiety były już w Wiedniu. Ruth chciała jeszcze bardziej zmotywować Annę Göth do starań o rozwód. W tym celu Majola zastosowała niezawodny, w jej mniemaniu, środek - chciała złożyć oświadczenie, że dopuściła się z Amonem cudzołóstwa - odpowiedni dokument zamierzała wręczyć bezpośrednio adwokatowi. Udała się więc wraz z Franzem Amonem Göthem, który otwarcie popierał jej inicjatywę, do kancelarii doktora Maxa Preisseeckera przy Habsburger-gasse 5, by złożyć zeznania. Wyjaśniła, iż sam Amon Göth jest zainteresowany uzyskaniem rozwodu, by móc jak najprędzej ją poślubić. Göth miał także wziąć na siebie całą winę za rozpad małżeństwa.

Zastanawiający jest fakt, iż Ruth Kalder podała jako adres kontaktowy Deutsche Emailwarenfabrik Schindlera przy ulicy Lipowej 4 w Krakowie. Ta informacja pozwala przypuszczać, że Göth i Majola rzeczywiście planowali pierwotnie zbiec, przyłączając się do Oskara Schindlera, i że nie do końca jeszcze zrezygnowali z takiego scenariusza. Ponadto dane dotyczące miejsca zamieszkania nijak się miały do rzeczywistości, do ówczesnych realiów wojennych - w owym czasie Armia Czerwona stała już pod Krakowem; 15 stycznia 1945 roku kierownik obozu Schupke uciekł wraz z ostatnimi więźniami z Płaszowa w kierunku Oświęcimia.

Mimo to obrana przez parę strategia zdawała się przynosić oczekiwane rezultaty. Anna Göth

dążyła do jak najszybszego uzyskania rozwodu - już 17 stycznia 1945 roku w kancelarii doktora Maxa Preisseckera leżał gotowy pozew. Uzasadniając go, Anna Göth napisała: „Mój mąż był SS-Hauptsturmführerem, pełniącym ostatnio służbę w Krakowie. Jak się dowiedziałam pod koniec zeszłego roku, mąż bez przerwy mnie zdradzał, w ostatnim czasie z niejaką Ruth Kalder”. Następnie przywołała cytat z „oświadczenia” Majoli: „Amona Leopolda Götha znam od mnie więcej półtora roku. Prawdą jest, iż weszłam z panem Göthem w bliższe relacje, a nawet zamierzamy, po rozwiązaniu jego dotychczasowego małżeństwa, wziąć ślub. Jestem także gotowa wystąpić w roli świadka w sprawie rozwodowej, zależy mi jednak na tym, aby w trakcie procesu nie używano kwalifikacji »cudzołóstwo«. Jeśli sędzia zada mi pytanie zmierzające w stronę takiej właśnie kwalifikacji, skorzystam z przysługującego mi prawa do odmowy udzielenia odpowiedzi. Bliższe kontakty z panem Göthem utrzymuję od półtora roku. Poznaliśmy się w Krakowie, tam też zawsze spotykaliśmy się, gdyż pan Göth pełnił w tym mieście służbę. Możliwe, że uda mi się przybyć do Wiednia na rozprawę, oczywiście będzie to możliwe tylko wtedy, gdy zostanę odpowiednio wcześniej powiadomiona telegramem o terminie”. Ponieważ jednak doktor Preissecker nie mógł nawiązać kontaktu z Göthem, by wyjaśnić kilka kwestii majątkowo-prawnych, pozew rozwodowy został na razie odłożony do szuflady.

Pod koniec stycznia 1945 roku Ruth i Momy postanowili złożyć wizytę swojemu staremu przyjacielowi Oskarowi w Briinnlitz. Żydowski pracownicy Schindlera, którym udało się wydostać z obozu w Płaszowie, byli przerażeni, gdy zobaczyli Götha u boku dyrektora fabryki. Gdy po tygodniu spędzonym u swego przyjaciela Göth znowu zniknął, „Żydzi Schindlera” mogli odetchnąć z ulgą. Wtedy też po raz ostatni widzieli tego „potwora”, człowieka, który nieustannie nawiedzał ich w koszmarach.

W lutym 1945 roku Göth po raz ostatni przyjechał do Wiednia, co nie było jednak związane wyłącznie z rozwodem. Z zeznań złożonych później przez jego ojca w trakcie rozprawy rozwodowej wynika, iż Amon był chory i chciał udać się na badania do szpitala w rodzinnym mieście. 13 lutego został przyjęty do wojskowego szpitala rezerwowego przy Stern-wartestrafle 74 - niegdyś było to sanatorium, którego właściciele byli Żydami. Istniało podejrzenie wrzodów dwunastnicy. Jednak już kilka dni później, 17 lutego, Göth został aresztowany w szpitalu przez funkcjonariuszy grupy operacyjnej SS-Feldpolizei, a następnie przewieziony do więzienia Rossauerlande. Tu raz jeszcze, przypuszczalnie 20 lutego, odwiedził go ojciec. Było to ostatnie spotkanie ojca z synem.

21 lutego 1945 roku, o siódmej wieczorem, do Monachium-Stadel-heimu przybył oddział SS-Feldpolizei wraz z więźniem Amonem Leopoldem Göthem. Zachowana kartoteka bawarskiego więzienia karnego wymienia podstawę ponownego aresztowania Götha - „areszt śledczy z powodu podejrzenia popełnienia przestępstwa dewizowego, nałożony decyzją Sądu Głównego SS w Traunstein” 20 lutego. Cóż takiego się stało? - czyżby badania Konrada Morgena i jego współpracowników dostarczyły nowego materiału dowodowego obciążającego Götha? Niezależnie od odpowiedzi na te pytania, faktem jest, iż Göth przesiedział dwa miesiące w więzieniu Monachium-Stadelheim. 27 kwietnia 1945 roku, o siódmej rano, przyszli po niego funkcjonariusze SS-Feld-polizei, którzy przekazali go następnie do 3. sapasowego pułku artylerii przeciwlotniczej SS w Monachium-Freimann.

XXVII. W obliczu śmierci

Trzecia Rzesza rozsypywała się już w gruzy. Mimo to *SS-Haupt-sturmführera* Amona Leopolda Götha zdążono jeszcze powołać do służby wojskowej. Miał teraz z bronią w rękę walczyć dla i ojczyzny. Skierowanie na front było jednak czystą farsą. Sytuacja niedobitków Wehrmachtu, także w Monachium, już od dłuższego czasu była beznadziejna, a „walka do ostatniego domu i do ostatniego człowieka”, jakiej domagali się oderwani od rzeczywistości fanatycy, wydawała się szaleńczym urojeniem. Po raz pierwszy doszło do aktu oporu. Rankiem 28 kwietnia separatystyczna *Freiheitsaktion Bayern* pod dowództwem Rupprechta Gerngroisa zajęła stację radiową we Freimann, wzywając ludność cywilną do wywieszania biało-niebieskich flag Bawarii jako znaku kapitulacji. Dlatego też po dwóch lub trzech dniach służby Götha w artylerii przeciwlotniczej, które spędził beczynnym, szczęście uśmiechnęło się do niego. Göth bynajmniej nie marzył o tym, by na minutę przed ostateczną klęską umrzeć bohaterską śmiercią. Lekarz pułku skierował go do lazaretu w Bad Tölz, powołując się na utrzymujący się zły stan zdrowia swojego pacjenta. Jak się okazało, wystawienie skierowania nastąpiło w samą porę, bo 30 kwietnia do Monachium dotarli żołnierze amerykańskiej 7. Armii, która zajęła miasto prawie bez walki. W dniu śmierci Hitlera władza *führera* w bawarskiej metropolii, tym „mateczniku narodowego socjalizmu”, okazała się już definitywnie historią.

Wprawdzie powszechnie panująca w tych dniach anarchia sprawiła, iż Göthowi udało się jeszcze w jakiś sposób dotrzeć do Bad Tölz, być może nawet dostał się tam pieszo, jednak już 4 maja 1945 roku został pojmany w sanatorium przez funkcjonariuszy amerykańskiego kontrwywiadu wojskowego Counter Intelligence Corps (CIC). Córka Götha Monika jeszcze dziś utrzymuje, że jej ojciec nie został przez nikogo „zdradzony”. Dzień później, 5 maja 1945 roku, agent specjalny O.J. Paquette Jr. nałożył na niego areszt. Göth, powodowany ostrożnością, twierdził w dość arogancki sposób, że jest farmerem. Pozwoliło mu to na rozproszenie cienia podejrzeń, które padły na niego już w momencie zatrzymania. W raporcie z aresztowania Götha jako uzasadnienie zastosowania aresztu pojawiła się wzmianka o „zbrodniach wojennych popełnionych przez załogę SS w obozie koncentracyjnym Dachau”. Prowadzący sprawę O.J. Paquette Jr. nawet jeszcze nie podejrzewał, że rzeczywiście udało mu się złapać w swe sieci grubą rybę. Wydaje się, iż ewentualny donosiciel również nie wiedział, kogo w rzeczywistości wydaje Amerykanom. W sierpniu 1945 roku Göth zachorował na tyfus plamisty, „wszawą gorączkę” tamtych czasów. Prawdopodobnie do infekcji przyczynił się brak odzieży na zmianę. W każdym razie przeszedł tę chorobę bez większych powikłań, co było zapewne zasługą opiekujących się nim amerykańskich lekarzy.

Tymczasem żona Mony'ego kontynuowała walkę o swoje prawa i interesy. 16 sierpnia 1945 roku w sądzie krajowym w Wiedniu odbyła się rozprawa publiczna w sprawie z powództwa Anny Geiger-Göth przeciwko Amonowi Leopoldowi Göthowi. Rozprawa została jednak przerwana, ponieważ - jak napisano w uzasadnieniu - „można domniemywać, iż pozwany znajduje się w miejscu, które w chwili obecnej jest pozbawione kontaktu z sądem”. Dodatkowym utrudnieniem był fakt, iż adwokat Anny Göth doktor Max Preisseecker uciekł w kwietniu 1945 roku z Wiednia, a sama powódka nie mogła w zaistniałej sytuacji powołać na świadka nikogo, kto poświadczyłby poczynione przez małżonków ustalenia prawno-majątkowe.

Ruth Kalder, spodziewająca się dziecka Götha, spędziła ostatnie miesiące przed rozwiązaniem w Bad Tölz. Lekarze zdiagnozowali u niej ciążę bliźniaczą, więc Ruth nastawiła się na przyjęcie bliźniąt. Jednak wkrótce okazało się, że lekarze popełnili błąd. 7 listopada 1945 roku, o trzeciej po południu, Ruth urodziła córkę Monikę. Ponieważ dziecko ułożyło się do porodu poprzecznie, a lekarz był pijany, położne postanowiły sięgnąć po nietypowe rozwiązanie. Jedna z nich uklękała na brzuchu położnicy, a druga odwróciła dziecko do właściwej pozycji, tak iż dziewczynka mogła wreszcie ujrzeć światło dzienne. Tymczasem Anna

Göth nie ustawała w swym dążeniu do uzyskania rozvodu z Monym. 30 listopada złożyła wnioski o wznowienie sprawy rozwodowej.

17 grudnia 1945 roku Göth napisał list do Ruth Kalder. Była to gęsto zapisana kartka papieru, zawierająca wiele pytań oraz prośbę o wsparcie: „Najdroższa Ruth, wreszcie możemy się wymieniać listami. Szczególnie na początku listopada wiele myślałem o tym, jakie to musiało być dla Ciebie ciężkie przeżycie, moje Ty biedactwo, i zastanawiałem się, co też się nam urodziło, chłopiec czy dziewczynka? Mam nadzieję, że jesteście cali i zdrowi. U mnie wszystko w porządku. Mam też nadzieję, że już wkrótce, za kilka miesięcy, znowu się zobaczymy. Kontaktujesz się może z Ojcem? Czy mógłby ci przesać pieniądze? A jak się mają wszyscy w Wiedniu? Co z mieszkaniem i firmą? Wszystko w porządku? Mogę wprawdzie pisać tylko raz w miesiącu, za to mogę odbierać korespondencję bez ograniczeń, a raz w miesiącu - jedną paczkę. Potrzebuję pary kalesonów, podkoszulka, pary skarpetek, dwóch chusteczek do nosa, pędzla do golenia, ołówka, dwóch zeszytów szkolnych i trochę bibułek do papierosów. [...] Jeśli Ojciec może, niech prześle mi też żywność i trochę tabaki. [...] Życzę ci wesołych świąt, a nam wszystkim lepszego roku niż 1945. Przekaż moje życzenia Ojcu i wszystkim innym. Serdecznie Cię pozdrawiam i całuję. Twój Momy”.

Jak widać, Göth wciąż miał nadzieję, że zostanie wypuszczony na wolność przez Amerykanów, którzy nadal nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, iż amerykańscy oficerowie śledczy nie poddają się tak łatwo, jeśli chodzi o ujawnienie całej prawdy...

Dwa dni później, 19 grudnia 1945 roku, małżeństwo Götha z Anną należało już do przeszłości. W wiedeńskim sądzie krajowym do spraw cywilno-prawnych, w sali numer 483, odbyła się publiczna rozprawa w sprawie z powództwa Anny Geiger Göth przeciwko Amonowi Leopoldowi Göthowi. Anna pojawiła się na sali rozpraw osobiście, Momy'ego reprezentował „kurator”, ustanowiony „celem ochrony praw osoby nieobecnej”, doktor Theodor Stephan. Kurator otrzymał jasną instrukcję, by nie utrudniał finalizacji rozvodu. Jako materiał dowodowy poświadczający niewierność męża, powódka przedstawiła sądowi oświadczenie Ruth Kalder z 9 stycznia 1945 roku.

W uzasadnieniu wyroku sądu w tej sprawie czytamy, co następuje: „Powódka udokumentowała złożony przez siebie pozew rozwodowy, przedkładając dowody, iż pozwany wielokrotnie nie dotrzymywał jej wierności małżeńskiej, zdradzając ją z niejaką Ruth Kalder. [...] Na podstawie przedłożonego oświadczenia Ruth Kalder z 9 stycznia 1945 roku oraz zeznań Franza Amona Götha, ojca pozwanego, stwierdza się, że bez wątpliwości zaistniała podstawa do orzeczenia rozvodu, że pozwany rzeczywiście cudzołożył z wyżej wymienioną Kalder, utrzymując z nią stosunki pozamałżeńskie.

Ponieważ na podstawie ustaleń sądu nie ulega wątpliwości, że nie można się spodziewać przywrócenia właściwej małżeństwu wspólnoty pożycia, sąd przychylił się do pozwu rozwodowego w całej rozciągłości”.

Ponadto Amon Leopolda Götha uznano za „winnego” i w związku z tym został on zobowiązany do zwrócenia powódce kosztów procesu, oszacowanych na sumę 436,75 marek, w terminie nie późniejszym niż czternaście dni od momentu uprawomocnienia się wyroku orzekającego o rozwodzie.

16 stycznia 1946 roku Amon Göth napisał ostatni, opatrzony błędnie datą „1945” list do swojej towarzyski życia Ruth Kalder. „16.01.45. Najdroższa Ruth, dziękuję za list i paczkę. Moje Ty biedactwo, musiałaś przeżyć tak wiele trudnych chwil, najpierw z powodu Moniki, później wskutek swojej choroby. Tutejsi lekarze uspokoili mnie nieco, powiedzieli, że zostaniesz wypuszczona ze szpitala w ciągu ośmiu dni. Musiało to zatem nastąpić w ostatnich dniach grudnia. [...] Twoja rezygnacja, jeśli chodzi o Ojca, wydaje mi się nie na miejscu. [...] Ojciec powinien był ci przesać pieniądze, a mnie żywność, głównie pieczywo, trochę marmolady, sól,

trochę kartofli i tabakę. [...] Paczki mogą przychodzić do mnie teraz częściej niż raz na miesiąc. Jeśli chodzi o listy, nie ma żadnych ograniczeń. Ty też mogłabyś częściej do mnie pisać. Nie wkładaj do paczki żadnych listów, jedynie informację o zawartości. Jedzenie jest tutaj takie, że ważę niecałe siedemdziesiąt kilo. To wystarczy. Tak więc spróbuj skontaktować się z Ojcem, także z powodu pieniędzy, których potrzebujesz przecież na utrzymanie siebie i Moniki itd. [...] Wszystko się znowu jakoś ułoży. Nie przejmuj się. Musisz mieć jeszcze jakieś pieniądze w Commerzbank i w Miinchen-Stadelheim. Proszę, dowiedz się, jak wygląda sprawa z tymi pieniędzmi. [...] Moc buziaków dla Ciebie i Moniki i nie zapomnij pozdrowić serdecznie ode mnie Babci. Wasz Mony”.

Adres: Amon Göth, Interment-Camp 78, 14 Kornwestheim, Germany.

Upadek wydawnictwa Göthów

Tymczasem ojciec Amona starał się jeszcze uratować, co tylko się dało. W ciągu ostatnich miesięcy wojny wydawnictwo przeżywało okres zastoju. Göthowi seniorowi udało się jeszcze wyprowadzić pieniądze z firmy, zanim ta została, zgodnie z paragrafem 17 austriackiej ustawy denazyfikacyjnej z 1947 roku (*Verbots IG*), przekazana pod zarząd komisaryczny, co nastąpiło jednak dopiero 31 sierpnia 1945 roku. Wtedy też Państwowa Agencja Rozwoju Przemysłu wyznaczyła niejakiego Waltera Bassista na zarządcę komisarycznego wydawnictwa Götha. Spółka Hermes AG znajdowała się już od 16 sierpnia 1945 roku pod zarządem komisarycznym znanego historyka doktora Rudolfa Granichstaedtena-Czery. 21 listopada 1945 roku Granichstaedten-Czerva, bardziej obeznany z genealogią tyrolskich rodów szlacheckich niż z interesami wydawnictwa, został pozbawiony powierzonej mu uprzednio funkcji. Na stanowisku zastąpił go Walter Bassist, co było bardzo sensownym posunięciem, biorąc pod uwagę silne powiązania gospodarcze spółki Hermes AG z wydawnictwem Göthów. Pomieszczenia wydawnictwa znajdujące się przy Mariahilferstraße 105 prawie w ogóle nie ucierpiały z powodu wojny. Magazyn i część pomieszczeń biurowych przejęli francuscy okupanci. Raz po raz przeszukiwano dom, przypuszczano bowiem, że Göth mógł wrócić do Wiednia. Jeszcze zanim Sowieci wkroczyli do miasta, ojciec Amona zatarł wszystkie ślady, między innymi paląc wszelkie zdjęcia ukazujące syna w mundurze. Ostała się tylko jedna fotografia przedstawiająca małego Monyńgo.

Tymczasem Walterowi Bassistowi również nie udało się uzdrowić sytuacji w obu powierzonych mu przedsiębiorstwach; już w marcu 1946 roku został odwołany z zajmowanego stanowiska. Zastąpił go drukarz Julius Riedl, który miał zastać wydawnictwo w „stanie całkowitej dezorganizacji”. Riedl był równocześnie właścicielem drukarni Astoria. Zarządzając dodatkowo spółką Hermes AG i wydawnictwem Göthów, posiadał w tamtym czasie małe imperium, które przynosiło odpowiednie zyski. Ponadto Riedl uważał siebie za kogoś więcej niż tylko zarządcę komisarycznego wydawnictwa. Już wcześniej zawarł z Amonem Franzerem Göthem nieco kontrowersyjną umowę handlową, przewidującą sprzedaż połowy udziałów Götha seniora w spółce Hermes AG, które ten nabył wraz z Monym w 1941 roku. Podobne warunki tej umowy były wyjątkowo niekorzystne dla Götha - Riedl miał nabyć pakiet akcji za sumę dużo niższą, niż wynosiła jego faktyczna wartość. Zarządca komisaryczny konsekwentnie wykorzystał swoją pozycję, która umożliwiała mu wgląd w sytuację obu przedsiębiorstw. Tymczasem Göth senior chciał możliwie najbardziej zminimalizować straty, a także odzyskać przynajmniej część zainwestowanych pieniędzy. Problem tkwił jednak w tym, że Mony nie został powiadomiony o przeprowadzonej transakcji, a tym samym zostały naruszone jego prawa i interesy jako współnika ojca. Umowa kupna została poza tym

podpisana po 31 sierpnia 1945 roku, a więc w czasie, gdy oba przedsiębiorstwa znajdowały się już pod zarządem komisarycznym, Amon Franz Göth nie mógł zatem sprzedać swoich udziałów w spółce Hermes AG. Dlatego też austriacki urząd ochrony majątkowej uznał umowę kupna-sprzedaży za nieważną.

W liście do Ruth Kalder z 15 października 1947 roku dawny *Parteian-warter* Amon Franz Göth w następujący sposób opisał te powojenne miesiące: „Mony był nieustannie poszukiwany przez różne urzędy, zwłaszcza przez ówczesne organy partii komunistycznej. To, że w czasie licznych rewizji zginęło wiele rzeczy, może sobie Pani chyba wyobrazić. W mojej firmie ustanowiono zarząd komisaryczny. Przez zarządcę, Żyda i komunistę, poniosłem straty w wysokości około stu tysięcy szylingów. Gdy dowiedziałem się później z akt sądowych, że ów towarzysz miał już na swoim koncie dwadzieścia wyroków w sprawie kradzieży i defraudacji, mogłem się go pozbyć i doprowadzić do zamknięcia go w więzieniu”.

Amon Franz Göth utrzymywał, iż w sierpniu 1946 roku zachorował na zapalenie płuc spowodowane powikłaniami gruźlicy; z tego powodu miał też w popłochu opuścić Wiedeń 28 sierpnia, udając się w kierunku Mondsee. Göth senior znalazł schronienie u swojego brata Gustava w Plombergu, St. Lorenz 41.

Dopiero 23 września 1947 roku Göth senior miał wrócić do Wiednia, gdzie musiał stawić czoło nowym trudnościom. Tym razem kłopotów przysporzyła mu Anna Geiger, domagając się swych udziałów w spółce, a więc wynegocjowanych w trakcie rozprawy rozwodowej trzydziestu procent akcji wydawnictwa. W końcu synowa wypowiedziała wojnę teściowi i wytoczyła mu proces. Amon Franz pisał wówczas do Ruth Kalder: „Ta kobieta okazała się prawdziwą jędzą. Dopiero teraz mogę w pełni zrozumieć, dlaczego Mony nie mógł już dłużej z nią żyć”.

Nawet jeśli Göth senior oceniał szanse Anny Geiger na wygranie procesu jako nikłe, to jednak synowej udało się wymusić wyrokiem sądowym wpisanie 2 marca 1948 roku siebie i swoich dzieci Ingeborg oraz Wenera do rejestru handlowego jako udziałowców w przedsiębiorstwie, przy czym decyzji nadano moc obowiązująca wstecz od grudnia 1945. Było to jednak pyrrusowe zwycięstwo. Wydawnictwo chyliło się bowiem ku upadkowi. W 1947 roku podjęto ostatnią próbę uratowania firmy, wydając barwny miszmasz obejmujący prawie w ogóle nie-kupowane lub źle sprzedające się tytuły. Jednak katastrofy nie można już było uniknąć. Poza tym nie było nikogo, kto mógłby usilnie zabiegać o odbudowę wydawnictwa od podstaw.

12 września 1960 roku wydawnictwo Göthów zostało wykreślone z rejestru handlowego, przechodząc tym samym do historii.

Maska opada

Na ironię losu zakrawa fakt, iż Göth został zatrzymany z powodu posądzenia o popełnienie przestępstwa, z którym w rzeczywistości nie miał nic wspólnego. Jego sytuacja nie była łatwa. Z jednej strony nie mógł sobie pozwolić na wyznanie całej prawdy na swój temat, z drugiej - miał świadomość, że czas działa na jego niekorzyść. Im dłużej był bowiem przetrzymywany przez Amerykanów, tym większe było prawdopodobieństwo, iż któregoś dnia pojawią się świadkowie, którzy złożą obciążające go zeznania. Ostatecznie w styczniu 1946 roku zdecydował się uprzedzić bieg wydarzeń. Przyjęta przez niego strategia działania polegała na przyznaniu się do służby w SS na terenie Generalnego Gubernatorstwa oraz do pełnienia funkcji komendanta w płaszowskim obozie. Te fakty związane ze swoją przeszłością zamierzał jednak przedstawić w najkorzystniejszym dla siebie świetle. Myślał, że w ten sposób uda mu się

raz na zawsze rozproszyć stawiane mu zarzuty dotyczące przestępstw popełnionych rzekomo przez niego w Dachau.

Przebywający w War Crimes Central Suspects and Witness Enclosure (Miejsce odosobnienia głównych podejrzanych i świadków zbrodni wojennych) w Dachau Göth, który nosił numer 4596, złożył wniosek o zbadanie podstaw do przetrzymywania go w areszcie. Zwrócił uwagę na to, iż nigdy nie był w Dachau; podejrzenie padło na niego tylko dlatego, że został ujęty wraz z esesmanami z Dachau. Następnie po raz pierwszy podał najważniejsze fakty związane ze swoją karierą w szeregach SS - służył w Cieszynie i Katowicach, a następnie, do początku 1944 roku pracował w sztabie generała Krugera w Krakowie.

Göth przeliczył się jednak, nie doceniając Amerykanów. Ci, raz naprowadzeni na ślad, nie dopuścili już, by zbywano ich niejasnymi informacjami. Biuro śledcze do spraw badania zbrodni wojennych w głównej kwaterze 7. Armii Wojsk Lądowych USA poważnie zainteresowała się karierą Götha. Oficer śledczy kapitan Hugo A. Romano otrzymał rozkaz przesłuchania tego dziwnego więźnia numer 4596. W ten sposób 20 lutego 1946 roku Göth miał okazję bardziej szczegółowo przedstawić swoją historię - był to oczywiście stek kłamstw, które miały mu ocalić życie. Ponieważ nie mógł się już wyprzeć faktu, iż był komendantem w Płaszowie, skoncentrował się na możliwie najkorzystniejszym nakreśleniu sytuacji w obozie. Zatem ocenił stan aprowizacji więźniów jako dobry. Tygodniowo na jedną osobę miało przypadać: sześć kilogramów ziemniaków, dwadzieścia pięć kilogramów (*sic!*) warzyw, trzysta gramów mięsa i sto dwadzieścia gramów tłuszczu lub - jako ekwiwalent - jajka i ser żółty. Ponadto codziennie każdy z więźniów miał otrzymywać ćwiartkę chleba. Ponieważ zapewniono więźniom opiekę medyczną, świadczoną w pięciu barakach, udało się rzekomo skutecznie zapobiec epidemiom. Przede wszystkim zaś na terenie obozu wykonywano niewiele egzekucji - miały one miejsce tylko wówczas, gdy istniało podejrzenie, że dana osoba utrzymuje kontakty z partyzantami, dokonuje aktów sabotażu, posiada nielegalnie broń lub dopuściła się kradzieży mienia Wehrmachtu. Wprawdzie na terenie obozu liczne egzekucje miały być przeprowadzane przez Gestapo, ale on - Göth - nie miał z tym nic wspólnego. Za rozstrzeliwania mieli być odpowiedzialni wyłącznie funkcjonariusze Gestapo, tymczasem on rzekomo nie był nawet informowany, kogo w danym wypadku stracono. Gestapowcy mieli też przywozić do Płaszowa ciała zamordowanych, by je tu spalić. Jako powód swego aresztowania we wrześniu 1944 roku podał w końcu spekulowanie obcymi walutami. Do kwietnia 1945 roku miał przebywać w areszcie śledczym.

Zeznania Götha przetłumaczył na angielski doktor Ewald Reynitz, były stenograf w głównej kwaterze Hitlera. Kapitan Romano przyjął zeznania do wiadomości. Zarówno on, jak i pozostali śledczy nabrali jednak jeszcze większych podejrzeń. Wtedy nasunęła im się myśl, by umieścić nazwisko Götha na liście oskarżanych o akty okrucieństwa esesmanów z załogi obozu koncentracyjnego w Dachau. Lista miała się ukazać w niemieckich gazetach wiosną 1946 roku wraz z dołączoną prośbą o informacje dotyczące zbrodni popełnionych przez poszczególnych funkcjonariuszy SS.

Rezultat przerósł najśmielsze oczekiwania amerykańskich oficerów śledczych. Z samego tylko Displaced Persons Center 7 w Deggendorfie zgłosiło się dwudziestu świadków. Wśród nich byli między innymi młodzi Żydzi Monek Huppert, Aba Balicki, Moric Zelmanowitsch Natek i Chaim Szlamowitschowie (później Henry Slamowich) z Działoszyc, którzy wyraził gotowość do złożenia zeznań obciążających Götha. Wynajęli oni autobus, którym przyjechali do Dachau. W sali, w której świadkowie zostali przyjęci przez specjalną komisję, czekała ich niespodzianka. „Wszyscy weszliśmy do środka - a tam Göth. Był roslym mężczyzną; mundur, który miał na sobie, był o wiele za mały. [...] Na myśl, że musimy przebywać z tym człowiekiem w jednym pomieszczeniu, ciarki przechodziły nam po plecach” - tak wspomina to spotkanie Henry Slamowich.

To, co usłyszeli wówczas oficerowie śledczy Henry M. Winchester Jr., Harry Szanger i Alan D. Cameron z ust świadków, którzy przeżyli Holokaust, nie pozostawiło już żadnych wątpliwości co do rzeczywistej roli, jaką Göth odegrał w Płaszowie. Przesłuchania świadków trwały jeszcze przez cały kwiecień i maj 1946 roku. Już 29 kwietnia zapadła decyzja, iż Göth zostanie wydany polskim władzom. Zadanie przejęcia więźnia powierzono M. Muzkatowi, kierownikowi powołanej do zbadania zbrodni wojennych polskiej misji wojskowej w Berlinie. Termin ekstradycji wyznaczono na 28 czerwca 1946 roku. Wraz z Göthem Polakom miał zostać przekazany także Rudolf Hofi, komendant obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Amerykanie zaofiarowali jeszcze dodatkową pomoc - wszelkie materiały zebrane w trakcie przesłuchiwań świadków przez amerykańskich oficerów śledczych miały zostać udostępnione stronie polskiej na potrzeby procesu przeciwko Amonowi Göthowi. Dokumenty te stanowiły istotne uzupełnienie akt z zeznaniami świadków, którymi dysponował polski sędzia śledczy.

28 maja 1946 roku doszło ostatecznie do wydania Götha polskim władzom. Zgodnie z planem, ekstradycja objęła niemal w tym samym czasie także Rudolfa Hófia. Płaszowskiego króla przywitały w Polsce rozwścieczone tłumy, a siłom bezpieczeństwa z trudem udało się uchronić więźnia przed samosądem.

„A mówiono nam, że nikt z nich nie przeżyje!”

27 sierpnia 1946 roku w Krakowie ruszył proces przeciwko Göthowi.

Już wczesnym rankiem w wąskich uliczkach w pobliżu Wawelu zebrał się pokaźny tłum ludzi. Wszyscy chcieli zobaczyć potwora z Płaszowa. Z więzienia do sądu przy ulicy Senackiej 1 było tylko kilka kroków. Amon Göth, eskortowany przez dwóch policjantów, wszedł na salę rozpraw pięć minut po godzinie ósmej. Na rozprawę przybyli liczni reporterzy polskich gazet, profesorowie uniwersytetu, poważani adwokaci. Większość obecnych na sali sądowej osób stanowili jednak Żydzi - ludzie, którzy przeżyli wojnę i którzy najwięcej wycierpieli przez Götha. Gdy ten zorientował się, kto znajduje się na sali rozpraw, skomentował swoje spostrzeżenie w cyniczny sposób: „A mówiono nam, że nikt z nich nie przeżyje!”

Göth został postawiony w stan oskarżenia przez Najwyższy Trybunał Narodowy, organ powołany do życia w styczniu 1946 roku w celu osądzenia nazistowskich zbrodni wojennych. Przewodniczącemu składowi sędziowskiego doktorowi Alfredowi Eimerowi asystowali sędziowie doktor M. Dobromęski z Warszawy, doktor Józef Zębaty z Katowic i doktor Feliks Jarosz z Krakowa. Wszyscy byli sędziami z ogromnym doświadczeniem. Mieli oni dołożyć wszelkich starań, by postępowanie sądowe zostało przeprowadzone w sposób rzetelny i sprawiedliwy. Chodziło o to, by - jak to podkreślił doktor Eimer w swojej mowie początkowej - zademonstrować właśnie względem człowieka, który deptał ludzką godność, a zbrodnię uczynił wytyczną swego życia, że Trybunał nie zamierza odstąpić od zasad polskiego państwa prawa i powszechnych praw człowieka.

Prokuratorzy Mieczysław Siewierski i doktor Tadeusz Cyprian odczytali akt oskarżenia, przedstawiając Amonowi Göthowi zarzut dopuszczenia się zbrodni obrazy człowieczeństwa, czyli zbrodni ludobójstwa (*crimen laesae humanitatis*) w ramach nazistowskiej kampanii eksterminacyjnej skierowanej przeciwko Żydom i Polakom. Akt oskarżenia sformułowano w pięciu szczegółowych punktach:

W punkcie pierwszym aktu oskarżenia przedstawiono Göthowi zarzut, iż jako komendant obozu pracy przymusowej w Płaszowie spowodował śmierć około ośmiu tysięcy ludzi, przy czym wielokrotnie własnoręcznie zabijał swoje ofiary.

W drugim punkcie aktu oskarżenia zarzucono mu, iż w trakcie przeprowadzonej na polecenie *SS-Obersturmban* Willego Haasego akcji „likwidacji” krakowskiego getta przyczynił

się do śmierci około dwóch tysięcy ludzi.

W punkcie trzecim oskarżono Götha o to, iż w czasie „likwidacji” getta w Tarnowie zarządził deportację około ośmiu tysięcy ludzi i w ramach tej „akcji” zamordował niedającą się dokładnie określić liczbę ludzi.

Punkt czwarty aktu oskarżenia dotyczył roli, jaką Göth odegrał w stopniowej likwidacji obozu w Szepienicach w okresie od września 1943 do 3 lutego 1944 roku - miał wówczas wydać rozkaz wymordowania licznych więźniów osadzonych w tym obozie względnie zarządzić ich deportację do innych obozów.

Wreszcie w punkcie piątym postawiono Göthowi zarzut przywłaszczenia sobie wartościowych rzeczy należących do więźniów osadzonych w kierowanym przez niego obozie: złota i pieniędzy, ale także odzieży, mebli i innego mienia ruchomego. Oskarżony miał przewieźć zrabowane rzeczy do Rzeszy. Wartość tych skarbów miała wynosić kilka milionów złotych.

Uzasadniając akt oskarżenia, prokuratorzy nakreślili w najważniejszych punktach historię Płaszowa. Oskarżyciele mogli się oprzeć na bogatym materiale dowodowym. Poza zeznaniami świadków złożonymi przed oficerami amerykańskiego wywiadu prokuratorzy dysponowali także dowodami zebranymi przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, a także materiałami zgromadzonymi przez Centralną Żydowską Komisję Historyczną. Już w pierwszych zdaniach swojej mowy prokurator Cyprian podkreślił, iż Göth nie był tylko „narzędziem”, lecz mordował własnoręcznie ludzi z nieukrywaną „przyjemnością”. Według prokuratora, proces przeciwko Göthowi nie tylko miał na celu sprawiedliwe osądzenie oskarżonego i wymierzenie mu kary, lecz także miał rzucić światło na „mroczne zakamarki duszy” tego narodu, którego synowie popełnili tak przerażające zbrodnie, wstrząsając sumieniem całego świata. Następnie rozwinął tę myśl: „Chcemy pokazać całemu światu, do czego doprowadził totalitarny reżim Hitlera -z normalnych obywateli uczynił komendantów obozów koncentracyjnych i raskarzy, stworzył system szkół tortur dla katów, nauczył ludzi bestialstwa i maltretowania bliźnich. Przerażające rzeczy dokonywane w imię tego reżimu przekraczają wszelkie pojęcie: mordowano dzieci, siłą wydzierając je matkom, dzieci wrzucano żywcem do ognia, szczuto ludzi psami, które rozszarpały ich na kawałki, istoty ludzkie traktowano gorzej niż rzeźnik postępuje z bydłem, tysiące ludzi zamordowano bez powodu, zamęczono na śmierć - oto historia panowania Hitlera.

Dlatego też naszym zadaniem jako oskarżycieli jest nie tylko przedstawienie dużej liczby dowodów niezbędnych do wykazania winy oskarżonego, lecz także powinniśmy ukazać prawdę, całą prawdę. [...] Należy naświetlić kwestię, w jakim stopniu cały naród niemiecki powinien odpowiedzieć za okropne zbrodnie, jakich dopuścili się ludzie sprawujący władzę”.

Aby uniemożliwić Göthowi przyjęcie strategii obronnej polegającej na odwołaniu się do prawa wojennego, sąd pozwolił zabrać głos pierwszemu rzeczoznawcy, ekspertowi od prawa międzynarodowego doktorowi Ludwikowi Ehrlichowi, profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ehrlich wywodził, iż w wypadku nazistowskich rządów terroru w Polsce od 1939 do 1945 roku nie można mówić o „wojnie” we właściwym tego słowa znaczeniu, lecz że była to „napaść”. Dlatego też zbrodnie popełnione przez Götha na terytorium państwa polskiego powinny zostać osądzone przez polski sąd i w zgodzie z obowiązującym prawem polskim. Niezależnie od tego konwencje haskie z 1907 roku zabraniają zbrodni przeciwko ludności cywilnej.

Obrońcami Götha mieli być dwaj adwokaci, doktor Bruno Pokorny i doktor Tadeusz Jakubowski. Obaj poprosili na wstępie o zwolnienie z tego obowiązku, argumentując, że jako Polacy nie są w stanie bronić znienawidzonego w Polsce Niemca. Tymczasem sam oskarżony poprosił 21 sierpnia o dopuszczenie do złożenia zeznań przez licznych świadków, wśród których znajdowali się doktor Leon Gross i doktor Bieberstein, doktor Michał Weichert,

kierownik Żydowskiego Ośrodka Wsparcia, *SS-Obersturmbannführer* Willi Haase, a także bracia Herman i Leopold

Rosnerowie, stenograf Götha Mietek Pemper i jego przyjaciel Oskar Schindler. Ten ostatni ze zrozumiałych względów wzbraniał się jednak przed przyjazdem do byłej stolicy „okręgu gangsterów”.

Göth miał słuchawki na uszach. Wszystkie kierowane do oskarżonego pytania, jak również udzielane przez niego odpowiedzi były tłumaczone przez tłumacza ustnego.

Na pytanie, czy przyznaje się do przedstawionych mu zarzutów, Göth odrzekł stanowczym głosem: „Nie!”. Przyjął prostą strategię obrony -wszystkiego się wypierał. I tak na przykład ustosunkowując się do poszczególnych zarzutów, utrzymywał, iż nieprawdą jest, jakoby w Płaszowie zginęły tysiące ludzi. Ponadto zaprzeczył, jakoby więźniowie pła-szowskiego obozu byli poddawani torturom lub szczuci psami. Twierdził nawet, iż żaden ze świadków nie zezna przed sądem, iż jakikolwiek więzień został zakatowany na śmierć lub został zabity przez psy. Według oskarżonego, w Płaszowie nie było żadnych bezpodstawnych egzekucji, a Chilowicza Göth miał zastrzelić na rozkaz Koppego, którego komendant rzekomo wcześniej powiadomił o zamiarach starszego obozu.

W kwestii posądzenia o rzekome wzbogacenie się kosztem żydowskich więźniów Amon Göth przytoczył fakt, iż toczące się w tej sprawie postępowanie przed sądem SS nie wykazało niczego, co by go obciążało. Z tego właśnie powodu miał zostać wypuszczony na wolność. Odzież, meble i futra nabył rzekomo przez legalne kupno, odpowiednie rachunki zostały przedstawione sądowi SS, który nakazał zwrócić Göthowi zarekwirowany majątek. Amon nie miał jednak możliwości odebrania tych rzeczy z Briinnlitz, gdyż ubiegła go Armia Czerwona. Oskarżony odrzucił także możliwość występowania jakichkolwiek oszustw związanych z aprowizowaniem więźniów.

Göth nie przypuszczał jednak, i początkowo nie mógł w to uwierzyć, iż liczne rozstrzeliwania były, mimo gęsto rozlokowanych na terenie obozu posterunków, obserwowane przez więźniów i że niektórym naocznym świadkom tych egzekucji udało się przeżyć wojnę. Tymczasem następowały jedne po drugich zeznania świadków, którzy opowiadali o morderstwach, aktach brutalnej przemocy, o torturach i terrorze. Oskarżony zachowywał się, jakby relacje ocalałych z Holokaustu byłych więźniów nie robiły na nim wielkiego wrażenia. Swoją brak zainteresowania opowieściami świadków okazywał, demonstracyjnie polerując sobie ze stoickim spokojem paznokcie u rąk. Zdecydowanie wypierał się osobistej odpowiedzialności za to, co się stało. Wszystko to miało być sprawką jego krakowskich i berlińskich przełożonych z SS. Według Götha, zapamiętałym mordercą Żydów był szef sztabu Schenera Willi Haase. Tymczasem on sam był jedynie żołnierzem i nie wydawał żadnych rozkazów. Od czasu do czasu w całkiem umiejętny sposób starał się zastraszyć poszczególnych świadków, zarzucając im, iż nie potrafią sobie przypomnieć czasu i miejsca opisywanych przez siebie wydarzeń, co miało być wystarczającą podstawą do zakwestionowania ich wiarygodności. I rzeczywiście Göthowi udało się wykazać pewne nieścisłości. Jednakże ogrom przedstawionych dowodów był przytłaczający. Mimo to oskarżony nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną. Polemizując z Ludwikiem Ehrlichem, starał się podważyć kompetencje polskiego sądu - daremnie. Sędziowie byli zdeterminowani, aby skazać go, jako reprezentanta hitlerowskiego reżimu, na karę śmierci przez powieszenie.

W swojej mowie końcowej z 3 września 1946 roku prokurator Mieczysław Siewierski jeszcze raz zwrócił uwagę na znaczenie procesu przeciwko Göthowi, mówiąc: „Przykładne ukaranie tego wielkiego zbrodniarza nie jest wolą tylko naszego narodu. Ogłaszając wyrok, Wysoki Sąd spełni także wolę całego cywilizowanego świata”. Jediną stosowną karą w wypadku Götha może być kara śmierci, najcięższa ze wszystkich kar. Siewierski dodał jeszcze: „Wraz z Göthem świat opuści człowiek, który sam poprzez swoje czyny wykreślił się z listy osób zasługujących

na życie. Egzystencja oskarżonego była usprawiedliwiona jedynie w ramach zbrodniczego systemu nazistowskiego. Z chwilą gdy ta organizacja legła w gruzach, także oskarżony musi fizycznie odejść z tego świata”. Prokurator Tadeusz Cyprian dołączył się do żądania swego kolegi, także on domagał się dla Götha „jedynej możliwej kary-pozbawienia życia”.

Obrońcy oskarżonego - adwokaci Pokorny i Jakubowski - niewiele potrafili przeciwstawić płomiennym mowom oskarżycieli. Mogli jedynie zwrócić uwagę na oczywiste niezgodności w zeznaniach świadków, jak również na niektóre uzasadnione wątpliwości. Poprosili sąd o „sprawiedliwy wyrok”, nie odważyli się nawet w dobitny sposób sprzeciwić wyrokowi śmierci.

Następnie oddano głos samemu Göthowi. Ten skarżył się na zbyt krótki czas, jaki mu dano, by przedstawić świadków, którzy mogliby go oczyścić z postawionych mu zarzutów w poszczególnych kwestiach. Wszyscy oni mieli teraz przebywać w Dachau, i to właśnie tam, jak utrzymywał oskarżony, zrodziła się idea wszczęcia przeciwko niemu tego postępowania sądowego. Göth ustosunkował się także do poszczególnych zarzutów. Jeszcze raz nawiązał do sprawy inżyniera Grünberga, który miał nadużyć jego zaufania i z tego też powodu został tak źle potraktowany przez komendanta. Powtórzył także, iż to właśnie Koppe wydał rozkaz rozstrzelania Chilowicza. Po chwili całą winę złożył na karby wojny. Stwierdził, iż prawdą jest, że, jako osoba cywilna, nie miał podstaw do zabijania ludzi. Jako komendant obozu ponosi odpowiedzialność za wszystkie czyny swoich podkomendnych. Nikt z nich nie jest odpowiedzialny za to, co się działo w obozie. Göth wstawił się też za doktorem Leonem Grosse, który właśnie został skazany w Krakowie na śmierć. Według oskarżonego, więźniowie wiele zawdzięczali Grossowi, który miał z powodzeniem zapobiegać wybuchom epidemii, rzekomo nigdy też osobiście nie przeprowadzał „selekcji”.

Kończąc, Göth podziękował Najwyższemu Trybunałowi Narodowemu przede wszystkim za obu obrońców - Brunona Pokornego i Tadeusza Jakubowskiego - którzy w znakomity sposób poprowadzili jego sprawę, a także za nienaganne potraktowanie jego osoby przez funkcjonariuszy więziennych. Stwierdził także, że Polska mogłaby stać się pod tym względem wzorem godnym naśladowania dla rządu niemieckiego oraz państw zachodnich, gdyż w ten sposób można by dla pojednania narodów osiągnąć więcej niż skutek uroczystych deklaracji.

Przewodniczący składu sędziowskiego zadał następnie Göthowi pytanie: „O co oskarżony prosi sąd, o jaki wyrok?”, na co ten odpowiedział: „Wyrok pozostawiam w gestii Najwyższego Trybunału Narodowego”.

Dwa dni później, 5 września 1946 roku, zapadł wyrok skazujący. Sala rozpraw była wypełniona po brzegi, gdy dokładnie o czwartej po południu sędziowie Najwyższego Trybunału Narodowego ogłosili wyrok: „Obywatel austriacki Amon Leopold Göth, urodzony 1 grudnia 1908 roku w Wiedniu, rozwodnik, z zawodu prywatny przedsiębiorca, wyznania rzymskokatolickiego, zostaje uznany za winnego wszystkich pięciu postawionych mu w akcie oskarżenia zarzutów oraz skazany na śmierć. Wszelkie prawa publiczne, jak również prawa obywatelskie zostają mu na zawsze odebrane. Cały majątek oskarżonego podlega konfiskacie. Koszty postępowania sądowego pokryje państwo polskie”.

W uzasadnieniu wyroku sąd jeszcze raz szczegółowo odniósł się do zbrodni popełnionych przez Götha: „Dlatego też człowieka pokroju oskarżonego należy całkowicie wyeliminować z życia społecznego. Tego oczekuje cała ludzkość po straszliwych latach wojny”.

Po odczytaniu wyroku doktor Eimer poinformował oskarżonego, że przysługuje mu prawo złożenia wniosku o ułaskawienie u prezydenta Krajowej Rady Narodowej. Göth skinął głową i odrzekł: „Dobrze!”

Göth postanowił skorzystać z tego prawa i osobiście napisał odpowiedni wniosek do prezydenta - niewielki płomyk nadziei będzie się jeszcze w nim tlił przez ostatnie osiem dni jego życia.

Przeprowadzony w ciągu kilku zaledwie dni proces nie mógł uczynić zadość sformułowanym

przez prokuratora Tadeusza Cypriana wysokim wymaganiami. Ludziom zebranych na sali rozpraw oraz samym sędziom nie umożliwił on poznania „całej prawdy” oraz zbadania „mrocznych zakamarków” duszy narodu niemieckiego. Fakt, iż Göth był Austriakiem, w ogóle nie został dostrzeżony. Nie udało się też definitywnie zgłębić tajemnicy związanej z jego osobą, odpowiedzieć na pytanie: jak to w ogóle było możliwe, że ten „normalny” obywatel, inteligentny, wykształcony mężczyzna i ojciec trojga dzieci, mógł się nagle okazać mordercą, który ani na chwilę nie rozstawał się ze swoją bronią i pejcem?

Datę egzekucji wyznaczono na 13 września 1946 roku. Aby nie dopuścić do rozruchów, podjęto decyzję, by nie upubliczniać tego terminu.

Ręce Götha były związane na plecach, gdy skazaniec na krótko przed osiemnastą został wyprowadzony z więzienia przy ulicy Montelupich. Przy egzekucji poza katami było obecnych pięć osób: prokurator Jan Brandys, dyrektor więzienia Tadeusz Urbanek, lekarz więzienny doktor Eryk Dormicki, kapelan więzienny Gerard Domagała i protokolant Henryk Ślizowski, kierownik sekretariatu w krakowskiej prokuraturze. Gdy Göth wszedł na podest pod pętlą, głos zabrał Jan Brandys, który odczytał w krótkich słowach decyzję w sprawie złożonego przez Götha wniosku o ułaskawienie. Prezydent Krajowej Rady Narodowej nie skorzystał z przysługującego mu prawa do ułaskawienia, co oznaczało konieczność wykonania zasądzonego wyroku.

Wtedy jednak pojawił się pewien problem. Kaci przygotowali za długą linę. Pętlę trzeba było raz jeszcze założyć skazańcowi na szyję i skrócić stryczek. Göth zachował spokój także wtedy, gdy stryczek trzeba było skrócić po raz drugi. Najwidoczniej kaci przyjęli, że skazany na śmierć Göth jest niższego wzrostu. Dopiero za trzecim podejściem długość liny okazała się optymalna. Zanim jeden z katów pociągnął za dźwignię, żeby uruchomić zapadnię, Göth zdążył jeszcze wypowiedzieć dwa słowa, dwa słowa, które naznaczyły jego życie, a teraz miały także naznaczyć jego śmierć: „Heil Hitler!”.

Polscy sędziowie nie przyznali mordercy z Wiednia prawa do pochówku. Jego zwłoki zostały skremowane, a prochy wsypane do Wisły.

Amon Leopold Göth, „postrach całego Generalnego Gubernatorstwa”, był martwy. Jednakże w koszmarach ocalałych z Zagłady, w ich uporczywych wspomnieniach przerażających wydarzeń z przeszłości Göth wciąż jeszcze pozostaje żywy. W tych wizjach pojawia się raz za razem „szkaradna, ociekająca krwią maska” - jak o twarzy Götha pisała Emilie Schindler - która następnie „pęka, rozpryskując się na tysiące odłamków”.

5 września 1949 roku ktoś zadał sobie trud - najprawdopodobniej była to Anna Geiger, która tymczasem przeniosła się z powrotem do Innsbrucku - by wymeldować Amona Leopolda Götha, dotąd wciąż zameldowanego przy Zollergasse 25/16. Pod adnotacją „wymeldowany” urzędnik sumiennie odnotował: „Spezial Ger.”, dodając następującą informację: „stracony w Krakowie przez powieszenie za zbrodnie wojenne”.

A co ze skarbami splamionymi krwią Żydów? Ingeborg Göth powiedziała swojej przyrodniej siostrze Monice, że „oni wytaszczyli walizkami wszystkie te rzeczy, te klejnoty z mieszkania”. Przypominała sobie jeszcze „jakąś ciotkę o wydatnym biuście”, która „wetknęła sobie te rzeczy do biustonosza”. Cały majątek miał zostać przewieziony do domku letniskowego Göthów w Zeiselmauer przy Leopoldgasse 5. W czasie wojny mieszkała tu także Anny wraz z dziećmi. To właśnie tu, w „daczy” Göthów, miały zostać „zamurowane” łupy „wojenne” Mony'ego...